

BUNSCH KAROL

POWROTNA DROGA

POWIEŚCI PIASTOWSKIE 11

Z wieży kościoła Najświętszej Panny sandomierski kasztelan, Piotr z Krępy, patrzył na rozległy u stóp wzgórza kraj. Pogodny dzień zimowy miał się ku wieczorowi, w miarę jak słońce chyliło się, błękitnawe cienie pełzły na wschód, a śnieżny całun mienić się zaczął różowymi odbłaskami. Szło na zmianę, trzaskający mróz sfolgował, na zachodnim niebie wstawała szczęgoga, w którą zanurzając się słońce czerwieniało, potem przeświecał już tylko miedziany, spłaszczony krążek i wreszcie rozmazał się w tumanie. Krótki dzień styczniowy skończył się, barwy zgasły i niebo poszarzało. Widoczność malała szybko. Stojący obok kasztelana brat jego, Zbygniew, trącił go, mówiąc:

- Pójdźmy! Niczego nie wypatrzym. Stamtąd odsiecz nic przyjdzie.

Nie odwracając się, Piotr odparł z goryczą:

- Znikąd. Wstydlivy pod Sieradz pociągnął, by napaść łęczyckiego Kazka odeprzeć. Jeno na to stać Piastowiców, by między sobą się wadzić o ochłapy rozerwanego królestwa, nie by je bronić od postronnego wroga. Od sześci niedziel sami dzierzym brzemię najazdu.

- Może księżę na węgierskie posiłki czekają, w sile się nie czując - wtrącił Zbygniew. - Jeśli Bela zięcia nie wspomóże, jemu z kolei Tatarzyn na gardło nastąpi.

-I Węgrom zadość czasu było. Ninie choćby nadeszli, nie przeprawią się. Słysz! Lody pękają.

Przeciągłe trzaski biegające po białej płaszczyźnie Wisły potwierdziły jego słowa, ciemniejsze plamy na niej zwiastowały, że wezbrana woda dźwiga lodową skorupę. Gdy skruszy ją w krę, przeprawa - już teraz niebezpieczna - stanie się niemożliwa. Zbygniew westchnął:

- Aby pocieplało. Nieraz zda mi się, że śpik zamarzył mi w kościach. Zmarznięte ścierwo końskie przez gardziel przełazić nic chce...

- Nie chce? Aby jeno starczyło. Kończy się już.

- Tedy czemużeś onego bojara odprawił, który swobodne wyjście nam zapewniał? - z wymówką rzucił Zbygniew.

- Czemu? Bo to jeno podstęp. Mamlu ginąć, to chcę z mieczem w rękę, jako rodzic nasz pod Chmielnikiem.

- Skąd wiesz, że podstęp? Ruscy kniazie z musu Tatarzyna posiłkują, nie jemu sprzyjają. Nie buntuje się to Ruś przeciwko pogańskiemu uciskowi?

- Buntuje się prosty naród, gdy wydzierżyć nie może zdzierstwa chańskich baskaków¹. A kniazie do Berke Seraju jeżdżą po jarłyk² - na kniażenie z chańskiej łaski, to i dbać o nią muszą. Nie wierzę im.

- Tedy na co liczysz?

-Rzeknij: liczyłem, iżę Tatarzyn, wyniszczywszy kraj kędy okiem sięgnąć, jeńca i łupu nabrawszy, sam odejdzie, gdy głodno mu być zacznie.

- A ninie?

- Na nic; ni na Boże zmiłowanie.

Zaległo ciężkie milczenie. Po dłuższej chwili przerwał je Zbygniew:

-Coś ci przed się zamyślać winienes. Nie będziemy czekać, aż z łaknienia i mrozu nikt ręki nie dźwignie ku obronie, by nas wyrzeczono iście jako bydło...

-Praweś! Tedy ty wybieraj, bom ja niezdolny: wyżenąć z grodu wszystko, co bronią nie władnie...

- W gorętwie to chyba mówisz - zakrzyknął Zbygniew, Piotr jednak ciągnął:

- Tatarzyn, jeńca nabrawszy, raniej odejdzie, by mu się jasyr nie zmamił...

- Tfu! - splunął Zbygniew - przepomniałeś, iżę tu jest mój synaczek i dziewczuszka. Ich żywotem lubo niewolą swoje chcesz zapłacić? Nie mniemałem, iżęś tchórzem podszyty.

- Nie za ich żywot swój chcę kupować - gniewnie odciął Piotr. - Nie o żywot stoję, jeno o gród. Jako rzekłem, tobie dam wybór i porękę, iżę nie serca mi niedostawa: kto oreż udźwignąć zdolen, z grodu wypadnie, by się w lasy przebić. Niesporo ujdzie, ale jeśli nie gród, to choć co żywej siły ocaleje, by w polu opór dać najazdowi.

Baskaków - wielkorządców w podległych Tatarom okręgach o ludności osiadłej.

Jarłyk - pisemne rozporządzenie chana.

- Ja pierwszy nie pójdę za tobą i nikt, co serce ma w piersi, swoich bezbronnym na rzeź i łup poganom nie ostawi.

- Tedy masz wybór. Słów szkoda.

Jakoż długo milczeli. Wreszcie Zbygniew podjął:

- Nie ufasz ruskim kniaziom. A gdy w tym, co ślali, jedyna nadzieja? Cóż nas gorszego poścignąć może niżli śmierć! A tu dzień każdy to piekło.

- Iście. Szatanów Bóg zesłał na ziem za grzechy nasze.

Wskazał na postacie uwijające się na zgłiszczach spalonego miasta, dokoła ognisk oblężniczego obozu, których czerwony blask nasilał się w miarę zapadającej ciemności.

- Spieszno im kończyć - ciągnął - by ich w powrotnej drodze odliga¹ nie chwyciła.

Zbygniew odetchnął, po czym odezwał się niepewnie:

- Może wydzierzym. Odliga nadchodzi, przedwiośnie wczesne będzie...

Kasztelan parsknął gorzkim śmiechem:

- Wždy luty przed nami, do przedwiośnia daleko. Jeśli wyzenicm z grodu, co do bronii niezdatne, wydzierzym jedną, dwie niedziele.

- A jeśli nie wyzeniem? - szeptem zapytał Zbygniew.

- Sam sobie odrzeknij. Tym ci czyściec od piekła różny, że nadzieja w nim żywie.

Nie było o czym mówić, a i patrzeć nie było na co, bo noc zapadała, niebo zaciągało się tumanem, jakby je popiołem przysypał, że nie przeświecała żadna gwiazda, jeno blask ognisk wrogiego obozu pierścieniem światła okalał milczący i ciemny gród. Tu nie płonęło ni jedno ognisko, ostatni raz obrońcy zagrzali się i spożyli ciepłą strawę, gdy strzały tatarskie zaopatrzone w ogniste kwacze zapaliły sklecone, z czego się jeno dało, budy, w których schronienia przed mrozem szukała rzesza uchodźców ze zdobytego, płonącego miasta. Teraz niewiasty z dziećmi, chorzy i ranni dach nad głową znaleźli w wypalonym wnętrzu kościoła i w szczupłych zabudowaniach grodu.

¹ Odliga-odwilż.

Zdrowi pod gołym, nielitościwym niebem czekali na chorobę lub ranę, która pozwoli im schronić się pod dachem, lub na śmierć, by powiększyć stertę zwłok składanych na cmentarzu pod północną ścianą kościoła, gdyż sił nie stało kopać mogił w zamarzniętej na kamień ziemi. Sterta rosła z każdym dniem. Tatarzy wprowadzie od dłuższego czasu poniechali uderzeń, które stratami przyplacili, bo przyrodą i sztuką obronny gród trudno było dobyć. Pewni już byli widocznie, że przepelniony ponad miarę, bez walki w swoją moc dostaną. Teraz jednak śmierć rozpoczęła żniwo wśród dzieci krwawą biegunką, która i z dojrzałych wysysała resztę sił, do wszystkich nędz dodając brud i zaduch. Gród cały cuchnął jak rozkładający się trup, w zamkniętych pomieszczeniach zatykało oddech w piersiach. Toteż Piotr i Zbygniew, zszedłszy z wieży, długo stali w drzwiach zakrystii, nim przემogli się, by wejść do kościoła.

Osmalone, pozbawione sprzętów wnętrze oświetlała tylko oliwna lampka, płonąca przed monstrancją na kamiennym ołtarzu. Klęczał przed nią Sadok, przeor klasztoru Dominikanów spalonego w czasie zdobywania miasta. Spokojnym, wyraźnym głosem intonował litanię, a odpowiadało mu kilkunastu mnichów. Jednostajne ich wtórowanie zdało się wprowadzać jakiś ład w zmieszany, ponury gwar panujący w kościele, postękiwania i jęki chorych i rannych, chrapanie konających, kwilenie dzieci i płacz niewiast... „Matko miłosierdzia!”, „Nadziejo nasza!” Sadok zdał się wołać kogoś dalekiego, ale w głosie jego brzmiała wiara, że zostanie usłyszany, i wiara ta jakby udzielała się, bo zmieszany gwar przycichał, a tu i ówdzie zawtórowały głosy z ciemnych kątów kościoła, chwiejne, przerywane łkaniem.

Kasztelan Piotr szepnął jednak do siebie: „ni miłosierdzia, ni nadziei”... Odporny na głód i mróz, bezsenność i trudy, czuł, że łamie się pod brzemieniem odpowiedzialności, jaką za straszne, z każdym dniem gorsze położenie zrzucano na niego; rycerstwo wprost słowami, prosty lud ponurym milczeniem. Nawet płacz niewiast zdał się wyrzucać mu, że nie przyjął ofiarowanego w zamian za gołe życie wyjścia z grodu, zostawiając go wraz z całym mieniem na łup poganom.

Wyrostem był przed osiemnastu laty w czasie pierwszego tatarskiego najazdu, ale tego doświadczenia starczyło mu: choćby ruscy kniazie w dobrej wierze doradzali mu ukorzyć się przed Burondajem, Tatarzyn wiary nie dotrzyma. A gdyby nawet pozwolił odejść, dokąd z niewiastami i dziećmi zajdą zimową porą, bez spyży, w splądrowanym i wypalonym jak okiem sięgnąć kraju - o ile ich nie wytnie lub nie pobierze w jasyr pierwszy napotkany zagon tatarski. Piotr przeraż-

liwie jasno zdawał sobie sprawę, że to, co rzekł bratu, jest prawdą. Ale rozumiał też, że zrozpaczeni chcą widzieć nadzieję poza wałami grodu. W duchu zapewne każdy, kto jeno na nogach ustać wydoli, spodziewa się, że właśnie jemu uda się wymknąć powszechnej zagładzie. Jak tonący po głowach towarzyszy usiłuje wydobyć się na powierzchnię, nie dbając, że pogrąża ich w toń, tak zdadni do wyjścia nic

myśleli o tym, że tych, którzy nie zdołają iść o własnych siłach, trzeba

by w grodzie poniechać na niechybną a okrutną śmierć. Piotr miał jeszcze przed oczyma najeżone strzałami zwłoki jeńców, bo niezdatnych do drogi Tatarzy oddawali swym wyrostkom, by się na nich zaprawiali w strzelaniu. By zbyć się nagabywać o poddanie grodu, których już znieść nie mógł, kasztelan godzinami marzył na wieży pod pozorem, że wypatruje nadejścia odsieczy, czym podtrzymywał upadającą wraz z siłami karność. Ale ni pozor, ni karności dłużej utrzymać się nie da. Niemniej przed nocą trzeba obejść gród i wyznaczyć strażę; kasztelan jednak nie odchodził. Czekał, aż przeor Sadok ukoń-

czy modły, by z nim pomówić. Obecność jedyne go w całym grodzie człowieka, który w strasznym położeniu potrafi zachować spokój i utrzymać karność wśród podległych mu mnichów, pozwalała odprę-

żyć się choć na chwilę, a kasztelan czuł, że niewiele brak, by sam się załamał.

Sadok jednak długo modlił się, a Piotr stał i patrzył na znany mu widok, do którego trudno było nawyknąć. Chorzy i ranni leżeli poko-

tem na kamiennej posadzce, we własnych i cudzych odchodach. Ci, którzy czuli się na siłach, by wyjść na pole, deptali po leżących w ciżbie tak ciasno, że nie było nogi ^dzie -postawić. Przyciszony gwar co chwila przerywał krzyk bólu, Tub przekleństwo, nikt nie miał

względu na drugiego. Ciężej niż zaduch wisiały nad zbitą gromadą rozdrażnienie i niechęć granicząca z nienawiścią, a kasztelanowi zdało się, że całe to brzemie spada na niego, jak gdyby on był sprawcą tej nędzy, która sięgała już dna. Za dzień lub dwa będzie jeszcze zmuszony odmówić żywności tym wszystkim, którzy nie biorą udziału w obronie. Wielkimi krokami zbliża się rozstrzygnięcie.

Czekając na Sadoka, przysiadł pod ścianą, i oparłszy się o nią, przymknął oczy. Po przemarznięciu, w zaduchu, przy jednostajnym szmerze litanii, ogarniała go senność, tak że chwilami tracił świadomość, gdzie się znajduje. Ocknął się, gdy ustały odgłosy modłów, i powstał z westchnieniem, czekając na przeora, który tędy przechodzić musiał do zakrystii.

Szedł z wolna, zatrzymując się i pochylając nad leżącymi. Także inni mnisi rozeszli się po kościele, opatrując, jak się dało, rannych i pełniąc inne posługi. Kasztelan pomyślał, że gdyby nie Sadokowa drużyna, nie byłoby komu nawet wynieść zmarłych, a żywi potonęliby w gnoju. W ręku przeora czterdziestu ośmiu mnichów i braciszków, choć różnych wiekiem, pochodzeniem i narodowością, stanowiło zwarty i karny oddział. Nawykli do postów i czuwania, nie obarczeni trwogą o los rodzin ni zgryzotą z powodu utraty mienia, czas mając podzielony między przepisane regułą modły i samarytańskie posługi, nie mieli go na jałowe rozmyślanie nad strasznym położeniem. Toteż spokój wyróżniał zakonników od zrozpaczonej rzeszy, tak jak ich białe habity odbijały od półmroku przepelnionego wnętrza kościoła.

Przechodząc koło kasztelana, przeor rozpoznał go, a widząc utkwione w siebie spojrzenie, zapytał:

- Mówić chcesz ze mną, bracie?

Piotr skinął głową i razem weszli do zakrystii, teraz służącej także za skład żywności. Niewiele już jej było, prawie wyłącznie zamrożone mięso końskie, od którego ciągnął chłód, ale powietrze było tu czystsze i kasztelan orzeźwiał. Milczał jednak. Nie oczekiwał od przeora rady, bo wiedział, że jej nie otrzyma, chciał jedynie potwierdzenia, którego nie znalazł nawet u własnego brata, że słusznie uczy-

nił, odrzucając warunki poddania. Nawykłymi do mrozu oczyma patrzył na postać przeora, który siedział, głowę oparłszy na dłoni, skurczony i jakby zmalaty. Milczał również. Kasztelanowi zdało się, że Sadok zasnął. Nie spał jednak, bo po dłuższej chwili szepnął z wysiłkiem:

- Słucham cię, bracie.

Teraz głos i postawa jego zdradzały znużenie. Piotr stracił nadzieję, by choć tu znalazł oparcie. Wobec ludzi Sadok utrzymuje pozór spokoju i wiary w ocalenie, ale i on bliski jest załamania. Zapewne również za złe poczytuje kasztelanowi, że odmówił wyjścia z grodu. A jednak on właśnie winien lepiej niż ktokolwiek inny zrozumieć, że przyspieszyłoby to jedynie zgubę powszechną.

Przeor podniósł głowę. Przez chwilę jakby się namyślał, nim zaczął:

- We dwu łącniej udźwignąć brzemię. Ile w mej mocy, pomogę ci. Mów, bracie, jeśli ci to ulży.

Nagromadzona w Piotrze gorycz przeląła się:

- We dwu dźwigać mamy to, co dźwigać winno całe chrześcijaństwo. Ja uczyniłem wszystko, by powierzony mi gród do obrony przysposobić, ni trudu, ni mienia nie szczędząc. Po pierwszym najeździe jasne się stało, że i jeno pospólny wysiłek odeprzeć wydoli tatarską potęgę, i papież wyprawę krzyżową ogłosić przyrzekał. A cóżc sobór w Lyonie uchwalił? Modły o odwrócenie tatarskiego najścia! Bogdaj czy nieprawda, że to cesarz Berke Chana podjudził, bo się z papieżem o władć swarzyli. Papież jeno Tatarzyna poruszył, korony dając Mindowemu i halickiemu Danielowi za przymierze przeciwko Berke Chanowi. Zawiedziona Litwa do bałwochwalstwa wróciła i nas po staremu niepokoi, Daniel, by się przed chanem sprawić, nas gnębić mu pomaga, a Niemce patrzą na to, co się dzieje, jak zły sąsiad na grad, co pada za miedzą, o korzyściach zamyślając, jakie z tego wyciągnąć wydolą. Wiadomo, jak Rusi pomogli, gdy się z najściem zmagala! Rycerskim zakonom z Opatowa i Zagościa takoz wiary bronić niespieszno, łącniej im odpusty kupować, bo zasobni są. To nie Kryst przekupniów wygnał z świątyni, to oni Jego wygnali!

-

- Błóżniesz, bracie! Azali my pomogliśmy Rusi, gdy się z najściem zmagala? - zapytał Sadok.

- Sami sobie nie pomogli - z rozdrażnieniem rzucił kasztelan - bo się kniazie między sobą swarzyli, każdy na własną rękę działając.

- A nasi nie? - szepnął Sadok. - Burondaj trzy tumeny¹ wszystkiego przywiódł, Berke Chanowi indziej wojska potrzebne, bo z Hulagą wojuje. Prawisz, że przyczyną zła brak jedności w chrześcijaństwie! By chociaż u nas była, noga nie uszłaby z najeźdźcy.

- Ale cóże zawiniły częda² i niewiasty, że na nas Bóg oną plagę zsyła?! - wybuchnął kasztelan.

- Na nic przeciwko ościeniowi wierzgać. Może nasza krew ma być spoiwem rozerwanego państwa Piastowego. Na wolę Bożą nam się zdać, a nie Bożych zamierzeń dochodzić, własne, a nie cudze winy sądzić.

- Cóż jam winien - przygnębionym głosem rzekł kasztelan. - A nawet rodny brat bojaźń mi zadał, że wyjścia z grodu odmówiłem.

- Maszli nadzieję gród udziżyć?

-Nijakiej! Mamli dać głowę, to dam, ac mi chociaż srom oszczędzony ostanie, iżem ją do pogańskich stóp pochylił po to, by mnie jako robaka zdeptały.

- Kryst zniewagi znosił, a w wiekuistej chwale żywię....

- Alić dla zbawienia naszego - przerwał kasztelan. - Kogo ja zbawić mogę? Wy, oćcze, najlepiej wiecie, że zdrażliwy wróg nie zna miłosierdzia.

- Wiem! - szepnął Sadok. - Z braci mojej w regule, z którymi społem nieśliśmy słowo Boże pogańskim Kumanom, czasu pierwszego najazdu ni jednemu nie przepuszczono. Jakoż a przecz ja ocalałem, nie wiem. Może jeszcze niegodzien byłem palmy męczeńskiej. Gdy nie ma nadziei, zdajmy się na Opatrzność. Ocali, kogo zechce.

Kasztelan sądził, że i przeor nakłania go, by wydał gród. Zrozumienia u niego nie znalazł, czuł, że brak mu już sił, by się przy swoim

¹ Tumen- 10 000 ludzi.

² Czędą - dzieci.

upierać. Ale zarówno rozsądek, jak przecucie mówiły mu, że wydać grodu jedynie zgubę przyspieszy. O własne życie już nie dbał, był wdowcem bezdzietnym, płakać po nim nikt nie będzie. Ale nie mógł pogodzić się z myślą, że na rzeź wyda bratanka, ostatniego swej gałęzi rodu, a zwłaszcza dziewczuszkę, do której przywiązał się ojcowską miłością. O tym jednak mówić nie chciał. Jeszcze spróbował się opierać:

- Nie zdałem grodu, gdy do mnie o to ślali. Jeśli ja ślać będę, jeno słabość zdradzę i do uderzenia dam zachętę, któremu nie dostoję.

- A jeśli nie uderzą, pokąd wydzierżym? Gdy wróg siłą gród ubieży, iście nie przepuści nikomu. A układ może zdzierży.

- Nie wierzę. Ale gdyby i zdzierzył, wyniść może jeno ów, kto na własnych ustoi nogach. Niemocnych i rannych ostawić byśmy musieli. Gdyby i tych oszczędził, nie oszczędzi ich głód i mróz. Przez nią-kiej opieki ostaliby na powolne konanie, gorsze niżli śmierć od pogańskiego żelaza.

- Ja i bracia moi ostaniem z nimi - powiedział przeor. - Jeśli to cię jeno od zdania grodu wstrzymuje, bądź spokojny.

- By jeno to! Zali nie rozumiecie, iż ostać to pewna śmierć? Tata-rzyn po to gród chce odzierżyć, by go zniszczyć. Juści nikogo w nim przy żywocie nic ostawi.

- Śmierci nikt nie wybiera, chyba ten, co rękę na sobie położy, by zarazem ziemskiego i wiekuistego zbyć żywota - odparł Sadok.

Gdy kasztelan milczał, zapytał:

- Cóżę tedy postanowim, bo czas nagli?

- Śmierci się nie wybiera, jako rzekliście. Ja zasię wybór mam uczynić, zali umierać jako mąż w boju lubo zdać się na łaskę pogani-na, który jej nie zna i mścić się będzie za straty i zwłokę. Tedy radzicie, bym gród wydał?

- Ja radzę duszę oczyścić i zdać się na wolę Bożą. Śmierć jest jedna i nikt się jej nie wybiega, ale lżej umierać, gdy człek w sumieniu spokojny. Czyń, co ci każe sumienie.

Kasztelan wyszedł, by obejść strażę. Gniotący go ciężar jednak ze-lżał. Tak czy inaczej umierać trzeba. Ale od powzięcia postanowienia

był równie daleki, jak poprzednio. Jeśli inni nadzieję ocalenia widzą w wyjściu z grodu, nie warto się sprzeciwiać. Niechaj rozstrzygnie los.

Obszedłszy gród kasztelan stanął na południowym murze, skąd stromy stok wzgórze zbiegał niemal do rzeki. Ogniska obłężniczego obozu przygasły, noc uczyniła się ciemna, niemal czarne niebo ciężko wisiało nad krajem. Gwar obozu przycichł również i w ciszy słychać było odgłosy kruszenia lodów, w które mieszać się zaczynał coraz wyraźniejszy szelest. Kra musiała już ruszyć. Jeśli w Piotrze tliła jeszcze tłumiona iskra nadziei na węgierską odsiecz, teraz zgasła. Własnego życia już odżałował, stało się nieznośnym ciężarem. Ale nie mógł przeboleć śmierci swego małego imiennika, a bardziej jeszcze z dziecka w dziewczynę dopiero rozwijającej się dziewczuszki. Ją może czekać gorsza od śmierci, haniebna niewola.

Piotr zamyślił się ponuro. Nie ją jedną tylko. Czasu pierwszego najazdu Tatarzyn uprowadził tysiące młodych niewiast, by je sprzedać jak bydło na rozpustę niewiernym. Ale pobojożyńska pod Tarczkiem, Turskiem, Chmielnikiem, a zwłaszcza pod Legnicą, kryją kości nie jeno chrześcijańskiego rycerstwa, ale i pogańskie, mimo że najazd był wielokrotnie silniejszy, a Węgry, stanowiące główny jego cel, własnej obronie poddać nie mogły. Pod wodzą najpotężniejszego z piastowskich książąt, który zamyślał podarte państwo zjednoczyć, stanęło nie tylko śląskie rycerstwo, ale i wielkopolskie, krakowskie, sandomierskie, co więcej, morawscy ochotnicy krzyżowi, a nawet posiłki zakonów rycerskich. Zwycięstwo dały Tatarom chytrałość i podstęp, klęska była straszna, ale nie haniebna. Gdyby z niej wyciągnięto naukę, przelana tam wspólnie krew iście mogła stać się spoiwem. Miast tego potężne ongi państwo piastowskie rozpada się nadal jak gnijące ściervo, bezbronny łup pogańskiej dziczy. A Sadok mniema, że krew tej garstki, zamkniętej w sandomierskim grodzie, osamotnionej w beznadziejnej walce, stanie się balsamem, który wskrzesi trupa. Niechaj w to wierzy, lżej mu będzie umierać.

A nieprawda, że lżej umierać, gdy sumienie niczego nie wyrzuca. Kasztelan uczynił więcej, niż było jego obowiązkiem. Wyćwiczył i własnym kosztem uzbroił swych chłopów, by wzmocnić załogę gro-

du, z własnych majątkości ściągnął zapasy, które starczyłyby i na rok, gdyby do grodu nie zwały się gromady uchodzące przed rzezią. Przyj- je i dzielił się z nimi po równi, sam od szeregu dni nie miał w ustach nic prócz obrzydłego, surowego mięsa końskiego. Jedyne, na co sobie pozwolił, to uszczknąć nieco z ogólnych zapasów dla bratańców, którym odstąpił własny kąt w skarbczyku koło lamusa, sam nocując gdzie popadło, od dnia pożaru miasta nawet cizem nie zdejmując. Cóż stąd? Może im ostatnie dni krótkiego życia lżejszymi uczynił, ale ich nie ocali. Dotychczas podtrzymywał w bracie nadzieję. Dzisiaj już nic potrafił, zgasił ją i w nim.

Usiadł w zacisznej wnęce muru podciągnawszy kolana, otulił się kozuchem, jak się dało, i próbował zasnąć. Na grodzie panowała cisza, umilkły też odgłosy obozu i pękających lodów, tylko wzmagał się jednostajny szum kry, który wreszcie uspił znużonego.

Spał ciężkim snem i z trudem wracał do świadomości, gdy kilka płatków wilgotnego śniegu spadło mu na twarz. Niebo szarzało, w spokojnym powietrzu wirowały zrazu pojedyncze, ale coraz to gęstniejące śniegowe płyty, aż migotliwą zasłoną zakryły widok na budzący się obóz tatarski.

Kasztelan z trudem i niechęcią zbierał się. Zdrętwiały był do kości, dotkliwy głód przypominał mu, że trzeba wydać żywność, ale na myśl o końskim mięsie ogarniało go mdlące obrzydzenie. Wkrótce nie będzie i ścierwa, nie warto żyć z głową, na pieńku, czekając na cios. Niechby już spadł!

Z równą niechęcią myślał o tym, że trzeba wejść w zrozpaczony tłum, który jeśli nie słowem, to spojrzeniem domagać się będzie opuszczenia grodu. Nie czuł już sił, by się opierać, a zarazem nie mógł się zmusić, by wyrzec słowo, po którym nie będzie odwrotu. Niechby się stało coś, co za niego rozstrzygnie.

Dźwięk rogu od krakowskiej bramy wstrząsnął nim. Coś się stanic! Ruszył ku bramie, do której z podmurza pchała się już poruszona ciżba. Spojrzenia czerwonych z bezsenności, świecących gorętwą oczu w zapadniętych, szarych twarzach skierowały się na kasztelana, gdy dziesiątnik straży doskoczył, oznajmiając z widocznym podnieceniem:

- Kniazie Wasylko, Lew i Roman domagają się ujrzeć was.

Nikt nie miał wątpliwości, z czym przychodzą, kasztelan wiedział też, i wiedział, że tym razem nie odrzuci warunków poddania. Nie chciał jednak, by kniazie ujrzeni wynędziały, ślaniający się na nogach tłum, w którym przeważały niewiasty i dzieci. Starczy spojrzeć, by zrozumieć, że za dzień lub dwa Tatarzy dostaną gród bez żadnych warunków. Kazał odwalić kłodę z furty i wyszedł na przedpole.

Na stoku wzgórza stało trzech mężów, którzy na widok nadchodzącego ruszyli naprzeciw. Na czele szedł starszy, siwobrody człowiek, zapewne Wasylko, brat halickiego Daniela. Zatrzymał się o kilka kroków od kasztelana i dotknąwszy kołpaka, zaczął:

- Słaliśmy do was z dobrym sowietem, nie posłuszaliście. Żałost', bo Burondaj klnie, iżę jestli gorod siłą wozmie, ni odnoj duszy nie ostawi w cieie.

- A jeśli gród zdam, ostawi? - zapytał kasztelan. - Poręczycie mi czestnym słowem?

- Poruczat' mogę jedinstwienno, iżę lisa nie kryjem za pazuchą, i predostierogat' was przychodzim, iżę Burondaj uderzenie gotowi. Sami znacie, zali je zdzierzycie i że nie z dobrej woli podkrepljenje przywiedliśmy Tatarom, no z chańskiego przykazu. Nie jedno my; i Kumany, i Bułgary, i Połowcy, i inne zholdowane narody. Ciężkie jest tatarskie igo¹, no i wy mu się nie wybieżycie. Po cóż krwie dokładać, przemogącego wroga rozjuszać? Nad niepokornymi nie ma pomiłowania.

- Wždy nawet zwierz bezrozumny żywota swego broni, póki tchu - przygnębionym głosem odparł kasztelan. - Pod Bogiem rzeknijcie, kniaziau: zali nie dlatego Burondaj wyjście nam ofiarowuje, bo wie, że odsiecz nadchodzi?

- O nijakiej odsieczy nie słyszno. Wasz wielki kniaź z Krakowa ubieżał, gorod opuszczony, bronić go nikto nie będzie.

-I mniemacie, że jeśli gród zdam, nojon' zwoli nam odejść swobodnie?

Gdy Wasylko zawahał się z odpowiedzią, książę Roman wtrącił pośpiesznie:

-Nie żądajcie od nas, byśmy swą cześć za tatarską wiarę stawili. Znacnie, iż Tatarzyn i od nas dań w rabach bierze, choć bafko nasz hołd złożył Berke Chanowi i podkreplenia mu udzielił. Swoich spraszajcie, wołali w plen iść lubo pod nóż. I to uważcie, że póki człek żyw, ubiezać lubo wykupić się mocen. Z nożem w grudzi nijak. Gdy sobaki w lisią jamę puścić, lisica z jednym szczeniakiem w mordzie ubieża, inne na gubiel ostawując; nawet zwier' ten rozum ma, iżże łut-sze choć co spasat', czem nic.

-Nojon wam trzy dni daje rozwieszować, cośmy skazali - dodał Wasylko. - Otkażecie, budzie, co ma byt'; choć nie po sirdcu nam.

Kniazie skłonili się i zawrócili, a kasztelan stał jeszcze przez chwilę, po czym ruszył pod górę ciężkim krokiem, jakby wór kamieni niósł na pochyłonych barkach. Choć co ocalić! Lisica to ze swych szczeniąt ratuje, które jej najmilsze. Tego on uczynić nie może, nie miał wątpliwości, że Tatarzy pobiorą właśnie młode dziewczęta i niewiasty. Wykupić?! Kiedy i za co? Spalone i wyludnione majątności, co z ruchomego mienia na grodzie posiada, ostawić musi na łup poganom. Jeśli nawet ujdzie z życiem, lata będzie trwało, nim zdoła zebrać okup, odnaleźć bratanicę i wykupić. A zarazem czuł, że nie ma prawa wbrew wszystkim odmawiać układu, gdy i tym losu dziewczyny nie odmieni.

W gniewnym milczeniu opędzał się nagabującej go ciżbie. Przed powzięciem postanowienia chciał jeszcze pomówić z bratem i z przeorem, podzielić się odpowiedzialnością. Sam przeświadczony był, że Burondaj żadnych układów nie dotrzyma. Powtórzy, co od ruskich kniaziów słyszał.

Sadok i Zbygniew czekali na kasztelana w zakrystii, Na jego widok brat zerwał się, pytając:

- Co odrzekłeś?
- Nic jeszcze. Burondaj trzy dni nam daje na wyjście z grodu. Po-
tem przypuści uderzenie.

- Nie wydzierzymy! - szepnął Zbygniew.

- Nawet na trzy dni jadła nie starczy - ciągnął Piotr. - Rozstrzy-
gnąć trzeba zaraz. Chcę jeno, byście wiedzieli, co kniaź Roman rzekł:
Tatarzyn nawet od nich dań wybiera w niewolnikach. Ani wątpić, że
co młodszych pobierze, a pierwsze niewiasty.

Czekał, co brat powie, ale Zbygniew milczał przybladły. Nietrudno
było odgadnąć, o czym myślał. Przeor patrzył na niego ze współczu-
ciem i rzekł:

- Jeśli Tatarzyn gród ucieży, ten sam los je czeka, jeno wykupić nie
będzie komu. Zwłoka też niczego nie da kromie męki. Jutro dzień
Najświętszej Panny. Gdy rozum niczego nie doradzi, zdać się na Jej
orędownictwo. Ja i bracia moi, jako rzekłem, ostaniem tu z niemoc-
nymi, a wy idźcie nie mieszkając.

- Iście, czekać nie ma na co - powiedział Piotr. - Niechaj się stanie,
co ma być. Wam ostawię, ile jeszcze jest jadła. Ci, co wynijdą, łącznej
je dobyć mogą... jeśli im będzie potrzebne - dorzucił z goryczą.

- Nam nie będzie potrzebne - odparł Sadok, patrząc gdzieś przed
siebie. - Rozdajmy je łaknącej rzeszy. A dobrze byłoby pożywić ją
Chlebem Żywota, gdy powszedniego nie stało.

Skierował spojrzenie na kasztelana. Patrzyli na siebie ze zrozumie-
niem. Obaj wiedzieli, co ich czeka: Piotr, że idzie, a Sadok, że zostaje
na śmierć. Najstarszy w zgromadzeniu brat Krzysztof, czytając w chó-
rze *martyrologium* na dzień następny, nagle przymrużył oczy jakby
od blasku i rzekł nieswoim głosem:

- *Sandomiriae quadraginta novem martyrum* . Tylu braci jest
w zgromadzeniu, znak to wyraźny, że tym razem rzezi nie ujdzie za-
denz nich.

Sandomiriae quadraginta novem martyrum - w Sandomierzu czterdziestu
dziewięciu męczenników.

- Jak wasza wola - westchnął Piotr, a zwracając się do swego brata, dodał:

-Rozdaj tedy jadło, a potem pożegnaj dzieci i bądź gotów do wyjścia. Ja uwiadomię tych, co z nami iść mają układać się z Burondajcm.

Wietrzył podstęp, ale wyboru nie było. Postanowił wyjść z gromadą zbrojnych, by przynajmniej nie darmo oddać życie.

Wieść o poddaniu rozeszła się już po grodzie, wywołując niespokojne podniecenie. Wielu, zwłaszcza niewiasty, garnęło się do kościoła, gdzie mnisi przystąpili do słuchania spowiedzi i komunikowania. Inni zakopywali, jak się dało, cenniejsze przedmioty, w nadziei, że odnajdą je po ustąpieniu Tatarów. Najwięcej jednak tłoczyło się na murach, by patrzeć na wyjście kasztelana z rycerstwem i sołtysami, którzy gromadzili się już przy otwartej furcie. Na wszystkich twarzach malował się niepokój i niepewność. Śnieżycą przeszła i zaświeciło słońce, w którego jaskrawym świetle widniał za wąwozem tatarski obóz. Tam również widać było poruszenie. Dokoła większego od innych namiotu, na którego szczycie widniał buńczuk z końskiego włosia, gromadzili się wojownicy. Niektórzy zbliżali się do mostu na parowie dzielącym grodowe wzgórze od spalonego miasta.

Gdy Zbygniew nadszedł, kasztelan zapytał:

- Pożegnałeś dzieci?

- Śpią - odpowiedział Zbygniew zduszonym głosem. - Nie budziłem, nie starczyłoby sił odejść od nich.

- Czemu nie wzięłeś kozucha? Może nocować przyjdzie bez dachu.

- Dałby Bóg. Ostawiłem dzieciom, może i im nocować przyjdzie na mrozie.

Obejrzał się. Na wyżce nad bramą widniała postać przeora w białym habicie. Błogosławił krzyżem odchodzących. Ale uwagę ich odwrócił inny widok, który otworzył się, gdy wstąpili na most. Parów o stromych zboczach niemal do połowy wypełniały zwłoki. Spod warstwy śniegu sterczały zmierzwione w dzikim nieładzie niewiasty, dzieci, wszystko, co nie zdążyło ujść z płonącego miasta i w grodzie znaleźć schronienia.

Ale nie czas było o tym myśleć, gdyż zaraz za mostem otoczyły idących gromady tatarskich wojowników. Krępe postacie w kożuchach wywroconych futrem na zewnątrz, szerokie, płaskie, smagłe twarze, przeważnie bez zarostu; skośne oczy z jadowita złością spozierały na polskich rycerzy, którzy skupieni szli w milczeniu, jak w stadzie wilków. Niejeden rad by zawrócić, ale odwrotu już nie było. Jedyna nadzieja, że Burondaj zdierży słowo i pozwoli obłożonym odejść.

Zanim jednak dotarli do namiotu nojona, wyzbyli się i tej nadziei. Gromada tatarskich wyrostków i niewiast obskoczyła idących, szarpiąc i usiłując odebrać im broń. Opędzali się, jak mogli, pospieszając, by co prędzej stanąć przed Burondajem. Może obecność wodza pohamuje rozpasany tłum.

Stał już przed namiotem, na rozkraczonych, kabłąkowatych nogach, w butach z czerwonego safianu o zadartych nosach, w sięgającym niemal do kostek, bogato haftowanym kaftanie. Spod rzadkich, obwisłych wąsów błyskały zęby w złośliwym uśmiechu, który zgasł jednak, gdy kasztelan, opędzając się wyrostkom, usiłował do nojona przystąpić. Twarz Burondaja skurczyła się gniewnie i krzyknął coś po tatarsku. Żaden z polskich rycerzy nie zdążył sięgnąć do broni, gdy tłum rzucił się na nich, bijąc i szarpiąc. Za chwilę leżeli obdarci niemal do naga, z więzami na rękach i nogach, zdani na wyuzdane państwo.

Z murów spostrzeżono, jak wyglądają układy z przeniewierczym nojonem. Krzyk rozpaczy uderzył w niebo, każdej chwili spodziewano się, że bezlitosny wróg wtargnie do grodu.

Burondaj jednak z zemsty za poniesione straty przedłużał mękę oczekiwania z przemyślną zjadliwością. Pojmani leżeli na śniegu pod gołym niebem. Nikt nie zadbał o ich potrzeby i nikt nie szczędził im zniewag i udręki. Gdy wreszcie noc zapadła, znęcanie się nad nimi przejął mróz.

Ranek drugiego lutego tysiąc dwieście sześćdziesiątego roku wstał pogodny, jaskrawe słońce oświetliło zsiniałe i zapadnięte twarze leżących. Zdać się mogło, że wszyscy posiwili przez tę jedną noc, ale to

tylko szron osiadł na zaroście. Leżeli, zda się, niezdolni już poruszyć się, gdyby nie para oddechów, podobni do trupów. Ale dopiero czekali na śmierć.

W grodzie po głośnym zrywie rozpaczy na widok tego, co się stało z rycerstwem, w miarę jak czas płynął, zapanowało otepienie. Milkły przekleństwa, bluźnierstwa i klótnie, i pod wieczór tylko płacz dzieci zakłócał ciszę. Głód przytłumił nawet strach, nikt nie wydał wieczornego posiłku i pewne było, że nikt nie wyda go rankiem. Sen nic koił głodu, wielu przez całą noc szukało resztek nie ogryzionych kości na śmietniku, niczym psy wydzierając je sobie wzajem. Gdy nastał świt, mało kto udał się do kościoła na zarządzone przez Sadoka modły. Gromadzili się na murach, jeszcze nie ważąc się wyjść z grodu, gdzie czekać mogli już tylko na głodową śmierć. Dymy tatarskich ognisk niosły tu woń warzonej strawy i nęciły wbrew rozsądkowi. Ostatnią nadzieją stała się teraz tatarska niewola.

Ale gdy słońce wzeszło, to, co ujrzeli, uświadomiło nędzarzom, że nie dla wszystkich nawet ta droga ocalenia. Do leżących koło namiotu Burondaja jeńców zbliżała się gromada tatarskich wojowników, biciem i kopaniem zmuszając ich do powstania. Potem, otoczywszy ich, wiedli, a raczej wlekli do mostu na parowie.

Tłum patrzył z murów w milczeniu. Potem krzyk rozległ się i zgasł. Tatarzy z wprawą rzeźników zarzynali jeńców jednego po drugim i nie patrząc nawet, czy puścił ostatni dech, ciskali z mostu na stertę leżących w parowie zwłok. Następnie całą gromadą skierowali się ku bramie.

Dziki popłoch ogarnął tłum. Nikt nawet nie myślał o obronie. Jak spędzona w sieci zwierzyna na widok zbliżającego się łowcy, jedni biegali po dziedzińcach i cmentarzu, inni, zwłaszcza matki z dziećmi, tłoczyli się do przepelnionego kościoła. Tatarzy, wtargnąwszy przez furtę, odwalili gruz zamykający bramę i otwarłszy ją na oścież jęli wyganiać ku Wiśle, co jeno żyło. Gdy opróżnili podwórce, rozbiegli się po zabudowaniach, a znaczniejsza gromada wtargnęła do kościoła, łamaną ruską mową nakazując wszystkim opuszczenie świątyni. Bijąc nahajami kogo i gdzie popadło, przynaglali do pośpiechu. Wkrótce

w kościele pozostali jeno ci, których nawet lęk przed śmiercią nie zdołał postawić na nogi, oraz przeor Sadok, który ze swymi braćmi nie przerwał modłów.

Widok klęczącej gromadki w białych habitach, która zdała się nie widzieć, co się dokoła dzieje, stropił przez chwilę oprawców. Ulękli się, że podwyższony na stopniach ołtarza starzec jest szamanem i odprawia jakieś nie znane im gusła, które napęłniły ich niepokojem.

Niedługo trwało to jednak. Barczysty Tatar w kaftanie skórzanym, naszywanym żelaznymi płytkami, doskoczył do klęczących i szablą ciął najbliższego w kark, tak że głowa zwisła na skórze. Ale i to nie poruszyło nikogo z pozostałych, a jednocześnie Sadok wznioł podchwycony przez mnichów śpiew: *Salve regina, mater misericordiae...*¹

Nie dokończyli, nie było zmiłowania. Przywykłych do budzenia grozy samym swym widokiem dzikich wojowników rozjuszył kamienny spokój tych niezrozumiałych dla nich ludzi. Ze zwierzęcym wyciem rzucili się, siekąc i kłując, dopóki ofiary zdradzały najmniej ślad życia. Potem jęli dobijać rannych i chorych. Dokończywszy, rozbiegli się za łupem, a wreszcie podłożyli ogień w zabudowaniach i wycofali się. W przeludnionym do niedawna grodzie nie pozostała ni jedna żywa dusza. Wygnane z niego gromady spędzono na błonia nad Wisłą, gdzie bez pożywienia, bez dachu nad głową czekać miały na swój los.

Ciężkie było oczekiwanie. Głód skręcał wnętrzności, wilgotny ziąb ciągnął od rzeki, która groźnym sykiem trącej się kry ostrzegęła śmiałka, by nie próbował tędy ujsć przed losem, gdy wszystkie inne drogi zamykały półkolem od rzeki rozstawione stráže. Gdy zapadł wieczór wlokącego się dnia, przy rozpalonych ogniskach, jak na urągowisko, rozpoczęła się uczta zwycięstwa. Ćwierci źrebiąt i baranów piekły się na rożnach i na zapadniętych z głodu oczach wygnańców dzicy wojownicy pożerali niesłychane ilości półsurowego mięsa, po czym, opici kumysem, rozpoczęli płasy przy przeraźliwych dźwiękach

Salve regina, mater misericordiae... - witaj królowo, matko miłosierdzia...

piszczałek i wrzaskach, które długo w noc nie pozwalały nikomu ni chwilę zdrzemnąć się i choć we śnie zapomnieć o strasznym położeniu. Nojon Burondaj nie bez celu skazał wycieńczonych już nędzarzy na mękę oczekiwania. Nie chciał się obciążać jasyrem, który nie obiecuje wytrzymać trudów dalekiej drogi. Wielu, zwłaszcza niemowlęta i dzieci, nie przetrzymało tej jednej nocy, więcej jeszcze niezdolnych było poruszyć się, gdy rankiem na błoniu zjawiły się gromady Tatarów w towarzystwie swych niewiast i wyrostków, by wybierać jasyr. Wśród swarów i krzyków wydzierano sobie wzajem co cięższych mężów i młodsze dziewczęta, gdy jednocześnie, klóćąc się i bijąc, wyrostki i tatarskie kobiety obdzierały chorych i osłabłych ze wszystkiego, co tylko wabiło oczy.

Wrzaskliwe targowisko przeciągnęło się niemal do południa, naciągając z wolna, gdy coraz rzadziej było się o co swarzyć. Umilkły lamenty niewiast odrywanych od swych dzieci, wojownicy ze swym jasyrem odeszli, wśród przerzedzonej gromady kręciły się jeszcze wyrostki w poszukiwaniu czegoś, co uszło uwagi łupieżców. Pładrując tu i ówdzie, spory, krępy młodzik zbliżał się do rzeki.

W kilku miejscach woda podmyła brzeg, tworząc jamy pod korzeniami rosnących tam wierzb. Gdy wezbrana fala niosła krę, dostęp do nich był trudny, nocny przymrozek jednak obniżył zwierciadło wody i na pochylonym ku wodzie brzegu osiadły lodowe tafle.

Młody Tatar spleźł się na nie z urwiska i szedł wzdłuż brzegu, zagładając w jamy pod korzeniami. Zaśmiał się, sięgając w głąb jednej z nich, wyciągnął kozuch i patrzył na młodą dziewczynę, lubując się jej przerażeniem. Potem złapał ją za rękę i wyszarpnął z jamy, a gdy ją się opierać z rozpaczliwą siłą, uchwycił ją za warkocz i włókł za sobą, chwytając z trudem równowagę na lodowej tafli. Niespodzianie ktoś podciął mu nogi, oboje wraz z dziewczyną przewrócili się i po śliskiej pochyłości omal nie zjechali do wody. Tatar usiłował powstać, lecz uchwycony za nogę przewrócił się znowu. Kopniębem odrzucił małego napastnika, ale teraz dziewczyna uchwyciła go za włosy, nie pozwalając powstać. Na śliskiej, pochyłej powierzchni szamotanie grzyzło ześlizgnięciem się w wodę i zmiażdżeniem przez

krę lub utonięciem, i Tatar przeraźliwym krzykiem wzywać począł kręcących się opodal towarzyszy.

Krzyk jego jednak zginął w wielkiej, zbliżającej się wrzawie. Głosy przerażenia i rozpaczły mieszały się z dzikim wyciem. Gromady Tatarów siekąc i bijąc spędzały z błoń do rzeki, co jeszcze zdolne było zerwać się w śmiertelnym strachu. Fala ludzka na chwilę zatrzymała się na brzegu, ale parta z tyłu przelewać się jąła przez urwisko i spychana dalej wtoczyła się do rzeki, której powierzchnia zaczerniała od ciał. Kto się przewrócił, tego miażdżyła kra lub znikał pod nią. Komu udało się, ten kładł się na krze, niewielu sprawniejszych usiłowało uchoździć, skacząc z jednej tafli na drugą, ale i dla nich nie było ocalenia. Tatarzy, spędziwszy do rzeki wszystko, co żyło, teraz zabawiali się strzelaniem do tych, których nie pochłoneła woda. Wkrótce najeżone strzałami bezwładne ciała spływały, oddalając się od miejsca rzezi.

Tylko trzy niewielkie postacie, trudne do trafienia z powodu znacznej już odległości, widniały jeszcze na rzece, przeskakując z jednej kry na drugą i zbliżając się już do przeciwległego brzegu. Teraz na nich skupiły się pociski. Wkrótce jednak Tatarzy, widząc ich bezskuteczność, poniechali strzelania. Nojon nic powinien się gniewać, że pozwolili ujść trojgu niedorostkom, zapewne zresztą na przepadłc, a Berke Chan i tak nie omieszka pochwalić Burondaja za to, że silny gród i ważne miasto obrócił w ruiny i zgłiszcza. Teraz może ruszyć dalej, na nowe rzezie i zdobycze, odbudowujący się jeszcze po poprzednim najeździe kraj znowu zamienić w pustkowie, posiać nienawiść między Polską a Rusią i węgierskiego króla pozbawić pomocy krakowskiego zięcia.

Z przeciwległego brzegu dziewczyna otepiałym spojrzeniem patrzyła na odchodzących Tatarów. Okrutne przejścia ostatnich dni, strach, wysiłek walki i ucieczki po ruchomym lodzie wśród świstu pocisków, gdy każdy krok groził śmiercią, wyczerpały ją tak, że nie czuła ulgi. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak zdołała wyrwać się z rąk napastnika i odważyć się na ucieczkę po krze, widząc, jak ogromne pły-

ty lodowe bezlitośnie miażdżą zepchniętych w rzekę przez rozpasaną tatarską dzicz.

Młodszy od niej, niespełna dziesięcioletni chłopiec zanosił się płaczem i tuląc się do siostry, rozpaczliwie szukał u niej ochrony. Przygarniała go drżącymi jeszcze z wysiłku i podniecenia rękami, starając się zebrać myśli, ale uciekały jej. Nie wiedziała, co dalej począć. Odrobina żywności, jaką wynieśli z grodu, nie starczy nawet na dzień, choć od dwu dni niemal nie jedli, skuleni w jamie w ustawicznej trwodze, że kryjówka ich zostanie odkryta. Zima, kozuch stracili, kraj ogarnięty najazdem, ojciec i stryj nic żyją...

Na wspomnienie o tym dziewczyna rozszlochała się.

Tęgi, choć wynędzniały wyrostek, siedząc powyżej na oberwanym brzeżku, oglądał tatarski jatagan o bogatej rękojeści i przez dłuższą chwilę nie odzywał się, czekając widocznie, by dzieci się wypłakały. Wreszcie powiedział, nadrabiając miną:

- Miał wody dolewać do Wisły, podziękowalibyście pierwej Bogu, a potem mnie, że się nam ująć udało.

Dziewczyna obejrzała się, przez łzy patrząc na wyrostka. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że to zapewne on wyrwał ją z rąk Tatarów, a bez wątpienia ocalił od splcznięcia się pod krę, gdy pośliznąwszy się przy przeskoku, omal nie upadła. Odparła głosem przerywanym przez szloch:

- Po rodzicu płaczę.

- Tyś dziewczka, tedy płacz. Ale on chłop jest. I niegorszy, kiedy onemu Tatarzynowi nogi podciął i obalił. Żeby nic to; nie byłbym nadążył ciebie wyszarpnąć i łeb mu między kry wepchnąć. Jenó chrupnął jak jajc. I jesczem to zabrac wydolił - pokazywał jatagan z dumą.

- Cóż ci po tym? - z westchnieniem zapytała dziewczyna.

- Co? Krzesiwo mam, hubę i próchno najdzim w lesie. Ognia naniecę. - Zatarł zsiniałe dłonie i dodał: - Żeby tak jesczem zezreć co. Takim czyzy, że mi wierci w żywocie. Pójdźmy! Nikt tu po nas nie przyjdzie i na nic kwilić, jenom sobie ślubował, że Tatarzynom odpłaczę, że mnie sierotą uczynili.

-To twoi rodziciele byli w grodzie? - zapytała dziewczyna ze współczuciem, hamując szloch.

- Przeor Sadok był jako rodzic dla mnie - odparł chłopiec, a głos mu się załamał, ale odchrząknął i mówił: - Onże mnie przygarnął, gdy macierz moja pomarła, a krewniacy z imienia mnie wygnali.

- Biednyś i ty - westchnęła dziewczyna ze współczuciem. - Ani ich pogrześć... - urwała, połykając łzy.

- Co im o to. Na sąd ostateczny każdy swe kości odnajdzie.

Wyrostek mógł mieć niewiele ponad trzynaście lat. Głos mu się ła-
mał, raz chłopięcy jeszcze, raz niski. Ciągnął chełpliwie:

- Swego nie daruję, ale gadać czas będzie. Pójdźmy! Do wieczora blisko, do lasa daleko.

Do lasu nie było zbyt daleko, ciemną linią zamykał nieboskłon od południa, ale droga ciężka. Śnieg, nadtajały w czasie odwilży, przymrozek ściał w twardą skorupę, która łamała się pod stopami. Choć chłopiec idąc przodem torował drogę, dzieci nadażały mu z trudem, wreszcie dziewczyna całkiem ustała. Zdyszana usiadła na śniegu, mówiąc:

- Już nie wydolę. Ostawic mnie!

- Cóże prawisz! - gniewnie fuknął wyrostek. - Nie po tom cię Tata-
rzynowi odjął, byś tu zamarzła.

Gdy jednak nie wstawiała, patrząc na niego wilgotnymi oczyma, po-
skrobał się po głowie i rzekł miękko:

- Szkoda by cię było. Żeby tak zjeść co, tobym cię poniósł, ino by Pietrek przodem musiał iść. Tu ostać na nic, na mróz idzie, a i wilcy stadami już się włóczą. Ani gdzie drzewa w pobliżu, by się przed nimi schronić, ni ognia zażec. Wstańże, wezmę cię na bary.

- Wydolisz to? - zapytała, dźwigając się z trudem, a on odparł chełpliwie:

- Gdybym podjadł, oboje bym was wziął.

Pietrek sięgnął za pazuchę i wyciągnął suchar oraz kawał słoniny, podając je towarzyszowi, któremu aż oczy zaświeciły. Pohamował się jednak i powiedział, przetykając ślinę:

- Schowaj. Przypieczem na ognisku, przepomniałem już, kiedy ciepłe żarłem. Głodować nawykłem, poniosę Sławkę i na pusty żywot. Letsza będzie - zaśmiał się.

- A ty skąd wiesz, jak nas wołają - zapytała dziewczyna.

Wzruszył ramionami:

-Kasztelańskie niecie¹, każdy was znał na grodzie. Mnie chrzcili Janem Złotoustym, ale przewali mnie Główka, bo gębę mam nic jeno do jedzenia, a i tu mi nie brakuje - uderzył się w czoło. - Żeby nie to, dawno by mnie psi ogryźli - dodał. - No, ruszaj Pietrek przodem, a ty siadaj na grzbiet - zwrócił się do Sławki.

Spociał się jednak i zadyszał, zanim dotarli do lasu. Przez chwilę siedział, sapiąc, po czym wstał, mówiąc:

-Jakbyśmy doma byli. Teraz jeno ognia naniecić, pożywić się i spać. Ty, Pietrek, ochraściny² nazbieraj, a ja się za hubą obejrzę, póki widno. Nijak bez ognia nocować: i zagrzać się trzeba, i wilki płoszyc, których tu nie brak - wskazywał na liczne ślady. Widząc, że dziewczyna lęka się, dodał:

- Przy mnie nie bój się niczego. Mniemam, że ino patrzeć, jak wilki, co ich pełno jest na dziesięć mil wokół, do Sandomierza się wyniosą, gdzie im Tatarzyn żeru nagotował do wypęku. Raduj się, że nie nas.

Ale Sławka rozplakała się znowu na myśl, jaki pogrzeb czeka jej ojca, a Główka, zły na siebie, że niepotrzebnie dziewczynie przypomniał, by odwrócić jej myśl, powiedział:

- Umarłemu za jedno... Ty mchu suchego nagarnij, bo na śniegu spać nijak.

Oddalił się i po dłuższej chwili wrócił z suchą hubą i wziął się do krzesania ognia. Długo trwało, nim wreszcie wyskoczył płomyk i jął chciwie pożerać przyniesiony przez Pietrka susz. Główka wstał i powiedział:

¹ Niecie - bratankowie.

² Ochraściny - chrustu.

- Tyłeś przyniósł, by na mietłę starczyło, a starczyć musi na całą noc. Pójdę ja grubszego łomu poszukać, a wy na ogień dajcie baczenie.

Wrócił, włokąc z trudem spróchniały pniak, w samą porę, by uratować ognisko. Dzieci spały, przytulone do siebie. Zaklął pod nosem, ale nie obudził ich. Jataganem nałupał szczap, a gdy rozdmuchany płomień buchnął wysoko, koniec pniaka wepchnął na stos i uspokojony już, że ogień nie wygaśnie, zabrał się do cięcia i zwłóczenia jedliny na podściółkę. Potem daszek z niej sporządził, bo niebo znowu zawlekło się chmurami i szło na śnieg. Mrok już zapadał i blask płomienia nasilał się. Górą musiał ruszyć wiatr, bór zaczynał szumieć i mruzczać.

Główce żał było budzić dzieci, ale czuł, że i jego ogarnia senność, a przede wszystkim głód tak dotkliwy, że ślina mu ciekła na samą myśl o jedzeniu. Jął trącać Pietrka, ale długo trwało, nim się go dobudził:

- Dawaj, co tam masz, będziemy pożywać.

Podzielił starannie suchar i słoninę na trzy części, zbudził Sławkę i przypiekając nad ogniem kęsy jedli chciwie, lecz skończyli, gdy daleko jeszcze było do sytości.

O szarym świcie pobudził dzieci. Noc spędził, czuwając na przemian z Pietrkiem. Sławki budzić nie pozwolił: niech śpi, sił będzie trzeba do wędrowania.

Ale nie czuł ich sam, gdy nabrawszy żaru w łubkę z kory, wypełnioną suchym mchem, by nic bawić się na postoju w krzesanie ognia, ruszył przodem, kierując się na południe. Wiedział, że Sandomierska Puszcza ciągnie się aż po góry, osady jeno nad Sanem i Wisłą, ale wiedział też, że tatarskie zagony grasują i po prawym jej brzegu. I w boru jednak mieszkają ludzie, którzy z niego żyją: bartnicy, łowcy lisów, bobrownicy, smolarze czy drwale. Byle trafić do nich.

Do południa wlekli się, nie napotkawszy żadnego ludzkiego śladu. Może dlatego, że zatarł je nocny opad śniegu. Nie brakło natomiast świeżych tropów wilczych. Główna nic nie mówił, ale niepokoili go. Wygłodzone wilki w lutym łączą się w stada, których zuchwalstwo urąga wszelkiemu niebezpieczeństwu, a żadnego dla nich nie przed-

stawia troje nedorostków, za całą broń mających jeden sztylet. Przy dziennym świetle nie odstraszy drapieżników nawet ognisko.

Nie usiłował już nadrabiać miną. Szedł ostrożnie, wybierając w miarę możliwości niepodszyty las, i rozglądał się na wszystkie strony. Niepokój pozwolił mu nawet zapomnieć o głodzie, ale czuł, że słabnie, a widział, że dzieci ledwo się już wloką. Wiedział, że gdyby się zatrzymał, dalej już nie ruszą, bo przystawały co parę kroków.

Chcąc nie chcąc, musiał się zatrzymać. Dziewczyna usiadła na obalonym pniu i patrzyła żałośnie na Jaśka, jakby przepraszając, że nie ma sił iść dalej. Tym razem wiedział, że i jemu ich brak, by ją ponieść. Dokąd zresztą? Tu czy tysiąc kroków dalej ulgnąć - za jedno. Żarcia im nikt nie przyniesie.

Rozejrzał się. Ku północnemu zachodowi widniała polanka, a na jej skraju wiekowy dąb rozpościerał szeroko gałęzie. Podszedł ku niemu, zbierając po drodze susz, wydobyl żar z łubek i rozdmuchawszy ognisko, wrócił do dzieci, mówiąc:

- Pójdźcie!

Gdy dowlokły się do ogniska, powiedział:

- Bez jedzenia zdychać przyjdzie. Pójdę ja cośkolwiek poszukać, a wy tu czekajcie. Póki jasno, zbierajcie opał ile strzyma, jeno daleko nie odchodzić. Jakby co, to na dąb, wilcy po drzewach nic łożą, ryś człeka nie napadnie, chyba że raniony, a misie jeszcze śpią w gawrach!. Nie strachajcie się niczego.

Sam jednak nie bez lęku zapuścił się w las, w którego martwej ciszy czaiła się groźba, a najmniejszy odgłos zdał się zwiastować niebezpieczeństwo. Szedł czujnie od drzewa do drzewa, kierując się na północny zachód, ku rzece. Musi dotrzeć do ludzi, a przynajmniej do jakiejś osady, choćby spalonej. Zawsze tam coś przydatnego znajdzie, niechby choć ścierwo jakiegoś domowego zwierzęcia, szmaty i naczynie. Spotkania z Tatarami najmniej się lękał, w las zapuszczać się nicradzi, a gdyby nawet nad rzeką natknął się na zagon, prędzej ich spostrzeże niż oni jego.

W swym nie nazbyt długim samodzielnyim żywocie nigdy jeszcze nie musiał myśleć o drugich, dość miał troski o siebie, póki go nie przygarnął przeor Sadok. Zyskał w nim opiekuna, który zatroszczył się o jego przyszłość. Skończyło się, teraz sam został opiekunem dwojga bezradnych dzieci, którym bez niego przyszłoby zginąć. Czy nie przyjdzie im zginąć i z nim, nie wiadomo, ale myśl, że tylko od niego mogą oczekiwać pomocy, dodawała mu sił. Zawziął się i szedł, lękając się zarazem, że nie starczy mu ich, by wrócić. Ale z niczym nie ma po co wracać, zdychać z głodu może każdy z osobna.

Wyczulonym ciszą uchem posłyszał szelest i kątem oka dostrzegł jakiś cień, który zniknął natychmiast w krzaczach. Serce załomotało w nim, ale uspokoił się: chyba lis, wilk jest ciemniejszy i większy. Dziwne tylko, że pozwolił się podejść tak blisko, widocznie czymś zajęty. Jasiak odchylił krzak zasypany śniegiem, z którego zwierz wyskoczył, i zrozumiał: lis dojadł resztki wilczej uczty. Ogryzione niemal do gołych kości, leżały w zdeptanym na klepisko, czerwonym od krwi śniegu resztki krowiego padła. Jedynie łeb niemal nienaruszony szczyrzył żółte zębiska.

Ścierwo musiało być świeże, bo Jasiak z trudem otworzył zaciśnięte szczęki, by wyciąć ozór. Ale większym szczęściem niż zdobycie kawałka mięsa zdały mu się ślady ostatniej drogi nieszczęsnej krowy. Musiały prowadzić do ludzkiej siedziby, a krowa to nie jelen, by długo uchodzić przed wilkami. Gdyby był sam, dotarłby do ludzi, zapewne jeszcze zanim się ściemni. Przez chwilę zmagał się z sobą, pokusa, by rzucić z siebie przytłaczające brzemię samotności i lęku, była wielka. Niebo znowu zaciągało się chmurami; jeśli śnieżny opad zasypie ślady krowy, zmazana zostanie droga ocalenia. Już miał ruszyć za tropem, gdy uświadomił sobie, że zatraci się także droga powrotu do samotnych i głodnych dzieci. Starał się ją zapamiętać, ale gdyby nie własne tropy, już teraz nie byłby jej całkiem pewny. Westchnął i nie namyślając się dłużej, ruszył z powrotem.

Radość, z jaką dzieci powitały jego powrót, zanim nawet pokazał przyniesione mięso, napęłniła go dumą. Nigdy jeszcze nie czuł się ta-

ki ważny i potrzebny. Pietrek ścisnął go i całował, a Sławka mówiła przez łzy:

- Nie odchódź od nas.

- Żebyśmy nie odszedł, nie byłoby co jeść - odparł, wyciągając ozo-
zza pazuchy. - Widzę ci, żeście niewiele suszu naścibali, nie starczy
nawet, by to upiec, a wždy noc przed nami i na mróz idzie.

- Bośmy nie śmieli daleko odchodzić, a blisko więcej nie było. Ale
ninie jeszcze poszukam - powiedział Pietrek.

Odszedł, a Jasek wziął się do krajania na płatki i nawlekania na pa-
tyk ozora, by się prędzej upiekł, hamując się, by nie zacząć jeść na
surowo. Sławka patrzyła na niego i szepnęła:

- Przy tobie iście nie lękam się niczego. Nieznane, ale miłe uczucie
ogarnęło Jaśka, tak że aż pokraśniał, ale odparł krótko:

- Bo i czegoż? Pojesz, sił ci przybędzie. Pójdziem, gdzie ono ścier-
wo krowie, a po krowim śladzie do ludzi. Daleko nie musi być, może
już dzisiaj pożywać będziem ze solą i pod dachem spać.

Pomyślał jednak, że zarazem skończy się jego opieka i przestanie
być ważnym, a co gorsza, może wkrótce rozstać się wypadnie
z dziećmi. Mają moźnych krewniaków, którzy, gdy jeno najazd się
skończy, zapewne zabiorą sieroty.

Na tę myśl uczyniło mu się przykro i dodał gorzko:

- Lepszych niżli ja opiekunów najdziecie, niech się ino uspokoi.
Wonczas ani mnie wspomnicie.

- A nieprawda - odparła, rumieniąc się. - Po wiek nic zabędę.

Pod jej spojrzeniem uczyniło mu się ciepło. Nigdy już i nikomu nie
będzie potrzebny tak, jak tej dziewczusce, i nikt nie będzie na niego
patrzył z takim podziwem i wdzięcznością. Ale choćby ze względu na
nią nie wolno zaniedbać sposobności dotarcia do ludzi, bo następna
może nieprędko się trafi, a każdy dzień grozi zagładą. Toteż gdy mię-
so trochę się podpiekło, ponagłał do jedzenia i jeno skończyli, ruszył
własnym tropem. Szary dzień miał się ku schyłkowi, po ciemku nie
odnajdzie śladów krowy, a najbardziej obawiał się świeżego opadu
śniegu. Co chwila wyprzedzał wlokące się dzieci, by je strachem
przymusić do większego wysiłku. Wypoczną, gdy dotrą do ludzi, tra-

cił jednak nadzieję, by udało się uniknąć jeszcze jednego noclegu w lesie. W pośpiechu nieabrał nawet żaru w łubki, krzesanie ognia długo zabawi, a znowu wiatr ruszył od zachodu, przenikliwy, choć niemroźny. Bór zaszumiał i pomroczyało.

Czuł, że sam jest u kresu sił, ale poganiał go głód. Byle dotrzeć choć do ścierwa krowy, jakieś ochłapy da się jeszcze z niego oskrobać, badać szpik z kości wylupać. Przede wszystkim jednak trzeba ogień skrzesać i suszu nazbierać. Kazał dzieciom iść swoim śladem i nie oglądając się, ruszył przodem.

Nie było już daleko, na widok znanej kępy krzów odetchnął z ulgą i przyspieszył kroku, gdy jak pchnięcie w piersi zatrzymały go nagle dochodzące stamtąd odgłosy, groźne warczenie, a potem skowyt. Ni chwili nie miał wątpliwości, co oznaczają: wilki gryzą się przy ścierwie; zawrócił i zapominając o zmęczeniu popędził z powrotem, modląc się, by go wilki nie zauważyły. Wiatr był od nich, ale i słuch mają bystry. Resztką tchu dopadł dzieci i przez chwilę nie był w stanie nawet słowa wymówić. Patrzący na niego z przerażeniem. Łapiąc jeszcze oddech, rzucił:

- Wilcy! Na drzewo!

Pomógł Sławce wspiąć się na najbliższe, Pietrek uczynił to bez pomocy, Jasiek natomiast pozostał na ziemi, rozglądając się. Zdołał już opanować strach i mógł rozważyć położenie: najpilniejsze było zabezpieczyć się przed wilkami. Na razie dzieci są bezpieczne, ale nocować nie mogą cupiąc na cienkich gałęziach. Choćby nie usnęły, pospadają zdrętwiałe z zimna. A nawet jeśli nie, to po nocy spędzonej w takim położeniu, bez ognia, a co gorsze, bez nadziei na posiłek, gdy ścierwo wilki do reszty oskubią, żadne nic będzie zdolne kroku dalej zrobić. Zrozumiał, że popełnił błąd nie zabierając w pośpiechu żaru. Musi błąd naprawić. Chełpliwość opuściła go zupełnie, ale za nic nie chciał zawieść zaufania Sławki.

Choć nogi dygotały pod nim ze strachu i zmęczenia, ruszył, rozglądając się na wszystkie strony, zarówno z obawy przed wilkami, jak też szukając wiatrołomu, by nie bawić się zbieraniem chrustu. Znalazł go wkrótce, ale wyzbył się reszty sił, zanim dowlókl go pod rozłoży-

sty dąb, w razie potrzeby lepiej nadający się na schronienie przed wilkami niż niewielki buk, na którym pozostawił dzieci. Teraz najpilniejsze było skrziesanie ognia przed nastaniem ciemności. Krzesał, aż się spocił, zanim ujrzał płomyk. Choć pilne było sprowadzenie dzieci przed zapadnięciem nocy, nie mógł odejść bez upewnienia się, że ogień nie wygaśnie. Nałupał szczap, odrąbał co grubsze konary i gdy płomień rozbijał się pod koroną drzewa, wciągnął pniak na stos i mimo zmęczenia do granicy sił, bez zwłoki ruszył po dzieci.

Serce załomotało w nim, zimny pot wystąpił na czoło i taką słabość poczuł w nogach, że omal nic usiadł. Pod drzewkiem, na którym zostawił dzieci, kręciły się dwa szare cienie, to pokładając się, to przednimi łapami wspinając na pień.

Zapomniał o zmęczeniu i popędził z powrotem, dopadł ogniska i legł. Włos jeżył mu się na głowic i miał w niej zamęt. Obawa, że któreś z dzieci spadnie, walczyła w nim ze strachem przed wilkami. Czuł, że natychmiast należy coś uczynić, nie mógł jednak pozbierać myśli.

Przemógł strach: póki wilki są tylko dwa, może spłoszy je płomień. Wyciągnął głownię z ogniska, w prawą rękę ujął jatagan i ruszył z powrotem. Modlił się, by zdążyć w porę i nie ujrzeć stada, bo nic był pewny, czy ważyłby się wejść między nie.

Odetchnął z ulgą, gdy na jego widok wilki odskoczyły, i stanąwszy o kilkadziesiąt kroków, spozierały na niego. W półmroku widział wyraźnie dwie pary zielonych świeczek. Dopadł drzewa, ściągnął dzieci i puściwszy je przodem szedł za nimi, wymachując głownią i oglądając się na wilki, które ruszyły w ślad, nie ważąc się jednak zbliżyć. Rozmazały się w mroku, gdy dotarli do ogniska i usiedli, jeszcze pod wrażeniem przeżytego świeżo strachu.

Milczenie przerwała dziewczyna i szepnęła:

- Tak cię prosiłam, byś nie odchodził!

Ale zaufanie Sławki, które dotychczas pochlebiało mu, teraz odczuł jako trudny do udźwignięcia ciężar. Zrobił wszystko, na co było go stać, wyczerpany do ostateczności, a do ocalenia wciąż równie daleko. Nie miał już sił, w głowie czuł zamęt, sam potrzebował opieki, ale

znikąd spodziewać się jej nie może. Czuł, że zbiera mu się na płacz. Ostatni raz płakał, gdy matka mu zmarła, teraz hamował szloch zarówno ze wstydu, jak też by nie zdradzić przed dziećmi poczucia bezradności. Zakrył dłońmi twarz, niby od żaru ogniska, i pasował się z łkaniem.

Jakby czując, co chłopiec przeżywa, Sławka zdjęła mu z głowy czapę, otarła spocone czoło, i gładząc go po zmierzwionych włosach, powiedziała miękko:

- Nie trap się. Obaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze.

Nie mógł uwierzyć. Nie ma co jeść, nie ma dachu nad głową i nie ma sił na dalsze wędrowanie, a wilki na dobitkę. Na myśl o tym, że na marne pójdą jego wysiłki, gryzł wargi, hamował szloch.

Pietrek patrzył na to zmieszany i zaskoczony, Sławka natomiast udając, że tego nie widzi, ciągnęła:

- Nie dospałeś i zagnałeś się, wypoczniesz, przejdą ci złe myśli. Tej nocy ja będę czuwać, a ty śpij.

Widząc, że chce się sprzeciwić, dodała:

- Nie lękaj się, dopilnuję ognia. A trzeba będzie, to cię obudzę.

Spał, zrazu nie wiedząc o świetle, nie zbudził go ruch ani głosy, ale przez sen zaczynał odczuwać ulgę, a potem śnić tak wyraźnie, że sen zdał się mu rzeczywistością, a zarazem zdawał sobie sprawę, że śpi, i lękał się obudzić, by sen się nie rozwiął. Jest mu ciepło, kożuch łagodnie łaskoce go po twarzy. Na kominie płonie ognisko, w zawieszonym nad nim kociołku warzy się strawa, nęcąc tak rozkoszną wonią, że choć żołądek skręcał mu się z głodu, tłumiał narastającą świadomość, by nic spłoszyć snu.

Z trudem otworzył oczy i zamknął je znowu, bo zdało mu się, że jednak śni dalej. Nad ogniskiem wisiał istotnie kociołek, a dochodząca z niego woń nie była złudzeniem. Usiadł i ze zdziwieniem dostrzegł, że okryty jest kożuchem, a przy ognisku siedzi dwóch mężów, z których młodszy, rosły i barczysty, widocznie okrył go swym kożuchem, a sam pozostał jeno w giezle. Zauważywszy, że Główka się obudził, roześmiał się na widok jego zdziwienia i odbierając mu kożuch, powiedział:

- Taki z ciebie przywódca, co śpi jak miś w gawrze, a białkę na stróży ostawia. Wypałeś się, to pojedz i w drogę.

Wręczył drewnianą łyżkę Jaškowi, który chciwie zabrał się do jedzenia, choć mnóstwo pytań cisnęło mu się na usta. Starszy chłop, mrukliwy, siedział w milczeniu, ale młody ciągnął:

- Dziwujesz się, jakeśmy was naszli? Jest tu przy smołami gromada, co przed Tatarzynem w bory się schroniła. Juści dobytek pomieszany, tedy późno my się spostrzegli, że zginęła krowa. Chętnych nocą po boru szukać nie stało, tedy prawie: pójdę ja, nie pierwszyzna mi. Byłbym sam poszedł, jeno Smoleń mi nic dał. Prawi, że we dwu bezpieczniej, a nie wiada, jak długo szukać przyjdzie. I dobrze wyszło, przezorny jest, kociołek wziął, jedzenia co niebądź. Niewiclaśmy uszli, dym czuję, nos mam, żebym się z psem nic pomieniał. Zda się wiedzieć, kto, nie brak w boru i takich, co z cudzego żyć zwykli, może im się zdała krowa. Smoleń wracać chciał, by większą gromadą iść, ale jam rzekł, że pójdę choćby sam. Toporek mam, nóż i łączysko od wypadku, a ręce nic najpośledniejsze. Nie uszli my sporo, ognisko widać, a przy nim nikogo. Dopiero podszedłszy widzę: młodziczka ognia pilnuje, a chłopcy śpią, jakoby doma byli.

Rozeźmiał się i dodał:

-Nie zwoliła cię obudzić, prawiąc, że uznoileś się zadość. Bez nią kęs nocy my zamili, bo już świta. Pewnikiem zmówieni jesteście, kiedy tak dba o ciebie - rozeźmiał się znowu. - A my miast krowy do udoju, trzy gęby naszliśmy do karmienia.

Sławka pokraśniała, a Jasiek, by odwrócić rozmowę, rzekł:

- Krowa tu leży opodał, lubo kości z niej, bo ją wilki zarznęły, tedy wracać możecie. A niewiela brakło, by i one dzieci zeżarły.

- Wiemy, bo nam dziewczuszka prawila i bardzo cię przychwalala. Ani to do wiary, by taki junoszka Tatarzyna ubił.

Teraz Główka pokraśniał. Wyspany i najedzony, odzyskał pewność siebie i odparł chęliwie:

- Iście, że mi tego Tatarzyn nie dał - pokazywał jatagan. - Żebym nie zabrał, szczeznąć by przyszło bez ognia, a i wy byście nas nie naszli. O nasze gęby się nie sumujcie. Ja ta wyrobię na siebie albo i prze-

dam ów nóż, w którym kamienie są, drogie pewnikiem. A toć są dzieci pana Zbygniewa z Krępy, niecie sandomierskiego kasztelana. Swójaków mają możnych, co za nich zapłacą.

- Poczekasz i ty, aż ci zapłacą - mruknął Smoleń zgryźliwie, ale nie zwrócili uwagi, bo młody rzekł:

- Co ta zjedzą takie skrzaty! A ty schowaj on sztylet, bo ci bez niego niktowi wiary nie da, żeś Tatarzyna ubił. A będziesz kiedy chciał sprzedać, omamić się nie zwól, bo kamienie iście niemało warte.

- Pójdziem, Wojan - przerwał towarzyszowi Smoleń.

- Dzieci poniosę, bobyśmy do wieczora nie zaleźli - rzekł Wojan, wstając.

Pietrka posadził na ramiona, Sławkę wziął na bary i ruszył tak, że Smoleń i Główka z trudem mu nadążali.

Wcześniej niż wiosenne wody spłynęła fala najazdu, unosząc tłumy jeńców, a pozostawiając trupy i zgłiszcza. Zieleń pokryła stratowane pola, chwasty wybujały na pogorzeliśkach. Wróciło ptactwo przelotne na miejsca swych legów, tylko boćki nie znalazły zeszłorocznych gniazd na strzechach i krążyły niespokojnie, niepewne, czy nie zawiódł ich zawsze dotychczas nieomylny instynkt.

Wrócił też na Wawel książę ze swym dworem i biskup Prandota z kapitułą, bo zabudowania biskupiego dworca spłonęły wraz z całym, przed niespełną czterema laty na nowo założonym miastem. Na wielkim, jak daleko okiem sięgnąć, pogorzeliśku sterczały wypalone ruiny murowanych kościołów. Ocalał jedynie, jak za pierwszego najazdu, Św. Andrzej na Okolę. Ogromny, na rozwój stolicy seniorackiej obliczony rynek przedstawił się jak błotnisty ugór, z wysepką kościółka Św. Wojciecha u wylotu wiodącego do grodu gościńca i Odrowążowej bazyliki NMP w południowo-wschodnim narożniku.

Pomału wracali też nieliczni mieszkańcy spalonego miasta, którzy nie kusząc się nawet o obronę w rozległych, lecz słabych obwarowaniach, na wieść o najeździe uszli w lasy na południowym pogórzcu, wraz z mieniem, jakie unieść zdołali.

Nie wszędzie jednak wracali uchodźcy na opuszczone miejsca i nieprędko wracał zburzony ład. Życie ruszyło jak wody po wiosennych roztopach, ale jak one, porzucając często stare koryto. Dzielnica krakowska, zniszczona i wyludniona, jeszcze straciła na znaczeniu, spalone główne miasta długo nie będą stanowić oparcia dla handlu i wypełniać skarbcza książęcego dochodem z ceł, myta i opłat targowych, choć szybko ruszyła ich odbudowa. Prócz nielicznych bowiem pierwszych niemieckich kolonistów ściągało do nich także niezamożne, drobne rycerstwo, z braku zasobów na odbudowę swych zniszczonych siedzib i zagospodarowanie niewielkich majątkości, gdy do spalonych wiosek nie wrócili chłopci; ci, którzy ocalili, a znali jakieś rzemiosło, również ściągali do miast w nadziei na lżejszą pracę i większe zyski, nie obciążone daninami w naturze i rozlicznymi świadczeniami, a zwłaszcza samowolą włodarzy.

Najmniej od najazdu ucierpiały możne rody, które, władając obszernymi ziemiami w nie dotkniętych najazdem dzielnicach, łatwiej przenieść i powetować mogły poniesione w Krakowskim i Sandomierskim straty i wykorzystać osłabienie władzy księcia, by go od siebie uzależnić. Wiadome było, że w braterskim związku z Kingą żyjący Bolesław nie pozostawi dziedzica, a po jego śmierci senioracka stolica stanie się igraszką w rękę możnowładców. Przywileje, jakie od czasu bratobójczych walk między spadkobiercami Krzywoustego wymóc dla siebie potrafił Kościół, były zarazem solą w oku możnych rodów, jak też wzorem i zachętą do naśladownictwa. Obydwa stany wymuszały na rozrodzonych ponad miarę, a w ustawicznych między sobą walkach wzajem jeszcze się osłabiających potomkach Krzywoustego coraz większe ograniczenia praw książęcych wraz ze zwolnieniami od ciężarów, spychanych na coraz bardziej uginające się pod nimi barki prostego ludu i drobnego rycerstwa.

Toteż wypartym przez najazd ze swych siedzib gromadom niespieszno było wracać pod jarzmo. Pozbawione wszelkiej osłony i pomocy, przebiegowały najcięższy zimowy czas w niedostępnych

leśnych komyszach¹: władcy, wolni kmiecie, przypisańcy i niewolnicy, wszyscy jednakowo cierpieli brak dachu nad głową i najniezbędniejszych sprzętów, jednakowo dźwigali trud zaspokojenia najprostszych potrzeb. Najazd skończył się, śniegi zeszyły z pól, rozpulchniona ziemia wypijała wody, pora była wracać, ale powstawało pytanie: dokąd?

Zbiegowisko uchodźców w Sandomierskiej Puszczy również stanęło przed tym pytaniem. Kto miał gotową odpowiedź - odchodził. Pierwsi opuścili obóz niemieccy koloniści. Trzymali się zresztą z osobna nie tylko z powodu trudności porozumiewania się. Zabiegliwi i zwarci, nieuczynni w stosunku do reszty uchodźców, dawali im odczuć swą wyższość, ugruntowaną na starannie strzeżonych przywilejach lokacyjnych, które zezwalały im rządzić się i sądzić własnym prawem. Wprawdzie i ich siedziby poszły z dymem, ale odbudują się szybko, a do powrotu zachęcała wieloletnia wolność od wszelkich ciężarów, później zaś niewielki czynsz w pieniądzu odbiją sobie z nawiązką, sprzedając nadwyżkę owoców swej pracy w miastach, gdzie już mieli rodaków i swojaków, a teraz, po najeździe, spodziewali się nowego ich napływu. Na sąsiednim Śląsku od czasu, gdy objęli go wychowani w Niemczech i przez Niemców synowie Włodzisława Wygnańca i cesarskiej córy i siostry, Niemcy rozpanoszyli się już przy poparciu książąt i kleru, zwłaszcza zakonnego, złożonego niemal wyłącznie z niemieckich mnichów, którzy w obszernych swych włościach osadzali rodaków na magdeburskim prawie. Przywileje napawały ich butą, a i bez tego nierówność praw i obowiązków budziła niechęć na polskim prawie osadzonej rdzennej ludności. Po wstrząsach i zniszczeniach wywołanych najazdem ciężary jej jeszcze wzrosną, odbudowa spalonych grodów i służba w nich odciągnie ręce od pracy przy odbudowie i zagospodarowywaniu własnych siedzib.

Toteż mimo iż wiosna rudawym nalotem pąkowania okryła już bory, podłoże ich spłachciami białego i błękitnego kwiecia, a nadbrzeżne łąki nad potokami umalowała świeżą zielenią, gromada uchodźców

¹ W komyszach - w gęstych zaroślach, w ostępach.

z wolna jeno topniała. Po niemieckich kolonistach z obozowiska koło smołami ubyli niewolnicy, nikomu się nie opowiadając, by ślad zgubić za sobą, choć nikt ich zapewne ścigać nie będzie. W wywołanym najazdem zamęcie niełatwo sprawdzić, kto zginął, kogo uprowadzili Tatarzy, a kto na łąkę poszedł do innych dzielnic lub zbiegł do Prus czy na Litwę. Choć życie stało się lżejsze, a minęła pora, gdy jedyną troską było utrzymanie się przy nim, bytowania z dnia na dzień nie można było przeciągać w nieskończoność. Opuszczone ziemie zajmie kto inny, puszcza należy do księcia, o pobierane z niej pożytki - gdy jeno ład nastanie - upomni się służba książęca. W głębi swej nie tylko siekierą osadnika, ale często nawet stopą ludzką nic tknięta, jeśli rajem była, to tylko dla zwierza.

Trójce jednak, która zdołała unieść głowy z sandomierskiej rzezi, zrazu rajem się zdała. Tu wyzbyli się przygniatającej trwogi przed okrutnym najeźdźcą, a znaleziony, wprowadzie byle jaki, dach nad głową i ciepła, choć skąpa strawa pozwoliły zapomnieć o trudach i wyrzeczeniach ucieczki. Dziecinny jeszcze Pietrek stowarzyszył się z rówieśnikami, rad, że tutaj nikt nic zabrania poufalić się z nimi. Nic myślał ani o dniu wczorajszym, ani o jutrze, lecz jak zdobyć kęs jakiś smaczniejszy od jałowej stawy, z widoczną niechęcią wydzielanej przez swarliwą małżonkę Smolenia, która nie taila, że ciężą jej dzieci przywiedzione zamiast zaginionej krowy. Sławka odczuwała to sama. Nienawykła do ciężkiej pracy, wyczerpana przeżyciami, niczym nie mogła okazać się pożyteczną. Żal za ojcem i stryjem, przytłumiony wstrząsającymi przejściami, mieszał się z niepokojem o przyszłość. Najbliżsi domownicy również zginęli w Sandomierzu, dalszych krewniaków ojca, którym przypadnie piecza nad sierotami, niemal nie znała. Wadzili się z ojcem i stryjem, lękała się ich opieki.

Przygnębiała też Sławkę samotność w gromadzie. Pieszczona przez ojca i stryja, lubiana przez domowników, źle się czuła wśród obcych, obojętnych ludzi. Jasiek zrazu szukał jej towarzystwa, potem zjawiał się coraz rzadziej i jakby nie ten sam. Zniknęła poufałość, z jaką odnosił się do niej w czasie ucieczki, a zarazem jego chępliwość i pewność siebie. Polubiła go, podobały się jej nawet jego przechwałki,

zdało jej się, że i on ją polubił. Teraz zwątpiła o tym, milkliwy stał się i onieśmiał ją. Nie wiedzieli, o czym rozmawiać. Coś go gryzło, ale nie zwierzał się z tym, ona zaś nie śmiała pytać, a mniej jeszcze zwierzyć się z własną troską.

Główka po przybyciu do obozowiska zrazu urósł we własnym mniemaniu. Szczęśliwie przebyte niebezpieczeństwa utwierdziły go w pewności, że sprosta wszystkiemu. Jeszcze parę lat, a dojrzeje. Odbierze włość pociotkom, którzy go wygnali, a potem gniazdo własne założy. Z kim by, jeśli nie ze Sławką. Tego, co sam dla niej czuł, nie umiał nazwać, ale rumienił się pod spojrzeniem jej błękitnych oczu, a dotknięcie jej ręki przejmowało go dreszczem. Polubił też Wojana, dla którego sprawności i siły odczuwał podziw, a dumny się czuł, że ten jego właśnie obrał sobie za towarzysza włóczęgi po puszczy, gdzie zastawiali paści i wnyki na drobnego zwierza, niejedną noc spędzając w lesie przy ognisku.

Dobrze gwarzyć, gdy po całodziennym trudzie, patrząc w płomień, czeka się na smaczny posiłek. Wojan nienadto mowny był i kpiarz, ale spoufalili się wkrótce, a czując w nim przychylnego człowieka Jasiek nie wytrzymał, by mu nie opowiedzieć o swej niezbyt szczęśliwej przeszłości, a radosnych zamierzeniach na przyszłość. Wojan słuchał kiwając głową, a gdy Główka podniecony skończył, powiedział:

- Tobie, Jašku, skoro patrzeć wąż się sypać zacznie, o żeniaczce myślisz, a głupiś jako źródło, który nie wie, skąd się na świecie znalazł.

Gdy Główka spojrział na niego zmieszany, ciągnął:

- Z nijakich tyś władcyków, nie twój ociec pod Chmielnikiem legł, bo choćbyś pogrobowcem był, musiałbyś mieć siedemnaście godów, ni dziedzina ci się po nim patrzy.

- Jakoże?! - zaperzył się Jasiek. - Macierz mówiła...

- Cóż miała rzec szczeniakowi? Że cię w nieprawym łożu poczęła? Ninie sameś winien zrozumieć.

Główka zrozumiał nie tylko to. Zrozumiał też, dlaczego krewniacy rzekomego ojca śmiali się, gdy im odgrażał, że jeno dojrzeje, dziedzinę im odbierze. Zaczynał też rozumieć wiele innych spraw. Ale najlepiej pojął, że czy Sławka lubi go, czy nie, nigdy jej nie dostanie. Nic

to, że życie ocalił jej i bratu. Rodowej dziewczki nie dadzą włóczędze bez rodu i majątności. Marzenie prysło jak tęczowa bańka na bagiennej wodzie. Przygaszony zamilkł, i zakrywszy oczy, siedział bez ruchu. Milczenie przerwał Wojan:

- Cóżże tedy czynić zamýślasz? Gromada pędzej, później się rozlezie. Smoleń ze swoimi już ślali do klasztoru w Wąchocku, że wróca, jeśli ich na niemieckie prawo przeniosą, i tak mniemam, że przeor przystanie, bo na nic ziemia bez rąk. Owe częda także na swoje wrócić winny, niech się jeno przewóz na Wiśle otworzy. Swojaków jakowychś mają, a lepiej, by ci wiedzieli, że dzieci ocalały, zanim prawem bliskości zajmą ich dziedzinę, za przepadłe mając sieroty. Nikto rad nie wypłuka, co raz w zęby wziął, a i bez tego sieroca doła nielekka.

Gdy Główka zasumowany nie odpowiadał, Wojan podjął:

- Ty naprzód o siebie się troskaj, nie o nich. Lepiej, gorzej, jakoś się przychowają. Mają gdzie i za co, ty zasię ani drogi bez wiesz.

- Może mnichem ostanę - odparł Główka przygnębiony. - Przeor Sadok pewnikiem tak zamýślał, bo nawet czytać mnie przyuczył. On mi dobrze życzył...

Urwał i oczy zasłonił. Posmakował już życia na własny rachunek i znowu zaczynać trzeba, jeno bez nadziei, że los się odmieni. Zawód przygnębił go. Nic chciało mu się myśleć o przyszłości, skoro nie ma być tak, jak sobie zamarzył. Ale Wojan otrzeźwił go:

- Na mnicha się nadałeś jako pies do orki. Choćbyś i z rycerskiego rodu był, dziewczucha raniej żrała będzie niżli ty. Choćby i rodzic jej żyw był i wybierać jej zwolił, na ciebie by nie czekała.

- A nieprawda - zaperzył się Jasiek. - Sama mi rzekła, że nigdy nic zabędzie, com dla nich uczynił.

- Wierę, zabyć trudno, ale to insza sprawa. Możesz se i ty pamiętać, choć niejedna jeszcze ci się uda, zanim o ożenku będziesz mógł zamýślać. Ninie myśl o sobie.

Mimo że Główka obruszył się, ciągnął:

- Żebyś żrały był, co inszego bym ci rzekł; ale tak, jak stoi, na rozsądek weź. Juści że przy klasztorze mógłbyś się przychować, boć i dla

ślubów jeszcze za młody. Ale mnichów od Św. Jakuba Tatarzy do nogi wycięli. Przyjdą nowi na ich miejsce i klasztor odbudują, bo jest z czego, jeno że pewnikiem, jak po pierwszym najeździe na Śląsku - sami Niemce. Słysząc, że naszych zgoła przyjmować nie chcą, chyba do grubej roboty. Wołem byłbyś, któremu tyle żreć dają, by siły do niej miał, nie dorobisz się niczego.

- A gdzie ja się czego dorobię - westchnął Główka, a Wojan odparł:

- Nad tym ja myślę. Ktoś ci owe częda do swojaków odprowadzić musi. Tyżes ich wywiódł z Sandomierza, to im za opiekę starczysz. Może na poćciwych ludzi trafisz, którzy i ciebie przygarną. A jeśli nie, może choć wynagrodzą...

-Nijakiej nagrody nie chcę - popędliwie rzucił Główka, Wojan jednak ciągnął:

-Nie bądź wiła¹. Żebyś ty konia i szłom wydolił nabyć, skoro za ścierciałkę² mógłbyś się zaciągnąć, bo tęgi z ciebie pacholek. Ninie łatwiej będzie niż kiedy, choć krakowskie ksiązę niewojenny pan. Ale nie będzie dziedziny bronil, to mu ją ze szczętem zniszczą, jako ninie Tatarzy. A nie on, to ów zwadźca Kazko kujawski, który ze wszystkimi sąsiady zadry szuka i nie z tym, to z owym ciągiem wojuje. Zresztą i biskupi ludzi do bronil potrzebują, i co możniejsze rody, bogdaj i do zbijania po gościńcach - zaśmiał się - kótren to obyczaj pono od Niemców przyszedł. Co rycerski zamek, to zbójcekie gniazdo. Dlatego i do nas Niemce się pchają, bo im u siebie nijakiej ochrony od rycerskiej swawoli, a tu się panoszą, zła krew. Co ta! - machnął ręką. - Jedno pewne, iż takowy czas jest, że jedni w górę idą, drudzy zasię w dół, a orężem łacniej się czego dorobić niżli sochą.

Głowce ulżyło, gdy zaświtała mu wątła wprawdzie nadzieja, że może uda mu się choć jakiś czas pozostać przy Sławce, a przynajmniej że jeszcze w drodze będzie dzieciom przydatny. Niemniej Wojan słuszność ma mówiąc, że winien o sobie pomyśleć. Jeśli nie z dziećmi, to z nim chciałby pozostać. Zapytał:

¹ Wiła - głupiec.

² Za ścierciałkę -jako rycerz nieosiadły.

- A ty co z sobą zamyślasz? Dorna wracasz ze Smoleniem lubo zaciągniesz się? Ciebie by i bez konia każdy wziął - dodał, patrząc z zadróżką i podziwem na rozrosłą postać towarzysza, który jednak zaśmiał się w odpowiedzi:

-Ni pierwsze, ni wtóre. Smoleń mi nijaki swojak, tu my się naszli. Może mu się i uda na niemieckim prawie osiąść, bogdaj i sołtysem ostać. Niechaj mu się wiedzie. Ale ja z rycerskiego rodu jestem, od Chrobrego czasów. Naddziad mój nad Nidą ziemi miał, że dziś niejedno księstwo nie większe. Pustać była, ale jeńcami obsadzał, których z wypraw w więzach prowadzili, obcych, ale nie swoich, bo wonczas każdy wolny był. Ninie od nas jeńca bierze każdy, komu wola, i Tatarzyn, i Litwa, i Ruś. A jakby tego mało było, potomkowie Chrobrego, co się jako psy rozrodzili, jako psy między sobą się żrą, lud wzajem sobie uprowadzają, a dziedziny pustoszą gorzej wroga. Rozerwali kraj, że na psy zeszedł, na psy zeszyły rody, które ongi wraz z nim wyrosły, przybłądy się panoszą nad tymi, co tu siedzą od wieka.

Prasnął polanem w ognisko, aż rój iskier wyskoczył, i ciągnął:

- Ja za psa nie pójdę, co za misę żarcia gryzie tego, na kogo go poszczują.

- Mnie zasię doradzasz - bąknął Główka, ale Wojan odparł:

- Bo żreć musisz, a to lżejszy chleb niżli jakowego rataja lubo spudownika¹. Zresztą żenić się zamyślasz - zaśmiał się: - Może i dorobisz się z łaski księżęcej, nadanie jakowe na rycerskim prawic odziedzysz. Mnie zasię niczyja łaska niepotrzebna, by się przyżywić, ni nadanie, ni żenić się zamyślam, by potomstwo na czynszowników zeszło lubo przypisańców tam, gdzie oćce panami byli. Wolej ród szczeźnie, niżliby potomstwo sługami było obcych, jeśli nie zgoła po-gańskimi niewolnikami.

Jasiek głęboko zadumał się. Dotychczasowe życie, choć twarde, zdało mu się proste: starczy własne sprawy załadzić, by żyć w spokoju; nawet w szczęściu. Teraz uświadomił sobie, jak niewiele brakło, by Sławka w powrozach poszła na targ jak bydłę, a on sam

Spudownika - naganiacza.

pod nóż. Ale niełatwo, zaczynając dopiero życie, wyzbyć się nadziei. Zrozumiawszy jednak, że przyczyną zła jest rozbitcie państwa, powiedział:

- Przeor Sadok prawił, jako proroctwo jest, że jak zrosło się ciało świętego biskupa, tak i zrosnie się rozerwany kraj. Nie byłoby tego, co się stało w Sandomierzu.

- Iście bywają cuda i bywa, że się sprawdzi proroctwo - odparł Wojan. - Jeno gdyby psi członki biskupa rozwlekli, toby się ciało nijak nie zrosło. A by się ziściło proroctwo, jeden by w kraju musiał być nad wszystkimi, i tak ci Krzywousty pomyślał, krakowskie księżę zwierzchnikiem ustanawiając. Chciał było najstarszy z jego synów Włodzisław przyrodnych z dziedzin zegnać i tyle z tego wyszło, że jego zegnali, on zasię pomocy przeciw nim szukał u niemieckich pociotków, którym w to graj, bo pozór był do najazdu i mieszania się w nasze sprawy. I jak się zaczęło, tak idzie, a z krakowskiego pierwszeństwa tyle, że się księżęta o stolec krakowski za łby wodzą, popleczników wzajem przeciw sobie szukają, do buntów dając zachętę, od czego żadnemu ni powagi, ni siły nie przybywa. Iście cudu by trzeba, by się to odwróciło.

Umilkł i zamyślił się. Główka po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że gdyby nawet spełniło się to, co sobie zamarzył, wszystko na wodzie będzie pisane. Nie starczy myśleć jeno o sobie, ale co może wymyślić taki jak on wyrostek, gdy niczego nie wymyślił ani potężny komes Piotr, ani mądry przeor Sadok, choć nie o sobie jeno myśleli. Przygnębiony, zapytał:

- Cóż nam tedy poczynać?

- Tobie? Jako rzekłem, częda zawiedź, może się przy nich zaczepisz. Gdy o ciebie nikt nie dba, dbaj sam o siebie.

-A ty?

- Ja? - Wojan, zamiast odpowiedzi, ciągnął:

- Zwierz w boru nijakich praw nie ma, ale też i posłuchu nikomu nie dłuhen.

- Ostaniesz tu? Wždy mógłbyś na rodowej ziemi niemieckich osadników zasadzić, w pieniądzu czynsz brać.

- Zaraza na nich - rzucił Wojan ze złością. - Słyszałem ci, jak na Śląsku sobie poczynają. Najdę ja pieniądz indziej...

Urwał, widocznie nie chcąc wyraźnie powiedzieć, gdzie go szukać zamyśla. Zakończył:

- Polubiłem cię. Może się ujrzym jeszcze kiedy. Ninie, skoroś się opiekunem onych dzieci uczynił, odwiedź je, gdzie trzeba, bo tu nie wysiedzą niczego.

Przyroda, jakby wynagrodzić chciała srogość zimy i okrucieństwa najazdu, wiosnę zesłała pogodną i ciepłą. Jeśli przeleciał deszcz, to jeno zieleń uczynił soczystszą i bujniejszą. Gdzie kopyta tatarskich zagonów nie wdeptały zasiewów w ziemię, urodzaje zapowiadały się dobrze.

Wędrowniaki o takiej porze w niczym nie przypominała zimowej ucieczki przed śmiercią, zakładane co wieczór ognisko nic służyło do odstraszenia wilków ni ochrony przed mrozem. W kociołku warzyła się stawa, o którą było łatwo, gniazda ptasie pełne jaj, strumienie i stawki ryb, sól dodawała nic mniej smaku niż zdrowe zmęczenie całodzienną wędrowniacką; niezbyt zresztą wielkie, bo Jasiak pod pozorem oszczędzenia sił Sławki nic naglił, często czyniąc postoje czy to dla posiłku, czy zaopatrzenia się w żywność, czy wreszcie by wypłuskał się w strumieniu, wyleżeć się w słońcu.

Niespiesznie mu było, w krótkim swym życiu nabył już doświadczenia, że składa się ono z okresów dobrych i złych. Ten, który przeżywał, był dobry, im dłużej potrwa, tym lepiej. Nie chciał myśleć o tym, kiedy i jak się skończy. Ludzi nie szukał i spotykał ich rzadko idąc szlakiem tatarskich spustoszeń, a potem Łysogórskim borem. Główni wiedział, że warowny klasztor na Łysej Górze obronił się przed Tatarami, którzy zresztą opóźnieni sześciotygodniowym obleganiem Sandomierza nie mieli czasu zabawiać się znowu dobywaniem niewielkie znaczenie przedstawiającego gródka. Spieszyli pod Kraków, gdzie Burondaj zagonom miejsce zboru wyznaczył. Na Łysej Górze Główni spodziewał się wiadomości, dokąd ma dzieci odpro-

wadzić. Tatarzy, wyruszywszy spod Sandomierza dwoma szlakami, rozpuszczając po drodze zagony za łupem i jasyrem, jednym z nich dotarli do Pilicy, drugim do Chęcín. Połączywszy się, pociągnęli wprost na Kraków, który pod koniec lutego złupili i spalili, i nie tracąc czasu na obleganie silnie obwarowanego grodu rozpuścili stąd mniejsze zagony, na zachód docierając po Bytom, na południe do Szczyrzyca, po czym odeszli, przez nikogo nie zaczepiani, po drodze jeszcze szerząc mord i zniszczenie.

Największemu jednak spustoszeniu uległa okolica Krakowa i północna część dzielnicy krakowskiej, gdzie Tatarzy grasowali najdłużej. Gardła dało lub popadło w niewolę ponad dziesięć tysięcy jej mieszkańców, setki wsi, dziesiątki grodów poszło z dymem, złupione zostały zasobne opactwa w Wąchocku, Koprzywnicy, Sulejowie, Miechowie, w Mogile, Szczyrzycu i Zawichoście.

Najciężej jednak najazd dotknął krakowskiego biskupa, Prandotę Odrowąża. Spustoszone zostały zarówno wszystkie biskupie kasztelanie w Tarczku, Iłży i Sławkowie, dziesiątki wsi łagowskiego klucza, jak też położone na północy, koło Końskiego, Żarnowa i Skrzynna dobra możnego rodu Odrowążów, nie wyłączając biskupiego Białaczowa. Inne rody, jak Awdańce i Jastrzębce, których włości położone w krakowskiej dzielnicy również zrujnował najazd, posiadały je także w innych dzielnicach. Odrowążom, skupionym tutaj, zubożenie groziło utratą przodującego stanowiska, jakie od czasów wielkiego biskupa Iwona zajęli wśród możnowładców seniorackiej dzielnicy.

Biskup Prandota nie był obojętny na znaczenie swego rodu, bolały go te straty, zarówno własne i rodowców, jak i krakowskiego Kościoła, któremu Iwo zapewnił pierwsze miejsce wśród polskich diecezji. Prandota też za swój obowiązek uważał przodować zarówno dziełami miłosierdzia, budowaniem kościołów i szpitali, jak też i kształceniem scholarów w diecezjalnej szkole Najświętszej Panny Marii, co zdolniejszych wysyłając na swój koszt do Bolonii, by podnieść poziom duchowieństwa diecezji. Zubożenie groziło utratą także jej znaczenia. Sam Prandota, wykształcony w Paryżu i roztropany, zdawał sobie zarazem sprawę, że wzrost znaczenia Kościoła i rodów możnowład-

czych kosztem osłabienia władzy książęcej jest przyczyną oplakanych dla wszystkich skutków, które teraz, przedsięwziawszy objazd splądrowanych przez Tatarów okolic, oglądał własnymi oczyma. Gdyby nie zadane im pod Sandomierzem straty i zwłoka spowodowana zacietością obrony tego grodu, spustoszenie byłoby jeszcze większe, a zgoła bezkarne, zachęcałoby do dalszych najazdów. Toteż gdy na zgłiszczach ojczystego Białaczowa spotkał się z bratem swym, Straszni ze Skrzyńska, a ten, rozgoryczony zrównaniem z ziemią swej majątności, wybuchnął zarzutami przeciw księciu, że bawiąc z wojskiem w Sieradzu, o dzień drogi konnej od szlaku tatarskiego zagonu, nawet nie próbował mu się przeciwstawić, Prandota odparł smutno:

- To prawda, że Pudykus¹ niewojenny pan. Ale cóże działałby swymi trzema tysiącami jazdy przeciw dziesięci tatarskiej? Czyż jego winić, że od innych książąt nie jeno posłuchu ni pomocy doprosić się nie może, ale od napaści opędzać się musi? Wždy i ninic wojska pod Sieradzem zgromadził przeciw łączyckiemu Kazkowi, a bogdaj nieprawda, co gadają, że Kazko z Burondajem był w znowie. Ale jeśli i nie, ani chybi, że gdyby Pudykus klęskę poniósł od Tatarzyna, Kazko nie omieszkałby sposobności, by stolicę zająć, jak ongiś niesławny rodzic jego². Nijak walczyć związanymi rękoma.

- Tedy szkoda ich i do odbudowy zniszczeń dokładać, by Tatarzyn łupić miał co - wybuchnął Strasz.

- Przódzi w piersi się nam uderzyć. By przed własnym panem nic uginać karku, pod jarzmo pogańskie go podkładamy. Nawet prosty naród czuje, gdzie przyczyna zła, bo gadkę szepce, że Chrobry nie pomarł, jeno zasnął i obudzi się, by dzieło swe od zagłady i wydania na łup obcym ocalić.

- Dałby Bóg - westchnął Strasz - ale to iście jeno gadka ciemnego pospólstwa.

¹ Pudykus - Wstydlivy.

² Rodzic jego - Konrad Mazowiecki.

- Bóg do maluczkich przemawia. Ale jest i proroctwo, że wyniesiony na ołtarze patron Polski przed Bożym majestatem oręduje, by się zrosło rozerwane królestwo. A nam w to wierzyć i chcieć.

- Jeno zdziałać nic nie możemy - wtrącił Strasz z goryczą; Prandota odparł żywo:

-Mędrzec pogański powiada: *suum fac et respice finem*¹. Ale nie trzeba i mędrca, bo nawet głupi ptak, gdy mu gniazdo wykoszą, nowe zakłada. Byłem w Sulejowie, klasztor spalony, kościół złupiony i skażony. A już go cystersi odnowili tak, że na nowo poświęcić go mogłem. Od Bożej chwały rozpoczęli odbudowę, ale nie jeno modlitwą Boga chwałą. Chłopów, którzy ocaleli, na niemieckie prawo przeniesli, łby do odbudowy dać zachętę, własnych rąk też nie żałując, i praca wre'jak w rozburzonym mrowisku. I ty, miast race łamać, przeżegnaj się, pluń w nie i weźmij się do dzieła. Zdrowe ciało szybko się goi. Ja do Wąchocka ruszam, bo i tam pewnikiem kościół do ponownej konsekracji gotowy. Potem zasię do benedyktynów na Łysą Górę. Skoro ich Opatrzność od losu innych klasztorów ustrzegła, pomoc im dać winni. A pierwsze do Sandomierza mnichów wysłać, gdzie nie jeno klasztor Św. Jakuba ze szczętem zniszczony i na nowo zakładać go trzeba, ale i mnisi do pośledniego męczeńską śmierć ponieśli - niechaj im Bóg wiekuiwą szczęśliwością nagrodzi.

Prandota pożegnał brata, uścisnął go i ruszył, by opatrywać zadane krajowi rany.

Uchodźcy, którzy schronienie znaleźli w łysogórskim klasztorze, już się byli rozjechali, ale pozostały przyniesione przez nich wieści: Jasiek bez trudu dowiedział się, że Krępa została złupiona i spalona, natomiast Dębno ocalało, i tam postanowił skierować się, bo i bliżej było.

Beztrouski okres wędrówki kończył się jednak. Dzieci przygnębiła wiadomość, że nie zastaną już miłych kątów, do których od urodzenia przywykły. Krewniacy, którzy dzierżyli Dębno, gorzej niż obcy. Star-

¹ Suum fac et respice finem - rób swoje i czekaj końca.

sza linia rodu, który od niego wziął swe zawołanie, z niechęcią patrzyła na rozdrobnienie obszernych niegdyś ziem rodowych, zwłaszcza że rozrodzona, przez dalsze podziały spaść musiała do rzędu pospolitego rycerstwa, gdy tymczasem jedyny dziedzic młodszej, mały Pietrek Zbygniewic, zjednoczyć miał kiedyś w swym ręku ojcowe i stryjowe włości. Z tego dzieci nie zdawały sobie sprawy, wiedziały natomiast, że między ojcem i stryjem a krewniakami spory były o przesypywanie kopców granicznych, porywanie ludzi i bydła, i lękały się opieki nieprzychylnych krewniaków.

Jasiek znał sierocą dolę. Jego wyświecono z rodzinnego domu, nie pytając, dokąd pójdzie wyrostek, jednak wiedział już, że za krzywdzicielami było wtedy prawo, które teraz stoi za Sławką i Pietrkim. Więc nie o włości chodziło, lecz by co rychlej znaleźć dla nich dach nad głową, a zwłaszcza - zanim krewniaci zajmą prawem bliskości ziemi kasztelana Piotra i jego brata, uważając je za puściznę - uwiadomić ich, że dzieci ocalały z pogromu. Pamiętał, co rzekł Wojan, że nikt nierad wypluć, co raz wziął do gęby.

Z Łysej Góry do Dębna nie było już daleko, a w miarę jak zbliżali się do celu wędrowki, Sławka okazywała coraz większy niepokój. W Dębnie nie była nigdy, ojciec i stryj, nawet przejeżdżając obok, nie wstępowali do stryjecznych braci. Dziewczyna rozumiała, że zagłada młodszej linii rodu na rękę byłaby krewniakom, którzy nic powitają radośnie cudem ocalonych jej spadkobierców.

Główka pojmował przyczynę jej niepokoju, lecz innego wyjścia nie widział. Jego opieka musi się skończyć, wędrować nie mogą w nieskończoność. Odzież była w strzepach, zasobów żadnych nic mają, dzieci muszą się gdzieś ustalić. Najbliższym krewniakom służy zarówno prawo, jak i obowiązek opieki nad nimi. O siebie się nie troszczył, żal mu było jedynie rozstawać się z nimi, a nic był pewny, czy uda mu się przy nich zaczepić.

Nie umiał jednak długo się martwić, a przejścia w czasie najazdu wzmogły w nim jeszcze zaufanie do własnej zaradności. Toteż gdy w pogodny przedwieczerek ujrzeni obszerne zabudowania dworca w Dębnie, w różowiejącej od zachodzącego słońca kwietnej bieli ota-

czającego je sadu, po widoku tyłu zgłiszcz i opalonych kikutów drzew spokój i bezpieczeństwo, tchnące od tego ocalałego od powszechnej zagłady zakątką, udzieliły się chłopcu. Może też podnieść chciał na ducha Sławkę, bo powiedział:

- Oto jesteśmy na miejscu. Nieobyczaj u nas nawet obcemu odmówić gościny. Wiem ci coś o tym, bom gościnnym chlebem wyżył za Bóg zapłać czy byle jaką przysługę: czy bydło przygnać z pastwiska, czy sieci pomóc rozciągać, czy częda popilnować. Nie wiesz, są tu li jakowe?

- Ponoć są, jeno chyba starsze od nas. Ociec i stryk rzadko o tym prawili.

- Tedy ich pilnować nie trzeba, ale nic to. Para rąk zawsze się przygodzi.

- Nie wiem, zali ci się uda - westchnęła Sławka. - I nam nie będą tu radzi.

- Kto by tobie nie był rad? - odparł Główek, splotił się i dodał szybko:

- Pietrkowi takoz. Może ta i waszym mieniem nie tak włodarzyć będą, jak trzeba, ale to nic. Dojdzie Pietrek do lat, z liczby¹ upomni się. Bystry jest, to się przy obrachunku omamić nie zwoli. Ale co daleko naprzdź myśleć, ninie skończy się wasze biedowanie.

- Byś jeno ty z nami pozostał.

- Juści rad bym. Ostanę lub nie, was nie poniecham. Niech się jeno gdzieś ustalę, wraz dowiem się, jak się wam wiedzie. Ale co się będziem głowić, wraz obaczym, co będzie.

Dochodzili już do położonego na niewielkim wzniesieniu obejścia z sadem, otoczonego rowem zarośniętym chwastami i nieprzebytym cierniowym żywopłotem, z którego sterczały jeszcze tu i ówdzie spróchniałe resztki dawnego częstokołu. W głębi, za obszernym podwórzem, obudowanym z obu stron gospodarczymi budynkami, widniał w cieniu starych lip przysadzisty, rozległy dworzec z poczerniałych ze starości bali.

Furta wiodąca na obejście była zamknięta, natomiast jedno skrzydło potężnej bramy z nadbudówką, widocznej pozostałości dawnych obwarowań, uchylone, i Jasiek pierwszy chciał wejść, cofnął się jednak, gdy usłyszał groźny pomruk nad sobą. Z kołowrotu nad bramą po słupie zląził chowany niedźwiedź. Trzeba było czekać na kogoś z domowników, ale widocznie dostrzeżono już przybyszów, bo od stajen zbliżał się rosły chłop i, nie doszedłszy jeszcze, na widok obdartej gromadki zagadnął:

- Wy po proście?

- My do dziedziców.

- Pana Radosława nie masz. Jenó gospodzina jest doma. A co wam za sprawa?

- To są sieroty po panu Zbygniewie z Krępy, niecie waszego pana. Parobek widocznie zdumiał się, ale odwalił kłodę z furty i, wpuściwszy, powiedział tylko:

- Gospodzina ninie przy udoju, idźcie do dworca i tam zaczekajcie.

Czekali dość długo i słońce już zachodziło, gdy zza węgła postyszeli gwar kilku głosów. Ku wejściu zmierzało trzech sporych wyrostków, najstarszy już pod wąsem, i rosła, dojrzała dziewczyna. Na widok obcych zatrzymali się, a dziewczyna zapytała:

- Wy do kogo i po co?

Przywiodłem sieroty po panu Zbygniewie z Krępy.

Nieufność brzmiała w głosie dziewczyny, gdy rzekła:

- Pan Zbygniew z dziećmi przy bracie bawił w Sandomierzu i tam ich wyrznięto. Wieści są pewne, że nikt nie uszedł z żywotem.

- Ale one ocalały, a jak, niechaj same powiedzą.

Pietrek jednak onieśmielony był, a Sławka, czując niechęć nowych krewniaków, rozżalona smutnym wspomnieniem, połykała łzy. Główka czuł, że musi czymś poprzeć swą wieść, i powiedział:

Rządnie opowiem waszemu oćcu, jak było. Ninie tyle rzekę, zem to ja Tatarzyna ubił, któren Sławkę w jasyr chciał pojąć, a że nic lżę, za lico mam zdobyczyn sztylet, ten oto.

Wyciągnął broń, a w zachodzącym słońcu kamienie w rękojeści za-
grały barwami. Wyrostkom aż oczy zaświeciły i najstarszy z nich wy-
ciągnął rękę, mówiąc:

- Pokażno to!

- Wždy widać. Nie na przedaj, tedy spojrzeć starczy.

Wyrostkowi gniewnie błysnęły oczy, poruszył się, jakby wydrzeć
zamierzał jatagan, ale dziewczyna rzekła:

- Ostaw! Macierz idzie.

W sile wieku, ale piękna jeszcze niewiasta zbliżała się już i widocz-
nie oznajmiono jej, kto przybył, bo powiedziała:

- Czemuż krewniaków na podcieniu trzymacie? Z drogi są, ogarnąć
się i pożywić muszą.

- Wiemy to, zali krewniaci - powiedziała dziewczyna. - Po najeż-
dzie niejeden z zamieszki korzysta, by się za innego podszyć, a cudze
mienie zagarnąć.

- Najdą się tacy, co ich znali. Ruszaj posiłek im zgotować, bo
prawda zali nieprawda-jeść muszą.

Widząc, że Sławce lzy spływają po twarzy, przygarnęła ją i rzekła:

- Nie trap się. Ja wam wierzę. Pójdź, to ci przyodziewę dam, bo ta
wnet spadłaby z ciebie.

Główka odetchnął, widząc korzystny obrót sprawy, nabrał śmiałości
i rzekł:

- Ja mogę zaraz zaświadczyć, jako to są sieroty po panu Zbygnie-
wie, bom z nimi społem w Sandomierzu bawił i ja ich stamtąd wy-
wiodłem.

- A ty coś za jeden? - zapytała niewiasta. Główka zmieszał się nie-
co i odparł z wahaniem wymijająco:

- Takoż sierota. Wielebny przeor Sadok w klasztorze mnie przy-
garnął, niechaj mu Bóg nagrodi. Klasztor spalony, przeor nie żywie,
jeśli się zdam na co, rad bym tu ostał. Żadna praca mi niedziwna.

- Obaczym - odparła niewiasta. - Ninie idź do czeladnej, tam ci
jeść dadzą. Wróci gospodzin, to i o tobie postanowi.

Jasiek, który już nabrał ducha, teraz przygaśł i choć był głodny, od-
dalił się niechętnie. Zostanie czy nie, skończyła się zażyłość i co-

dziennie obcowanie ze Sławką. Jego miejsce nie przy pańskich dzieciach ni teraz, ni w przyszłości. Zasmusował się tak, że nawet jadł nie-sporo i niezbyt składnie odpowiadał na zapytania ciekawych jego przygód. Zmęczony się poczuł i zniechęcony. Zbierał się do spoczynku na wskazanym mu w czeladnym budynku barłogu, gdy nadszedł pacholek z wiadomością, że dziedzic wrócił i widzieć go żąda.

Szedł, nie spodziewając się, by go czekało podziękowanie. Także przyjęcie go na wyrobek nie takie pilne, by dziedzic zaraz po powrocie z drogi o tym pomyślał.

W obszernej izbie o niskim, okopconym pułapie, za dębowym stołem siedział szpakowaty mąż. Przy nim stała poznana już niewiasta, zagryzając wargi, a po przeciwnej stronie, jak przed sądem, stały dzieci, również widocznie stropione. Przy niepewnym świetle płonących w kunach¹ smolnych drzazg Główka widział lśniąco łzami oczy Sławki i ogarnęło go wzburzenie. Żałował, że je tu przywiódł. Nie liczył już na to, by mógł przy nich pozostać. Toteż gdy Radosław zapytał ostro: „Skąd wiesz, że to są dzieci pana Zbygniewa”, odparł zuchwale:

- Bo się pan Zbygniew nie zapierał swej krwi.

Przymówka była wyraźna. Oczy Radosława błysnęły gniewnie, ale w słowach brzmiało pogardliwe lekceważenie, gdy powiedział:

- Skąd takiemu powsinodze znajomość z panem Zbygniewem? Coś za jeden?

- Z imienia mi Jasiak, a wołają mnie Główka. Nie znajomość mi z panem Zbygniewem, jeno kto w Sandomierzu bawił, wiedział, kóren jest pan Zbygniew i które są jego dzieci.

- Kto bawił w Sandomierzu! Jeno my wieści mamy, że nikt całej głowy stamtąd nie wyniósł!

- Gdyby głowy nie uniósł, nie uniósłby i języka. Musiał ci ktoś kromie nas ocaleć, a jak myśmy ocaleli, mogą rzec.

- Słyszałem już.

- Tedy czego ode mnie chcecie?

W kunach - w żelaznych uchwytach.

- Pokaż no ten sztylet, któren, jak rzekłeś, licem ma być twego czy-
nu. Może go kupię.

Ale Główka już powziął postanowienie i odparł:

- Nie przedam. Pokazowałem już, nie chcecie wierzyć, pójdziem
indziej poszukać sprawiedliwości.

- Ty pójdziesz precz - warknął dziedzic - i bacz, bym ci czego nie
dołożył na drogę. A one tu ostaną, póki się nie sprawdzi, kto zacz są
i kto za nimi stoi.

Jasiek zbladł i zacisnął zęby, ale Sławka, wzburzona, krzyknęła:

- Nie ostaniem! - i wybuchnęła płaczem.

- Ciebie nie pytam - rzucił dziedzic gniewnie i, wskazując Głównce
drzwi, powtórzył:

- A ty precz!

Główka obrócił się na pięcie i, nie skłoniwszy się, wyszedł,
a niewiasta, ogarnawszy ramionami płaczące dzieci, wyprowadziła je
ze świetlicy. Powróciła jednak po chwili i zamyślonego chmurnie
małżonka zapytała:

- Za co tego junoszkę wyganiacie? Nie łże on i wy wiecie, że to sie-
roty są po waszym stryjecznym, a do niego przywiązane. Lżej by im
było przy nim do nowych miejsc i ludzi nawyknać.

- Mam mu dziękować, że przez niego nasze i Miłostawowe dzieci
chudopachołkami ostaną! - odparł gwałtownie.

Przybladła i szepnęła:

-To tak! Miast Bogu dziękować, że naszym ich losu oszczędził!
Milczałam, gdyście z braćmi zadry szukali, choć nie rosą rody od
sporów ni majątności z cudzego. Niech radziej nasze na łązęgę idą
lubo przypisańcami ostaną, niżby się z krzywdy sierot lub, gorzej, ich
żywotem wzbogacić miały.

Ze złością wyrznął pięścią w stół i krzyknął:

- Białoogłowskie gadanie! Jeszcze i za tym darmochoodem będziesz
obstawać!

- Praw jest, że niedowiarstwem za niedowiarstwo płaci - odparła
i wyszła, by zajrzeć do dzieci, którym nocleg przygotowała w swoim
alkierzu.

Siedziały przytulone do siebie, nie układając się do snu, choć Pietrkowi kleiły się oczy. Sławka natomiast patrzyła przed siebie i nie spojrzała, gdy Stachna weszła. Usiadła obok dziewczyny i gładząc ją po głowie, powiedziała:

- Nie sumuj, się. Ja wam krzywdy uczynić nie zwolę.
- Dzięką wam, gospodna - szepnęła Sławka - ale my tu nie ostaniem.
- Mów mi „stryjno” - powiedziała Stachna, Sławka jednak odparła:
- Nie jesteśmy krewniacy, nie ostaniem.
- Nie mów tak, wierzaj mi, żem wam życzliwa. Rozumiem, że ostatecnie nie chcesz, ale dokąd pójdziecie?
- Choćby na łąkę z Jaśkiem. Gorzej było, a zawsze zaradzić umiał. On nic da nam zginać.
- Macie jakowych swojaków po macierzy?
- Macierz dawno pomarła. Nie znam nijakich jej krewniaków.
- Tedy dokąd pójdziecie? - powtórzyła Stachna. - Może on Główka doradny, ale na opiekuna wam się nie zda. Gdzieś ci osiąść musicie.
- Nie musimy - z uporem powiedziała Sławka. - Lepiej nam z nim, choć i głodno, niżli tu. Choćby w lesie osiadzicim, a tu nie ostaniem.

Stachna podjęła z westchnieniem:

-Nie wiesz, co mówisz. Wierzę, że on Główka dobry junoszka, rozumiem, że wdzięczność dla niego żywicie. Ale nie czędo on już i ty skoro żrała będziesz. Wałęsając się z nim, na osławę się wystawisz, jeśli zgoła nie co gorszego. Niepewnie on o swym pochodzeniu prawi, a tyś rodowa dziewczka. Skoro nadejdzie czas, męża ci najdzicim stanem odpowiedniego, któren i nad wami, i nad mieniem pieczę obejmie, a za was onemu Główce odwdzięczy. Ninie cierpliwość mieć musisz, byście się oboje nic zamamili.

- Nijakiego męża nie chcę - odparła porywczo zarumieniona Sławka.

Stachna zapytała cicho:

- Ty tego junoszkę miłujesz?
- Nic wiem - szepnęła Sławka.

- Ale ja wiem. Posłuchaj, co rzekę: dam mu przyodziewę i nieco srebra. Jeśli iście tak doradny jest, może barczałką¹ ostanie. Ale to dalekie sprawy, cały żywot jeszcze przed wami. Ninie nie myśl o nim, może i zabędziesz. Dojdiesz do rozumu i doświadczenia, sama sobą zarządzisz.

- Niechaj mnie Bóg pokara, jeśli zabędę - szepnęła Sławka.

- Posłuchaj mnie, bo świadczę się Bogiem, że macierz rada bym wam zastąpić - rzekła Stachna. - A teraz spać, Pietrek już ledwo na oczy patrzy.

Ułożyła dzieci i wyszła. Pietrek istotnie zasnął, ledwo głowę przyłożył, Sławka jednak długo w noc rozmyślała. Dobroć stryjny uspokoiła ją nieco, ale zarazem uświadomiła jej, że to nie jedynie z wdzięczności dla Jaśka wołałaby iść wraz z nim na niepewne, niż tu pozostać. Rozumiała jednak, że stryjna ma słuszność, a zarazem że zmamić się może także Pietrek lub musiałaby go samego wśród obcych, przeważnie niechętnych ludzi zostawić. Musi pozostać z nim, ale Głównce powie, że czekać będzie na niego choćby przez całe życie. Gdy jednak rankiem pierwsze kroki skierowała do czeladnej, Głównki już nie było we dworcu.

- Nawet nas nie pożegnał - szepnęła. - Jemu wolno zabyć.

Głównka wobec dziedzica nadrabiał zuchwalstwem, ale wyszedłszy, przygnębiony się poczuł. Znowu skończył się dobry okres jego życia, pożegnać się trzeba nawet z marzeniami. Cóż stąd, że Sławka wołałaby z nim odejść, niż pozostać; nie ma dokąd dzieci zaprowadzić, nawet gdyby zbiegły. Na całym świecie nie ma swego kąta, nawet drogi przez wieś, jak mówił Wojan.

Najchętniej wróciłby do niego, ale nawet nie wie, kędy go szukać. Wojan zresztą wyraźnie nie chciał tego, jakkolwiek polubili się wzajem. Do Sandomierza nie ma po co wracać, klasztor spalony, ni jeden z mnichów nie ocalał, przeor Sadok nie żyje. Gdzie jeno serce zaczepić, wraz się rwie. Znowu nikomu nie jest potrzebny i nie wie, co począć ze sobą.

¹ Barczałką - świeżo podniesionym do rycerskiego stanu.

Zadumę Jaśka przerwał parobek, który wszedł, mówiąc:

- Nie śpisz, to wynijdź. Gospodzina chce gadać z tobą. A pozor daj, bo psy spuszczone. Twoim portkom niewiela się należy, ale skóry szkoda.

- Czego ode mnie chce? - zapytał Główka niechętnie, a parobek odparł:

- Ciekawys, to idź, a nie - to spać.

Zaczął się rozdzwiewać, a widząc, że Główka jednak zbiera się do wyjścia, rzucił za nim:

- Wrócisz, to zgaś łuczycwo, by się ogień nie zaprószył.

Stachna czekała przed budynkiem, widocznie nie chcąc świadków przy rozmowie z Jaśkiem. Przy świetle księżyca patrzyła na niego przez chwilę i zaczęła:

- Częda tu ostaną. Ty ostać nie możesz, nie jeno dlatego, żeś dziezdicowi zuchwałę przymówił. Dokąd chcesz się udać?

- Moja sprawa - odburknął. - I dzieci bym tu nic przywiódł, bym wiedział, że je tu po niewoli zatrzymacie.

- Gdziczbyś je zawiódł? - zapytała spokojnie. Gdy nic odpowiadał, dodała:

- Sam nie wiesz. A to winieneś już rozumieć, że wałasając się z nimi, na osławę dziewczkę wystawiasz. I bez złej woli krzywde dodać możesz do dobrego uczynku.

- Bogdaj ją tu większa krzywda nie spotkała - wybuchnął. - Niegłupim i wiem, że o to na mnie złość, bo się bratowizna wam wymknęła bez to, zem je od zagłady ocalił.

Zagryzła wargi, ale odparła bez gniewu:

- Najdziesz miejsce, gdzie byś o nie spokojny być mógł, że je krzywda nie spotka, nie będąc się przeciwić. Co z sobą zamysłasz?

- Cóże wam o to, choćbym się i obwiesił - odparł szorstko, ale nie dała się zbić z tropu i powiedziała:

- Prawisz byle co, bo ci gorzko. Wierzaj mi, że i dzieciom, i tobie dobrze życzę. Po cóż bym pytała? Nie wiesz, co z sobą począć, posłuchaj rady: znasz już klasztorny żywot, naszedłeś tam dobrego człeka, co się zajął tobą. Do Sandomierza nic masz po co wracać, ale

w trzech milach stąd jest klasztor w Wąchocku. I ten spalony, ale mnisi ocalili i już się odbudowują, rąk im potrzeba. Może tam znajdziesz nowego opiekuna, a niechby i nie, przyżywisz się, póki do lat nie dojdiesz. Tu masz przyodziewę, byś się przystojnie okazał, i nieco srebra w mieszk - wyciągnęła zawiniątko, ale Główka zachnął się:

- Nagrody od was nie czekam.

- Weźmij! Za dobry uczynek Bóg ci odplaci. Nie zapłata to, jeno wspomóżenie dla sieroty. Ni podziękii, ni odwdziękii takoz za to nie czekam.

Wepchnąwszy mu do ręki zawiniątko, oddaliła się. Stał jeszcze niepewny, czy biec za nią i oddać podarunek, czy dziękować. Westchnął, wszedł do izby, zgasił światło i próbował zasnąć. Odprężył się: o dzieci był spokojniejszy, a rady posłucha, bo nic innego na myśl mu nie przychodziło. Może tam spotka Smolenia i dowie się od niego, gdzie szukać Wojana. A jeśli i nie, pozostanie w klasztorze. Może tam dzieci ujrzy, bo pewnikiem na nabożeństwa do Wąchocka jeździć będą, gdy kościół w Tarczku wraz z gródkiem i osadą spalony, a prędeż się klasztorny odbuduje. O tym, by więcej miał nie ujrzeć Sławki, nawet myśli nie dopuszczał, żal mu jeno było, że nigdy nie będą już tak blisko i poufale.

Zbudził się o świcie w lepszym nastroju. Rad by dzieci pożegnał, ale wiedział, że w dworcu lepiej się nie pokazywać. Wyszedł, gdy bydło wyganiano na paszę, i spieszył tak, jakby w Wąchocku tylko na niego z odbudową klasztoru czekali.

Słońce niewysoko jeszcze stało, gdy zostawił za sobą milę dzielącą Dębno od Tarczku. Na pogorzeliśku już uprzątniętym mrowiło się od pracujących. Widocznie ludność, na czas przestrzeżona, zdążyła się schronić w lasy nad Pilicą, a teraz wrzała praca przy odbudowie, zwłaszcza na grodowym pagórku. Gdy jedni oczyszczali wał z resztek spalonego częstokołu i pogłębiali rów, inni przygotowywali budulec, zwłoczony z niezbyt odległego lasu konno, wołami, a nawet krowami. Mimo że pracowano gorliwie, rosły mąż nadzorujący odbudowę nie pozwalał nikomu ni na chwilę oderwać od roboty rąk, by wyprostować grzbiet lub wody się napić, choć pogodne słońce zaczynało już doskwierać.

Jasiek przysiadł na stercie surowych pni woniejących żywicą i patrząc na pracujących pożywił się, bo nie wiedząc, czy w drodze uda mu się zdobyć pożywienie, zabrał ze sobą ofiarowane mu śniadanie. Zapatrzony nie zauważył, że za nim stoi nadzorca, i aż podskoczył, gdy ten huknął mu nad uchem:

- Jak cię przekropię basatykiem, to ci głód przejdzie. Do roboty!

Jasiek połapał się, że nadzorca bierze go za jednego ze swych ludzi, i odszczeknął:

- Dzięką wam za zadatek, ale ja tu nie robocę, jenom przysiadł z drogi pożywić się.

- A dokąd ci droga? - spokojnie zapytał nadzorca.

- Do Wąchocka, bo tam pono rąk do odbudowy potrzeba odparł Główka.

- A tu nie trzeba? Oni tam już kończą, a my zaczynamy. Skoro partrzeć, pan biskup tu będzie. Biegun był od niego z zapowiedzią, że przed wieczorem się go spodziewać.

- Dzięką wam - uśmiechając się powtórzył Jasiek - ale ja za basatyki robocie nie winicnem.

- A coś za jeden? Wydolisz aby chocia pniaki korować?

- Gomótek¹ - odparł Główka wymijająco. - Ani mi cieślica nic nowina - chełpliwie dodał - jeno nie za basatyki.

- Głupiś! Mytnikom² płacę, ile wyrobią. A skądęś?

- Z Sandomierza.

- Z Sandomierza? - powtórzył nadzorca nieufnie. - To tam roboty nie stało? Powiedz, żeś darmochód, i zmywaj stąd, bo mi leniem innych zakazisz.

- Nie sierzćcie się - powiedział Główka. - W Sandomierzu byłem, gdy go Tatarzyn obiegł i spalił na samą Gromniczną. Potem zasię w puszczy, a ninie idę z Dębna.

- Od tego rabusia i ciemieżnika, co nawet kościelnego dobra nie uszanuje! Miast z dziesięć kamieni wosku na chwałę Bożą ofiarować

¹ Gomótek - człowiek wolny, nicosiadły.

² Mytnikom - najemnikom.

w podzięce, że go tatarska nawała ominęła, narożnice przesul¹, by urwać, co wydoli. Ale już się pan biskup o kościelne mienie upomni, a bogdaj klątwa obłoży niezbożnika. A ty powiadaj, jak było w onym Sandomierzu... Aleja gadam, a robota stoi! Wieczorem mi opowiesz, a ninie imaj się pracy. Nie pożałujesz.

Jasiek przyłączył się do korujących pnie, nie tyle dla obiecanego zarobku, ile w chęci zobaczenia biskupa Prandoty, o którym wiele słyszał w sandomierskim klasztorze. Po Wisławie jednomyślnie wybrany, od osiemnastu lat pasterz stołecznej diecezji, cieszył się powagą większą niż sam książę, który jemu zawdzięczał krakowski stolec, gdy niemowłecemu bratańca pozbawić usiłował dziedzictwa po zamordowanym ojcu Konrad Mazowiecki. Przyjaciół i krewniak niedawno zmarłego w zawołaniu świętości apostoła północy - Jacka Odrowąża - i świątobliwej przeoryszy zwierzynieckich norbertanek - Bronisławy - biskup za dobrodzieja uchodził wszelkiej biedoty, a surowego stróża obyczaju i prawa.

Nie sama jednak ciekawość skłoniła Jaśka, by czekać na przybycie biskupa. Z tego, co mówił wódarz, jasne było, że Radosław z Dębna nie może liczyć na przychyłność potężnego dostojnika. Jaką korzyść Jasiek sam z tego zdoła wyciągnąć, jeszcze sobie nie zdawał sprawy, a zwłaszcza jak się docisnąć przed oblicze biskupa, na którego czeka wiele pilnych i ważnych spraw. A gdy się docisnie, jak swoją przedstawić, by opiekę nad dziećmi i ich mieniem Radosławowi odebrać.

Główka pracował, prawie nie wiedząc, co robi, bo myśl miał zajęta swymi zamierzeniami, i ani się obejrzał, jak minął dzień i wraz z innymi wezwano go na wieczerzę, a wódarz, dostrzegłszy go, powiedział:

-Nie odchodź nigdzie. Opowiesz mi, jak owo było w Sandomierzu.

Musiał jednak hamować swą ciekawość, bo jeszcze pracownicy nie skończyli pożywiać się, gdy z lasu od północy wysunął się okazały orszak i kto żył, biegł witać przybywającego pasterza.

Główka nie był ostatni i zdążył z bliska przyjrzeć się biskupowi. Mimo że raczej zuchwały niż nieśmiały, zmieszał się na myśl, że

Narożnice przesul - znaki graniczne przesypał.

przyjdzie przed pasterzem stanąć. Prandota jechał konno, w krótkiej szacie podróżnej, z jedyną oznaką swej godności, złotym krzyżem na piersi. Ale gdy przelotnie spojrzenie oczu jego spoczęło na chłopcu, Jaśkowi zdało się, że nic się przed jego wzrokiem nie ukryje. Jakby go przeświecił. Uspokoił się tym, że sam niewiele ma do ukrywania, natomiast biskup bez zawilych wyjaśnień zdoła zrozumieć, dlaczego losu sierot nie można zawierzyć takiemu jak Radosław opiekunowi. Na razie ważniejsze było, jak nieznanemu wyrostkowi uda się dostać przed oblicze dostojnika, który jeno z konia zsiadłszy, obchodzić zaczął gródek, wypyując włodarza i wydając zarządzenia. Tymczasem ludzie z jego orszaku gotowali nocleg pod namiotami, a potem na zbitym naprędcie z tarcie stole zastawiano wieczerzę w oczekiwaniu na powrót biskupa, który wciąż jeszcze, mimo że zmrok już zapadał, omawiał rozpoczęte prace, widocznie wczesnym rankiem zamierzając ruszyć w dalszy objazd swej ogromnej, a w znacznej części spustoszonej diecezji.

Jasiek kręcił się opodal, nie ośmielając się przystąpić do biskupa. Noc już nastała, po wieczerzy biskup zapewne zaraz uda się na spoczynek i minie jedyna sposobność, by przedstawić mu sprawę sierot po Zbygnicwic. Główka usiadł na stercie budulca i walczył z ogarniającą go sennością, gdy zauważył włodarza, który jakby za czymś się rozglądał. Główka zerwał się i przystąpiwszy do niego, zapytał:

- Mnie szukacie?

- Gdzie się podziewasz? Pan biskup chcą gadać z tobą.

Jasiek nie pytał, o czym, bo układał sobie naprędcę, jak swoją sprawę przedstawić. Ale stanąwszy przed Prandotą zapomniał języka w gębie, gdy spoczęło na nim przenikliwe spojrzenie dostojnika, który przez chwilę przyglądał się chłopcu, jakby go szacował, zanim zapytał:

- Prawisz, że czasu oblężenia byłeś w Sandomierzu. Jako się stało, żeś ty jeden ocalał?

-Nie jeno ja. Dzieci pana Zbygniewa z Krępy a bracińce kasztelana takoz. Może i kto więcej, wiedzieć nie mogę.

- Wieści mieliśmy, że Tatarzyn nie oszczędził nikogo - powiedział w zamyśleniu biskup.

Jaśkowi zdało się, że Prandota nie ufa jego słowom, ale pamiętał, iż nadarza się sposobność skierowania rozmowy na dzieci, i dodał:

-Nie chcę się bucić prawiąc, jakieśy ocaleli. Dzieci w Dębnie ostały, blisko jest, zechciejcie ślać po nie, same opowiedzą.

- Nie będę ich wzywać, bo w Dębnie sprawę mam i tam je ujrzę. Ninie ty praw. Ja wierzę, a chwalić się nie musisz. Znać chcemy jeno one żałośliwe przypadki.

Biskup słuchał przymknawszy oczy, a Główka rozgadał się. Gdy doszedł do rzezi w kościele, głos mu się załamał i urwał. Prandota podniósł powieki i patrzył na niego ze współczuciem:

- Nie sromaj się żalu, bo i my bolejem nad srogim umęczeniem tylu braci, choć zawidzić¹ im można błogosławionej śmierci. Poczynim starania, by ich Kościół w poczet swych świętych policzył, orędowników przed Bożym tronem o ochronę przed pogańską szarańczą. A ty co działałeś w klasztorze i jakieś ocalał? Rycerskiego rodu jesteś lubo chłopowic?

Jaśiek pokraśniał i odparł wymijająco:

- Macierz moja za panem Wierzbietą Strzemieńczykiem z Niegosławic była. Pomarła i swojacy pana Wierzbiety z imienia mnie wygnali. Wielebny przeor Sadok mnie przygarnął i nawet uczyć kazał...

Główka zaciął się znowu, a biskup patrzył na niego ze zrozumieniem. Wiedział, że Wierzbietą z Niegosławic poległ w czasie pierwszego najazdu. Zapytał:

- A chciałbyś się uczyć? Niesłuszne to prawa, które za cudzą rozpusztę bezwinnie pokolenie kaźnią. Ale Ojciec Święty dyspensy udzielić mocen *ab illegitimi tori impedimento*². Na bystrego otroka patrzysz, zyszczesz stopień magistra lubo doktora, droga do wszelkich kościelnych godności będzie ci otwarta.

Jaśiek zmieszał się i pokraśniał. Wiedział, że biskup surowo tępi małżeństwa duchownych, a z marzeniem o Sławce nie chciał się po-

żegnać. Nie chciał też jednak zrażać sobie przychylnego widocznie dostojnika i odparł:

- Rad bych się uczył, alem sobie ślubił pomścić onę rzeź, a jakoże w duchownym stanie?

- Nie jeno miecza na to trzeba - westchnął Prandota. - I do tegoś jeszcze za młody, do święceń takóż, a do nauki prawie. Dojdiesz do lat, sam uznasz, jakie twe powołanie.

Główka jednak już teraz wiedział i odparł:

- Juści że mieczem łącniej, alem ja gołymi rękoma Tatarzyna ubił.

Zdało się mu, że w oczach biskupa widzi niedowierzanie. Wyjął z zanadru jatagan i pokazując go, dodał:

- Jeszczem i to na nim dobył.

Opowiedział przygodę, a Prandota słuchał uważnie i z zaciekawieniem oglądał bogatą broń. Gdy Główka skończył, zwracając mu ją, powiedział:

- Zaradny jesteś i niebojaźny, ale po prawdzie to, żeś człeka ubił, takóż do duchownego stanu *impedimentum* stanowi *non perfecte lenitatis*. Widno nie jest ci pisany. - Zwracając sztylet, dodał: - Tego z ręki nie puszczaj. Może ci to kiedyś dołą pomoże odmienić. I one sieroty odwdziękę ci winne, choć różnymi drogami wdzięczność chadzać zwykła i niejeden rad zabyć, co drugiemu dłużny.

Mimo że Prandota onieśmielał go, Jasiek aż zakrzyknął:

- Sławka - zmieszał się i poprawił - córa pana Zbygniewa rzekła, jako nigdy nie zabędzie, com dla niej uczynił.

Prandota dobrze zrozumiał, na jaką wdzięczność liczy wyrostek, i rzekł:

- Choć do lat dojdzie, nie ze wszystkim dobrowolność będzie miała. Dobroczyńcy zasię nie przystoi ceny za przysługę wyznaczać. Bliższa sprawa, z czego ninie żyć będziesz?

- O siebie się nie troskam. Ale dzieci pana Zbygniewa u człeka ostały, który nawet bliskości z nimi uznać nie chciał, poręczniej by Zawidzić - zazdrościć.

² Ab illegitimi tori impedimento - od przeszkody nieprawego pochodzenia.

Impedimentum - przeszkodę.

Non perfecte lenitatis- niedoskonałej łagodności.

mu było, by zginęły, bo bratowizna po stryjecznych jemu by przypadła, choć za ich żywota w waśni żyli o poniszczone ciosna¹. O to i na mnie cięży, żem sieroty ocalił, i z dworca mnie przegnał. Żeby nie małżonka jego, zacna jakowaś niewiasta, zgola o ich żywot bym się bojał.

- *Cupiditas mater omnium malorum*² - szepnął Prandota do siebie.
- Obaczmy, może księżę zechcą objąć pieczę nad sierotami po mężu, który żywot za kraj położył. Mniemam, że uda mi się je odebrać. Ty zasię zgłoś się u mnie w Krakowie. Zaradny jesteś, ale doświadczenia ci brak. I tyś sierota, niebożę, opiekuństwa ci trzeba, byś się nie zmamił.

Prandota widocznie skończył, ale Jasiek nie odchodził.

- Chciałeś jeszcze czego? - zapytał biskup.

- Zwólcie mi z wami do Dębna, przewielebny panie - odparł Główna. - Ni dzieci pożegnać nie wydoliłem, niechaj nie mniemają, żem je zgola poniechał.

- Chcesz, to przyłącz się do naszego orszaku - rzekł Prandota - ale czy zwolą ci z dziećmi się spotkać, nie wiada, bo i my nie w gościnę tam jedziem i dziedzic rad nam nie będzie.

Przewidywanie Prandoty sprawdziło się. Gdy jego orszak zatrzymał się przed zamkniętą bramą dworca w Dębnie, biskup długo musiał czekać, zanim pacholek, który poszedł oznajmić jego przybycie, wrócił i zmieszany rzekł:

- Wybaczcie, dostojny panie, że powiem, co mi gospodzin kazał: za mała jego chata na tylu gości, a przed najazdem bronić się będzie.

- Rzeknij swemu panu - spokojnie odparł biskup - że ni w gości zjechaliśmy, ni najazdem, jeno po sprawie. Może i jemu dogodniej na miejscu po krześcijańsku ją załadzić, niżli przed księżącym sądem stawać. A takoz - dodał ostrzej - że nie po prośbie przychodzim, by pod progiem czekać, i że kościelne kary w naszym są rękę.

Tym razem pacholek wrócił rychło i oznajmił:

- Gospodzin proszą, ale jeno waszą przewielebność.

¹ Ciosna - znaki graniczne.

² *Cupiditas mater omnium malorum* - chciwość matką wszelkiego zła.

Prandota zawahał się, ale zsiadł z konia i zwracając się do kanonika Wisława, powiedział:

- Długo nie zabawię. Na popas staniam w lesie. Konie popaść, nie puszczając popręgów, wozów nie wyprzęgać.

U wejścia do dworca czekał Radosław. Skłonił się nadchodzącemu Prandocie, ale nie pochylił do ucałowania ręki i rzekł z wyraźną drwiną:

- Wybaczcie, żem nierad ubóstwo swoje takowemu dostojnikowi okazować. Za zaszczyt bym poczytał, że się do moich progów uniżacie, gdyby nie to, że jeno po jakowejś sprawie, za którą mi sądem i karami grozicie. Aza mogę wiedzieć, po jakiej?

- Po to i przychodzę, aczkolwiek mniemam, że wiecie bez gadania. Ale nie będziem gadać stojący.

- Iście nie. Ja takż nic przed sądem jeszcze stoję. Zwólcie do świetlicy.

Gdy zasiedli, Prandota zaczął bez wstępu:

- Doszło do naszej wiadomości, żeście narożnice i ciosna poniszczyli, jawnie po to, by tarckiej kasztelanii przynależne ziemie, własność krakowskiego Kościoła stanowiące, sobie przywłaszczyć.

- Bo zawżdy Czarna Woda była granicą i nijakich innych znaków nie trzeba - odparł Radosław. - Jawnie nie o oną błocinę idzie, gdzie za cały pożytek barwice¹, jeno o prawo stawiania młynów na strudze. Nie strach mi pozwu, bo przysiężników stawię, a mnie, który z rodu od wieka tu siedzę, lepiej granica znana niżli wam lubo waszemu włodarzowi, co dzisiaj jest, a jutro go nie będzie.

- Gdyby i tak było - odparł spokojnie Prandota - mógłbym mniemać, żem w błędzie. Aleć i w naszych do łagowskiego klucza przynależnych borach ciosna zostały zniszczone...

- Bo łysogórska puszcza przódzi Boża była, a potem nasza - prze-rwał Radosław - i nikto jej granic nie wyznaczał.

- Granice w nadaniu są określone, a łany żerdnicy pomierzyli, gdy Kościół przypisańców na nich osadzał - ostrzej zaczął Prandota.

Barwice - niezapominajki.

Radosław jednak znowu przerwał:

- Ale na surowym korzeniu, gdzie raniej puszcza była.
- Nie spierać się przychodzę, jeno zapytać: chcieli po dobrej woli kościelne mienie zwrócić? Żerdników przysię, którzy pomierzą...

-Nijakich żerdników na swoje ziemie nie wpuszczę - szorstko przerwał Radosław. Biskup wstał, mówiąc:

- Tedy Kościół prawa swoje przed sądem dokaże, bo *nemo iudex in sua causa*¹, choć mógłbym zbrojnie ich dochodzić, gwałtem na gwałt odpowiadając. Dlatego i *ensis spiritualis*² zatrzymam w pochwach, a prawem was przekonam, że rabunek nie popłaca. Ale to wam przepowiadam, że gdyby one sieroty po Zbygniewie z Krępy krzywda jakowaś spotkać miała z waszej poręki, nie omieszkać całą siłą uderzyć.

-Pokornie waszej przewielebności za wyrozumiałość dziękuję. Miarkuję, żeście onego darموchoda naszli, który je tu przywiódł. Aleć dotychczas nie ode mnie krzywda je spotkała, jeno od ich własnego oca i stryka.

Na pytające spojrzenie Prandoty, dodał:

- Co jeno we włościach zdadne było do broni, do Sandomierza ściągnęli na przepadłe, choć nie powinni. Co ostało, do cna się zmamiło bez męskiej ręki. Zmamiło się bydło, przepadły zasoby z ruchomego mienia, co nie spłonęło, złupione do szczętu. Rabunek, mówicie? Kto one sieroty wyzuł z mienia, ja zali ociec i stryk? Dotychczas tyłem korzyścił, zem je przyzodziać musiał, bo snadnie by ostały jako je Bóg stworzył. Sieroty po głupcach, co się ze mną wadzili o rodowe ziemie po to, by je pustacją ostawić!

Hamując wzburzenie, Prandota przerwał:

- Sieroty po mężach, którzy przed Bogiem i ludźmi zasługę mają, że ponad swą powinność krwie ni mienia nie pożałowali dla pospólnego dobra. Nie wam słuza przyganiać im, co nie dość, żeście o sobie i swoje dbali, ale korzyścić zamysłacie z powszechnego nie-

szczęścia. Nie byłoby do niego doszło, gdyby każdy stryjecznych waszych naśladował. A nie lubują wam sieroty, zabiorę je pod książęcą pieczę.

- Dzieci nie wydam! Nie wam mnie ganić - zuchwale odparł Radosław - bo nie słyszno, by z włości waszej diecezji chłopów do broni ciągnano.

- Bo dwa gody temu książę na wiecu w Sandomierzu za zgodą rycerstwa zwolnili Kościół od wszelkich powinności wojennych, chyba w razie litewskiego najazdu, a mienie jego służbie Bożej i dziełom miłosierdzia poświęcone - ostro odparł biskup, ale Radosław odgryzł się:

- A jeno nasza powinność bronić go - powiedział drwiąco. - Dużo też stryjeczni moi dla powszechnego dobra zdziałali! Sandomierz wraz z grodem spalony, kto się w nim schronił, gardło dał, jeno tych dwoje sierot po Zbygniewie ów łązęga na moje utrapienie ocalił. Aćby książę Bolko stryjecznych moich naśladował! Ale wam ten ciastoch¹ na krakowskim stolcu poręczniejszy był niżli Konrad, który za nic miał waszą kłatwę. Taki wam sprawiedliwy, co słucha jako pies rogu.

- Dość, jeśli sami ostrza kłatwy doznać nie chcecie - uciał Prandota wzburzony i bez pożegnania zawrócił ku wyjściu.

Zuchwalstwo czelnego człowieka ubodło nie tylko jego dumę i poczucie godności. Mimo wzburzenia patrzył szerzej i dalej. Kłatwa, którą ongiś Stanisław ze Szczepanowa obalił Śmiałego, później nadużywana, stępiła swe ostrze, walka, w której obydwaj przeciwnicy żywot położyli, wyszła na korzyść wrogów. Gdy przed kilku laty długootrwałym staraniem Prandoty wnoszono Stanisława na ołtarze, obecność na uroczystości wielu piastowskich książąt zdała się oznaczać pojednanie. To prawda, że Kościół popierał uległych, ale walka się nie skończyła, jeno zwyrodniała do małych spraw. Bolesław Łysy podstępem pojmał wrocławskiego biskupa Tomasza, by od niego wymusić dziesięć tysięcy grzywien, i nie zważając na kłatwę i interdikt tak długo gnoił w lochu, aż biskup złamany uległ. Prandota rozumiał, że osłabienie władzy książęcej, rozpoczęte nieszczęsnymi

Nemo iudex in sua causa - nikt sędzią we własnej sprawie.

Ensis spiritualis - miecz duchowy.

C iastoch - niedołęga.

podziałami, nikomu na korzyść nie wychodzi. Był rzecznikiem pro-
roctwa zjednoczenia kraju za wstawiennictwem świętego Stanisława,
którego żywot spisać polecił. Ale nie widział człowieka, który zdolny
byłby tego dokonać. Gdy siła całego kraju spoczywała ongiś w jed-
nym ręku, potrafił się oprzeć nie takiej potędze, jak trzy tumeny jed-
nego tatarskiego nojona. Wstydlivy i tego nie potrafił, co gorsze, nie
próbował. Piotr i Zbygniew z Kрэpy nie znajdują naśladowców, ich los
był raczej przestrogą. Zmarnowane mienie, dola sierot w ręku chci-
wego i nieprzychylnego im człowieka - to nagroda za żywot oddany
dla kraju.

Prandota, wyszedłszy, obejrzał się za Jaśkiem, by mu wyjaśnić, że
wymozę przez księcia wydanie dzieci, ale Główka gdzie się zapodział.

Po przyjęciu, jakiego doznał biskup, Jasiek stracił powziętą nadzie-
ję, że pod jego płaszczem uda mu się zobaczyć ze Sławką, a tym
mniej, by Prandota dzieci odebrał. Ale świadomość, że dziewczyna
znajduje się tak blisko, a może sądzi, że nie dba już o nią, nie pozwa-
lała mu wyrzec się przemożnej chęci chociaż pożegnania się i zapew-
nienia, że jej nigdy nic poniecha. Nie masz takiego ogrodzenia,
w którym by dziury jakowejś nie było, a jeśli nie ma, to da się zrobić.

Gdy biskup udał się do dworca, Jasiek ruszył wzdłuż żywopłotu.
Psy we dnie są na uwięzi, dzieci zapewne nie trzymane w zamknięciu,
w pogodny i gorący dzień nie usiedzą pod dachem. Szedł wzdłuż za-
rośniętego pokrzywą i łopianem rowu, nasłuchując i wypatrując,
gdzie by się przez tarniowy żywopłot przecisnąć dało. Większą prze-
szkodę niż ciemista gęstwina stanowiły resztki zmurszałego ostroko-
łu. Choć tu i ówdzie zwalił się, wplątane w gąszcz jego resztki
stanowiły nieprzebytą przeszkodę nawet dla oka. Żaden też głos nie
dochodził z sadu prócz brzęczenia pszczoł, a chwilami pogwizdywa-
nia wilgi. Tylko od budynków, odległych o dobre dwa stajania, sły-
chać było gwar ludzkich głosów.

Główka zaciął się. Póki zmrok nie zapadnie, jest nadzieja, że zoba-
czy Sławkę. Lżej im będzie rozstać się, gdy jej doniesie, że biskup

obietuje wstawić się u księcia, by sam nad sierotami zechciał objąć opiekę. Trochę cierpliwości, a ujrzą się w Krakowie.

Raz i drugi spróbował daremnie przedrzeć się przez gęstwinę. Żywopłot, choć z trudem, dałoby się odchylić lub wyciąć, ale nie było jak usunąć przegniłych pali, choć przeważnie luźno tkwiły w gęstwinie. Rozejrzał się i uwagę jego zwróciła rozłożysta lipa, z której można by wglądać w głąb obejścia. Niektóre konary zwisały nawet poza ogrodzenie. Niewiele myśląc, wspiał się na nią i rozejrzał się. I stąd jednak słaby wgląd był w najbliższe otoczenie, korony bowiem starych jabłoni niemal stykały się z sobą, tworząc jakby strzechę nad tą częścią sadu. Mógłby dostrzec dziewczynę tylko wtedy, gdyby przechodziła w pobliżu, niemniej postanowił siedzieć na drzewie choćby do zmroku.

Zaledwie o tym pomyślał, dostrzegł ją. O dobre pół stajania smukłe grusze nie zasłaniały podłoża. W cieniu jednej siedziała dziewczyna z twarzą ukrytą w dłoniach. Mimo odległości i nowej odzieży Jasiek od pierwszego rzutu oka poznał Sławkę i aż w nim oddech zatkało ze wzruszenia. Wołać jednak lękał się, by nie zwabić kogoś niepożądanego. Zrazu próbował gwizdać jak wilga, by zwrócić uwagę dziewczyny, a gdy nie pomogło, zaczął kołysać konarem, na którym siedział. Szelestu jednak z tej odległości słyszeć nie mogła, mógł ją zastanowić tylko ruch gałęzi przy bezwietrznej pogodzie. Przez dłuższą chwilę Główka czekał, czy nie podniesie oczu, ale siedziała zatopiona w niezbyt widocznie wesołych myślach. Lękał się, że może odejść, nie zauważywszy go. Nie zastanawiając się, jaką drogą wróci, przesunął się po konarze poza ogrodzenie i zeskoczył z niemal dwusążniowej wysokości.

Dostrzegła go dopiero, gdy stanął przed nią. Zrazu patrzyła, jakby oczom uwierzyć nie mogła. Potem zerwała się, chwyciła go za rękę i zdyszczym szeptem powiedziała:

- Uciekajmy stąd!

Stał zmieszany, nie wiedząc, co odrzec. Chciał ją tylko pożegnać i zalecić cierpliwość. Zaczął mówić o tym, ale ona przerwała gwałtownie:

- Ni dnia tu nie ostane, bym się utopić miała. Objęła go z rozpaczliwą siłą i rozplakała się. Gładził ją po głowie, nie wiedząc, co począć. Długo trwało, nim się uspokoiła. Wówczas rzekł:

- Wždy sam nie wiem, jako się stąd wydostanę. Teraz dopiero pomyślał o tym, ale Sławka odparła:

- Ty wszystko wydolisz.

Za nic nie chciał utracić jej zaufania, ale istotnie nie wiedział, co czynić. Usiadł i zamyślił się. Sam musi się wydostać, a w tej chwili nie wiedział jak. Przez żywopłot jakoś się przecisnąć, jeśli dziury nie znajdzie w ostrokole, przelezie wierzchem. Ale to wymagać może dużo czasu. Gdyby nawet Sławka potrafiła przejść tą samą drogą, co uczynią potem? Wprawdzie gospodzina mówiła, że nie będzie się sprzeciwiać zabraniu dzieci, jeśli znajdzie miejsce, gdzie by o nie mógł być spokojny, przestrzegła jednak, że może dziewczynę osławić, uprowadzając ją w nieznaną. Biskup chciał zabrać dzieci, ale czy będzie chciał przyjąć wykradzione wbrew woli stryja, nie był pewny, a najmniej, czy zdąży, zanim Prandota odjedzie. Na dobitkę nie można Pietrka zostawić samego. Zapytał o niego. Sławka odparła:

- Poszedł kąpać się do sadzawki.

- Wydolisz go sprowadzić tak, by nikto nie pomiarkował?

- Może wydolę.

- Tedy pospieszaj.

Nie tracąc czasu, Główka wyszukał miejsce, w którym zwalony ostrokół zdał się najłatwiejszy do przebycia, a od zacięionej jego strony więcej było zielska niż tarniny. Sztyletem wyciął przejście na tyle, że dało się przepelznąć, i zajął się usuwaniem pała. Zrazu szło gładko, bo z zewnątrz zmurszały był tak, że sypało się próchno. Rdzeń jednak jeszcze zdrowy - w niewygodnym położeniu trzeba było odszczypywać z niego pojedyncze drzazgi. Jasiek zapocił się w upale, zanim otwór był na tyle duży, że dało się przez niego przecisnąć. Najcięższą część pracy miał więc za sobą. Dość szybko uporał się z żywopłotem po zewnętrznej stronie, tyle zostawiając, by przejście nie było widoczne na wypadek, gdyby tedy ktoś przechodził. Nie mogąc się obrócić z powodu ciasnoty przejścia, zaczął się wycofywać

tyłem, nasłuchując chwilami, czy dzieci nadchodzą. Zdało mu się, że słyszy skradające się kroki, przyspieszył poruszenia i już był u wejścia, gdy rozległ się stłumiony krzyk Sławki, a potem ktoś uchwycił go za nogi i wyszarpnął z zarośli, na jego grzbiet zwałił się ciężar, a czyjeś ręce zwarły się na gardle, aż mu w oczach pociemniało. Z całej siły pchnął ponad ramię trzymanym w rękę sztyletem. Rozległ się krzyk bólu, pierś Głównki chwyciła oddech. Dźwignął się, strącając z grzbietu ciężar i rozejrzał. O parę kroków stała Sławka, patrząc osłupiałym z przerażenia wzrokiem na leżącego u stóp Głównki człowieka, który charczał, a z ust ciekła mu krew. Drugi pędem uciekał, zapewne, by sprowadzić pomoc.

Głównka stał, dysząc i mrugając oczyma, by zegnać czarne płyty, jeszcze nie uprzytamniając sobie położenia, ale Sławka chwyciła go za rękę:

- Uchodź! - krzyknęła.

Że nie ma czasu do stracenia, z tego zdawał sobie sprawę i bez namysłu wpelznął w wyrąbane przejście. Przez chwilę zatrzymały go pozostawione dla zamaskowania krze. Darł się przez nie, nie zważając, że kolce targają odzież i orzą mu skórę. Wydostał się, gdy za sobą posłyszał szelest. Sławka usiłowała precyzyjnie się przez gęstwiny.

- Wróć się - szepnęła, ale jakby nic słyszała. Jeśli ich schwytają razem, będzie pozór, że jest współwinna tego, co się stało, a co gorsze, ani chybi schwytają ich. Ona nie potrafi uchodzić tak prędko, jak on sam. Ale o tym, by ją opuścić, nawet nic pomyślał. Pomógł jej wydostać się z krzów i co tchu ruszyli w kierunku widnego o parę stajów lasu, jakby tam czekało ich bezpieczeństwo. Nim dobiegli jednak, Sławka ustała. Łapiąc oddech, szepnęła:

- Uchodź sam, ostaw mnie!

- Uszliśmy Tatarom, ujdziem i ninie - odparł. - Siadaj mi na grzbiet.

W bezwietrznym, dusznym skwarze sam z trudem łapał oddech, ale nie stawał. Sławce dodawał otuchy, lecz świadomy był, że teraz od niebezpieczeństwa nie dzieli ich pokryta krą rzeka. Obejrzał się raz i drugi, czy jeszcze nie widać pościgu. Jeśli wcześniej dopadną lasu, skryje ich przynajmniej przed oczyma prześladowców, w cieniu lżej będzie oddychać i Sławka dalej pójdzie sama.

Resztką sił dotarł do pierwszych drzew i legł, by się wysapać. Zerwał się zaraz - z bezpośredniej bliskości słychać było skrzęt i głosy ludzkie, krze jednak zasłaniały widok. Rozchylił je ostrożnie i odetchnął z ulgą. Przed rozpiętym namiotem siedział biskup Prandota w towarzystwie dwóch kanoników. Puszczono na paszę konie świadczyły, że stanął na południowy wypoczynek, by przeczekać skwarne godziny. I tu trudno było oddychać, konie tłukły się niepokojone przez gzy, mimo że dym ogniska, przy którym warzono strawę, snuł się nisko, jakby i płomień nie mógł chwycić oddechu.

Prandota siedział chmurnie zamyślony. Po wybuchu gniewu ogarnęło go przygnębienie. Zajście z Radosławem uprzytomniło mu wzrost rozprzężenia w potarganej Polsce. Ostatnie jej spoivo, obejmujące wszystkie dzielnice, archidiecezja gnieźnieńska, również traci powagę, kary kościelne lekceważą już nie tylko książęta, ale i możnowładcy, rozkład rozpoczęty od głowy obejmuje kręgosłup narodu, jaki do niedawna stanowiło rycerstwo. Jeszcze pod Chmielnikiem i Turskiem nie żałowało krwi w obronie kraju. Ninie ludzi, którzy jeszcze za posiadane przywileje i majątności poczuli się do obowiązków wobec ogółu, uważa się za głupców. Najazd tatarski, choć wielokrotnie słabszy od pierwszego, poczynił nie tylko większe spustoszenie materialne. Władza, która swą siłę wywiera tylko na podwładnych, nie dając w zamian nawet ochrony życia i mienia, staje się nienawistna lub lekceważona, prawo bez siły przestaje nim być, a ciężar bezprawia spada na najslabsze barki, prosty lud, wdowy i sieroty. Kto życie zechce stawić za kraj, skazując własne pokolenie na nędzę i poniewierkę? Przykład Rusi, która rozbitcie przyplaciła tatarską niewolą, jest groźnym ostrzeżeniem.

Biskup zatopił się w smutnej zadumie. Zwątpił nawet o sobie. Co wynikło z tego, że ongiś wagę swego wpływu rzucił na szalę Bolesława przeciw Konradowi? Długotrwałe wojny domowe. Bolesław, łagodny, sprawiedliwy, pobożny, byłby najlepszym władcą uładzonego państwa, w zgodzie z Kościołem i sąsiadami. Budował miasta, dbał o handel, zakładał kopalnie. Konrad, gwałtowny, chciwy władzy i wojowniczy, nie obiecywał zgodnej współpracy. Taki jest syn jego,

Kazko, i tacy będą wnukowie. Nastal jednak czas, że wady korzystniejsze są od cnót. Bitnego Kazka Burondaj nie zaczął, wołał się / nim ułożyć. Co gorsze, gdy Bolesław zejdzie bezpotomnie, znowu zaczną się walki o stolicę senioracką. Przynajmniej temu można i należy zapobiec. Najstarszy z synów Kazka - Lcszko zwany Czarnym - dojrzały już. Gdyby go Bolesław usynowił i uznał swym następcą, stary Kazko poniecha napaści, gdy pewny będzie, że syn jego bez walki osiągnie to, czego ojciec wywalczyć nie zdołał. Połączenie zaś Leszkowej dzielnicy z krakowską może być pierwszym krokiem zjednoczenia.

Zamyślenie Prandoty przerwał szelest w krzaczach. Podniósł oczy i zaskoczony patrzył na chłopca i dziewczynę, którzy stanęli przed nim. Nietrudno było się domyśleć, kim ona jest, a widok okrwawionego Głównki nie pozwalał mieć wątpliwości, że Radosław nie wydał mu Sławki z dobrej woli.

- Co zaszło? - zapytał biskup.

Głównka padł do nóg Prandoty i zdyszonym głosem odparł:

-Ubieżała. Nic chce tam ostać. Weźmijcie ją, przewielebny panic.

- Tyżeś ją uprowadził? Gadaj prawdę, jak było! Patrzył na zbrzydzone krwią szaty Głównki, który zmieszany zaczął:

-Jako na świętej spowiedzi: jeno rzec jej chciałem, iżc się u księżęcia wstawicie, by sieroty wziął pod opiekę. Ktoś ci mnie schwytał i gardlił, żgnąłem i chyba ubiłem jakowegoś człeka, a ona ubieżała za mną.

Biskup zachmurzył się, a siedzący obok kanonik Gebhard rzekł po łacinie:

- *Raptus puellae!*¹

Biskup, sam biegły w prawic, świadomy był, że uprowadzenie dziewczyny opiekunowi, na dobitkę przy użyciu siły, jest zbrodnią, za którą sprawca na gardle będzie karany. A jednocześnie czuł, że Głównce stanie się krzywda. Pozory są przeciw niemu. Zły los złączył tych dwoje, niemal dzieci, a on ma być tym, który go dopełni.

¹ Raptus puellae - porwanie dziewczyny.

-*Summum ius, summa iniuria*¹ - szepnął. Wahał się, a kanonik do-
kończył:

- Każdy powinnośc ma sprawcę imać i wydać pod sąd.

Sławka, która z niepokojem czekała na wynik rozmowy, teraz
chwyciła Główkę za rękę i krzyknęła z rozpaczą:

- Uchodźmy!

Ujrzała, że od strony dworca pędzi kilku konnych z psami. Idąc za
jej przerażonym spojrzeniem, Prandota dostrzegł ich również i po-
wziął postanowienie. Wskazując Sławce namiot, powiedział:

- Ty idź tam. A ty - zwrócił się do Główki - uchodź!

Gdy chłopiec się zawahał, dodał niecierpliwie:

- Nie lękaj się o dziewczkę. Nie wydám jej. Uchodź! - powtórzył,
a gdy Główka rzucił się do jego ręki, machnął nią i rzekł:

-Nie dziękuj! Skorzej, bo nie ujdiesz. Chłopiec przyskoczył do
Sławki, ucałował ją, szepnąwszy:

- Ujdę i wrócę.

Skoczył w zarośla i zniknął.

Biskup słuchał zbliżającego się tętentu kopyt pościgu, który przez
chwilę skrył się za krzami, ale był tuż. Na polankę wpadły psy, a za
nimi trzech jeźdźców z Radosławem na czele, który na widok biskupa
zdarł wodze, zeskoczył i podniesionym głosem zakrzyknął:

- Tako i mniemałem, że z waszej poręki ów złodziej dziewczkę
uprowadził. Gdzie są?

Prandota milczał, patrząc wyniośle na pieniącego się z gniewu Ra-
dosława, który powtórzył:

- Gdzie są? Tędy uchodzili, owa dziewczka ze swym gaszkiem; ja
psiemu wiatrowi wierzę; dalej ująć nie pośpieli. Muszą tu być!

- A jeśli i są, to cóże? - pogardliwie zapytał biskup.

Radosław aż się zachłysnął:

-Cóże?! A to, że mi ich wydacie. Dziewka z pokrewieństwa mnie
przynależy, a wuzutego z prawa mordercę imać każdemu powinnośc.

Summum ius, summa iniuria - najwyższe prawo, najwyższa niesprawiedli-
wość.

- Iście tak - obojętnie odparł biskup. - Ale dziewczka nie branka, bym ją wydał na wasze żądanie, gdy się w zaufaniu pod moją ochronę udała.

Radosław opanował się i rzekł drwiąco:

- Prawie to biskupowi przystoi sprzyjać rozpuście. Ale dziewczkę kaźden sąd mi przysądzi. A onego otroka dostanę choćby sprzed ołtarza i ze skóry go obedrę, bo moje prawo pojmanego na licu mordercę kaźnić wedle woli. Niechaj bez czci będę, jeśli go poniecham. Nie wydacie go, wezmę siłą.

Prandota, jakby nie słyszał, zwrócił się do kanonika Wisława i rzekł:

-Na burzę chyba idzie, bo parno i gzy dokuczają. Niechajcie strawę podać i ruszamy, by pod gościnniejszym dachem znaleźć schronienie.

Radosław aż się skrecił, ale widząc, że groźbami nic nie wskóra, odstąpił, widocznie z zamiarem czekania na odjazd biskupa, pewny, że Główka tu się znajduje, a wówczas go pochwyci. Zbrojny orszak Prandoty liczniejszy był wprawdzie, ale odjęcie siłą zabójcy byłoby tak pewnym bezprawiem, że na to się biskup nie odważy. Psy węszyły dokoła zamkniętego namiotu, nie wąpił, że tam się zbiegowie znajdują.

Już samo wypuszczenie przestępcy było pogwałceniem prawa. Kanonik Wisław zatroskany szepnął do Prandoty:

-Dajecie ciemieżnikowi broń przeciwko sobie. Po sprawiedliwości zabójcę ująć przystało i Radosławowi wydać.

- *Charitas superior iustitia* , Ać go Bóg sądzi, ale ja mu wierę, że bezwinny jest. Nicnaumyślnic onego człeka ubił, a bronić się wolno każdemu. Jeno do stanu duchownego iście się nie zdał.

Myślał nic o tym, że Jasiek drugi już raz zmasał się zabójstwem, lecz o miłości tych dwojga dzieci, które dzieliło wszystko. Rad by im pomógł, ale nic widział sposobu uczynić więcej niż to, co już uczynił. Mimo że wyraźnie szło na burzę, niebo spopielalo, a pierwsze porywy wiatru kołysać zaczynały koronami drzew i niosły jej pomruki, pożywał się, nie spiesząc, by Jaškowi dać czas do ucieczki.

¹ *Charitas superior iustitia*- miłosierdzie wyższe niż sprawiedliwość.

Radosław czekał na odjazd biskupa, który wreszcie dźwignął się i polecił zwinąć namiot. Na widok Sławki Radosław ruszył ku niej, ona jednak przypadła do Prandoty, który przygarnął ją, mówiąc:

- Nie lękaj się, nie wydam ciebie.

Radosławowi jednak nie tyle o dziewczynę szło, co o schwytnie zabójcy, obecność zaś Sławki była dowodem, że tu się schronił. Stając przed Prandotą, zwrócił się ostro do niego:

- Społem uchodzili, ów pacholek także musi tu być. Nie zaprzeczycie.

- Widno nie musi, skoro go nie ma tu - pogardliwie zbył go Prandotą.

- Ale tędy uchodził.

- Skoro wiecie, że nie inedy, nie trzeba wam było zabawiać się tu, jeno go ścigać.

Radosław zaklął szpetnie, doskoczył konia i gwizdnąwszy na psy, ruszył w skok. Za chwilę odgłosy pościgu rozmazały się w coraz częstszych poszumach wzmagającego się wichru.

Sławka siedziała mrużąc oczy i polykając łzy. Biskup zwrócił się do niej:

- Obacz, coś uczyniła. Byłbym u księżęcia wymógł, by was wziął pod swoje opiekuństwo. Ninie pozór jest, że to Jasiak cię uprowadził, czleka przy tym ubiwszy. Szczęście to wasze, że nie ma komu śladu dokonać¹, zamęt jeszcze i osady puste. Inak nie uszedłby. Większe jeszcze zasię, żeście się na mnie natknęli. On może ujdzie, jeno przytaić się będzie musiał, a ciebie osława ominęła, bo *unus cum una non rogare Pater noster putantur*². Nie czędo jesteś i on także. Czemużeście choć Pietrka nie zabrali, skoro uchodzić wzięłaś przed się? Nie będzie mu ninie błogo.

Prandotą starał się głos uczynić surowym, ale gdy Sławka rozszlochała się, pogładził jej jasne włosy:

¹ Śladu dokonać - zarządzić pościg.

² Unus cum una non rogare Pater noster putantur - nie domniemywa się, by jeden z jedną odmawiali „Ojczy nasz”.

- Stało się. Nie płacz, jeno się pomódl, by Jasiek uszedł, bo zła by mu była odwdzięka za to, co dla was uczynił. Cierpliwość mieć przystoi i rozsądek, choć wiem, że trudno o nie w młodym wieku.

Rozumiał Sławkę i jej niepokój o los chłopca, i by ją uspokoić, dodał:

- Zaradny on jest i czas miał odbić się. Psy przy wietrze śladu nie wezmą, a potem deszcz je zmyje. Oto bacz, jak nieprzemyślane brojenie może nieszczęście ściągnąć. Nie mogłaś to wydzierżyć, póki bym książęcia docisnął, by was odebrał?

- Nijak nie mogłam - szepnęła. - Ohydził wszystko, co miłuję, i ośca, i stryka, i Jaśka...

Urwała, zapłoniła.

- Stało się - powtórzył Prandotę. Żał mu było tych dwojga, a zwłaszcza Główek. Udał mu się ten wyrostek, gdyby nie najazd tatarski, byłby wyszedł na pożytecznego człowieka; a ilu jeszcze takich? Ujść zapewne ujdzie, bo burza była tuż, pierwsze grube krople nadchodzącej nawałnicy szemrały już po listowiu. Prandotę kazał z powrotem rozpiąć namiot i wozy okryć płachtami, bo nie czas było szukać dachu nad głową.

Siedział w namiocie zadumany, słuchając zrazu bębnienia, a potem dudnienia zlewy. Gdy już tylko drzewa pod powiewem strząsały bryzgi kropel, wstał i wyszedł. Na zachodzie niebo przetało się, a potem spod uciekających chmur wyjrzało pochylone już słońce. Czas było ruszać, by dach znaleźć na nocleg, ale Prandotę jakby na coś czekał. Po dłuższej chwili rozległ się odgłos kopyt, a potem ujrzał wracających z pościgu. Główki między nimi nic było. Przejechali, jakby nic widząc zbierającego się do odjazdu orszaku Prandoty, który rzekł do Sławki:

- Po burzy zawsze słońko świeci. Uśmiechnij mu się.

Westchnęła z ulgą. Lżej było oddychać.

Lato miało się ku schyłkowi, gdy biskup wracał z objazdu. Urodzaje dopisały i nie groził już głód, ale nic brakło innych trosk i spraw, które zaprzętały umysł Prandoty. Zewnętrzne ślady najazdu zacierał

czas, przyroda i zabiegliwe ręce ludzkie, ale biskup z niepokojem myślał o przyszłości. Rozkład postępował, powaga i władza książąt malały. Siły i zasoby, których nie stało na obronę kraju, trwonili na walki między sobą lub dla obcych celów. Oszczędzone przez najazd tatarski Mazowsze spustoszył litewski Mindowe i w perzynę obrócił jego stolicę, korzystając z tego, że znaczną część mazowieckich sił powiodł Leszko na pomoc Beli. Zamiast przymierza Polski, Litwy i Rusi, które mogło skuteczną tamę położyć tatarskiemu niebezpieczeństwu, wprężona w tatarskie jarzmo Ruś wspomaga najeżdżęc, a zawiedziony przez kurię w nadziei na przyrzeczoną wyprawę krzyżową Mindowe porzuca chrześcijańską wiarę, która przysparzała mu tylko wewnętrznych wrogów, i gnębi południowych sąsiadów. Co gorsze, w pomoc teściowi przeciw Czechom pociągnął Bolesław, gdy jednocześnie książe wrocławski Henryk i Włodzisław opolski wspomogają Przemyśla. Prandota nie miał czym odierać powszechnego sarkania, że stać księcia na mieszanie się do walki o Styrię, gdy zdobyć się nie umiał na obronę własnej dziedziny; że wspomaga Węgrów, od których żadnej nie otrzymał pomocy; że miał zadbać o usunięcie skutków najazdu, wyjechał z kraju, troskę innym pozostawiając.

Sam Prandota poczytywał to księciu za złe, zwłaszcza że na niego spadła przeważna część troski. Nie wątpił, że Bolesław wspomaga teścia pod wpływem małżonki, której zwykł ulegać nawet tam, gdzie ulegać nie powinien. Ona wymogła na nim dziewicze pożycie, tym samym sprawę przyszłego następstwa rzucając na niepewne losy przetargów i rozgrywek. Prandota widział w tym chęć naśladowania patronki i imienniczki księżnej, świętej Kunegundy, małżonki Henryka II. Ale wiedział też, że Kunegunda dziewictwo swe zawdzięczała niemocy swego małżonka, Bolesław natomiast był mężem w pełni sił, dla których ujścia szukać musiał gdzie indziej, zyskując przezwisko Wstydliwego, nie przysparzające mu powagi.

W niejednej sprawie biskup musiał czekać na powrót księcia. Ze zniszczonego w czasie najazdu klasztoru w Zawichoście, leżącego na szlaku najazdów, zamierzał przenieść mniszki w bezpieczniejsze

miejsce i osadzić opodal Krakowa w książęcych borach w wąwozie górnego biegu Prądnika. Należało klasztor na nowo uposażyć, a przy tej sposobności załadzić sprawę dawnej biskupiej osady krakowskiej, założonej przez Iwona Odrowąża, a zniszczonej w czasie poprzedniego najazdu; znaczna jej część wraz ze starym rynkiem i gródkiem weszła w skład lokowanego Krakowa, teraz znowu spalonego.

Książę nie wrócił jeszcze z wyprawy, ale kasztelan Klimunt otrzymał już wieści, że każdej chwili można się go spodziewać. Po klęsce bowiem poniesionej nad Morawą Bela zrzekł się Styrii i zawarł z Przemysławem pokój. Ale nieprzyjaźń, załagodzona przez Prandotę ofiarowaniem czeskiemu królowi relikwii św. Stanisława, odnowiła się.

Jedyną korzyść bezpłodnej wyprawy widział Prandota w zbliżeniu księcia z mazowieckim krewniakiem. Bolesław liczy wprawdzie dopiero trzydzieści pięć lat, rozumiał jednak, że łatwiej będzie za życia przeprowadzić wyznaczenie następcy, gdy naturalnego nic mógł się spodziewać. Niespełna dwudziestoletni Leszko okazał się już wodzem przezornym i mężnym, zyskując mir krakowskiego i sandomierskiego rycerstwa, co pozwalało spodziewać się, że uznanie go nic napotka poważnego sprzeciwu, a doraźną korzyścią będzie spokój od Kazimierzowych napaści.

Nie ta jedna sprawa zaprzętała czas i umysł biskupa. Najludniczszymi i najlepiej zagospodarowanymi podkrakowskimi wsiami i osadami, stanowiącymi główne źródło dochodów kapituły, uległy całkowitemu zniszczeniu; Bieżanów, Wyciąże, Dziekanowice, Witkowice, Tonie, Grębałów, Rudawa, Węgrzce dźwigały się dopiero z popiołów. Najpilniejszą jednak i wymagającą największych nakładów sprawą była odbudowa zniszczonego szpitala, przeniesionego przez Prandotę z Prądnika na Wesołą. W tym jednak liczył na wydatną pomoc Kingi. Ściągnęli już do Krakowa rozproszeni w czasie najazdu duchacy i podjęli swe dzieło, ale nadchodząca jesień sprawę dachu nad głowami chorych i ich opiekunów czyniła nagłą.

Toteż przy rozlicznych zajęciach, wśród których niemal zapomniał o sprawie Zbygniewowych sierot, Prandota znalazł czas, by udać się do księżny, i oznajmiwszy się przez komornika, czekał, rozglądając

się po przedsionku. Oko nie miało na czym spocząć: puste ściany, pod nimi proste ławy, od gołej kamiennej posadzki ciągnął chłód. Cisza panowała jak w klasztorze, dopiero szelest lekkich kroków przerwał zamyślenie Prandoty i nieco zaskoczony ujrzał Sławką. Uderzyła go zaszła w niej zmiana. Mimo trudów w czasie podróży i niewątpliwej tęsknoty za jedynymi bliskimi jej istotami, które utraciła lub musiała porzucić, rozkwitała urodą pierwszej młodości. Teraz poszarzała, a biskup zdawał sobie sprawę, że nie tylko z powodu ciemnej szaty niemal zakonnego kroju. Gdy pochyliła głowę, by ucałować pierścień na jego rękę, zobaczył, że nawet jasne jej włosy nie mają dawnego połysku. Stała przed biskupem bez słowa, z opuszczonymi oczyma, a on, sądząc, że księżna przysłała po niego, wstał i powiedział:

- Pójdziem do pani.

- Nie - szepnęła, jakby zatrwożona.

Prandota usiadł zdziwiony. Przyszła nie po niego, lecz do niego, zapewne nie jeno, by go powitać. Gdy nie odzywała się, zapytał:

- Maszli jakąś prośbę?

- Weźmijcie mnie stąd - odparła, nie podnosząc oczu.

Domyślał się, dlaczego, niemniej zaskoczony był żądaniem, którego spełnić nie mógł. Rozumiał, że nawykła do swobody i ruchu młoda dziewczyna źle się czuje pod nieustannym nadzorem księżny, równie surowej dla swych dworów, jak i dla siebie samej. Skoro jednak prosić ma księcia o objęcie opieki nad sierotami, nie może odbierać dziewczyny. Odpowiedział z westchnieniem:

- Nie bądźże niecierpliwa. Nieraz się człeku zda, że nie wydzierzy, a potem nawyknie. Skoro patrzeć, księżę powrócą, Pietrka tu ściągniem, będziecie blisko.

- Weźmijcie mnie k'sobie - powtórzyła.

Odparł zasmucony:

-Nie tam miejsce dla ciebie, gdy jeno parę dziewczek do prostych posług u mnie. I nijak mi cię zabierać, skoro orędownać mam u księżęcia, a to winnaś rozumieć, że w jego pieczy przyszłość twoja i twego brata.

Podniosła na niego swe jasne oczy. Były suche i stwardniałe, gdy rzekła:

- Tedy nie orędujcie.

-Nie wiesz, co prawisz. Wždy słyszałaś, co rzekł Radosław, że kaźden sąd mu ciebie przysądzi, i prawie, jeśli ksiązę nie obejmą opieki. Musiałabyś wracać do Dębna.

- Wróć - odparła, opuszczając oczy.

Rozumiał, że nie po to, by tam pozostać. Zapewne zamierza uciec razem z Pietrkim, ale dokąd pójdzie dwoje niedorostków, gdy brakło nawet Jaśkowej opieki. Powtórzył z powagą:

-Nie wiesz, co prawisz, lubo nie pomnisz, dlaczego uchodziłaś, krew ostawiając za sobą. Ninie wracać chcesz, jak zbiegła niewolnica. A gdybyś zbiegła raz wtóry, to dokąd, gdy nie ma nawet onego Głównki, by się o was zatroskał.

Wstał na widok komornika i dokończył:

- Poproszę księżny, by ci więcej swobody ostawiła. Ale zrozum, że loszące lata już za tobą i do żrałego żywota wdrażać się musisz. - By złagodzić swe odezwanie, pogładził Sławkę po głowie i ruszył w ślad za komornikiem.

Kinga czekała na biskupa w komnacie, która tylko rozmiarami różniła się od klasztornej celi. Jedynym zbytkownym przedmiotem był zawieszony nad klęcznikiem krucyfiks z pięknie wyrzeźbioną postacią Ukrzyżowanego. Resztę sprzętów stanowiła prosta ława bez oparcia i wąskie łoże bez zagłówka, pokryte skórą końską i dzianicą z ciemnej wełny.

Prandota, który nie widział księżny od ubiegłego roku, patrzył z pewnym współczuciem, jak szybko więdnie w kwiecie swych lat. Trudno byłoby odgadnąć, że liczy ich dopiero dwadzieścia sześć. Smagła jej cera miała szarozółty odcień, w wychudzonej twarzy uwydatniały się wystające kości policzkowe, a gdy ucałowawszy rękę Prandoty, podniosła sine powieki, jej wielkie, ciemne oczy zdały się lśnić gorętwą. Zapytana o zdrowie, odrzekła z wymuszonym uśmiechem:

- Obawiam się, że na dłużej starczy, niżbym chciała.

- Alić sił swych ku pożytkowi bliźnichzczędzić należy. Niemało nędzy ulżenia czeka. Jako wiecie, miłościwa pani, bracia od Św. Du-cha powrócili już, chocia nie wszyscy. Z sióstr zasię parę zaledwie i brak *magistrae hospitalis*¹ a Baseus przykazuje mężów i niewiasty oddzielnie pomieszczać, bo łącno żądzy folga może być dana. Dla wszystkich zasię chociażby klęcie wystawić należy. Ku jesieni się ma, niepogody jeno patrzeć; ac nas nieprzygotowanych nie najdzie.

- Spokojni bądźcie, czcigodny ojcze, że ja i moje dworki zadbamy o biedotę, gdy sióstr do pracy nie stało. Panów wójtów wezwę, by się do odbudowy szpitala przyczynili, bo takóž zadbać winni, by niemocni lubo zwłoki po ulicach nie leżały, skąd zaraza rozplenić się może. A doczekamy powrotu pana, dostateczne zaopatrzenie dla waszego szpitala się najdzie.

- Dzięki wam, miłościwa pani, że onę troskę ze mnie zdejmujecie, gdy innych nie brak - odrzekł biskup. - Jeno nad siły nie bierzcie, ni swoje, ni dworek, które do takowej pracy nie nawykłe. Myślał o Sławce i dodał wprost:

- Imiennie o onę młodziczkę proszę, którą waszej pieczy zaleciłem. Ciężce ją dola pościgała, sama ostała, wszystkiego pozbawiona, do czego nawykła. Niechaj się po lekku do nowego wdraża. Folgujcie jej.

Kinga odparła dość oschle:

- Od nikogo więcej nie żądam niżli od siebie. Młodsza bylam, gdy mi swoich rzucić przyszło, nie folgowałam sobie nigdy. Co się przy-giąć nie da, przyłomić należy. Dziewka leniwa jest, a z lenności zmy-słowość się leże i nieczystość.

Prandota westchnął. Wiedział, że księżna łamie samą siebie, że zła-mała o dziewięć lat młodszą siostrę Jolantę, gdy bawiła na krakow-skim dworze, nim dojrzałą odesłano małżonkowi, Bolesławowi kali-skiemu.

- Wybaczcie, miłościwa pani - zaczął. - Bóg po to człeka wolną wolą udarzył, by nie jeno dobro mógł czynić, ale i zło. Chwieje się, alić o własnych siłach ku zbawieniu zmierzać musi i nikto go tam za

¹ Magistrae hospitalis - kierującej szpitalem.

rękę nie zawiedzie. Jako mistrz Wincenty prawi, Bóg gardzi wymuszonymi służbami. Nijaka zasługa dobry uczynek, gdy nie z własnej woli działy, jeno z przymusu. A nawet pogański mędrzec umiar we wszystkim zaleca, poeta zasię rzymski prawi: jest we wszystkim miara, za którą cnota cnotą być przestaje¹.

- Nie wiem, co zaleca pogański mędrzec lubo poeta, jeno wiem, że dom Pański chwale Bożej i ludzkiemu pożytkowi służy, choć niewolnymi rękami działy. I wasz szpital takż. Zali mniemacie, że mnie nie brzydźci cuchnące rany opatrować lubo z kału omywać chorych, że potem najedzenie spojrzeć nie mogę?

- Jeno że one posługi z miłości bliźniego płynąć winny - cicho wtrącił Prandota.

-Niemocnym za jedno, zali z miłości lubo dla własnego zbawienia - odparła Kinga. - Mnie uczono, że pierwszą z cnót jest posłuszeństwo. Sławka zasię uparta jest i łakotna, postom i czuwaniu nierada.

- Zadość pościła w Sandomierzu, a czuwanie zdrowiu szkodzi, gdy się nie ma dwunastu lat. Z niedośpiątego zboża nie bywa chleba, gdy kłos dojrzeje, sam się przygnie - z pewnym zniecierpliwieniem odparł Prandota. - Wždy i młodej kobyłki nie Iza nicumiernie uciążać, bo chromać będzie.

- Aleć głodna klacz nie wierzga - odparła księżna. - Z obżarstwa zasię i wczasów jeno lubieżność rośnie.

- Chrystus błogosławił godom w Kanie i wodę zamienił w wino - powiedział biskup jak do siebie. - Zwólmy łące kwitnąć, siano słodsze będzie.

Wstał i pożegnał się. Wiedział, że nie przekonał księżny, ale ją rozumiał. Poznał Kingę jako ośmioletnią dziewczynkę. W wieku lat pięciu poślubiona Bolesławowi, chowała się na dworze świekry, Grzymisławy, córki łuckiego Ingwara, która z ojcowego dworu wyniosła zamiłowanie do wystawnego zbytku i wyrozumiałość dla swobodnych obyczajów, nieraz gorszących Prandotę. Dziecko przedwcześnie wyrwane ze swego środowiska, zrazu nic mogąc się nawet z nowym

¹ Horacy, *Satyry*.

porozumieć, zdane było wyłącznie na przywieziona z Węgier piastunkę, bez odpowiednich wiekowi zabaw i rówieśników. Gdy ta po kilku latach zmarła, Kinga nauczyła się już polskiej mowy, ale zamknęła się w sobie. Stara księżna wkrótce poniechała prób zbliżenia się z dziewczyną, pozostawiając to synowi w nadziei, że gdy młodzi rozpoczną małżeńskie pożycie, stosunek między świekrą a niewiastką wyrówna się. Zamiast tego jednak powstała wzajemna niechęć, gdy dojrzała już Kinga odmówiła pokładzin z Bolesławem, oświadczając, że dziewictwo swe poświęciła Bogu. Grzymisława chciała ją odesłać ojcu, ale sprzeciwił się temu Bolesław, a wymógł swoje tym łatwiej, że oznaczałoby to zerwanie przymierza z Belą, które zabezpieczało przynajmniej południową granicę, gdy od wschodu groziła Ruś z Tatarami, z północy niespokojny i swarliwy Kazko, z zachodu zaś zniemczali książęta śląscy. Nie zapomnieli, że pochodzą z najstarszej gałęzi piastowego rodu, siłą pozbawionej przodującego stanowiska.

Gdy przed dwoma laty stara księżna zmarła, wpływ Kingi na braterskiego małżonka żadnej już nie napotykał przeszkody, a dwór bardzo jej przypominać zaczął klasztor niż księżęcą siedzibę. Nie słychać było pieśni innych niż nabożne, nie było innych niż kościelne uroczystości, posty, umartwienia i modlitwy stały się treścią życia, jakie Kinga narzuciła swemu otoczeniu. Sama nie zaznawszy dziecięcych radości ni rodzinnego ciepła, nie uznaje ich potrzeby u innych. Prandota, długoletni duszpasterz i wnikliwy spowiednik, wiedział też, że u korzeni cnót tkwić może zawiść, a nawet pycha. Nazbyt bliska droga z tronu na ołtarze, a świętość za żywota jest ciężkim brzemieniem. Poznawszy bliżej Sławkę w czasie podróży, wiedział, że równie mało nadaje się do umartwień, jak Główka do duchownego stanu. Żal mu było obojga.

Nie w porę zresztą było mu o tym myśleć, gdy najważniejsze sprawy zaprzętały głowę całkowicie. Z Węgier powrócił Bolesław, a wraz z nim Leszko sieradzki z mazowieckim i kujawskim rycerstwem. Wspólnie przebyte trudy i niebezpieczeństwa uśmierzyły wzajemną niechęć tlejącą od czasu walk Konrada o tron krakowski, podniecaną napaściami Kazka, obecność możnowładców krakowskich stwarzała

dogodną sposobność pozyskania ich dla Leszka i zgody na ustanowienie go następcą na krakowskim stolcu. Świeża jeszcze pamięć najazdu i nie zasklepione rany łatwiej nakłonią ich do wyrzeczenia się sposobności wymuszania przy zmianie władzy nowych wolności, ulg i przywilejów, które by obronność kraju jeszcze osłabiły.

Sposobność też była osobistego poznania młodego księcia, którego Prandota znał tylko z zawołania. Na wojnie wykazał się męstwem, co nie było dziwne u potomka wojowniczego ojca i dziada, ale dziwiła u tak młodego dowódcy roztropność i przemyślność. Wykazywał ją zresztą nie tylko na wojnie. Gdy jego macocha Eufrozyna - z którą stosunki synów po Konstancji były złe - zaszła w ciążę, Leszko wymógł na ojcu, że ustąpił mu księstwo sieradzkie, obawiając się, iż macocha zdoła dla swego potomka zapewnić jeśli nie całość, to większą część dziedzictwa. Były nawet gadki, że Eufrozyna trucizną pozbyć się chciała pasierbów. Jeśli nieprawda, to pozór dobry dla Leszka, by się za ojcowego żywota usamodzielnic. Po matce wnuk poległego pod Legnicą Henryka odziedziczył czarny zarost Piastów śląskich. Włos nosił długi i trefiony, na co niektórzy krzywo patrzyli, podejrzewając, że nie tylko w tym ma skłonność do niemieckich obyczajów.

Obecność mazowieckiego rycerstwa odmieniła tryb życia na krakowskim dworze. Tylko księżna ze swymi dworkami nie brała udziału w wyprawianych dla uczczenia gości biesiadach, ale tym swobodniej nie żałowano na nich gardzieli dla wina i miodu ni pieśni i przekomarzań.

Nadeszła jednak pora wyjazdu, a pożegnalna uczta przeciągnęła się dłużej niż zwykle i gościej też przypijano do siebie, podlewając świeżo zawarte przyjaźnie. Bolesław sam nie pił, ale nie hamował ochoty, rad zbliżeniu, które zapewni spokój od mazowieckiej granicy, a w przyszłości uchroni kraj od zamętu, gdy jemu przyjdzie spocząć w fundowanym przez siebie klasztorным kościele braci mniejszych.

Najgościej przypijano do Leszka, który nie odmawiał nikomu, widocznie chcąc zjednać sobie przyszłych poddanych. Tylko młody kanonik Paweł, syn możnego komesa Jazda z Przemkowa, trzymał się z dala. Znany był z kaśliwego języka i z tego, że nie cierpi Niemców

i wszystkiego, co nimi trąci; szeptał coś do siedzących obok towarzyszy, którzy widocznie tłumili śmiech. Zachowanie jego zaczynało ściągać uwagę mimo panującego zamętu, i Bolesław zwrócił się do niego, mówiąc:

-Maszli rzec coś uciesznego, praw głośno, byśmy uradowali się wszyscy.

Paweł wstał i odparł drwiąco:

- Iście to śmieszne, iż nie wiemy, jestli Leszko mężem lubo niewiastą.

Leszko istotnie przy długim włosie i gładkiej, młodzieńczej twarzy głos miał niezwykle wysoki, co nadawało mu wygląd niemal niewieści. Ośmieszenie go mogło wniwecz obrócić osiągnięte zbliżenie, a doraznie stać się przyczyną zajścia wśród podpitych biesiadników. Bolesław z niepokojem spojrział na Leszka, obawiając się, że gniewnie wybuchnie, co by tym bardziej wystawiło go na pośmiewisko. Młody książę wstał jednak z uśmiechem i zaczął:

- Słuszne wiedzieć. Którzy w boju mnie widzieli, wiedzą, jako mężem jestem. Nie widział mnie Paweł Półkozic, mniemam wszelako, że i bez tego we płci się wyznawa niezgorzej, jako słyszę. Jako duchowny zasię może nam rzecze: jestli anioł mężem lubo niewiastą, bo nie jeno włos ma długi, alić i szatę?

Paweł, zaskoczony, odparł gniewnie:

- Juści, mężem.

- Tedy widno Paweł płeć rozeznac wydoli, pod kieckę nie zagląda-
jąc. Jeśli u mnie nie wydolił, rad mu nie jeno płeć, ale i pośladki oka-
żę, jeno na osobności, bowiem sromliwie rozdziewać się wszem wobec.

Rozległ się wybuch śmiechu. W powszechnym gwarze Paweł chciał coś odpowiedzieć, ale widząc, że nikt nie słucha, zerwał się i wyszedł. Na teraz zadzierka skończyła się gładko, ale książę nie rozchmurzył się. Butny i pewny siebie kanonik nie zapomniał ośmieszenia, a mimo że miał tylko święcenia subdiakona, był już członkiem kapituły i podkanclerzym. Nie powołanie skłoniło go do obrania duchownego stanu, lecz nadzieja na godności i korzyści przy poparciu możnych rodowców i swojaków, chociaż już teraz jego rozwiązało życie, do którego Leszek uczynił przytyk było przyczyną zgorzenia. Zgodna współpra-

ca z Kościołem pod mądrym kierownictwem Prandoty, gdy go nie stanie, może znowu przerodzić się w walkę, która raz już do ruiny doprowadziła państwo Bolesławów.

Ta troska dotyczyła przyszłości, ale i na bieżących nie zbywało. Zarządzona przez papieża Aleksandra IV wyprawa krzyżowa przeciw Tatarom nie doszła do skutku; w przyszłości liczyć można było tylko na własne siły. Jedynym wynikiem kosztownego poselstwa było zezwolenie na odpust w sandomierskim kościele Najświętszej Marii Panny, który dopiero odbudować należało. Osadźcy Krakowa, Gedko Stilvoyt, Jakub z Nysy i Dytmar Wołk, nalegali na zezwolenie obwarowania miasta. Trudno było odmówić, skoro brak obwarowań już po dwakroć był powodem obrócenia Krakowa w perzynę, niełatwo też przyzwolić, gdy taki przywilej był udziałem niewielu jeno możnowładców, wzmacniając ich stanowisko wobec księcia, a często z obronnych gródków czyniąc gniazda rozbojów i buntu. Przyznanie go obcym, którym przywilej lokacyjny i tak zapewniał korzyści i uprawnienia innym nie przysługujące, może spotkać się z oporem, a na przyszłość nadmierna niezależność i zasobność może stanowić niebezpieczeństwo. Przykład Śląska nie budził zaufania do Niemców, wyraźnie odcinających się od reszty społeczeństwa, a podtrzymujących dawne związki, co wprawdzie sprzyjało rozwojowi handlu i podniesieniu rzemiosła, budziło jednak wątpliwości, komu z tego korzyść przypadnie. Utrzymaniu odrębności sprzyjało ponadto postanowienie krakowskiego przywileju, zabraniające udzielania praw miejskich przybyzdom ze wsi, co miało zapobiec dalszemu ich wyludnianiu, jakkolwiek skuteczność tego postanowienia osłabiała okoliczność, że w obrębie nowego miasta znalazło się sporo mieszkańców dawnej Odrowążowej osady miejskiej. Położenie było zawile, postanowienie niełatwe.

Troski te i kłopoty, zmuszające do starannego rozważenia każdego kroku, niespodzianie pomnożyły się o nowe, którym należało natychmiast przeciwdziałać. Sekta biczowników, o której dotychczas rzadko jeno dochodziły słuchy, nagle zjawiała się w kraju. Kara Boża, za jaką głoszono okrucieństwa najazdów, stworzyła podatny grunt

i sekta szerzyć się zaczęła jak zaraza. Zjawienie się pochodni obnażonych do pasa biczowników, chłostających się wzajem do krwi, wywoływało objawy jakby zbiorowego szaleństwa. Zdarzało się, że gdzie przeszedł pochód, we wsi nie pozostało ni jednego chłopca, a co gorsze, rozpasane gromady niczym szarańcza objadały szlak swego pochodni, co groziło głodem. Zarówno książę, jak i biskup wydali najsurowsze zarządzenia przeciw potępionym przez papieża heretykom i wyjechali, by osobiście dopilnować ich wykonania. Nadchodząca zima ułatwiła zadanie, ład wkrótce został przywrócony i przed Godami obydwaj powrócili do Krakowa.

Teraz dopiero Prandota miał sposobność pomyśleć o sierotach po Zbygniewie. Sławka tymczasem ukończyła dwanaście lat, wedle prawa mogła już sobą rządzić, ale nie na dziewczęcy rozum zarząd zniszczoną majątnością i sprawy z nieżyczliwym krewniakiem. Dobrowolnie zdać się może pod pieczę księcia, sama jednak go o to prosić winna. Czy będzie chciała, źle się czując na dworze księżny, Prandota nie był pewny, ale nie widział innego sposobu zapewnienia przyszłości sierotom. Należało ją o tym przekonać i biskup skierował do księżny kleryka z prośbą o przysłanie do niego dziewczyny.

Kleryk wrócił po chwili, ale sam.

- Miłościwa pani niechała wam oznajmić, wielbny panie - powiedział - jako onej młodziczki nie ma tu. Jeny poczęła trzynasty god, odeszła.

- Dokąd? - zapytał biskup zaskoczony.

- Pani nie wie. Nawet jej szukać niechała, ale nie naszli jej nigdzie.

Prandota zasumował się. Nie mógł winić siebie o to, co się stało.

Niemniej nie umiał się oprzeć przykreemu uczuciu, że zawiódł zaufanie Sławki. Widocznie nie wierzyła już, by chciał coś uczynić dla ulżenia jej sieroctwu, skoro odeszła, nie mówiąc nawet dokąd. Zbył ją, gdy prosiła, by ją choć do Dębna odesłać. Do tego mogła ją skłaniać tylko chęć połączenia się z bratem, jedyną bliską istotą, jaka jej pozostała. Może uszła do ojczyznej Krępy, gdzie wabić ją mogły wspomnienia dzieciństwa. Dworzec wprawdzie spalony, wieś jednak choć w części zapewne się odbudowała, a znaleźć tam może ludzi, do których nawykła. Ale także Radosława, który nie będzie się liczył

z jej prawami, skoro nie liczy się z żadnymi. Mimo że po dwakroć zasądzony na niestane¹, nie zjawił się przed sądem w sprawie o naruszenie granic kościelnych włości. Nie zawaha się urwać ze spuścizny po stryjecznych braciach, ile mu się uwidzi, gdy próbował tego już za ich życia. Gdyby Sławka zdolna była słuchać rozsądku, wystrzegąaby się zetknięcia z człowiekiem, przed którym uciekła.

Jeżeli jednak nie do Dębna ni do Krępy, to pozostawała ostatnia, ale budząca największy niepokój możliwość: poszła szukać Jaśka. Im dłużej rozmyślał biskup, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tak uczyniła. Nie było miejsca, gdzie mogłaby i chciała pozostać, i nie było nikogo, komu z ufnością gotowa była swój los zawierzyć, z wyjątkiem właśnie tego wyrostka, gdy wzajemnej skłonności ku sobie nie usiłowali nawet ukrywać. Jeżeli go odnajdzie, nietrudno przewidzieć, co się stanie: zwiąże swój los z człowiekiem nie tylko nierównego stanu, ale ściganym przestępcą, który z chwilą zaprowadzenia ładu i prawa w dzielnicy Bolesławowcy pokazać się nie może bez narażenia życia. Zapewne też, jak inni zbiegowie, uszedł do Prus lub na Ruś. Obrotny jest, jakoś sobie poradzi. Jeśli się z nią zwiąże, przepadną oboje.

Ale łatwiej kamień odnaleźć rzucony do rzeki niż zmuszonego ukrywać się wyrostka. Gdyby go zaś Sławka nie odnalazła, to jaki los czeka niedoświadczoną dziewczynę, samotnic, i to zimową porą wędrującą po kraju, nieświadomą czyhających na nią niebezpieczeństw. Na myśl o tym Prandota rozesał gońców do klasztorów i parafii z poleceniem dania wieści, gdyby się zjawiła, i z niepokojem czekał na nie. Daleko jeszcze zawędrować nie mogła, wieści powinny nadejść rychło, na potem troska, co z nią dalej poczynać.

Prandota mylił się sądząc, że Główka zadba tylko o swoje bezpieczeństwo. Z początku istotnie myśl jego zaprzętało jedynie, jak ująć przed pościgiem, i parł na południe, nie zważając na burzę i znużenie.

¹ Zasądzony na niestane - ukarany grzywną za niestawienie się.

Minąwszy szczyt pasma Łysicy odetchnął i zwolnił. W czasie zlewy psy musiały zgubić ślad, ale by się upewnić, że go nie odnajdą, ruszył korytem pierwszego napotkanego strumienia i z jego biegiem dotarłszy do leśnego jeziorka wyszedł na brzeg, przemoknięty do skóry, zziębnięty i wyczerpany. Wyżał wodę z odzieży, rozwiesił ją na krzaczkach i siedział, drząc z chłodu i rozmyślając.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, ale Radosław nie zaniecha ścigania i pchnie wieści do okolicznych osad i grodów; bezpieczniej unikać ludzi, póki się da. Lato, Główka i bez nich jakoś się przeżywi, tymczasem jednak dotkliwy głód przypominał mu, że nie jadł od rana, a już zapadał zmierzch. Może przy dniu złowi co w jeziorku, na razie jednak noc zapowiadała się głodno i chłodno, bo choć rozniecenie ogniska na bezludziu nie mogło go zdradzić, ale trudno będzie rozpaść je z mokrego chrustu, a gdzie suchego szukać. W lesie ciemność panowała zupełna. Nie pierwszy raz nocować miał samotnie, ale od długich miesięcy nawykł już, że gdy rankiem obudzi się, zobaczy Sławkę. O nią warto było się troszczyć, teraz zaś przyszło mu znowu troszczyć się tylko o siebie samego.

Wilgoć i chłód nie pozwalały mu zasnąć. Siedząc w ciemności dumiał. Znowu zaczął się zły okres w jego życiu, a najgorsza w nim - rozłąka ze Sławką. Gdy żegnając ją w pośpiechu, przyrzekł jej, że wróci, nie myślał, jak zdoła dotrzymać przyrzeczenia. Teraz myśl ta zaprzętnęła go tak, że chwilami zapominał o głodzie i chłodzie, ale nie wymyślił nic i ogarnęło go przygnębienie. Nie ma po co żyć. Gryzło go zwłaszcza, że zawiedzie zaufanie Sławki.

Znużony usnął nad ranem i obudził się w pełnym słońcu. Czy chce się żyć, czy nie, chce się jeść. W jamach pod brzegami jeziorka nałowił raków, po czym włożył podeschniętą odzież i zajął się rozpaleniem ogniska.

Gdy zaspokoił pierwszy głód i rozgrzał się, w świetle słonecznym i myśli pojaśniały. Przez jakiś czas musi się ukrywać, ale Sławki i tak nie mógłby pojąć, póki nie dojdzie do lat sprawnych. Lżej byłoby czekać, gdyby mógł ją widywać, trzeba jednak uzbroić się w cierpliwość; wierzył, że Sławka będzie czekała, o tym, że dzieli ich różnica

stanu, wolał nie myśleć. Natomiast jedno było oczywiste: domowego ogniska nie mogą założyć w lesie, a tymczasem innego nie ma. Nic to jeszcze ciepłą porą, dobrze się przy nim czuli. Ale wspomnienie zimowej wędrówki uświadomiło mu, że wówczas, gdyby nie Wojan, skończyłaby się wkrótce i źle. Sam musi się zresztą gdzieś ustalić przed nadejściem chłodnej pory. Nie bardzo wiedział, co począć. Wśród ludzi nieprędko będzie mógł osiąść, o tym, by z kraju uchodzić, nawet nie pomyślał. Bezpieczniej byłoby, ale wrócić potem trudno, a już najtrudniej choćby wieść otrzymać o dziewczynie. Przez chwilę rozważał, czy nie udać się na Mazowsze lub na Kujawy, gdzie nie sięga sprawiedliwość krakowskiego księcia, ale i tę myśl odrzucił. Mało to ludzi w kraju żyje poza prawem, choćby Wojan. Co prawda, wyraźnie do tego nie przyznał się, ale Jasiek dość bystry był, by domyślić się, czemu nie wraca na swą dziedzinę, a pieniądze znaleźć potrafi inny niż z czynszów. Kupcem ni rzemieślnikiem nie jest, w niczyją służbę zaciągnąć się nie zamierzał. Pozostawał gościniec lub kłusowanie po cudzych borach. Dlatego zapewne Wojan, mimo że polubili się wzajem, nic chciał wciągać wyrostka w swoje niezbyt pewne życie.

Teraz jednak zmieniło się położenie. Jasiek też znalazł się poza prawem, Wojan zapewne nie odmówiłby mu już swego poparcia i doświadczenia, których poza nim Główka nic miał u kogo szukać. Wyboru nic było.

Nie miał też jednak wiadomości, gdzie szukać Wojana. Nic wątpił, że musi przebywać gdzieś w Puszczy Sandomierskiej, gdyż w czasie wspólnej z nim zimowej włóczęgi pomiarkował, że Wojan znał ją jak własną dłoń. Ale puszcza jest ogromna, a Wojan zapewne nie o to dba, by zostawiać ślady po sobie.

Tym się jednak Jasiek nie zrażał. Czasu ma dość, poszukiwania rozpocznie od smolarni, w której się spotkali. Trochę zbyt blisko Sandomierza, ale spalony gród zapewne dopiero zaczęto odbudowywać, a jeśli nawet jest już nowy kasztelan, pilniejsze ma sprawy na głowic niżli łowienie zbiegów.

Główka odprężył się i uspokoił. Jeśli tylko nie dopadnie go bezpośredni pościg, schwytania może się nie obawiać. Zachowując ostrożność w czasie swej wędrówki, rozmyślał więcej nad tym, jak znaleźć Wojana, w nadziei, że przy nim zdołałby się na dłuższy czas ustalić.

Ku jesieni już szło, gdy dotarł do smołami, ale tam niewiele się dowiedział. Smolarze pamiętali Wojana, ale nie wiedzieli nawet, kiedy odszedł. Zdali się natomiast nie poznawać Główki, co nie było dziwne, skoro w czasie swego pobytu więcej się waleśał, niż siedział na miejscu, a paruset ludzi niełatwo było zapamiętać. Dowodziło to również, że o niego nikt z grodu nie pytał, i Główka nawet zastanawiał się, czy nadchodzącej zimy nie spędzić w smołami, gdzie przydałby się zapewne do pomocy. Gdy jednak dowiedział się, że z odbudowującego się miasta często przysyłają po smołę i węgiel drzewny, powrócił do zamiaru odszukania Wojana, póki ciepła jesień pozwoli obywać się bez dachu nad głową. Odpoczął i pożywił się, może znowu podbiedować. W głębi puszczy też żyją ludzie, choć przeważnie służba to książęca. Tam rzadziej jeszcze docierają wieści ze świata, a i oni raz w roku odstawiają do grodu złowione sokoły, bobrowe łupieże czy miód. Wojan też chyba gdzieś pod dachem zimować musi.

Z odtwarzanych teraz rozmów z Wojanem starał się wydobyć wskazówkę, gdzie ten może się obracać. Wojan samotnie nie może trudnić się rozbojem, a nigdy nic wspominał, by miał jakichś towarzyszy. W czasie wspólnej włóczęgi z nim rzuciła się w oczy jego biegłość w łowieniu wszelakiej zwierzyny, znajomość jej obyczajów i miejsc postojów. Ani chybi, kłusuje po książęcej puszczy, nie tylko by się wyżywić, skoro mówił o zdobywaniu pieniędzy, jaki najłatwiej uzyskać za bobrowe łupieże. Ale też bobrowe żeremia najpilniej bywają strzeżone. Od Wojana wiedział, że dwa strumienie uchodzące do Wisły poniżej Sandomierza, na skutek zbudowanych przez bobry jazów, zabagniły w głębi puszczy spory jej obszar. Rozważywszy to zmienił kierunek i ruszył pod bieg strumienia ku południowi. Szedł niezmiernie wolno, bo bezdroże było zupełne, ni śladu człowieka; dni stawały się coraz krótsze i mgliste, noce zimne, większą część dnia zajmowało zbieranie jagód i grzybów oraz łowienie ryb, a przygoto-

wanie choć byle jakiego schronienia na noc dużo czasu pochłaniało. Pora nagiła, by spotkać ludzi, o żywność było coraz trudniej, lada dzień zaczęną się słoty jesienne. Bez dachu nad głową, bez cieplej odzieży, narzędzi i zapasów - zimy przeżyć nie sposób.

Już wahał się, czyby nie zawrócić do smołami. Ranne mgły utrudniały i tak niełatwy pochód, a wieczorne skracały jeszcze krótki już dzień.

Jednego ranka tuman wstał tak gęsty, że najbliższych pni widać nie było. Pocipląło jednak, co zdało się oznaką bliskości oparzelisk. Zapewne już bobrowa dziedzina, osady bobrowników przeto też muszą być w pobliżu. Główka czekał tylko, aż, mleczny tuman zrzędzie na tyle, by można rozeznac ślady ludzkiego pobytu.

Znalazł je wcześniej, niż się spodziewał. Zaledwie ruszył z miejsca, pod nogami poczuł wydeptaną ścieżkę, a w niewielkiej odległości przed nim zamajaczył we mgle jakiś wielki, ciemny kształt. Niezbyt oczom wierzył, ale po kilku krokach pozbył się wątpliwości: chata!

Nie mógł jedynie zrozumieć, dlaczego mieszkańcy nic zauważyli nocującego przy ognisku nieznanego przybysza. Czyżby chata była opuszczona? Ale nicpoczerniała jeszcze strzecha z sitowia nad dymnikiem świadczyła, że niedawno była poprawiana. Może mieszkańcy tylko wyszli na krótko.

Ostrożnie obszedłszy chatę dokoła, upewnił się, że jest zamieszka-
na. Za nią znajdowała się grzęda jeszcze nie wykopanej rzepy, a na niewielkim łanku ścierń po zżętym prosie. Gdy wszedł na nią, zauważył, że chata stoi na niewielkim wzniesieniu, schodzącym ku rozlewisku, którego drugi brzeg ginął we mgle. Na bliższym widniała łódź, przycumowana do pala.

We wnętrzu chaty panowała ciemność, maleńkie okienka z półprzezroczystych wiórów sosnowych ledwo majaczyły w mroku. Tylko palenisko pośrodku izby oświetlone było przez otwór dymnika, a leżące na nim wystygłe niedopałki chrustu, pokryte jeszcze popiołem, świadczyły, że niezbyt dawno płonęło tu ognisko. Zapewne jednak parę dni temu, bo w izbie panował wilgotny chłód.

Główka nie zastanawiał się, dokąd o tej porze roku wywędrować mogli mieszkańcy chaty. Gdy jednak powrócą, miło im będzie zastać

izbę ogrzaną. Sam również z przyjemnością myślał o noclegu pod dachem, wysuszeniu przemokłych ciżem i nawilgłej odzieży. Nie wątpił też, że znajdzie jakieś zapasy, przynajmniej kaszą jaglaną, a w najgorszym razie nie braknie pieczonej rzepy. Ryb nałowi w rozlewisku, paści na drobną zwierzynę też się zapewne znajdą. Z zadowoleniem myślał o spędzeniu tu zimy. Na przedwiośniu, gdy bobrownicy pojedą do grodu ze skórami lub włodarz książeący przyśle po nie, ostrożniej będzie wynieść się, o to jednak Główka się nie troskał. Tymczasem może dopyta się o Wojana, a jeśli nawet nie, to wędrówka ciepłą porą nie prerażała go. Wziął się do krzesania ognia, by upiec rzepy i rozejrzeć się po chacie.

Pierwsze, co zauważył w migotliwych blaskach płomienia, były dwa legowiska pod ścianą. Jedno było puste, nawet nie zasłane, widocznie nikt nie sypiał na nim. Na drugim jednak ktoś leżał. Jasiak zaskoczony ujął głównię i podszedł do leżącego. To, co ujrzał, przejęło go dreszczem.

Leżący musiał umrzeć przed kilku dniami. Pokryta siwym zarostem twarz tak była wychudzona, że przypominała trupią czaszkę, zwłaszcza że i otwarte oczy zapadły się już i zmętniały, a z wyschniętych, rozchylonych warg szczyrzyły się zęby.

Główka roztrzęsiony usiadł przy ognisku, usiłując pozbierać rozgonięne myśli. Spędzenie samotnej nocy w jednej chacie z trupem przejmowało go lękiem. W pierwszym odruchu chciał uciekać z tego miejsca. Ale dokąd? Nieprędko może znaleźć inne schronienie, gdzie spokojnie doczeka wiosny. Chce czy nie chce, musi pozostać, przynajmniej dopóki nie wyszuka sobie lub nie urządzi innego schronienia. Co gorsze, mgła przechodziła w mżawkę, niewątpliwie miało się na słotę. Nocleg na polu pod byle jakim daszkiem nie uśmiechał mu się.

Gdy jednak minął pierwszy wstrząs, Główka myśleć zaczął spokojnie. Zmarłego i tak nie można zostawić na pastwę lisom czy wilkom, pochować go należy, ale nie dokona tego gołymi rękoma. Narzędzia jakieś muszą tu być, choćby do uprawy.

To, co znalazł przy świetle główni w sieni, komorze i na podstryszu, umocniło go w postanowieniu pozostania w chacie przez zimę:

prócz narzędzi gospodarczych, paści na bobry i drobną zwierzyńcę, sieci na ryby, zapasy soli, mąki, kaszy, wędzonego mięsa, donicę miodu, ciepłą odzież, także niewieścią, i przybory do szycia, przędzenia i tkania. Bobrownik widocznie był wdowcem. Kilka świeżych jeszcze bobrowych skór suszyło się na rosochatych widelkach.

Jasiek z żalem pomyślał, że gdyby bobrownik żył, mógłby przy nim pozostać, póki się los nie odmieni. Stary miałby opiekę i wyrkę, on zaś przyuczony był łowić bobry i mógłby spokojnie zająć się szukaniem Wojana, a może nawet dowiedzieć się o niego.

Ale i tak niespodziewany spadek po zmarłym stanowił okoliczność pomyślną, należało jedynie pozbyć się przed nocą jego niemilego towarzystwa. Mimo że deszcz nasilał się, Główka wziął łopatę i wyszedł. Ciemno już było, gdy skończył kopać grób na tyle głęboki, by zwierz nie dobrał się do zwłok, po czym z trudem dowlókl je, usypał mogiłę, ustawił na niej krzyżyk z gałęzi, by zmarły bez sakramentów nie nawiedzał chaty. Przemoknięty i zmęczony Jasiek wrócił do niej i rzuciwszy odzież, ułożył się do snu.

Nie mógł go jednak przywabić. W szemraniu deszczu słyszał skradające się kroki, gdy ogień przygasł, w ciemnych kątach zdał się ktoś czaić. Jasiek wstał i dorzuciwszy suszu usiadł przed ogniskiem, czekając świtu. Samotność zaczynała go gnębić, ciężko będzie przeżyć tutaj zimę. Postanowił wyruszyć, gdy jeno ustanie śłota. Zapasów mu nie braknie, a wrócić może zawsze, gdyby gdzie indziej nic znalazł przyjemniejszego zimowiska.

Usnął, gdy otwór w dymniku poszarzał. Gdy się obudził, szarzało znowu i siąpił deszcz, natomiast mgła ustąpiła. Wyszedł tylko, by się rozejrzeć w okolicy. Na krańcu rozlewiska widniały jakby kopki siana: zapewne bobrowe żeremia, nie czuł jednak ochoty taplać się po rozkisłym brzegu, by je obejrzeć.

Drugą noc spędził spokojnie. Pojadłszy po raz pierwszy od dawna do syta ciepłej stawy, pomyślał, że szkoda opuszczać wygodne schronienie, nie mając pewności, czy trafi na lepsze. Gdy ziemia przymarznie i pokryje ją śnieg, dzień będzie dłuższy, zapuszczać się może dość daleko po okolicy, na noc wracając do chaty, a i ludzkie

ślady nietrudno będzie napotkać. Tymczasem zajął się gromadzeniem opału na zimę, by z jej nadejściem nie potrzebował go oszczędzać ni tracić czasu przeznaczonego na wędrówki. Teraz mimo zajęć czas włókł się nieznośnie, zwłaszcza nie kończące się wieczory, wyczerpujące cierpliwość Jaśka, a wypełnione rozmyślaniami, jak dotrzymać Sławce przyrzeczenia powrotu. Nic nie uczynił i nie wie, co uczynić, by przyspieszyć ten dzień.

Oczekiwana zima przyszła dość nagle. Jednego wieczoru zasnął późno przy szemraniu deszczu. Obudziło go jaskrawe światło wpadające przez dymnik. Na polu świeciło dawno nie widziane słońce, a świat iskrzył się w śnieżnym całunie.

Jasiek zerwał się jak żrebak po raz pierwszy wypuszczony na paszę. Pożywił, się w pośpiechu i niemal wybiegł z chaty, ale tym razem nie zawędrował daleko. Jeszcze nie zmarznięta ziemia rozkiszła była, parę razy zarwał się na bagnie i przed wieczorem wrócił przemoczony i zziębnięty. Żadnych ludzkich śladów nie wypatrzył, zwierzęcych natomiast nie brakło. Świeże mięso pozwoli oszczędzić niezbyt obfitych zapasów i stanowić będzie pożądane urozmaicenie, a waleśając się za drobnym zwierzem może natrafi na ludzką siedzibę. Zastanawiał się, czyby nie próbować łowić bobrów, ale poniechał zamiaru. Wprawdzie słyszał, że ogony bobrowe stanowią poszukiwany przysmak, ale nie zdało mu się to godne zachodu, a ze skór, nie mogąc ich sprzedać, a nie umiając wyprawić, nie miałby żadnego pożytku.

Zima trzymała statecznie, ale dni były coraz dłuższe, z czego pomiarkował, że musi być już po Godach. Pozwalało mu to na wędrówki bez obawy, że noc zaskoczy go z dala od domu, dokąd wracał za dnia, bo i wilków nie brakło. Spotkał je nawet parę razy, ale chodziły pojedynczo i nie lękał się ich przy dziennym świetle.

Raz ujrzał kilka sztuk, żerujących na jakimś wielkim zwierzu, pierzchnęły jednak na jego widok. Wspomniał, jak ubiegłej zimy zarżnięta przez nie krowa pozwoliła mu zaopatrzyć się w mięso. I teraz nie miałby nic przeciw temu, by pożywić się wilczym łupem, i podszedł do niego.

Była to klempa łosia, wilki ją ledwo napoczęły, a zarznąć musiały niedawno, bo ciepła była jeszcze. Ale nie myślał teraz o mięsie. Pod łopatką zwierza tkwiła strzała, pierwszy od dawna ślad człowieka. Jasiek od razu pomiarkował, że po tropach łosia dotrzeć może do ludzkich, a po nich do ludzkiej siedziby. Zamierzał zaraz ruszyć, ale wstrzymał się. Klempa mogła długo uchodzić, zanim dorznęły ją wilki, a ku wieczorowi już szło. Lepiej wyruszyć o pierwszym świcie, a od wypadku przygotować się do noclegu w lesie, zaopatrzyć się w żar, siekiere i żywność.

Wyciął spory kawał łosiowej polędwicy i co prędzej wrócił do chaty, a choć słońce dopiero zaszło, ułożył się do snu, by obudzić się o świcie.

Zdało mu się, że dopiero zasnął, a jednak światło raziło go przez powieki. Zerwał się w obawie, że zasnął, i aż przysiadł ze zdumienia: nad nim, trzymając głownię w ręku, stał Wojan, również z zaskoczeniem wpatrzony w Jaśka. Pierwszy jednak odzyskał głos:

- Tyżeś to?! Jakaś się tu nalazł?

- Ciebie szukałem. A tyś mnie napytał.

W słowach Jaśka brzmiała radość, ale Wojan nic zdał się uradowany, bo powiedział:

- Toś ty mi skórę onego łosia pokazał. Po śladach cię naszedłem. Miałeś się onymi sierotami opiekować i przy nich uwiesić.

Jasiek posmutniał i odparł:

- Chciałem być się uwiesić, ale nic szło. A skórę i tak wilcy popsowali.

- Jeno brzuch, a tyżeś z grzbietu kęs wyrzezał.

Widząc jednak zmieszanie Jaśka, machnąwszy ręką, dodał:

-Nic to. Ubijem innego, a ninic praw, przecz mnie szukałeś miast działać, jakem ci doradził.

Słuchał uważnie opowieści Głównki, nic przerywając, a gdy ten skończył, powiedział:

- Skoroś dziewczki nie uwiódl, jeno sama ubieżała i ostała przy biskupie, tedy nie na szyi winienes być kaźniony, jeno główne zapłacić za ubicie onego człeka grzywien sześć, jeśli chłopskiego był stanu. Gorzej, jeśli rycerskiego, bo wonzas trzydzieście. Alić sześć ani

chybi twój sztylet stoi. W grodzie mógłbyś złożyć i między ludźmi osiąść. Żeś zasię zrazu uszedł, słuszne, bo gdyby na licu cię dopadł, ani chybi żywota byś zbył.

- On nie prawa, jeno pomsty szuka za to, że mu beze mnie puścizna po stryjecznych przepadła - powiedział Jasiek.

- Nic to - odparł Wojan. - Dojdziesz do lat sprawnych, zaciągniesz się choćby do biskupa, główne zapłacisz, to i prawo będzie za tobą, i sameś nie ułomek.

Jasiek podniecony sięgnął za pazuchę i wydobyl otrzymany od Stachny mieszek ze srebrem i rzekł:

- Nierad bym on sztylet sprzedał. Może tego by starczyło.

Wojan ważył w rękę mieszek, po czym zawartość wysypał na dłoń, mówiąc ze złością:

- Jakowy pan, takowy pieniądz. Plewa!

Dmuchał i istotnie pieniążki rozsypały się na wszystkie strony. Podniósł jeden i pokazując Głównce, powiedział:

- Oto biskup na obrazie. Bo iście on rządzi, a mało tego, dziesięcinę ma przyznana z oficyny, która po trzykroć w roku stary pieniądz na nowy przebija, coraz płochszy i letszy.

Widząc, że Głównka zachnął się, ciągnął:

- Może twój Prandota czestny i miłosierny człek, nie dla siebie garnie zysk, alic nie będziesz się dziwował mojemu rozsierdzeniu, gdy ci rzekę, jakowe są skutki onego oszustwa. Bez nie ród mój do upadku przyszedł, a ja ostałem wywołańcem. Nijaki ze mnie towarzysz dla ciebie, co pokojnie żyć sobie umyśliłeś.

- Mniemałem, żeś mi życzliwy - smutno powiedział Głównka. - Gdy onego srebra na główne nie chwaci, cóże mi działać? Przy tobie doczekać chciałem, ażeby się dola odmieniła.

- Iście polubiłem cię. Tedy słysz, byś wiedział, z kim się sprzęgniesz. Dziad mój, takoz Wojan, możny był człek i łowiec z rodu. Gdy zwierza wytropił, nie baczył na ciosna ni książęce prawo, żubr, łoś, niedźwiedz - za jedno. Aż ci go wypatrzyli, komornik z pachółkami go najechał i siedemdziesiąt grzywien iścić każe. Nic to, nie Iza było wykręcać się, gdy niedźwiedzia skóra za lico. Dziad zasobny

był, do szkatuły sięgnął i grzywny wylicza, a komornik ogląda pieniądź i prawi: „Patrzcie onego szalbierza! Żarty z nas stroi i fałszywym pieniądzem zbyć zamyśla”. Dziad, który pieniądź od skarbnika za konie otrzymał, prawi: „Jestli pieniądź fałszywy, mincerzy to wina, nie moja. Takim płacę, jaki dostałem”. A komornik na to: „Waruj się z niezmyslną mową, byś w głębszą biedę nie wpadł. Oto pieniądź prawy, takowym płacć”. Na doręczu miał kilka sztuk z istnego srebra, jakich od Krzywoustego czasów nikt nie bił, i ukazuje. „Tedy co mi działać, gdy takowego nie mam” - prawi dziad, a komornik: „Nie wiesz ty, to my wiemy”. Pobrali, co było z zasobów, pobrali czeladź, a samego w więzy jęli i więcej nie wrócił. W lochu go zawarli i pono tak nękali, iż się obiesił.

Rodziec mój niezrały był jeszcze, ale pomścić ślubił bezprawie. Na macierzynę się wyniósł niebogatą i kmieczę córę pojął, bo mu już wyżej nie sięgać było, chudopachołkowi. Raniej niżli pomsty, śmierci doczekał czasu pierwszego najazdu, mnie biedę i pomstę ostawił. I macierz skoro pomarła, ostałem sam, ręce miałem wolne i niezgorsze już. Do łowów ich dołożyłem, tajemnicy z tego nic czyniąc, a jenom patrzył, kiedy do mnie przyjdą. Iście przyjechali, jeno nie wszyscy odjechali i bez grzywien. Odtąd jako ścigany zwierz żywię. Nieraz chciałoby się między ludzi wrócić, jeno nic po taką sprawiedliwość: za człeka grzywien sześć, za niedźwiedzia siedemdziesiąt, za książęcego komornika głowę. Jedną mam, co bym nic zdziałał, więcej nie stawię. Ty jednako, gdybyś się ze mną sprzął w jedno ciągadło - wszystko. I nic każdemu lubuje spać jako zając z otwartymi ślepiami. Już ty lepiej ostań ze starym Cicipłszem, skoro cię przyjął, co mi i dziwne, bo odludek był.

- Znales go? Nie żywic - odparł Główka. - Zwłoki jeno naszedłem i pogrzeblem.

- Jak puszcza długa i szeroka wszystkich znam. A oni mnie takoz, chociaż nie z widu - zaśmiał się Wojan, ale zamyślił się i po chwili dodał:

-Skoro stary nie żywic, iście lepiej, by cię tu nikto nie naszedł, mniemać może, iżes ty go ubił. Kto się raz smołą powala, każde pie-

rze do niego Ignie. Gorzej by po prawdzie było, gdyby cię ze mną naszli, jeno tu przyjdzie, komu woła, a do mnie nikt. Zrazu obieże na mnie czynili, alić im obrzydziłem. Ninie wiedzą, iże puszcza tako moja, jako książęca, i darmo by o mnie kto pytał. Checz¹ mam na bagnie, bezdroża takowe, że najlepszy tropiciel by nie znalazł, a wokół kałuż, gdzie i loś ulgnie. Jeśli się nie lękasz, bez zimę możesz u mnie posiedzieć, a potem się uwidzi.

- Mójżeś ty! - z radością powiedział Główka. - Dobrze nam było spolem, nie będziesz żałował.

- Ja nie. Jeno wiem ci, że ty byś wolał ze swą miłą wędrować. Ale ją sobie ze łba wybij. Ni ty dla niej, ni ona dla ciebie, a to wiedz, że człek jeno wtedy wolny, gdy nikomu nic nie powinien i od nikogo nic nie chce.

Główka zasmucił się i odrzekł:

- Przeor Sadok prawił, że darmo żywic, kto nikomu nie świadczy. I nie jeno prawił, ale na śmierć ostał, by ulgę nieść niemocnym. Atyżeś mało ludziom pomagał? Bez ciebie szczenąc by przyszło i mnie, i onym sierotom.

-Krowy szukałem, odwdzięki nie czekam - mruknął Wojan niechętnie, ale Główka odparł:

- Wždy nie twoja była. A mnie niechaj Bóg skarze, jeśli zabędę. Zasię gdybym i chciał zabyć mojej miłej -jako ją zwiesz - nie Iza mi, bo jej przyrzekłem, że wrócę.

-Głuptak z ciebie, niech ci będzie, gdy ci z tym lepiej. Ale czasu nam starczy na gadanie, a ninie zjeść nam co i w drogę, bo nie zaleziem dziś. Zapasy na bołki² zabierzem, bo nam zdadzą się, a tu nikomu.

Zapasy istotnie przydały się, głodu nie było, niemniej zima dojadła Jaškowi. Do checzy Wojana, położonej na kępie wśród oparzelisk nie zamarzających nawet w największe mrozy, dostęp był tylko jeden,

¹ Checz - chatę.

² Bołki - sanie.

który trudno nazwać nawet ścieżką: zatopione pnie lasu, jaki tu ongiś rósł, zanim bobry zamieniły okolicę w bagno, czy pozostałość ludzką ręką urządzoną przejścia przez mokradła na obły pagórek, gdzie stała byle jak sklecona chata o ścianach z drągownicy przeplecionej chrustem. Nijak było przejść bez przemoczenia nóg powyżej kolan, każde fałszywe stąpienie oznaczało kąpiel w bagiennej wodzie, po której niełatwo było wysuszyć się, bo ściąganie drewna na opał było najcięższym z trudów, jakich i bez tego nie brakło, i nie częściej niż raz na dzień rozpalano ognisko, by strawę uwarzyć. Nocą niewiele cieplej było w chacie niż na zewnątrz. Zakopywali się w skóry, czekając świtu, gdy nie dało się do niego dospać, gwarzyli. Często jednak, zwłaszcza z początkiem, Jasiak pozostawał sam, gdyż zrazu nie mógł nadążyć Wojanowi w jego nieraz kilkudniowych wędrówkach. Leżąc bezsennie, rozmyślał nad swym położeniem, niewiele jednak wymyślił. Pewien był tylko, że tu nie pozostanie na zawsze, bo musiałby poniechać nawet marzenia o tym, by kiedyś połączyć się ze Sławką. Gdy jednak rozważać zaczynał, jak osiągnąć ten cel, ogarniało go poczucie bezradności. Gdyby nawet zapłacił główne - jeśli istotnie wynosiło tylko sześć grzywien - nie rozwiązywało to jeszcze niczego, a przekreślało nadzieję nabycia konia i hełmu. W Radosławie ma i będzie miał możnego wroga; z Wojancm przestał mówić o tym, bo on rozwiewał tylko te marzenia. Jasiak uciekać zaczął od myśli o przyszłości i zdał się na los, który w jego krótkim życiu już kilkakrotnie się zmieniał. Nie może być zawsze źle.

Nie było zresztą najgorzej; mimo trudów i niewygód zdrowie dopisywało mu. Rósł i tężał tak, że pod koniec zimy bez nadmiernego wysiłku nadązał Wojanowi, i teraz już stale przebywali razem. Wojan chętnie mówił o swych przygodach, nigdy natomiast o zamierzeniach na przyszłość, jakkolwiek Główka nic sądził, by spędzić miał życie jako pustelnik. Z opowieści jego wynikało, że Niepołomską i Radomską Puszcę zna nie gorzej niż Sandomierską, nieobce mu nadbużańskie i nawet nadnoteckie bory, a futra, których zbieraniem trudnił się przez całą zimę - nic pierwszą, jak sam mówił - nie na przyodziewek są mu potrzebne. Wiadomo, że lubił łowy, ale srebro, jakie ze sprze-

dąży musiał otrzymywać, w pustelni na nic nie było przydatne. Zapytany, po co je zbierał, zbyt Główkę żartem:

- Gdy w piętnastu leciech żrały będziesz, na myto dla cię, gdy ścierciałką u mnie ostaniesz.

Jasiek nie pytał więcej, choć przypuszczał, że w żarcie może kryć się coś z prawdy. Za pieniądź możnowładcy utrzymują zbrojne hufce, przy których pomocy drwić mogą z prawa i ściągać od kupców cło mostowe i drogowe, jeśli nie wprost rabować. Wojan zapewne o rozbój nie zamyśla, raczej może o handlu. Do tego i pieniądź potrzebny, i zbrojny orszak, a i znajomość brodów na rzekach i niezbyt bezpiecznych traktów handlowych mogła być przydatna.

Nastało przedwiośnie. Rzadko teraz i tylko po drewno na opał opuszczali chatę, bo śniegi zamieniły się w grząską maź, lód na strumieniach odmiekł i wierzchem płynęła woda, a zwierz linieć zaczął i futra były nicpotem. Przesiadawali w chacie, słuchając, jak marcowe wichry hulają po oparzelisku lub deszcz szemrze na dworze. O bieżących sprawach nie było co mówić. Wojan nad czymś zdał się dumać, Jasiek głowił się, co dalej poczynać. Zima jakoś przeszła i stracona nie była. Wprawił się w strzelaniu z łuku, poznał kawał puszczy, nabył wiadomości i doświadczenia, a przede wszystkim zbliżyli się z Wojanem, i z żalem myślał, iż przyjdzie się rozstać, bo ten nie taił, że wkrótce opuści chatę, by nie wrócić aż zimą.

Tymczasem szła wiosna. Oparzelisko zaroilo się od przelotnego ptactwa, z bagna wychywały młode pędy trzciny i sitowia, splachcie wody pobłękitniały odbiciem pogodnego nieba, a okalające pasmo borów zrudziało pąkowiec, niemal z dnia na dzień coraz wyraźniej podbarwiając się zielenią. Wojan zdał się gotować do odejścia, czyścił, dobierał i wiązał w pęki zdobyte zimą łupieżę, paści smarował sadłem, by zabezpieczyć je od rdzy. Główka czuł, że znowu nadchodzi odmiana. Gdy pokończyli przygotowania, wiedział, że trzeba odejść. Pod wieczór siedzieli przed chatą, pożywiając się. Na ugotowanie wieczery zużyli resztę drewna, Wojan nie żałował soli, której ostatnio szczerdzić musieli; jasne było, że jest to ostatni posiłek przed drogą. Jeno dokąd?

Wojan widocznie również nad tym rozmyślał, bo odezwał się:

- Przedamy łupieżę, swoją dolę dostaniesz. Potem co poczynać zamierzasz?

Gdy Główka w zamyśleniu nie odpowiadał, Wojan ciągnął:

- Wiem, że ci ona młodziczka we łbie tkwi, iżeś się obowiązał k'niej wrócić. Dokąd? Do Krakowa? Jeśli ci biskup uchodzić niechał, nie po to, byś się sam oprawcy w ręce pchał. Wicszli to nawet, zali Sławka w Krakowie bawi? Może do Krępy wróciła społem z Pietrkiem. Tam byś Radosławowi w ręce popadł. Nie stoi głowę stawić jeno po to, by dziewczka wiedziała, że tęsknić ma za czym, bo iście z nią nie ostaniesz. Skoro wam nijak o tym myśleć, tedy i nic warto. Zabędziesz ty, zabędzie ona, najcięższy zasię człeku żywot, jeśli zatnie się w tym, co być nie może. Widząc, że Główka posmutniał, dodał:

-Nie sumuj się. Nieraz bywa, że się spełni, co zda się nicmożebne. Ale pewne, iże nikto na szczyt wieży nic wyskoczy, jeno po wschodach pięć się musi. Przódzi do lat sprawnych dojść winienes, potem sam się ustalić. Jeśli iście Sławka w wierze dostoi, pora będzie o niej myśleć. A nie dostoi - nic ci po niej. Pierwej ci stanowić, co dziś a jutro.

Główka czuł słusność przestrogi, ale zarazem wiedział, że nic potrafi i nie chce żyć lata całe z dnia na dzień, czekając tylko na niepewną odmianę. Zamyślony powiedział:

- Ślubilem pomstę Tatarzynom, że macierz moją wdową uczynili, a potem za przeora Sadoka i za Sławki rodzica takoz.

Wojan roześmiał się:

- By Sławkę pojąć, rycerzem byś ostać musiał, by pomsty dokonać - mało książęciem. Wstydlivy nawet dziedziny swej nie bronil, cöz gadać o pomście.

- Nic ubilem to Tatarzyna, aczkoli ni rycerz ze mnie, ni książę?

- Boś go znienacka popadł i jeszczeć one częda pomogły z nóg go zbić. Ale wiem, żeś dzielny pacholek, tedy ci rzekę: kto jestem - wiesz. Pojmaliby nas społu, kołem łamać będą. Nie boisz się, pójdź ze mną. Główka zdał się zastanawiać, bo nie zaraz odparł:

- Rad bym. Ale dokąd zmierzam, wiesz. Zda się wiedzieć, dokąd ty, bym na bezdroże nie zszedł, co donikąd wiedzie.

-Zmyślny pachol z ciebie, Jaśku, jedno ci rzekę: kie dwóch pątników się zejdzie, bezpieczniej im społem wędrować, choć nie do jednego świętego im pąc¹. Ja odebrać przedsięwziąłem, co książęce pacholki dziadowi memu zrabowali. Tego - wskazał na stertę futer - nie starczy. Tedy u celników gotowego srebra szukam. Bezpieczne to nie jest, bo juści z dobrawoli nie dadzą; nie boisz się, pomożesz, i tobie się zda. Za srebro przysiężników najdziesz, co ci rycerski stan potwierdzą. Z pieniądzem ze smerda rycerz, beżeń z rycerza smerd.

Główka zamyslił się chmurnie i po chwili odparł:

-Nie... Bobym rabusiem ostał, a zadość ich. Bez srebra z rycerza smerd - prawisz. A z księcia? Jako dziedziny bronić mają? Możeś ty praw, że swego pytasz, ale nie ja. Ty odebrać chcesz, co książęce pacholki u dziada twego zrabowali. Kto zasię odebrać ma, co tatarski zbój nie jeno książęciu, ale wszystkim w kraju złupił, a czego **nie** wziął, zniszczył niby szarańcza? Za dziada pomsty pytasz, a tatarska srogość bez pomsty ma ostać?

- Wymowny z ciebie mędrak - zakpił Wojan. - Byś nie miał ręki skorej do ubijstwa, snadnie mógłbyś jardziekonem² lubo zgoła biskupem ostać, a książęciu doradzić, jako nad Tatarzynem pomsty ma pytać. Dużo też my obydwaj zdziałyśmy!

- Jardziekonem nie ostanę ni książęciu doradzać nie będę - odparł Jasiek nie stropiony. - Ale tobie nie jednakie srebro u swoich i u cudzokrajnych celników? Ponoć nawet lepsze na Rusi, a i złota nie brak. Tam pomógłbym ci.

- Iście zaradny jesteś. Mnie za jedno, kołem mnie łamać będą w Sandomierzu lubo na pal nawleką w Haliczu. Ale w kraju wiem, jako się obrócić, ludzi znam, co odwdziękę mi dłużni, bom też niejednemu pomógł. Tam zasię nikogo. Chańskie baskaki spisać niechali wszystkich, tedy jeno obcy się zjawi, wiedzieć mogą i nikt takowego

¹ Pąc - pielgrzymka.

² Jardziekonem - archidiakonem.

ukryć się nie waży, bo się srogiej kaźni lęka. O siebie nie stoję, wiem, o co igry. Ale po tobie Sławka by płakała - zaśmiał się.

- Wždy wiedzieć nie będzie - odrzekł Jasiek w zamyśleniu. - Mniemam, że na Rusi nikto tatarskich łupieżców nie miłuje ni kniaziowych siepaczy, którzy im prosty naród gnębić pomagają. Myto zaś na granicy biorą. Zaczaim się, z nagła naskoczym i nazad. Przy granicy bezludzie jest, kto nas najdzie? Żeby tak jeszcze koni dobyć!

- Lubo gród jakowy - zaśmiał się Wojan. - Snadnie byś nie jeno rycerzem, ale i książęciem ostał. Wypróbujem twój pomysł, nie uda się, pójdziem na hak.

Klepnął Główkę po ramieniu, kończąc:

- Rad jestem, że ostaniesz ze mną. A ninic spać, bo jeno świtać zacznie, w drogę nam.

Odbudowa zniszczonego kraju postępowała. Na zgłiszczach spalonych osad świeciły już świeżym drewnem nowe zabudowania. W borach książęcych, gdzie niedawno zwierz tylko miał ostoję, jak grzyby po deszczu wyrastały na surowym korzeniu kolonie niemieckich osadników, ściąganych tu przez obrotnych pobratymców ze Śląska. Dorobiwszy się tam w krótkim czasie, szukali teraz w nowym kraju nowych korzyści, jakie osadźcom niosły wójtostwa i sołectwa w związanych z tym nadaniach i przywilejach.

Mniejsze natomiast zyski niosły wyczerpanemu książęcemu skarbowi wobec długoletniej wolnizny od wszelkich ciężarów i danin. A jeszcze ciążyły na nim skutki pierwszego najazdu tatarskiego.

Na odszkodowania dla rycerstwa za wyprawę poza granice księstwa i poniesione tam straty skarb nie tylko wyczerpany został do dna, ale książę musiał wydatkować posag Kingi i zabezpieczyć jego zwrot zastawem ziemi sądeckiej, tracąc przez to dochody z ceł, jakie przynosił handel z Węgrami. Wprawdzie niedawno odkryte w Bochni bogate złoża soli - w znacznej części wywożonej na Ruś - zaczynały już zasilać skarbiec na równi z krakowską mennicą, która ruszyła po przestoju, ożywiając targi, ale były to dopiero nadzieje na przyszłość,

tymczasem, zaś na odbudowie skarbu ważyły jeszcze koszty niepomysłnej, morawskiej wyprawy, i długi trzeba było pokrywać nowymi długami.

Trudniej jeszcze niż skarb odbudować było zburzony ład i zaufanie. Zbójców namnożyło się, zwłaszcza na północnym i wschodnim pograniczu, a trudno ich było zwalczać, gdy ocalała z pogromu spokojna ludność osad i gródków zniszczonych w czasie najazdu wracała ociągłiwie, niepewna, czy nowy najazd nie pozbawi jej znowu owoców pracy. Nie tylko Tatarzy zresztą zagrażali bezpieczeństwu. Mały, ale napastliwy i bitny naród Jadźwingów, osiadłych na głodnych ziemiach Podlasia, był nieustającym źródłem niepokoju nawet wówczas, gdy jego litewski sprzymierzeniec w inne strony obrócił swe niszczące najazdy. Na dobitkę, mimo wszczętych układów o następstwo Leszka na seniorackim stolcu, swarliwy Kazko kujawski, dopiero co ukończywszy walkę z Bolesławem kaliskim, korzystając z zamętu, zajął gródek w Lelowie.

Wieść o tym czekała na księcia po powrocie z objazdu wschodniej granicy, którą starał się ubezpieczyć, osadzając w umocnionych miejscach zubożałe drobne rycerstwo i włódyków. Wzburzony, niemal nie zsiadając z konia, ruszył do Lelowa. Szczęściem Leszko okazał się rozsądniejszy od ojca i odmówił posiłków załodze gródka, która na skutek tego ustąpiła bez walki. Niemniej ksiązę wrócił do Krakowa rozgoryczony i strapiony. Zjednoczenie państwa, które jedynie mogło zabezpieczyć kraj przed niszczącymi napaściami sąsiadów i położyć kres wewnętrznym walkom, zdało mu się mrzonką. Rozrodzeni książęta nie tylko nie uznają nadrzędnego stanowiska seniora, skłonni raczej uginać się przed obcym, ale w ustawicznych waśniach wzajemnie się osłabiają, a rozkład postępuje z każdym pokoleniem.

Od pacholęcia nawykły szukać oparcia i rady u Prandoty, ksiązę niecierpliwie czekał na powrót biskupa, który wyjechał konsekrować, już po raz drugi za czasów swego pasterstwa, odbudowane po zniszczeniach kościoły. Z mrówczym uporem będzie je odbudowywał, ilekroć zostaną zburzone. Ksiązę czuł, że nie potrafi w tym naśladować swego wychowawcy ni podzielać jego wiary, że za wstawiennictwem

świętego Stanisława zjawi się zjednoczyciel, gdy nawet między świętymi nie ma zgody, kto ma patronować zjednoczeniu. Gdy Prandota poświęcił wiele trudu i starań, a nie mniejsze zasoby, by na ołtarze wynieść krajowego świętego, którego relikwie spoczywają w wawelskiej katedrze, i także ją uczynić duchową stolicą Polski, arcybiskup Janusz nakazuje szerzyć kult świętego Wojciecha, mimo że nie jest nawet pewne, czy w gnieźnieńskiej katedrze spoczywające szczątki są prawdziwe. Po śmierci bowiem nieszczęsnego Mieszka II wraz z innymi zrabowanymi tam łupami wywieźć miał je do Pragi Brzetysław. Co gorsze, Śląsk czyni starania o własną patronkę w osobie wdowy po Brodatym - Jadwigi, księżniczki Mcranu, by utrwalić oderwanie od macierzy. Na dobitkę z misją tą wyjechali do Rzymu Salomon, archidiacon, i Mikołaj, scholastyk krakowski, bez wiedzy i zezwolenia swego pasterza. Nigdzie nie ma jedności i posłuszeństwa, ani w państwie, ani w Kościele, nie ma ich Prandota we własnej kapitule, a mimo to wierzy w cud. Książę nie widział zjednoczyciela wśród piastowskich książąt, a wiedział, że jemu samemu to nie sążone. Siłą ongiś jednoczyli bratnie plemiona Mieszko i Chrobry, siłą jednoczył je Krzywousty, a on nie ma jej nawet tyle, by własnej dzielnicy zapewnić spokój i bezpieczeństwo.

Jak milczący wyrzut odczuwał obecność siostry, Salomei, wdowy po poległym w czasie pierwszego najazdu halickim Kolomanic. Ufundowany dla niej przez brata w Zawichoście klasztor Klarysek, do którego wstąpiła po śmierci męża, poszedł z dymem, cudem ocalałym mniszkom należało zbudować i wyposażyć nową siedzibę w bezpieczniejszym miejscu. Upatrzył je trzy mile od Krakowa w dolinie Prądnika. Prandota przyrzekł przyczynić się do budowy i uposażenia, i książę czekał na powrót biskupa z niecierpliwością. Nic mogąc doczekać się przyjazdu Prandoty, mimo że zaczęły się już wiosenne roztopy, ruszył naprzeciw niego.

Biskupa zastał w Korczynie, gdzie zatrzymały go nie tyle rozmiękle drogi, ile zły stan zdrowia. Postarzał się i jakby przygasł; zaniepokoiło to księcia. Wśród duchowieństwa krakowskiej diecezji nie widział nikogo, kto by Prandotę mógł godnie zastąpić, w szczególności

takiego, który by - jak ongiś on, jednomyślnie wybrany - zapobiegł rozdzieleniu zarówno w kapitule, jak w kraju. O biskupi pierścieni i pastorał zaczęły się targi i spory, które nie skończą się z wyborem, zwłaszcza gdyby padł na niegodnego.

Tymczasem jednak Prandota żył i mimo że słabował, wziął udział w radzie. Ze zwykłą szczodrobliwością na uposażenie klarysek zawichoj-skich odstąpił ze swej dziesięciny solnej dwadzieścia grzywien oraz patronat nad kościołem Św. Wojciecha w Żarnowcu. Bolesław ze swej strony nadał im trzy wsie oraz przywilej na lokację miasta w Skale. Kanclerz Przedpełk natychmiast na zlecenie księcia wygotował dokument, który koniuszcy Tomasz Poraj powiódł do Krakowa, i Bolesław z ulgą myślał, że za powrotem nie zastanie może tam już Salomei.

Przygnębiała Bolesława obecność starszej o lat piętnaście siostry, której niemal nie znał, bo w wieku lat trzech oddana na dwór węgierskiego Andrzeja chowała się wraz z przyszłym małżonkiem, by powrócić do kraju dopiero po jego śmierci. Salomeą zdała się współzawodniczyć z Kingą w postach i umartwieniach; nie zapytała nawet o ostatnie chwile niedawno zmarłej matki, a w jej odpychającym milczeniu Bolesław czuł przyganę, że czas swój i myśl poświęca innym sprawom niż wieczyste zbawienie... Wolał czcić świętobliwość Salomei z dala.

Nie tylko jednak dlatego zatrzymał się w Korczynie po skończeniu zjazdu, by nie spotkać się z siostrą. Do Prandoty przywiązany był jak do ojca, gdy rodzzonego nie pamiętał, a we wzajemnym, bezinteresownym przywiązaniu pasterza znajdował wypełnienie pustki pozostawionej przez oschłą żonę i surową siostrę; i biskup nie szczędził mu nie tylko rady, ale niejednokrotnie i przygany, pewność jednak jego przychylności, jak i rozsądku, pozwalała przyjmować je bez upokorzenia.

Prandota także rad był, że zastał w Korczynie Bolesława, który z domu wójta przeniósł się na plebanię, gdzie stanął biskup. Po załatwieniu spraw ogólnych mógł wreszcie pomówić z księciem o sierotach po Zbygniewie z Krępy. Dotychczas nie wiedział nawet, co się z nimi dzieje, i niepokoił się zwłaszcza o Sławkę. Odetchnął z ulgą, gdy ksiązę rzekł na wstępie:

- Przepomniałem wam oznajmić, iż ona zbiegła młodziczka nalażła się. Słała do was czcigodna ksieni Wyszeniega z zapytaniem, co ma począć z dziewczką, która u niej bawi w staniąteckim klasztorze. Chorzała zrazu, ale ninie już pozdrowiała. Ksieni pyta, dokąd przykazecie odesłać dziewczuszkę.

-Nigdzie - odpowiedział Prandota w zamyśleniu. - Wolna jest i doszła już, jeno niedoświadczona, by mieniem i sobą porządzić, a nie ufa nikomu. I prawie - dodał smutno - bo nikt pomocnej ręki nie podał onym sierotom, kromie jednego młodzika, który wyzuł je z sandomierskiej obierzy. Obawiam się, że jego to szukać szła, i nijak jej zabronić. Mówić z nią muszę.

Wyczuwając w słowach biskupa wyrzut, że nie zadbał o sieroty po zasłużonym mężu, Bolesław usprawiedliwił się:

- Wždy wiecie, że nie jeno po panu z Krępy sieroty ostały, jako że nie stać mnie na wszystko. Krewniaków możnych mają, ich to pierwszy obowiązek. Są inne, które nie mają nikogo.

- Iście tak, jeno że się krewniacy do powinności nic czują.

Opowiedział biskup, jakiego przyjęcia doznały sieroty w Dębnie, i zakończył:

Wiem ci, miłościwy panie, iżście nie zbyli jeszcze nawet brzemienia pierwszego najazdu, a innych trosk także nic brak. Nic o wspomnienie jednakowoż idzie ni o tych dwoje sierot, bo iście więcej ich ostało, jeno by wiadome było, że kto mienia ni krwici dla wspólnego dobra nic skąpi, własnego pokolenia na poniewierkę nic ostawi. Każdy zasię w kraju wie, że panowie z Krępy odpór dali najazdowi, sześć niedziel dzierząc go na sobie do ostatka swych sił, bez nijakiej pomocy, wielu innym szczedząc takowego losu, jaki ich samych poścignął. Bóg im wiekuistym żywotem nagrodzi, ale sierotom myśmy dłużni odwdziękę, gdy ległym jeno modły.

Bolesław słuchał, opuściwszy oczy. Dochodziły go już szemrania, że pod Sieradzem stał beczynnienie, gotów do walki z Kazkiem, ale nie z Tatarami. Teraz zdało mu się, że i Prandota za złe mu to poczytuje. Powiedział przygnębiony:

- Bóg mi świadkiem, że nie z bojaźni o żywot własny nie dałem pola Tatarom, jeno by reszty sił nie wytracić. Tatarzyn przyjdzie i odejdzie, a źli somsiedzi ostają. Może od Kazka pokój będzie, bo pono chorzeje, a syn jego po Konstancji nam przychylny. Ale na jadzwińskiej granicy nie spać bez oręża. Żeby Jadzwież na Litwie nie miała oparcia, snadnie by z nią koniec uczynił, bo choć bitny to naród, ale niewiela ich jest. Wiem ci, że i to za gnuśność mi poczytują, że za Wieprzem nikt żywota ni mienia niepewny, choć jeno sposobnej pory czekam, by kres temu położyć. I to wiem, zem się w wielkich imienników nie wdał. Może źle się stało, żeście Konrada z krakowskiego stolca zegnali, bo on wojnę miłował, ja zaś pokój - zakończył gorzko.

- Chrystus pokój głosił, a powiedział, iż przyjdzie czas suknię przedać, by kupić miecz - surowo przerwał biskup. - Jeśli nawet Konrad ręki braterską krwią rodzica waszego nie skalał, to jej i do obrony nie przyłożył, korzyścić zamyślając z Świętopełkowej zbrodni. Pod klątwą żył, a nikt posłuchu nie winien takowemu, którego Kościół ze społeczności swej wyłączy. Właść zaś nie jeno prawem jest, ale i obowiązkiem. Od Boga pochodzi i wedle praw Bożych ma być pełniona. Wiary i Kościoła świętego bronić winna, sprawiedliwości domierzać i świadczyć miłosierdzie. A pierwsze uciśnionych i sierot doli obelżać¹. Pietrka Zbygniewica odjąć należy pieczy Radosława, dla puścizny po Piętrze i Zbygniewie z Kрэpy włodarza ustanowić z waszego ramienia, któren by zasadzce wyszukał, by za waszym przywilejem spustoszone mienie odbudował i na niemieckim prawie na nowo osadził. A takż przypomnieć wam winienem, jako onże Radosław po dwakroć już na roki nie stanął o zagrabienie kościelnego mienia. Zechciejcie zrok wyznaczyć, a jeśli po trzecie nie stanic, w zaoczności go sądzić.

Gdy Bolesław milczał, Prandota zapytał:

- Nad czym dumacie, miłościwy panie?
- Uczynię, jak chcecie - odrzekł książę. - Może rycerze z Dębna z dobrej woli Pietrka wydadzą, bo nic im po nim. Nie wiem, jako bę-

dzie z puścizną po jego oǳu i stryku, niełacno zasadzce naleźć, który by od bitki z Radosławem poczynać chciał. W waszej zasię sprawie wolałbym sposobniejszej pory doczekać. Radosław wie, że na trzecim zroku sprawa w zaoczności sądzona będzie. Tedy po dwakroć nie stanął, bo widno wykret jakowyś gotuje lubo na poparcie liczy rodowców i swojaków, jakich ma po równi u mnie w radzie czy u was w kapitule. Gdyby zasię wyrok po waszej myśli wydany ostał, choćby z wrogiem zmówić się gotów, by do wykonania nie dopuścić. Po to i wielmoże na krakowskim stolcu osiąść mi zwolili, bym płaśał, jako mi zagrają - zakończył.

Prandotę dotknęło odezwanie się księcia, ale nie mógł zaprzeczyć, że bez poparcia wielmożów nie zdołałby wyprzeć z Krakowa Konrada. W zamian wynagrodzenia czekają w nadaniach, przywilejach i urzędach, nic tylko świeckich, ale - co gorsze - i duchownych, rodowców na nie rając bez powołania i przygotowania, zajętych jedynie zbieraniem prebend i beneficjów, troskę o dusze spychając na ubogich i ciemnych wikariuszy. Biskup spochmurniał; i on nic próbował się temu wprost opierać, wiedząc, że tylko rozterkę by wywołał, natomiast w szkole kapitulnej starał się wychowywać ludzi nic związanych z możliwymi rodami. Ale to jest posiew na przyszłość, a Prandota czuł upadek sił i sam z troską myślał o osobie następcy. Tymczasem znosić musi w własnej kapitule takich, jak Paweł z Przemykowa, rozwiązywał młodzik, wbrew obowiązkowi prezencji¹ czas spędzający na łowach i biesiadach; Półkozice możni są i spowinowaceni z największymi rodami. Następcą swym Prandota widziałby najchętniej Jakuba ze Skarszewa, doktora dekretów, którego uczynił dziekanem kapituły. Za życia swego jednak nie może przeprowadzić jego wyboru, a umarli nie mają głosu. Jakub, człowiek chłopskiego stanu, mimo swych zasług i wykształcenia nie znajdzie większości w kapitule złożonej wyłącznie z rodowców.

Obelźać - ulżyć.

¹ Prezencji - obecności (tu: obowiązek brania udziału w obrzędach kościelnych i pracy duszpasterskiej).

Biskupowi na myśl przyszedł Główka. Gdyby zechciał kształcić się dalej, Kościół zyskałby pożytecznego pracownika, a on miałby zapewnioną przyszłość. A tak zmarnuje się lub zejdzie na złe drogi, bo kto raz rozminie się z prawem, niełatwo mu nawrócić. A na dobitkę biedna dziewczyna przez niego życie sobie związać gotowa.

Smutne zamyślenie Prandoty przerwał książe, pytając:

- Kiedy, wielbny ojcze, wracacie do Krakowa? Jeśli się już w siłach czujecie, rad bym jechał społem z wami.

- Na mnie nie czekajcie, miłościwy panie - odparł Prandota. - Wypocząłem co nieco, jeno jeszcze za Wisłę muszę się przepawić, by do Staniątek wstąpić. Niewiele z drogi, a z oną dziewczuszką mówić chciałem.

Na skraju Niepołomskiej Puszczy, na niewielkim wzniesieniu, wśród łągów i rozlewisk Wisły położony klasztor w Staniątkach nieczęsto widywał gości, mimo że nad bramą wisiał zwyczajowy napis: *pateat miseris et amicis*¹. Z drogi leżał od solnego gościńca do Bochni i nawet suchą porą panującą tam ciszę rzadko przerywał skrzyp otwieranej bramy. Gdy roztopy zamieniły wiodącą do niego drożynę w grząską maź, stara furtianka drzemała spokojnie, pewna, że słodką beczynność przerwie jej dopiero dzwonek wzywający na tercję.

Z marzeń wyrwało ją kołatanie do furty, zapewne nie pierwsze, bo przybierające na sile. Poskoczyła w obawie, że ksieni przyłapie ją na zaniedbaniu obowiązków, spojrzała przez okienko i nogi ugięły się pod nią z wrażenia. Pod bramą, w szczipłym orszaku, czekał biskup Prandota. Co rychlej odsunęła zaworę i natychmiast ruszyła, by zawiadomić przełożoną o przybyciu pasterza. Wyszeniega jednak widocznie sama zauważyła przyjazd i szła już przez gospodarczy dziedziniec, wołając na zajęte rąbaniem drewna siostry, by odłożyły kłodę z bramy.

Na widok nadchodzącej biskup uśmiechał się życzliwie. Znał ją od chwili, gdy przed ośmiu laty przyjechała tu wraz z czterema mnisz-

¹ Pateat miseris et amicis - niech będzie otwarty dla biednych i przyjaciół.

kami reguły Św. Benedykta, by dozorować budowy klasztoru ufundowanego przez jej rodziców, kasztelana krakowskiego Klimunta Gryfitę z Ruszczy i jego małżonkę Raclawę. Teraz oboje spoczęli już w krypcie ceglanoego kościółka, który sobie na miejsce wiecznego spoczynku upatrzyli, a Wyszeniega wchodziła pod południe swych lat, które jednak zdały się nie pozostawiać na niej śladów, może przez młodociany uśmiech, który nie schodził z jej twarzy, nawet gdy przykłąknąwszy przed biskupem ucałowała pierścień na jego rękę. Pobłogosławiwszy ją, Prandota powiedział:

- Wybacz, czcigodna sestro, że w świeckich sprawach zakłócam spokój tego zakątka.

- Tym milej was witam, wielbny panie, zem się widzieć was nie spodziewała porado podróży tak niesposobną. Zechciejcie się rozgościć.

Skinęła na służebne, by konie prowadziły do stajen, ale biskup powstrzymał ją, mówiąc:

- Dziś jeszcze w Krakowie być muszę. Wstąpiłem jeno obaczyć się z oną młodziczką, a tobie podziękować za pieczę nad nią i wieść. Niczym cierń uwierał mnie niepokój o nią. Jako się tu naszła?

- Włodarz z Ruszczy jechał tutaj z zapomogą dla klasztoru i śpiącą nalazł przy drodze. Już ją zamróz chwycił i byłaby doszła, choćby ją wilcy nic skąsali.

- Nie mówiła, dokąd szła?

- Nicmownajest, a ja nie pytam, jeno jej rzekłam, że odesłać ją niccham, dokąd i kiedy zechce.

- I nie wybiera się? Bo jako słyszę pozdrawiała już, a miarkuję, że niczdała jest do klasztornego żywota.

- Nie - odparła Wyszeniega - a i ja mniemam, że inne jej powołanie. Po tatarskim najściu przywiedli tu parę sierot. Częda to maluczkie, ani wiedzą, kto je rodził. Lgną do Sławki, a ona jako macierz o nie się troska we dnie i w nocy, bo nawet z nimi sypia. Zmamiłaby się w klasztorze - rozeźmiała się.

Biskup spojrział na Wyszeniegę, sądząc, że gorycz przemawia przez nią. Piękna niewiasta, jedynaczka pierwszego w księstwie dostojnika,

w wiosnie swych lat wyrzekła się świata. Ale uśmiechała się pogodnie, gdy dodała:

- Wraz ją przywołam, jeno mi jej jeszcze nie zabierajcie. Polubiłam tę dziewczuszkę, a tak miemam, że i ona mnie. Zwólcie do rozmownicy.

Biskup niedługo czekał, gdy zjawiała się dziewczyna i pochyliła się, by ucałować jego rękę. Poglądził ją po głowie, a potem przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Zmieniła się znowu, wyrosła i jakby zeszczuplała, może jeszcze po przebytej chorobie, ale mimo półzakkonnego stroju nie zdała mu się szara jak wówczas, gdy widział ją na dworze księżny. Zniknął spłoszony i znękany wyraz twarzy, widniał na niej smutek, ale spokojny.

Prandota nie chciał czynić jej wyrzutów, mimo to powiedział:

- Wiele troski przyczyniłaś mi, gdy innych nie brak, a sama omal nie zbyłaś żywota.

Ponieważ milczała, opuściwszy oczy, ciągnął:

- Mniemałem, iżem na wiarę zasłużył, jako dobro wasze mam na względzie. Widzisz, iż wtóry raz już niecierpliwość twoja jeno zła jest przyczyną. Jeśli do Krępy wracać chciałaś, byłbym cię niechał tam odesłać, ale sposobną porą, bo wiesz, że dworzec spalony. Do Dębna wracać nicpotem, a wiedziałaś, że orędownać mam u książećcia. Pieczę nad Pietrkiem objąć przyrzekł, tedy i brat twój do Krakowa zjedzie. Także ci źle u księżny było, iż choć do czasu wydzierżyć nie mogłaś?

Gdy Sławka zarumieniła się tylko, milcząc nadal, biskup podjął surowiej:

- Jeśli jednak onego junoszkę odszukać wzięłaś przed się, to wiedz, iż to lekkość jest i tak czy inak nic dobrego wynijść z tego nie mogło. Gdybyś go i naszła, jeno byś na się osławę ściągnęła, a jemu była jako kłoda u nogi. Ale łacniej jemu ciebie należeć niżli tobie wypowiednika, który przed prawem ukrywać się musi.

Z zeszczupiałej twarzy Sławki zniknął rumieniec, gdy podniosła swe wielkie oczy na Prandotę, mówiąc:

- Wy wiecie, dostojny panie, że on niewinowaty, a nikogo nie ma, co by za nim stał, krom mnie. Ale nie jego szukać szlam. Obiecał mi,

że wróci, i wiem, że wróci... jeśli wydoli. Tedy będę czekała, choćby do śmierci.

Oczy Sławki załśniły. Opuściła je, by ukryć łzy. Prandota rzekł łagodniej:

-I czekać trzeba gdzieś. Tedy czemużes z dworu uszła i dokąd? Jeśli pomagać mam, wiedzieć muszę, czego chcesz. Nieufność - zła to odwdziątka za życzliwość. Możesz mi rzec wszystko, jako na świętej spowiedzi, do niczego przymuszać cię nie będę.

Widząc, że zarumieniła się znowu i jakby zawahała, dodał:

- Siadajże i mów jako do samej siebie. Jeszcze przez chwilę milczała, nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, co myśli i czuje. Wreszcie zaczęła:

- Gdy przed Tatarzyncem uchodzić przyszło, i strach, i mróz, i głód! Ale lżej cierpieć, gdy ktoś ulżyć nam się stara, siebie samego nie szcędząc. Modlić się mogłam jako nigdy o ocalenie i w podzięce, iż nam Bóg onego junoszkę zesłał jako anioła, by nas chronił i wspomagał.

Umilkła, jakby się zawahała, czy mówić dalej, a Prandota powiedział:

- Rozumiem, że ci on Główka w sercu ostał, jeno nic ma go i nic wiada, zali wróci, a gdzieś żyć trzeba. Wiem ci, że nawykłej do swobody niełatwo się nagiąć do posłuchu, jakiego miłościwa pani od swych dworek wymaga, i że młodym o cierpliwość najtrudniej. Jeśli nawet on Główka wróci, to nierychło. Nic chcę ja ci odbierać nadziei, sama jednak rozumiesz, iż czekać musisz. Nie w Dębnic ni w Krepie, tedy gdzie? Dokądżeś tedy szła?

- Przed się. Jeśli żywot to jeno czekanie na śmierć, a wszystko, co miłe, to grzech, tedy i po co żyć? I o cóże się modlić? Nijak nic mogłam, a pani i po nocy do modłów wstawać niechała. Gdy usnęłam na nabożeństwie, srodze mnie karciała i klęczęc kazała. Od kamienia zamróz ciągnie, kolonie bołą. I żeby chociaż po nabożeństwie wyszła! Przędzi dziesięć psalmów śpiewała i nam przykazywała, prawiając, że kto śpiewa, po dwakroć się modli. A ja ni słuchać nie mogłam. Jeśli anioły tak pieją przed Bożym tronem, to nie stoję o zbawienie...

Urwała i zamilkła zmieszana. Prandota, który słuchał zadumany, teraz podjął:

- Nie wiesz, co prawisz. Nie równać się grzesznym ludziom z aniołami w pieniądzu ni w czym, a Bóg jeden wie, jak człeka na wieki szczęśliwym uczynić. Ale i doczesnej szczęśliwości nie zabrania ni zaspokojenia doczesnych potrzeb. Wždy i apostołowie posnęli w Ogroju; o chleb powszedni się modlimy. Kryst nie jeno głodne rzesze nakarmić niechał, bo wiedział, że głodny o pożywieniu myśli, a nie o zbawieniu, ale w Kanie Galilejskiej wodę w wino zamienił ku weseleniu biesiadników i miłowaniu błogosławił między mężem a niewiastą. Tedy modlić się możesz o wszystko, czego pragniesz bez krzywdy ludzkiej. I to wiedz, że wiara góry przenosi. Ać spełni się, w czym szczęśliwość swoją upatrujesz, choć cudu bez mała na to trzeba.

- Nie swoją jeno - odparła żywo, znowu do ręki biskupa się pochylając. - Przeciwno Jaškowi wszystko, i doła, i ludzie, i prawo. Tedy ja z nim. Onże mi rzekł, co od świątobliwego Sadoka słyszał, że darmo żywie, kto nikomu niepotrzebny.

- Jeno nic dla niego zdziałać nie możesz, a o sobie stanowić musisz - powiedział biskup. - Dworzec w Krepie wrychle odbudowany będzie, mogłabyś tam wrócić z Pietrkiem. Wždy on ci najbliższy.

Oczy Sławki załśniły się znowu. Odrzekła:

- Cni mi się za domem, już nie ten jednak będzie. A Pietrek zaradny jest; gdy mnie tu odwiedzi, mile go ujrzę, ale potrzebniejszam onym sierotom, które tu przyciągnęła czcigodna ksieni. Nie wygania mnie, tedy z nimi ostanę. Biedota nawet nie wie, iż nigdy już nie zazna macierzyńskich pieczy. Ać moje pomną, jak ja swoje wspominałam. Tyle było szczęśliwości!

- Ostańże tedy, skoro tu naszaś pokój i cel, który za zasługę będzie ci poczytany. I niechaj ci się ziści to, w czym swoją szczęśliwość upatrzyłaś - powiedział biskup, wstając. - Rad bym ci pomógł. A ninic proś matkę przełożoną. Pożegnać ja chciałem.

Główkę istotnie trudno było odnaleźć. Zrazu z Wojanem wędrowali bezludną puszcza, kierując się na północny wschód. Obciążeni pękami skór, na bezdrożu, posuwali się niezbyt szybko. Wojan zresztą wi-

docznie nie spieszył się. Zapytany, gdzie i kiedy zamierza pozbyć się ciężaru, roześmiał się:

- Juści, że nie na targu, bo wraz by cię bobrowy pan zapytał, skąd masz łupieżę.

- Tedy komu sprzedamy?

- Każden rad kupi, targowego ni myta nie płacąc, bo mu taniej wyjdzie. Jenó drogi podeschną, pojedą kupcy. Spokojny bądź, nie pierwszy raz sprzedaje.

- Tedy przy gościńcu czekać trzeba.

- Iście, że tu nie przyjdą. Za San się przeprowadim, gdzie u ujścia Tanwi gościńce się schodzą od Krakowa, Halicza i Lublina. Tam najdzie kupców, ile strzyma.

- Ale i jawników książeńcych, co myto i cło biorą u przeprawy.

- Żeby nie twoje mędrkowanie, i od nich byśmy coś utarżyli - zaśmiał się Wojan - ale nie chcesz, nie będziem w oczu im się pchać.

- Nie chcę. Może by się i bez zabójstwa nie obeszło.

- Wždy nic nowina ci. Żałujesz?

- Insza rzecz w obronie. Sam biskup Prandota rzekł, że bronić się każdemu prawo służy. Ale dla pieniądza! - otrząsnął się i dorzucił:

- Przeor Sadok rozgrzeszenia by mi nie dał.

- Nie za takowe grzechy odpusty zakupić można, jeno pieniądz mieć trzeba. Słyszałeś, jako Pietrek Włostowic siedemdziesiąt i siedem kościołów wystawił ze skarbów, które suskiemu kniaziewi zrabował. A Sadok nic żywie, tedy coże ci o niego?

- Nic żywic - smutno powtórzył Główka. - Nieraz mi się jednakoż zda, że patrzy na mnie, i sromać bym się musiał niecnego czynu. A o Pictrku Włostowicu kto by nie słyszał, nie jeno o jego bogactwach, ale i jako skończył, oczu i języka zbawiony.

Wojan ramionami wzruszył:

- Każdemu na koniec przyjdzie, jednemu taki, wtóremu inny. Ale za żywota potężniejszy był niżli niejedno książe, a pieniądza nikt nie rozezna, zrabowany lubo zapracowany. I z pieniądzem niełacno swego dopiąć, a bez niego nijak. Mnie ta za jedno, zadość już mam.

- Czemuż tedy żywiesz jako zwierz, skoro, jak prawisz, za pieniądź wszystko załadzić można?

Wojan zamyślił się. Po chwili odrzekł:

- Zrazu po tom gromadził, by między ludzi wrócić. Kiedy pomyśle, że i mnie spotkać może, co dziada mego spotkało, nie chce się. Wszelakiej własci nienawidzę, nawykłem jeno niebo mieć nad sobą a ptaków. Nie wydolę już, niczym kołek w płocie, na miejscu usiedzieć. Może kiedy stary będę i do niczego niezdały. Wolny jestem, nikomu nic nie powinienem, kromie pomsty, którą ślubilem dziadowi.

- Za dziada na wnękach! Ani wiedzą, za co. I pokąd? Tyle ci z onej pomsty, co i z pieniądza, kiedy nigdzie osiąść nie chcesz. Stary Mieszko twego dziada ukrzywdził, obaj nie żywią. O Bolku zasię prawią, że cnotliwy pan i krzywdy nie czyni nikomu.

Wojan zaśmiał się:

- Cnotliwy, bo mu żona z łożnice uciekła, a nie krzywdzi, bo słaby. Ani swego bronić nie wydoli. Państwo jako rozgrodzone poletko, które każda świnia zryćka. Jeden tatarski nojon zwywraćcał wszystko, tedy i po co budować. Za Chrobrego noga nie uszłaby z najeżdźcy, drużynę miał zawsze do boju gotową, miecz za granice nosili. Złota było więcej niżli dzisiaj srebra, srebra jako słomy. Nie trzeba mu było swoich łupić, jeszcze się woje z wypraw bogacili. Legło się któremu, o wdowę i sieroty po nim dbał jako o własne. Aćby je kto skrzywdzić się ważył! A ninie? Sam wiesz.

- Pan biskup obiecał wstawić się u ksiąźęcia, by pieczę objął nad Sławką i Pietrkiem - powiedział Główka w zamyśleniu. - Co też się z nimi stało?

- Przestań o tym myśleć, nie twoja troska. Na siebie bacz, skoro nikt na ciebie nie baczy, a ze wszystkim najlepiej, byś zabył. I tyś nikomu nic nie powinien.

- Ty ślubileś pomstę za dziada, ja zasię Tatarzynom za to, co w Sandomierzu uczynili.

- A Sławce, że k'niej wrócisz - zaśmiał się Wojan. - Pierwsze i wtóre jednako w twojej mocy. Gdybyś ksiąźęciu Burondaja za wąż przywiódł, snadnie by cię rycerzem pasował. A ja ci rzekę: pobę-

dziesz ze mną owe dwie lecie, jakich ci do sprawności nie dostawa, sam uznasz, że najmilsza człeku swoboda. Nie troskasz się o jutro, jeno ciekawysz, co będzie. Sam sobie panem jesteś, działasz, co ci się uwidzi. Wiem, co mi rzekniesz - wtrącił, miarkując, że Jasiak chce mu przerwać - że Sadok ci prawił, jako darmo żywię, kto nikomu nie świadczy. A któż ci zabrania? Nie pomogłeś to onym sierotom, choć nie byłeś powinien? Ja bym się ani z książciem nie pomieniał, jako wilk z psem. On wszystko musi, ja nic.

- Ja bym się także nie pomieniał - powiedział Jasiak w zamyśleniu.
- Pomnę, jako mu w Sandomierzu zarzucali, że gnuśny jest, pomocy nie daje. A jakoż mu było, kiedy, jak prawisz, słaby jest, Tatarzynowi nic dostoi. Słyszałem, jako przeor z kasztelanem gadali, że wszelakiego zła przyczyną rozerwanie kraju. Cóż książę sami zdziałać mogą?

- Książę nic, a ja nicjednegom Tatarzyna z konia zraził, pokąd łód nie puścił na Wiśle. I tyżeś swego ubił, aczkoli niedorostek z ciebie. Lubię takie łowy - zaśmiał się chociaż z nich ni skóry, ni mięsa. Nic kaźden zasię Tatarzyn takowy sztylet ma, jak twój.

- Nie mogłeś to choć konia dobyć?

- Może bym i mógł, ale co po koniu w puszczy i na bagnach?

- To zawsze zamyślasz w puszczy siedzieć?

- Ciepłą porą łupieże nicpotem, a przeżywić się łacno, tedy wędruję. Coś zawždy się przygodzi, choćby nawet i nie obierać książęcych psiarków. Chcesz, możem i na Ruś. Jeśli ty jednakowoż ścierciałką ostać przedsięwziąłeś, do wojaczki winieneś się zaprawić, a najłacnicj na jądzwieskiej granicy, gdzie wojna nic ustaje nigdy. Moglibyśmy i bez zimę ostać, bo tam bobrów więcej niżli ludzi. Za Chrobrego daleko za Narwią i Biczrzą była granica, ninie za Wieprzem oręza z ręki nic puszczaj, a i to osiedzieć trudno. Więcej tam takich jak my wypowiedników, zbiegłych chłopów albo i zbójów, bo po prawdzie nijaka tam włascie nie sięga. Nikt nas nagabywać nic będzie, o przygody zasię nietrudno. Kupcy też tam jeżdżą, tacy, co im drogowy przymus nic w smak - by cła i myta nie płacić; łupieże na miejscu przedać można. Nie lękasz się, to pójdźmy tam.

Najdalej na północny wschód wysunięta część Bolesławowej dzielnicy istotnie przypominać mogła rozgrodzone poletko. Ongiś, gdy przepraw na Bugu strzegły silne grody z liczną załogą, bór z wolna ustępował przed sochą. Teraz łęchy¹ zarastały samosiewem, na zgłiszczach osad bujało zielsko, nie koszone łąki zamieniały się w młaki. Gdzie niegdyś pasły się stada bydła, taplał się łoś, a spokojny osadnik, jeśli nie poszedł w litewskie, ruskie lub tatarskie pęta, lub pod jadzwiwski nóż, cofał się coraz dalej na zachód.

Bolesław nie patrzył obojętnie, jak znaczna część jego dzielnicy zamienia się w pustać, z której wypadały niespodzianie niszczące najazdy, niejednokrotnie docierając aż po Wisłę i San. Wyczerpanego skarbu nie starczyło jednak na utrzymanie znaczniejszych sił na pograniczu, natomiast po tatarskich spustoszeniach namnożyło się podupadłego drobnego rycerstwa i włodyków. Wielu, nie mając zasobów na odbudowę zniszczonych gospodarstw, wraz z posiadaną ziemią oddawało się klasztorom, schodząc do stanu przypisańców, lub jako ścierciałki szli na służbę do duchownych i świeckich możnowładców. Nie brakło jednak i takich, zwłaszcza nie obciążonych rodzinami, którzy nad zapewniony byt przynosili niezależność, a nad bezpieczeństwo nadzieję na odmianę losu, nie tracąc przywilejów rycerskiego stanu. Tych książę osadzał na północno-wschodniej granicy, zakładając warowne osady wojskowe, z dziesiętnikami i setnikami na czele, poza wojennymi wolne od wszelkich ciężarów i świadczeń. Nie stanowiły one dość silnej zapory przeciw groźnym najazdom rusko-tatarskim i litewskim, natomiast osłaniały spokojną ludność od stałych a dokuczliwych wypadów jadzwieskich rozbójników.

Bolesław dawno przemyślał i naradzał się, jak wypadom tym na zawsze położyć kres. Trzeba było jednak znacznych sił, by nieliczne wprawdzie, ale bitne i zajadłe plemię dosięgnąć w jego własnych komyszach. Groziło to starciem się z Litwą w obcym i nieznanym kraju, a w razie klęski niemal zupełną zagładą. Należało czekać sposobno-

¹ Łęchy - łąny wśród lasu.

² Młaki - podmokłe tereny, porośnięte bagienną roślinnością.

ści, gdy Litwa, zajęta gdzie indziej, nie będzie mogła udzielić pomocy jadźwieskim pobratymcom.

O zachodzących zmianach Wojan nie wiedział, dawno bowiem nic bawił w tych stronach. Wyzbywszy się brzemienia, a zaopatrzony w odzież, wędrowali tedy beztrosko na północ, omijając grody, a rzadko korzystając z gościnnego dachu. Ku latu już szło, gdy dotarli do Łukowa.

W myśl zamierzeń kurii rzymskiej tu właśnie miała być siedziba misyjnego biskupstwa dla Litwy i Rusi, wobec odstępstwa jednak Mindowego i Daniela kuria poniechała jego obsadzenia, powstał natomiast kasztelański gród, strzegący niedalekiej już granicy, ubezpieczonej szeregiem warownych osad nad Liwcem i Muchawką. Głównym jego zadaniem było odpieranie jadźwieskich napaści, a także łowienie zbiegłych niewolników i chłopów, którzy tedy zwykli uchodzić do Prus i na Litwę.

Wojan nie miał ochoty tłumaczyć się, kim jest i po co tu przyszedł. Zasięgnawszy wieści, ruszył dalej na północ.

Między Liwcem a Bugiem kraj już był tak jakby niczyj. Nieliczne tu ongiś jadźwieskie osiedla zniszczył jeszcze wielki Mieszko, ustalając, po przyłączeniu Mazowsza, granice swego państwa. Nizinny, zarosły bagnistym borem kraj niezbyt odwdzięczał trud rolnika, zagrożonego ponadto przez drapieżnego sąsiada. Nieco gęściej zaludniony przy drodze wiodącej z Rusi przez Brześć i Pułtusk do Płocka, poza tym stał niemal pustką aż do czasu, gdy przed pół wiekiem pod wodzą płockiego wojewody Krystyna Gozdawy ruszyli z rojnego Mazowsza osadnicy. Gdy jednak zawistny o wziętość i zawołanie swego palatyna Konrad stracić kazał zasłużonego wodza, fala osadników cofnęła się znowu, pozbawiona osłony i kierownictwa. Teraz spotkany tu człowiek był przeważnie zbiegiem, zbójem lub najeżdźcą, a zarosły trawą gościniec częściej niż kupieckie poczty deptały łupieskie gromady, zwłaszcza od czasu, gdy w Drohiczynie osadził się Swarno, siostrzeniec halickiego Daniela.

W swych włóczęgach, nieraz aż za Bug, Wojan i Jasiek unikali ludzi. Napotkawszy ich patrzyli wzajem na siebie jak wilki z obcego

stada, czujne na każdy ruch, gotowe do odparcia napaści. Do bitki jednak nigdy nie dochodziło, natomiast dwukrotnie przeprowadzili za Bug zbiegów idących do Prus i od nich zasięgli wiadomości, co dzieje się w kraju. Nie działa się jednak nic takiego, co mogłoby wpłynąć na dalsze zamierzenia. Kilkakrotnie słyszeli odgłosy walki, zapewne polskich podjazdów z rozbójnikami, naleganie jednak Głównki, by wziąć udział w bitwie, był Wojan, mówiąc:

- Nic nam do tego. Niechaj się bije, komu za to płacą. Nam zasię tak by zapłacili, że by nas do spowiedzi zawiedli do kasztelana, skądemy się tu wzieni i po co.

- Jakoż tedy mam się do wojaczki zaprawić? - zapytał Głównka.

- Wojaczka to nie jeno bitka. Wyśladować wroga, z nagłą uderzyć, samemu nie zwolnić się podejść! Do bitki i łowy zaprawa. Ty przodzi niedźwiedzia ubij, byś wiedział, że ci serca ni sił nie zbraknie, gdy się z wrogiem zwodzić przyjdzie. A ze wszystkim, choć tęgi i zdały z ciebie pacholek, jeszcze ci lat nie dostawa. Bacz, byś się za wczesnie nie skończył, Sławka darmo by na cię czekała - dodał z kpina, a widząc, że Jasiek zasumował się, zapytał:

- Ty jeszcze wciąż o niej myślisz?

- O kimże mam myśleć?

- Mniemałem, że ci przeszło. Ongiś, gdym poszedł w las, takż zamierzyłem kiedyś wrócić. Ninie, choćby było dokąd i po co, już bym nie chciał. A ty dokąd byś wrócił, choćby iście było po co, bo ani ty wiesz co o Sławce, ni ona o tobie?

Jasiek markotnie podjął:

- Przeor Sadok prawil, że człek społeczności dłużny, w której żywie, i nie byłoby tego, co się w Sandomierzu przygodziło, gdyby wszyscy o tym pamiętali.

- W nijakiej społeczności nie żywie i nikomu nie jestem dłużny. A ty nie więcej.

- Chciałbym żyć w społeczności - smutno powiedział Głównka.

- Dużo też ty zdziałasz - mruknął Wojan. Głównka jednak odparł:

- Iście! Sam niewiele. Ty także, choć mocarz z ciebie. Jeno po cóżeś onych Tatarzynów poraził, żywot stawiać, lubo bieżeńcom pomagał, jeśliś społeczności niczego niedłużny?

- Jako rzekłem, lubię takowe łowy, a pomagałem, bo mi się tak uwidziało - burknął opryskliwe Wojan. Jasiak jednak nie dał się przekonać:

- Uwidziało ci się, bo posromliwie mężowi patrzeć beczynn timer na to, co srogim wróg w kraju poczyna. Pomagałeś, bo mocniejszy słabszemu pomoc winien. Darmo byś przeczył, choć możeś o tym i nic myślał. Gdy wilki stado turów opadną, byki sobą zastawiają cielaki i krowy, choć także nie myślą, dlaczego. Ni im za to sławy, ni nagrody. Tyżeś zasię sam prawil, jako za Chrobrego woje i bogacili się, i wdzięczną pomieć ostawili po sobie.

- Ty byś się, Jašku, do kaznodziejskiego zakonu zdał. Czemuż to my, wywołańce, dłużniśmy społeczności, która nas nie chce, a nie ksiązę, co w jej czele stoi?

Jasiak odparł z namysłem:

- Sadok mówił, że tyle człek dłużny, na ile go stać. A także, iż u Tatarów się prawi: „niechaj kagan¹ widzi, jak my przed nim umieramy, nie byśmy patrzyli, jak kagan przed nami umiera”. Wždy głowa od myślenia jest, a od bicia ręce.

- Tyżeś jeno Główka, starczy ci myśleć o sobie. Dużo czasu będziesz miał myśleć, jak do społeczności wrócić. Ninie pilniejsze, co będziem działać: jeśli tu ostać mamy, paści na zwierza, grotów i innego zelastwa trzeba by przykupić i checzę wystawić na zimowisko.

- Ostańmy. Po cóż nam książęce bobry łowić, skoro tu łowić razem niczyje. Może się bitka jakowa trafi albo i przysługę oddać wonom ze stróży. Wówczas nic będą pyтали, cośmy za jedni.

- Iście! Proszalny dziad nie pyta, skądęś wziął, kiedy mu dajesz wsparcie - pogardliwie zakończył Wojan. - Ty zasię bacz, że niedźwiedz za twoją skórę ni pół skojca nie zapłaci. Tańszy od zwierza.

¹ Kagan - wódz.

Zimowisko obrał Wojan na urwistym brzegu leśnego strumienia, jak nora wydry, dostępne tylko od strony wody. Zajętym budową ziemianki nie stało czasu na żadne rozmyślenia. Drewno na nią spławiali z dala, bo choć nie brakło go na miejscu, Wojan nie pozwolił wyciąć ni jednej witki, by nie zdradzać swej siedziby. Jesień już ozłociła las wędnącym listowiem, gdy wreszcie dach poczuli nad głowami. Pora była, bo choć łagodne słońce jeszcze południową godziną dogrzało, noce zaczęły się chłodne, a po długotrwałej pogodzie można było słoty się spodziewać.

Trudy przygotowań nie skończyły się z budową. Dwukrotnie chodzili do Łukowa, by w rzemieślniczych osadach zaopatrzyć się w potrzebne statki i narzędzia, które na własnych grzbietach bezdrożami trzeba było przynieść. Toteż, co się jeno dało, sporządzali na miejscu, począwszy od stołu i ław. Główka dziwił się nawet staranności, z jaką Wojan gotował zimową siedzibę, gdy w jego checzy na bagnach Sandomierskiej Puszczy nie było nawet pieńka, by na nim usiąść, a przez ściany przeświecały gwiazdy. Gdy z pęcherza sporządził w drzwiach okienko, przepuszczające nieco światła, Jasiak zapytał:

- Zamyślasz tu ostać na długo?

-Może ostaniem obaj, skoro nie chcesz bobrów podbierać księżęciu. Tu za niedźwiedzia nie będziesz musiał siedemdziesięciu grzywien płacić.

Spojrzał na Główkę pytająco, ale gdy ten opuściwszy oczy, westchnął, Wojan wzruszył ramionami i już nie mówili o tym więcej, choć nie było o czym przez coraz dłuższe, a wkrótce już słotne wieczory, gdy przy skąpym świetle łuczywa wiązali sieci lub czyścili i wyprawiali skóry ubitych jeleni i łosi na zimową odzież i poślanie. Z nastaniem mrozów, gdy śnieg zdradzał ślady zwierza, zaczęły się wędrowniki po łupieżu lub mięso, zazwyczaj we dwóch, dla bezpieczeństwa, bo i wilczych śladów nie brakło, choć jeszcze nie chodziły stadami. Po Godach jednak śniegi spadły ogromne, gałęzie łamały się pod okiścią, zwały pokryły krze, przyginając je do ziemi, za białą zasłoną świata widać nie było. Nawet ciężki zwierz z trudem kopał się w grubym na łokieć kożuchu. Dalekie wędrowniki ustały, do łowów po-

ra była niesposobna, gdy wszelkie żywe stworzenie wyruszało ze swych kryjówek tylko wygnane głodem, a śnieżny opad natychmiast zacierał każdy ślad.

Jednego ranka wreszcie pojaśniało w ziemiance, przez błonę w okienku cediły się słoneczne promienie. Przez otwarte drzwi wraz z kłębem pary lunął potok jaskrawego światła. Główka wyszedł na pole, mrużąc nienawykłe do blasku oczy i chłonąc z przyjemnością mroźne powietrze. Wrócił, by wziąć łuk ze strzałami i oszczep, mówiąc:

- Idę nieco postrzelać i pocisnąć.

- Daleko nie odchodź, skoro pójdziem ułowić coś. Trzeba nam świeżego mięsa.

Główka brnął w kierunku pobliskiej polanki, nie uszedł jednak nawet stu kroków, gdy drogę przeciął mu jakby rów wykopany w śniegu, a ślady racic wskazywały, że wyorać go musiał spory dzik, i to już po ustaniu śnieżycy, bo trop był całkiem świeży.

W pierwszej chwili Jasek zamierzał wrócić po Wojana, by razem tropić zwierza, ale rozmyślił się. Stary odyniec nicłekiwy jest i gdy zalegnie w barłogu, można go dojść i w pojedynkę. Bezpieczniej byłoby we dwu, ale właśnie pokazać chciał Wojanowi, że na spotkanie z groźnym zwierzem starczy mu sił i serca. Choć biło mu przyspieszonym tętnem z podniecenia, nie namyślając się ruszył za dzikiem. Przetartym śladem szedł ostrożnie, ale dość szybko, ściskając w rękę oszczep, gdyż w każdej kępie zaśnieżonych chaszców spodziewał się natknąć na zwierza. Uszedł jednak spory kawał, gdy wreszcie niemal niewyczuwalny powiew przyniósł chlewną woń. Dzik musiał być niedaleko.

Teraz Główka posuwał się już krok za krokiem, w napięciu wszystkich zmysłów. Wspólnie z Wojanem skłuli już kilka dzików, ale po raz pierwszy spotkać się miał ze zwierzem sam, i to, jak zdradzał ślad raci nie mniejszych niż krowie, nie byle jakim.

O kilkanaście kroków przed sobą ujrzał sporą kępę krzów, nakrytą śniegową czapą, pod którą urywał się ślad dzika. Otwór zasłaniały otrzęsione ze śniegu pędy jeżyny.

Zamierzał obejść kępe, by stwierdzić, czy nie ma wyjściowego tropu, ale gdy się zbliżył, z kępy rozległo się groźne fuknięcie.

Teraz pożałował, że nie wrócił się po Wojana. W gęstwinie kolczastych zarośli dzik był nieosiągalny. Jeśli ruszy z barłogu, nieprędko znowu zalegnie, a w kopnym powyżej kolan śniegu Jasiek nie zdąży mu zaskoczyć.

Stał przez chwilę, namyślając się, co począć. Czuł, że to, co zamierza, jest nierozsądne, ale chęć okazania Wojanowi, że sam sobie poradzi, przemogła. Zdjął łuk, nałożył strzałę na cięciwę i puścił ją w wybity przez dzika otwór.

Mimo że tego właśnie chciał, szybkość, z jaką potoczyły się wypadki, zaskoczyła go. Z kępy wprost na niego runęła czarna masa, tak że ledwo zdołał zastawić się oszczepem. Ale drzewce prysło jak trzcina, a Główka zwałił się w śnieg, który zaproszył mu oczy. Grzebał się bezradnie w puchu, z przerażeniem uświadamiając sobie, że nie zabrał nawet swego sztyletu, nie ma w pobliżu drzewa, na które mógłby schronić się przed rozwścieczonym zwierzem ni ująć przed nim. Przez szum w uszach słyszał groźny jego charkot i każdego ułamka chwili czekał na niechybną śmierć. Nie rozumiał, dlaczego długie na pół łokcia szable odyńca nie szarpną w strzepy jego ciała.

Gdy wreszcie zdołał się podnieść i przetarł oczy, nogi ugięły się pod nim, zarazem z ulgi i niepokoju. Z oszczepem w rękę nadbiegał Wojan. Odyniec stał, chwiejąc się nieco na nogach i tocząc z pyska różowa pianę, na widok jednak nowego wroga fuknął i ruszył na niego.

Jasiek bezwiednie poskoczył za nim, uświadamiając sobie, że nic nie może pomóc Wojanowi, który przystanął, oburącz trzymając oszczep. Gdy dzik był tuż, zamiast pchnąć przesadził go, wspierając się drzewcem, z rozmachem wbił grot na całą długość pod lewą łopatkę zwierza, zakręcił, wyszarpnął i znowu stał, gotów odskoczyć, gdyby dzik jeszcze zwrócił się ku niemu.

Odyniec jednak przysiadł na zadzie, kłapiąc szablami próbował wstać, ale chwiał się coraz mocniej i wreszcie zwałił się na bok, kopiąc raciami śnieg. Wojan pchnął raz jeszcze i zwierz uspokoił się.

Stali teraz nad lupem, który leżąc zdał się jeszcze większy. Z gardła sterczało drzewce złamanego oszczepu, który widocznie skaleczył płuca, o czym świadczyła różowa piana. Jasiak jeszcze nie mógł przyjść do słowa, Wojan również milczał, zachmurzony. Odezwwał się:

- Bołki trzeba sporządzić, by zawlec to ścierwo do checzy.

Odwrocił się i szedł w milczeniu, a Główka postępował za nim, zmieszany. By rozruszać Wojana, powiedział:

- Srogą stworę ubileś. Jeszczem takowej nie widział.

- Byłby zdechł od twego oszczepu - przez ramię rzucił Wojan. - A ty wraz z nim.

- Tobie dzięki, żeś mi żywot ocalił - rzekł Jasiak, a Wojan odparł szorstko:

- Tani ci żywot, skoroś go stawił dla mięsa, tedy dziękować nie masz za co.

Z trudem zawlekli ubitego zwierza do chaty i do wieczora zajęci byli skórowaniem i oprawianiem, rzadko rzucając obojętne słowo, choć zazwyczaj z ożywieniem omawiali łowieckie przygody. Skończywszy, pożywali się również w milczeniu, a potem zmęczeni ułożyli się na spoczynek. Jasiak nic mógł zasnąć. Gnębiło go zachowanie się Wojana. Po dłuższej chwili zapytał:

- Spisz?

Gdy Wojan coś odmruknął, ciągnął:

- Cóżem ci winowaty, że do mnie nic gadasz? Wojan milczał tak długo, że Główka już się nic spodziewał odpowiedzi.

- Tyżeś prawil, że darmo żywie, kto nikomu niepotrzebny - przerwał wreszcie milczenie.

- Iście tak. To i cōze?

- A to, żeś mi okazać chciał, jako się obędziesz beze mnie.

Jasiak wyskoczył z posłania, a obejmując Wojana, zakrzyknął:

- Mójżeś ty! Ni dlatego, ni dla mięsa, jeno by siebie rozeznąć, zali mi sił ni serca nie zabraknie, kiedy się z wrogiem potykać przyjdzie. Jako brat mi jesteś i bez ciebie kilkakroć zbyłbym żywota.

- A Sławka by płakała - uszczypliwie powiedział Wojan, ale udo-bruchany widocznie, dodał:

-Nie takowi łowcy jak ty zbyli żywota od dzikowych szabel. Pono rozsądki ci nie dostało, bobyś inak za takową stworą w pojedynką nie szedł. Ja bym jej zgoła poniechał, bo po tropie miarkując, nie z byle kim sprawa, a o byle co, bo mięso twarde i cuchnące, na wabia na lisy się zda. Ty będziesz je jadł, starczy ci do wiosny, a ja sobie warchlaka ubiję.

Główka roześmiał się z ulgą, bo wiedział, że Wojan żartuje, a uwędzone mięso nie będzie najgorsze, jego zapas pozwoli zająć się po dłuższej przerwie polowaniem na drobne drapieżniki i bobry. Do końca zimy nagromadzili sporą ilość futer, tak że całe przedwiośnie zeszło na czyszczeniu i garbowaniu. Słońce wypięło już nadmiar wiosennych wód, gdy wreszcie ukończyli zmuśną i brudną robotę. Łupieży mieli niemal dwakroć więcej niż poprzedniej zimy, natomiast powstawał kłopot z jej pozbyciem. Na Mazowsze dostarczano futer z Prus, gdzie były w obfitości i tanie. Należało więc poszukać kupców jadących na Ruś, a trudno było wędrować z ogromnymi tobołami na niepewne. Wojanowi zresztą widocznie niepilne to było, Jaśka zaś trapiła myśl, że wkrótce osiągnie wiek sprawny, a nic jeszcze nie uczynił, by choć wieści zasięgnąć o Sławce. Obydwaj jednak dość mieli siedzenia w zaduchu garbowanych skór. Zabezpieczywszy przeto wejście do ziemianki przed niepowołanym gościem, z ochotą wyruszyli na długą wędrowkę.

Kręcili się przeważnie w okolicy starego gościńca, gdzie Wojan spodziewał się znaleźć nabywców swego towaru. Gościńiec jednak w tym roku dziwnie był nieruchliwy. Spotkali jedynie podjazdy z warownych osad nad Liwcem i Muchawką. Zdało się to wskazywać, że spodziewany był najazd, ale wiosna miała się ku końcowi, a nad granicą panował niezwykły tu spokój.

Południową porą skwarne go dnia spoczywali na niewielkiej polance wśród wysokich traw. Powietrze było ciężkie od woni rozgrzanych ziół, ciszę mącił jedynie szmer niewielkiego strumyka, czasem zakwilił gdzieś jastrząb. Po spożytym posiłku Wojana ogarnęła senność. Wyciągnął się, tobolek podłożywszy pod głowę, i przymknął oczy. Jasiek siedział zamyślony.

Dwa lata minęło od czasu, gdy rozstał się ze Sławką. Nie były najgorsze, ale całego żywota spędzić by nie chciał, nie zmierzając do niczego. Żał mu jedynie było Wojana, który widocznie też musiał o coś serce zaczepić, a niemały był dług wdzięczności, jaki zaciągnął u niego. Dręczyła go świadomość, że tylko pozostając może mu dług spłacić. Czuł się niewdzięcznikiem, że pozostać nie chce, a jednocześnie trapił się, że nic jeszcze nie zbliżyło go do upragnionego celu. Srebro, jakie dotychczas zebrał, nie starczy nawet na kupno hełmu, długie lata potrwa, zanim uzbiera kilkadziesiąt grzywien na bojowego konia.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś odgłos, zrazu nieokreślony, ale zbliżał się i już można było rozróżnić głuchy tupot. W tej chwili Wojan usiadł i powiedział:

- Tarpany!

Stado leśnych koników, zapewne czymś spłoszone, przegnało opodal i odgłosy kopyt ucichły, ale Wojan nasłuchiwał dalej. W południowej ciszy niosł się jakiś gwar, bardzo odległy, ale coraz wyraźniejszy. Główka zerwał się podniecony i zawołał:

-Biją się!

Patrzył pytająco na Wojana, który dźwignął się również ze słowami:

- Przyjrzyć się nie zawadzi.

Jasiek parł naprzód, ile sił, ale gęste podszycie hamowało kroki, w drodze stawały bagienka, które trzeba było obchodzić. Gwar bitewny nasilał się, można już było rozróżnić pojedyncze głosy. Zanim jednak przedarli się przez gęstwę młodnika usianego zmurszałymi pniami, płataniną korzeni i pułapkami wykrotów, gwar zaczął nacihać, oddalał się i wreszcie umilkł.

Główka przystanął zziębnięty i rozczarowany. Czuł się już na siłach wziąć udział w walce, wiązał z nią nadzieję na jakąś odmianę, która przybliży go do celu. Wojan natomiast powiedział obojętnie:

Spocnijmy, a potem przyjrzymy się, kto z kim. Nic lada bitka była, a korzyścić najłatwiej temu, kto się do niej nie miesza.

Spieszyc się już nie było do czego, ale Główka niecierpliwił się i wydechawszy, ruszyli dalej. Zarośla rzedły i widać było otwartą przestrzeń. Mijali ostatnie krze, gdy nagle rozległ się rozpaczliwy

kwik konia. Jasiek poderwał się i ujrzał, jak dwa wilki doskakują do gardła ofiary. Dziwne było, że koń zamiast uchodzić kręci się niezdarnie, usiłując kopnąć napastników. Jasiek bez namysłu nałożył strzałę na cięciwę i puścił ją do wilka, który właśnie uwiesił się koniowi u szyi. Drapieżnik, ugodzony w grzbiet, zawył z bólu, porzucając łup, i skulony skoczył w krzę, a za nim jego towarzysz.

- Prawie mówię - odezwał się Wojan - kto z bitki korzysta. Ludzie po to się biją, by wilkom zertwy nie zbrakło.

Podchodzili do konia i teraz zrozumieli, dlaczego nie uciekał. Podkulał zadnią nogę, w której pęcinnie tkwiła złamana strzała.

- Tatarski bachmat - powiedział Wojan, wskazując na siodło z niewielkim łękiem w tyle i szerokimi strzemionami. - Dobić go trzeba - dodał - po co ma czekać, aż go dorzną wilcy.

Sięgnął do noża, ale Główka bąknął niepewnie:

- Może się wygoi. Ostaw! Zdałoby się choć łupieżę nań załadować.

Nie o łupieżach jednak myślał, ale o tym, że koń, choć niewielki i kudłaty, stanowiłby nabytek zbliżający go do celu. Wojan obejrzał ranę na szyi konia: tylko skóra była rozdarta. Gorzej było z nogą. Koń ciskał się, nie pozwalając jej obejrzeć. Z trudem Główka zdołał go przytrzymać, a Wojan wyszarpnąwszy pocisk, powiedział:

- Ściętno urażone. Może się i wygoi, ale nieprędko, a cóże my z kulawą szkapą pocznem w boru?

Schował jednak nóż, dodając:

- Rozejrzym się. Może się co lepszego najdzie. Trawa na łące strątowana była, musiała tędy przejść spora gromada ludzi; śladów kopyt końskich było niewiele, widno tylko starszyzna jechała wierzchem.

-Nie zbójcy, ale wojska jakoweś - zauważył Wojan, oglądając tro-py. - Pieszę, tedy nie jeno Tatarzy, bo koni mało i nie wszystko bachmaty - pokazywał ślady podkuty ch kopyt.

Posuwali się w kierunku, gdzie odbyła się bitwa. W drodze stanęła kępa drzew, gęsto podszyta. Główka obejrzał się.

- Koń idzie za nami - rzekł.

Istotnie kuśtykał na trzech nogach, strzygąc uszami.

- Wilków się lęka - odparł Wojan obojętnie. - Niech sobie idzie.

Woń krwi istotnie już ściągnęła drapieżniki, bo gdy obeszli kępę, w oczy ich rzuciło się padło drugiego konia z rozprutym brzuchem. Ogromna rana na karku wskazywała, że zwierzę legło od ciosu zapewne toporu lub berdysza, a wilki już rozpoczęły ucztę. Siodło z wysokimi łękami i trójkątne strzemiona nie pozostawiały wątpliwości, że koń należał do polskiego rycerza. Pana jego zapewne nie lepszy los spotkał, lub też popadł w niewolę, trupa bowiem widać nie było, choć trawa dokoła zdeptana była na klepisko.

Rozglądali się jeszcze, gdy z kępy krzów doszedł ich jakiś słaby głos. Nasłuchiwali, ale choć nie powtórzył się, pewni byli, że słuch ich nie zmylił. Główna rozgarnął krzaki i zaraz za pierwszym dostrzegł małą, trójkątną tarczę, jakiej używali zazwyczaj konni. Okute żelazną blachą brzegi zdobne były głowicami miedzianych nitów, na czerwonym polu wymalowane białe lilie, znak rodu Gozdawów. Nie było wątpliwości, że porzucił ją tam polski rycerz, gdy mu przeszkadzała przycisnąć się przez gęstwiny.

Łącząc był taki, że i zdrowemu trudno się było przedrzeć, a rycerz ranny być musiał, skoro raz jeno się odezwał. Może doszedł już. Jasiek pospiesznie rozgarniał krze i omal nie nadepnął na leżącego. W pierwszej chwili zdało mu się, że istotnie znalazł trupa. Leżał na wznak, kolczuga na lewej piersi rozdarta, widno od ciosu, twarz złana była krwią i lśniącą od potu, półprzymknięte oczy nieruchome.

- Pójdź! - zawołał Jasiek. - Tu jest.

Po chwili Wojan stanął obok i pochylił się nad leżącym rycerzem. Przyłożywszy ucho do piersi, powiedział:

- Jeno go zemdlilo. Skocz po wodę.

Czekając na powrót Jaśka, zdjął leżącemu hełm, by zbadać ranę. Na otoku zagięty był, poniżej czoło rozcięte aż po brew, ale potężny cios raczej tylko oszołomić musiał rannego.

Gdy Główna wrócił po dłuższej chwili z kociołkiem pełnym wody, spryskał nią twarz leżącego, który drgnął i zachłysnął się oddechem. Pomału otworzył oczy i przez chwilę patrzył, jakby sobie coś przypominając, po czym zapytał szeptem:

- Swoi?

- Wywołańce - odparł Wojan, a zwracając się do Głównki, powiedział:
- Pomóż mi go dźwignąć.

Posadzili rannego, który znowu przymknął oczy, i jeśli ściągać kolczugę. Łosiowy kaftan pod nią zeszywniał od krwi, lniane giezło, przyschnięte już do piersi, trzeba było odrywać. Ranny zaciskał zęby, nie odzywając się. Dopiero gdy Wojan, ułożywszy go, jął obmywać rany, wyszeptał:

-Pić!

Jasiek podtrzymując mu głowę napoił go. Rycerz odezwał się już pewniejszym głosem:

- Stróże i łukowskiego kasztelana uwiadomić trzeba. Najazd!

Wojan, jakby nie słyszał, zwracając się do Głównki rozkazał:

- Idź poszukać krwawnika i macierzanki lubo tymianku. Trzeba go opatrzeć, by się nie wykrwawił, a rany nie zagnoiły.

Ranny jednak odezwał się niecierpliwie:

- Pilniejsze wieści zanieść.

Wojan wzruszył ramionami:

- Wzdyscie nie sami byli. Ktoś ci ocaleć musiał, to uwiadomi.

-Nie wiem. Z nagła nas obskoczyli, Ruś z Tatarami i Litwa z Ją-dźwieżą. Ni miecza dobyć nie wydoiłem.

Sięgnął do boku; miecza nie było. Powiedział smutno:

- Zabrali! I konia ubili. Na tarczownika zejść przyjdzie...

Otrząsnąwszy się, rzekł rozkazująco:

- Idźcie! Przestrzec należy.

- Wždy was nie ostawim. We dwu będzie co dźwigać, by was do jakowej osady donieść - niechętnie mruknął Wojan, ale rycerz powtórzył:

- Ostawcie! Ważniejsze przestrzec.

- Sam wiem, co mi czynić - sarknął Wojan. - My wypowiedniki, jako rzekłem, nijaka nam powinność.

Rycerz gniewnie zmarszczył czoło, ale syknął z bólu i już się nie odezwał, gdy Wojan jął obmywać ranę na piersi. Obojczyk był cały, ale dwa żebra złamane i rana znowu krwawić zaczęła. Niecierpliwie

czekał na Główkę, który długo nie nadchodził. Zjawił się wreszcie z ziołami, ale poruszony był i rzekł:

- Jeńców wycięto. - Urywającymi słowami opowiedział, że opodal znalazł stertę trapów. - Kraki już się zwiedziały - zakończył, a rycerz rzekł ostro:

- Pójdiesz do kasztelana w Łukowie, powiesz, coś widział, niechaj na mnie nie czeka. Szymon Gozdawa jestem. Po drodze stróże uwia-domisz, niech wici roześlą. Skoro!

Wojan jednak, biorąc się do opatrunku, odparł:

- Nie pójdzie! Ani samemu bezpiecznie, a dla dwu dość przy was zachodu. Jako rzekłem, nic nasza powinność.

Rycerz jednak ze złością odtrącił rękę Wojana, mówiąc:

-I to nie twoja powinność. Cóżes takowy miłosierny dla mnie, a nic ci o białe głowy i częda; nic ci, że wróg znowu kraju naniszczy? Srom mężowi od obrony się uchylać, nawet nieczestnemu...

Główka, który z przykrością przysłuchiwał się zadzierce, przerwał:

- Pójdę!

Zbierać się zaczął, ale Wojan wtrącił ostro:

-Ostaniesz! Pójdę ja.

Zebrał się porywczy i ruszył. Koń stał koło zagajnika. Wojan krzyknął:

- Szkapę przywiąż. Jeśli pozdrowiejc, załadujem na nią onego ka-znodzieję. Tu mnie czekaj!

Jasiek, zaskoczony postępkim Wojana, zaczął w milczeniu opa-trywać rannego, po czym zakrzętnął się około posiłku, ale rycerz jeść nic chciał, tylko pił chciwie.

Podjadłszy, Główka przyrzędził mu legowisko, zasał kropieżem zdjętym z ubitego konia, a siodło podłożył pod głowę i jął stawiać szalas, licząc się z tym, że dłużej na miejscu pozostać przyjdzie, choć nie było przyjemne. Niezbyt odległe sąsiedztwo zwłok pomordowa-nych, których nijak było pochować, ściągnie drapiezniki z całej okoli-cy, a już nadlatywały chmary kruków, których ponure krakanie przygnębiało Jaśka. Pozostawała jeszcze troska o konia, którego wy-raźnie również dręczyło pragnienie, bo chrapał, ale nie ruszał się z miejsca, widocznie bojąc się wilków. Trzeba go było prowadzić do

dość odległego strumyka, a potem wyrąbać dla niego wejście do zagajnika, bo rozzuchwalone w gromadzie, a znęcone padłem drugiego konia wilki nie omieszkałyby dobrać się biednemu zwierzęciu do gardła.

Dłużyła się najkrótsza noc w roku. Ranny jęczał przez sen i bredził, koń chrapał i próbował zerwać się, bo od padliny dochodziły odgłosy wilczego ucztowania, w nocnej ciszy zda się tak bliskie, że jeno ręką sięgnąć. O świcie umilkły, ale teraz kruki rozpoczęły swarliwą biesiadę, zmęczonemu Jaškowi nie pozwalając zmrużyć oka. Rozdrażniony wyszedł, by je spłoszyć, obsiadły jednak kępę drzew, bynajmniej nie zamierzając milczeć ni wyrzec się uczy. W złości chwycił za łuk i przeszył strzałą jednego z krzykaczy, ale się przeraził tego, co nastąpiło. Zerwały się wprawdzie z wraskiem ogromnym, ale krążyć jeły nad zagajnikiem, a zewsząd nadlatywały nowe chmary czarnego ptactwa, przylączając się do piekielnego chóru, z krakaniem obniżając lot, tak że Głównce zdało się, iż rzuca się na niego. Co prędzej wycofał się w gęstwinę i usiadł, czekając, kiedy skończy się nieopatrnie wywołana burza.

Ptasia wrzawa zapewne obudziła rannego, bo otworzył oczy i słuchał przez chwilę; powiedział wysiłonym szeptem:

- Bezumne ptaszyska, a stoją wszystkie za jednego.

Głównka dorozumiał się, że rycerz Szymon ma na myśli obojętność Wojana na powszechne nieszczęście, i przykro to odczuł. Gdy wrzawa czyniona przez kruki rozsypała się wreszcie w pojedyncze krakania i większość ptactwa odleciała na główne żerowisko, odezwał się:

- Nie miejcie złego mniemania o Wojanie. Czasu tatarskiego najazdu pomagał, komu wydolił. Niejednego Tatarzyna poraził. Wždy i nie poszedł.

- Za ciebie poszedł - przerwał rycerz Szymon. - Iście, jeszcze nie wszystek srom zatracił, by jako żrały mąż młodzikowi zwolił na nieprzebieczną drogę. Krewniak twój jakowy?

- Nijaki. W boru my się naszli.

- Tedy słysz, co rzekę: młodyś! Może jeno z lekkości prawo naruszył. W stróży, jako i niejeden wywołaniec, Boże i książęce wybaczenie możesz pozyskać. Ni sądu się musisz lękać, bo jeno łukowskiemu

kasztelanowi nad tobą służyć będzie, jemu cię zalecę, jeśli mi Bóg zwoli pozdrowić i wrócić. Przy onym zasię rozbójniku raniej czy później pieńka lubo koła się dorobisz.

Główce aż krew zapulsowała w skroniach. To, co mu obiecywał rycerz Szymon, wskazywało upragnioną drogę powrotu do ludzi, a kiedyś może i do Sławki. Wzburzyła go jednak niechęć, z jaką rycerz odnosił się do Wojana, i nie namyślając się, popędliwie odparł:

- Wolej mi głowę dać na picniek, niżliby na mnie splunął jako na niewdzięcznika. I wyście mu co nieco dłużni i nie wam go sądzić...

Urwał i aż się zasapał w gniewnym wzburzeniu.

Rycerz jednak nic zdał się dotknięty szorstkim odezwaniem się wyrostka. Patrząc na niego przychylnie, powiedział:

- Praw jesteś, że za druhem obstajesz. I ja, jeśli wydołę, odwzięczę, com dłużny, ale sądzić mam prawo. A nijaka to cnota dobro czynić, komu się uwidzi, a wszystkim - zło. Nic za to wywołańcem ostał, że ludziom pomagał. Kto prawo łamie, wrogiem jest społeczności, jakby postronnych brakło...

- Cóż wy wiecie, za co ochtowany¹ ostał? - spokojniej rzekł Główka. - Książęcego komornika i pacholków pobił, za dziada pomstę biorąc, który bez ich bezprawie żywot i mienie utracił, a ród na nice zeszedł.

- Ród rośnie i upada, ale odbudować go można, pokąd naród żywie. Nawet z chłopskiego stanu niejeden wyrósł zasługą. A tyżeś jakiego i jakoś się w boru nalazł?

- Człeka jednemu rycerzowi ubiłem - odparł Główka wymijająco. Nie chciał mówić zbyt wiele o sobie, zanim nie przemyśli sprawy i nic naradzi się z Wojanem.

Rycerz zresztą nie dopytywał więcej. Widocznie zmęczyło go mówienie, bo pobladał i przymknął oczy. Ku wieczorowi wzmogła się zapewne gorętność, bo mającymi i pił chciwie. Noc Jasiek znowu miał niespokojną i niemal bezsenną; ranny jęczał, wilki żarły się przy padlc, a koń chrapał i próbował się zerwać.

¹ Ochtowany - wygnany.

O pierwszym świcie Główka naciął gałęzi i przykrył resztki końskiego padła, a na wierzch ułożył darń, bo cuchnąć zaczynało. Gorzej było z dość odległą wprawdzie, ale dużą stertą ludzkich trupów. W upalnym powietrzu rozkład następował szybko, coraz silniejszy słodkawo-mdły zaduch zalatywał z każdym powiewem. Trzeciego dnia stał się tak nieznośny, że Jasiek, by coś przelknąć, uciekać musiał daleko w las, zbierając przy tym korę wierzbową, by jej wywarem poić wciąż rozpalonego rycerza Szymona, który rzadko teraz mówił przytomnie, a prawie całkiem jeść nie chciał, widocznie również z powodu obrzydliwego zaduchu. Główka niepokoił się o jego życie, zwłaszcza że wraz z nim zgasłaby nadzieja na upragnioną odmianę. Rady nie było jednak, nie zdołałby przenieść bezwładnego w inne miejsce ani nie mógł tego uczynić, by nie rozminąć się z Wojanem.

Czwarty już dzień upływał od jego odejścia i Jasiek zaczynał się niepokoić także o niego. Nie wiedział, jak długo jeszcze ma czekać, upał zaś, a wraz z nim zaduch zdał się nie do wytrzymania. Żle spane noce i dzienne zabiegi koło rannego, starania o żywność, pojenie konia wyczerpały chłopca. Piątej nocy wcale nie mógł zasnąć. Poza niepokojem o Wojana nachodziła go obawa, że najezdnicze wojska wracać będą tym samym szlakiem, a ślady pobytu ludzkiego w zagajniku nic dadzą się zatrzeć. Oznaczało to koniec. Myśl o tym dręczyła go jak zmora, z utęsknieniem czekał świtu, by powziąć postanowienie.

Już z wieczora niebo spopielalo, potem długo stały na nim czerwone zorze, noc jednak zapadła ciemna, nie niosąc ulgi ochłodzenia. Wiatr, który ruszył ze wschodu, zegnał wprawdzie trupi zaduch, ale pociągał jak z pieca. Główka siedział i czekał na nadciągającą widocznie burzę, wyglądając deszczu.

To, co przyniosła, podobiejsze było do potopu. Spragniona ziemia nie mogła wchłonąć wodospadu, w parę chwil w każdym zagłębieniu stały kałuże, a sam Główka, przemoknięty do skóry, wkrótce już szczął zębami z chłodu, usiłując - czym się dało - osłonić rannego, który leżał cicho i bez ruchu.

Zlewa przeszła nagle i pojaśniało, ale grady spaść musiały w okolicy, gdyż chłód stał się tak przenikliwy, że Jasiek nie mógł wysiedzieć

i wyszedł z zarośli. Musiał już być przedświt, ale mgła wstała gęsta, że na parę kroków nic widać nie było. Miał nadzieję, że spędzi ją słońce i będzie można ogrzać się, a co ważniejsze, rozniecić ognisko, wysuszyć mokrą odzież i zgotować ciepłą strawę. Po raz pierwszy od dawna można było swobodnie odetchnąć i bez wstępu myśleć o jedzeniu. Mimo to położenie stawało się coraz nieznośniejsze i Jasiek przestał się wahać. Gdy tylko będzie można, opuści to miejsce. Koń, choć kulejąc, stapał już wszystkimi nogami. Załaduje na niego rycerza i odejście do chaty, gdzie spędził zimę. Tam łatwiej będzie chodzić koło rannego, a Wojan, jeśli wróci, powinien domyślić się, co zaszło. Łatwiej było jednak powziąć postanowienie, niż je wykonać. Dzień już był pełny, ale mgła nie ustępowała. Należało rozebrać rycerza z mokrych szat, a szmaty, którymi opatrzone były rany, wysuszyć i zmienić opatrunek. Gorętna widocznie przygasła, bo rycerz patrzył przytomnie, ale z osłabienia ręki dźwignąć nic potrafił. Jasiek zrozumiał, że choćby zdołał wsadzić rycerza na konia, nie usiedzi na nim. Mimo jednak wzrastającego niepokoju nie pomyślał nawet, by go opuścić i samemu odejść. Jedyne, co może uczynić, to sporządzić noże i zawlec go na nich w bezpieczniejsze miejsce.

Długo trwało, zanim z mokrego chrustu zdołał rozpalić ogień, dłużej jeszcze czekać musiał, aż płomień urósł na tyle, by chwycić mokre drewno. Zanim woda zawrzała w kociołku, suszył mokre szmaty, a przede wszystkim nawilgłą cięciwę łuku. Szczęściem nie zamokły strzały w łubach, będzie można przed wieczorem coś upolować.

Ku południowi słońce przejrzało przez tuman, który teraz prędko ustępować zaczął. Niebo błękitniało z każdą chwilą i po mglistym poranku rozbłysnął jasny i ciepły dzień.

Główka zakrzętała się koło posiłku. Rycerz po raz pierwszy okazał chęć do jedzenia, a gdy się pożywił, zasnął spokojnie. Widocznie najgorsze już przeszło. Byłe zdołał usiedzieć na koniu, odpadłaby najbliższa troska. Jasiek wziął łuk i strzały, by upolować coś, rannemu bowiem po długim poście zdałaby się posilniejsza strawa niż jaglana kasza i osuchy'.

Osuchy - suchary.

Pod zachód Jasiak wracał z ubitym zającem. Od poboju woń zgnilizny ledwo już dawała się wyczuć, nie słysząc też było odgłosów kruczego ucztowania, widno do spółki z wilkami uporały się z łupem, a ulewa zmyła resztki biesiady. Sam był też lepszej myśli, nawet zezłał nieco niepokój o Wojana, który w lesie był u siebie, jak zwierzę czujny i przezorny. Nie pozwoliłby się ogarnąć. Z Łukowa powinien być już wrócić, ale nie było żadnej pewności, że tam właśnie poszedł. Odchodząc zły był widocznie na rycerza Szymona, a słuchać nie zwykł nikogo. Nie było też jednak wiadome, kiedy wracać będzie najezdnicze wojsko, a prawie pewne, że tym samym szlakiem. Należało zatem usunąć się jak najprędzej.

Polana prześwitywała już przez gałęzie, gdy Jasiak stanął i wstrzymał oddech. W przedwieczornej ciszy wyraźnie rozróżnił tętent idącego w cwał konia, który zbliżał się i ustał. Z bijącym sercem nasłuchiwał, czy nie posłyszeli więcej odgłosów, po chwili jednak, upewniwszy się, że jeździec był samotny, ruszył nakładając strzałę na cięciwę.

Przy zagajniku stał spieniony koń, uprząż niewątpliwie nie była polska. Jasiak podchodził w napięciu. Przybycie samotnego jeźdźcy mogło oznaczać naciąganie wojsk. Musiał zauważyć ślady ludzkiego pobytu, skoro zatrzymał się przy zagajniku. Jasiak posłyszał szelest i ponad krzesełkami ujrzał głowę w spiczastym ruskim hełmie. Nie myśląc wiele, naciągnął łuk i czekał na ukazanie się wroga. Niewiele brakło, a byłby wypuścił pocisk w Wojana, który na widok zaskoczenia Główni powiedział z uśmiechem:

- Zawszy lepiej wiedzieć, do kogo się strzela. Uprzedzając pytania, dodał:

- Gadać będziem później, ninie nie pora. Zbieramy się, póki jasno.
- Mniemałem, że to nadchodzi Ruś - rzekł Jasiak zmieszany.
- Prawie mniemałeś, dlatego pospieszajmy.

Jaśka korciło, by dowiedzieć się, jak Wojan zdobył konia, hełm i miecz, ale zbyty szorstko, poniechał pytania.

Na noszach umocowanych między dwoma końmi ułożyli rannego i, zacierając ślady za sobą, zanurzyli się w las. Posuwali się bardzo

wolno, w gęstwinie podszycia zmuszeni wyszukiwać przejść, by mogły przecisnąć się konie z noszami, tak że ciemność już zapadła, zanim wreszcie zatrzymali się na polance nad strumykiem, gdy Wojan uznał, że uszli dość daleko, by ich nie zdradził dym ogniska. Jasiek zajął się zbieraniem chrustu i drewna, Wojan skrzesał ogień i przy jego świetle oprawiał upolowanego zająca. Ranny rycerz leżał, nie odzywając się. Dopiero gdy zasiedli w oczekiwaniu na posiłek, zapytał Wojana:

- Byłeś u kasztelana w Łukowie?

- Nie byłem u nijakiego kasztelana, bo nic mu do tej sprawy. Najazd poszedł na Mazowsze.

Wojan widocznie zmęczony był i zmarnowany, nie zdradzał ochoty do obszernej opowieści, Jaśka jednak paliła ciekawość: nie tylko, jak Wojan zdobył konia i uzbrojenie, lecz co z tym począć zamierza. Stanowiło to bowiem istotną zmianę w położeniu ich obydwu.

Po wieczery Wojan stał się rozmowniejszy. Gdy dognał najezdnicze wojska, pomiarkował, że kierują się na Mazowsze, i szedł w ślad za nimi. U przeprawy przez Wisłę pod Warszawą zaczekał na wracających, obciążonych jeńcami i łupem. Mazowsze musiało być zupełnie zaskoczony, żadnych oznak oporu, natomiast jak okiem sięgnąć dymy we dnie i luno nocą stały nad krajem. Trzeciego dnia najeźdźcy bezładnymi kupami nadciągnęli do przeprawy, zgoła się nie pilnując, pewni widocznie, że nikt ich ścigać nie będzie. Toteż z łatwością pojmał ruskiego bojara, który się przed swoich wysforował. Od niego dowiedział się, że w Jazdowic najeźdźcy schwytali samego księcia Ziemowita wraz z synem Konradem i całym dworem. Konrad miał szczęście, że go dla siebie wymógł od Swarna Mindowc. Swarno bowiem skatował i zarznął księcia Ziemowita i pozostałych jeńców.

Zbędne było pytać, co Wojan ze swoim jeńcem uczynił, natomiast rycerz Szymon powiedział w zamyśleniu:

-Na Ziemowicie zemściło się okrucieństwo i niesprawiedliwość jego rodzica wobec mojego dziada. Pod przywództwem wojewody Krystyna zbrojny osadnik mazurski wypierał Prusów i Jadźwicz, zapórę stawiając przeciw najazdom. Onże pod Zawichostem rozgromił

najazd halickiego Romana, który tam kości swoje położył; niezłomnym szczytem¹ był nie jeno Mazowsza, ale i Wiślan. Bogiem mazowieckim Prusowie go zwali. Z zawiści Konrad odjął mu oczy, a potem i żywot, a ród nasz na tułaczkę skazał...

- Ja ta nie czekałem, by się los mścił za mego dziada - uszczypliwie wtrącił Wojan, ale Szymon odparł:

- I ja nie czekałem, bo żal mi Ziemowita, a bardziej jeszcze prostego narodu, który pokutuje za winy książąt. A Boża sprawiedliwość dosięgła sprawcy naszego nieszczęścia z tej samej ręki, która pognębiła nasz ród. Kanonika Czapłę, który dziada mego przed księżciem oczernił, onże Konrad umęczonego przed ołtarzem w Płocku obcisć kazał...

- Jeno Boża sprawiedliwość nie wróciła ni dziadowi waszemu żywota, ni wam utraconych włości - z drwiną, ale mniej już ostro powiedział Wojan.

- Prawy mąż nie tym jeno stoi, co po oćcach dziedziczy, a męstwem i wierną służbą; nawet prostego stanu człek wydzwignąć się może, cześć i mienie pozyskać.

Pił wyraźnie do Wojana, ale bezskutecznie, bo ten odparł z hamowaną złością:

- Zali dziad wasz niewiernie służył księżciu? A wam zali męstwa nie dostawa, że jako rzekliście na tarczownika zejść wam przyjdzie?

-Wolej na tarczownika niżli na wypowiednika, który w boru jako zwierz bez sakramentów świętych żywię. A dziad mój nie księżciu służył, jeno pospólnemu dobru, i nie cześć, jeno żywot utracił. Samo jego imię trzymało wrogów z dala od kraju i gdyby żył, nie potrzebowalby Konrad przeciwko Prusom obcych mnichów rycerskich sprowadzać. Żadną nie są osłoną, a gdy się wzmogą, jednym wrogiem więcej ostać gotowi.

- Nic mi do tych spraw - Wojan wzruszył ramionami. - Ani mi książąt nie żal, bo sami siebie nie żalują, nawet bracia rodzeni, jeden drugiemu na zdradzie stoją. Prostemu człeku zasię - gdy się sam

¹ Szczytem - tarczą.

obronić nie wydoli - za jedno, kto go z mienia i wolności albo zgoła żywota wyzuje: swój zali obcy.

- Jeno czestnemu człeku nie za jedno, gdy bezbronych łupią i mordują. Ale nie gębą, jeno ramieniem świadczy o sobie. Zrały z was mąż, nawracać was nie będę. O tego wyrostka idzie. Z drogi zawrócić może, która wiedzie donikąd, jeśli nie na gałąź lubo pień.

- Wždy go nie trzymam, a przygarnąłem, gdy dla sieroty nie było miejsca w onej społeczności, której, jako prawicie, kaźden służy, jeno ona nikomu. Ale o tym czas gadać będzie, a ninie spać idę, bom się zadość uznoil.

Ułożył się, odwracając się plecami do przygasającego ogniska.

Jasiek zadumał się tak, że zaniechał dorzucać chrustu. Sen go nie brał, mimo że i on miał za sobą kilka źle przespanych nocy. Czuł, że znowu kończy się jakiś okres życia; droga, którą mu wskazuje rycerz Gozdawa, wiedzie tam, dokąd chciał zmierzać. A jednak nie był wolny od rozterki. Wojan powiedział, że go nie trzyma; to prawda. Jeno co pomyśli o nim? Ocalił go od śmierci z głodu i mrozu, podał pomocną dłoń, gdy w szerokim świecie nie było nikogo, kto by to uczynił. Wprawdzie, jak sarn mówił, za nic od nikogo nic czeka wdzięczności. Dumny jest, ale gdyby Jasiek odszedł przy pierwszej sposobności, jaka się nadarza, słusznie by to za niewdzięczność poczytał. A sposobność taka może się więcej nie powtórzyć.

Byłoby wyjście: gdyby Wojan zechciał skorzystać z możności powrotu między ludzi. Na niespokojnej rubieży ramieniem prawa jest kasztelan łukowski, ciężące na nim trudne zadanie jej obrony nie pozwala mu przebierać w zdatnych do niej rękach, choćby i skalanych. Ocalenie rycerza Gozdawy policzyć musi za zasługę.

Główka wątpił jednak, czy nicnawykły ani do osiadłego życia, ani do posłuchu Wojan zechce. Gdyby się nawet zgodził osiąść, choćby na własnej osadzie strażniczej, czy znowu nic popadnie w zatargi, gdy żadnej władzy nad sobą nie uznaje? Tej wątpliwości nawet sam Wojan nic potrafiłby rozstrzygnąć; niełatwo jest zmieniać nawyki.

Na swoje wątpliwości Jasiek miał wkrótce otrzymać odpowiedź. Gdy o przedświcie nareszcie usnął, zdało mu się, że spał jeno chwilę, gdy Wojan, trącając go, rozkazał:

- Konie napoić! Ruszamy.
- Dokąd? - zapytał Główka.

Miał nadzieję, że rannego odwiozą do Łukowa, ale Wojan odparł:

- Wracamy na zimowisko.
 - A ze mną co uczynicie? - zapytał niespokojnie rycerz Gozdawa.
 - Wždy was nie ostawię. Pod dachem łatniej wam się rany wygoją.
 - Dach mam swój. Małżonka ani nie wie, zem ocalał.
 - Uraduje się, gdy was zdrowym zobaczy, im później, tym bardziej
- obojętnie odparł Wojan. - Ale was także nie trzymam - widocznie drwił, bo Szymon niezdolny był nawet stanąć na własnych nogach. Rycerz zagryzł wargi: musi znosić zależność od tego człowieka, dającego mu widocznie do zrozumienia, że na żadną odwdziękę nie liczy; przymusową gościnę i opiekę odczuwał jako upokorzenie. Nie wiedział, czym uraził Wojana.

Jasiek lepiej rozumiał Wojana: zmieniać sposobu życia nie zamierzał, przygany i rady rycerza Szymona ma za nic; obawia się natomiast, że Jasiek zechce dać im posłuch, i wówczas musieliby się rozstać. Przywykli wzajem do siebie, a Wojan odwykł od samotności.

Dłużyła się droga w milczeniu, gdy każdy z osobna przeżywał swoją troskę.

Oznak oporu przeciw najazdowi Wojan zauważyć nie mógł, bo na skutek zaskoczenia i pojmania księcia wraz z całym dworem nie było komu nawet wici rozesłać. Niemniej starczyły dymy i łuny pożarów, by zawzięci Mazurzy, zarówno rycerze, jak chłopci, chwycili za żelazo, jakie było pod ręką, i skrzyknęli się w gromady, które chyłkiem ciągnęły ku Wiśle, gdzie osady szły z dymem, a ludność w pęta lub pod nóż.

Najeżdźca, spustoszywszy znaczną część kraju, z łupem i jeńcami wycofywać się jął za Wisłę, tu mniej jeszcze niż na lewym brzegu li-

cząc się z oporem. Idąc w ślad, niezbyt liczne, ale zajadłe gromady Mazurów dopadły go pod osadą Długosiodle, w niespodziewanym uderzeniu zadając wrogowi straty. Zajadłość jednak nie starczyła za liczbę - gdy minęło zaskoczenie, opór nieprzyjaciela teżał z każdą chwilą. Mazurzy, otoczeni, bronili się już tylko, daremnie usiłując wyrąbać drogę odwrotu. Wreszcie broń wypadła z martwych lub mdlejących rąk i kto nie legł, poszedł w pęta, dopędzając kłęski.

Księżna Perejesława, która wraz z młodszym synem bawiła w Czersku, na wieść o najeździe schroniła się w leśnym dworcu, z niepokojem czekając na wieści. Gdy nadeszły, race jej opadły: męża jej zamordował brat cioteczny Swarno, brat męża, Kazko kujawski, pod pozorem opieki gotów wyzuć bratanków z dziedzictwa. Na dobitkę starszego z nich, Konrada, trzeba wykupić z litewskiej niewoli, a pieniędzy brak. Skarb zrabowany, ze zniszczonego kraju niełatwo i nieprędko da się zebrać okup. Nawet przed najazdem nie starczyło zasobów, by odbudować zniszczone przed dwoma laty przez. Litwę stołeczny gród w Płocku.

Zrozpaczona wdowa, nie mogąc się od najbliższych krewniaków i swojaków niczego dobrego spodziewać, zwróciła się o pomoc do dalszych: stryjecznego Bolesława krakowskiego i dalekiego pociotka Bolesława kaliskiego.

Zanim poseł Percjesławy, wojewoda Daszko Rogala, przybył do Krakowa, książę miał już wieści o najeździe i nieszczęściu, jakiemu uległ stryjeczny brat. Łukowski kasztelan doniósł też, że wysłany przez niego podjazd pod wodzą rycerza Gozdawy zaginął bez śladu, niewątpliwie natknąwszy się na wojska najeźdźc. Pozostałe po poległych wdowy i sieroty należało zaopatrzyć, i kasztelan prosił o wyznaczenie im utrzymania.

Nic przelewało się w skarbcu książęcym, kraj dopiero dźwigał się po drugim tatarskim najeździe, gdy nie wszystkie skutki pierwszego usunięte zostały. Osadzone lub przenoszone na magdeburskie prawo osady miejskie i wiejskie jeszcze nie wykorzystały lat wolnizny od wszelkich ciężarów i danin, dochodów nie nosły niemal żadnych. Zakładane lub rozbudowywane przez księcia kopalnie dopiero zaczy-

nały zwracać nakłady, zburzony ład ujemnie odbił się na dochodach z handlu. Moźnowładcy na swoich ziemiach sami pobierali mostowe i drogowe, których ściąganie nierzadko zamieniało się w rabunek, a i zwyczajnych rabusiów nie brakło.

Niemniej Bolesław nie pomyślał nawet, by odmówić prośbie wdowy po Ziemowicie, z którym przyjazne stosunki zapewniały spokój przynajmniej na jednej granicy, pozwalając baczniejszą uwagę poświęcić północno-wschodnim sąsiadom, przede wszystkim Jadźwieży, od której spokoju nie było nigdy, a każdy napastnik znajdował w niej chętnego sprzymierzeńca i obeznanego z krajem przewodnika. Pozostawienie w litewskiej niewoli młodocianego Konrada wiązało nie tylko mazowieckie siły - za wszelką cenę należało go z niej wydobyć. Gdy jednak w skarbcu brakło srebra, a sprawa była pilna, księżę zwrócił się do Prandoty z prośbą o pożyczkę, na pokrycie ofiarowując dochody z krakowskiej mennicy.

Biskupi skarbiec wszelako również jeszcze odczuwał skutki zniszczeń, od mieszczan zaś księżę brać nie chciał, wiedząc, że w zamian zażądają nowych przywilejów ograniczających władzę księżęcą. Z kłopotu wybawił księcia kanonik Paweł Półkozic, ofiarowując się ponadto samemu pojechać z okupem. Księżę domyślał się, że kanonikowi nie tyle nawet o zysk chodziło, co o zwolnienie od obowiązku prezencji. Przestrzeganie jej zmuszało go do hamowania zgoła nieduchownych zamiłowań, a naruszenie groziło niesfornemu subdiakonowi karami kościelnymi, mogącymi zamknąć mu drogę do wyższych dostojęństw.

Księżę wyboru nie miał, a spodziewał się, że obrotny człowiek zdoła sprawdzić pogłoski o rozdwojeniu w litewskiej rodzinie wielkoksiążęcej i wrzeniu wśród możnowładców, które, wszczęte przez koronację Mindowgo, nie przygasło mimo zerwania przez niego stosunków z Rzymem. Potwierdzenie pogłosek było ważne, w razie bowiem zamieszek na Litwie Jadźwież nie mogła liczyć na jej pomoc, a jej brak nadarzyłby sposobność, by skończyć z uciążliwym sąsiadem, zanim Bolesławowi przyjdzie z kolei zbójcekiemu Swarnie za braterską śmierć odplacić.

Prandota niezbyt chętnie zgodził się na posłowanie kanonika Pawła. Nie mogąc jednak sam księciu wygodnie, nie chciał odmową zezwolenia utrudnić załatwienia pilnej i ważnej sprawy. Paweł rad wyrwał się spod ręki biskupa. Potrzebne na okup srebro podjąć miał w ojcowym Przemykowie i stamtąd Wisłą popłynąć na Mazowsze, gdzie wojewoda Daszko przygotować obiecał orszak potrzebny dla bezpieczeństwa oraz postarać się o litewskiego przystawa. Na zlecenie księżny kanonik doręczyć miał też ornaty i inne przybory kościelne klasztorowi w Staniątkach, choć nieco z drogi było.

Wprawny jeździec, nie gnając nawet konia, w upalny dzień letni dotarł do klasztoru na wczesny przedwieczerz. Furtę na gospodarczy dziedziniec zastał otwartą, i zsiadłszy z konia, wodze rzucił pachol-kowi, a sam wszedł, rozglądając się za kimś, komu mógłby swe przybycie oznajmić. Od stajen słychać było głosy, ale tylko chłopięce. Kanonik ruszył przeto ku gospodarczemu budynkowi w sadzie. Wyszedszy zza węgła, zauważył siedzącą na ławic pod ścianą jakąś młodą niewiastę, której jasny włos lśnił w promieniach pochylonego słońca. U stóp jej kilkoro dzieci siedziało na trawie, zasłuchanych w jej opowieści. Na widok jednak nieznanego przytulili się do opiekunki, która pytająco patrzyła na przybysza; kanonik poznał Sławkę, którą widywał w Krakowie, uśmiechnął się i siadając obok niej, odezwał się:

-Nie wiedziałem, że mniszki tyle dzieci mają, bo chyba to nic twoje. Za młodaś, choć żrała już i urodna z ciebie dziewczka.

Roześmiał się i wyciągnął rękę, by objąć dziewczynę, ona jednak jakby tego nie zauważyła i wstając, rzekła:

- Zwólcie do parlatorium, siostra furtianka oznajmi wasz przyjazd.

- Mnie nicpilno, moglibyśmy pogwarzyć - powiedział, zastępując jej drogę. Zarumieniła się, ale odparła, nic spuszczać oczu:

- Mniemam, żeście nie po to przyjechali, i nie mielibyśmy o czym gadać. Zechciejcie tedy odstąpić.

- Cóżże to, mniszka? Choć i mniszki bywają rozmowniejsze - zakpił, ale zły był wyraźnie.

- Tedy gadajcie z mniszkami, bom ja nieciekawa, co mi rzec macie
- odparła. Ujęła dwoje najmłodszych dzieci za rączki i powtórzyła:

- Odstąpcie, bo zawołam ludzi.

- A wołaj. Nie mnie, jeno tobie będzie wstydno!

Przygarnął ją, usiłując pocałować, ale dziewczyna, puściwszy dzieci, które uderzyły w płacz, oburącz odpychała jego twarz. W obawie o oczy zaklął i puścił ją, mówiąc:

- Lubię oporne, byle nie nadto. Jeszcze się uwidzimy.

Odwrócił się i odszedł, a Sławka usiadła z powrotem i twarz ukryła w dłoniach. Jak ongiś przed tatarskim wyrostkiem śmiało potrafiła się bronić, a gdy minęło niebezpieczeństwo, w poczuciu bezradności umiała tylko płakać, tak i teraz zbierało się jej na płacz, który hamowała, nie chcąc do reszty spłoszyć i tak już wystraszonych dzieci. A ze wspomnieniem minionego niebezpieczeństwa nieodłącznie związana była pamięć Jaśka, jego pomocy i opieki.

Sławka nic łudziła już samej siebie, że dla niego żywi tylko uczucie wdzięczności. Był jedynym człowiekiem, któremu bez wahania zawierzyłaby swój los i podzieliła go z nim, jakkolwiek by zgotował. A nic nie uczyniła, by to ziścić, ulgnęła w klasztorze, bo tu znalazła spokój, a on nawet nie wie, gdzie jej szukać.

Wstała pod wpływem naglego postanowienia: żal jej było porzucić przełożoną, która dobra była i wyrozumiała, żal dzieci, które darzyły ją ufnością i przywiązaniem, ale biernie oczekiwanie byłoby równoznaczne z niewdzięcznością. Sromotne zaloty kanonika Pawła, którego osława nie była jej obca, odnowiły wstrząs, jakiego doznała w czasie ucieczki z Sandomierza. Klasztor przestał być dla niej zakątkiem spokojnym i bezpiecznym. Na zawsze i tak tu nie zostanie, czas miała to przemyśleć i poznać samą siebie. Musi odejść, nie dając sobie czasu na rozważania, by nie ustąpić słabości.

Mimo wzburzenia jednak rozumiała, że nie może odejść przed siebie, jak to czyniła uciekając z dworu, gdy biskup odmówił jej przyjęcia. Wróci do rodzinnej Krępy, gdzie miał wrócić i Pietrek po odbudowie i odebraniu pieczy nad nim Radosławowi. Jeśli nawet nie wrócił, ktoś z osady ocalał zapewne, choćby dzieci i baby. Tam nie

będzie całkiem obca, a Główka łatwiej będzie mógł się domyślić, gdzie jej szukać.

Z pewnym niepokojem myślała o rozmowie z ksienią. Lękała się, że przełożona zechce odradzać odejścia, a może nawet uzna je za niewdzięczność. Wcześniej niż zazwyczaj, Sławka ułożyła do snu swoją gromadkę i nie idąc do refektarza, czekała przed drzwiami celi Wyszeniegi, by jej od razu swe postanowienie oznajmić, zanim opuści ją śmiałość. Niemniej serce jej zabiło prędzej, gdy posłyszała znane kroki. Ksieni również poznała Sławkę w półmroku i zapytała:

- Czemużeś na wieczrę nie przyszła? - Patrząc z bliska na twarz dziewczyny dodała:

- Troskę masz jakowaś? Pójdź do celi, może ci co doradzę.

Otworzyła drzwi i weszła, a za nią nieśmiało wsunęła się Sławka. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak trudno jej będzie swe postanowienie uzasadnić, gdyby przełożona zechciała pytać i odradzać. Opuściwszy oczy, stała przed Wyszenicą i milczała. Ksieni, widząc jej zmieszanie, zaczęła:

- Mów śmiało. Wiesz, iżem ci życzliwa.

- Wiem, przewielebna matko. Za wszelkie dobro, jakiego od was doznałam, podziękować przychodzę.

Spojrzała niepewnie w twarz przełożonej, ale nie dostrzegła na niej gniewu ani nawet zaskoczenia. Wyszenicą zdała się namyślać i po chwili rzekła:

- Rozumiem, że chcesz odejść. Wiedziałam, że nic ostaniesz z nami na zawsze, choć polubiłyśmy się wzajem, nieprawdaż? Rzekniesz mi może przeto, dokąd chcesz odejść i dlaczego. Wieści jakowś otrzymałaś, bo wiem, że kanonik Paweł gadał z tobą?

- Nijakich wieści nie otrzymałam - odparła Sławka, rumieniąc się.

- Wracać chcę do Krępy.

- Tak i mniemałam, bo to jakoby twój dom, jeno nikogo swojego tam nie masz. Czemuż tedy nie chcesz poczekać, aż brat twój żrały będzie i na ojcowiznę wróci? Między obcymi się najdziesz, tu zaś nic brak ci serc, ni tych maluczkich, ni większych. Nie żal ci ich? Nam bo brak będzie ciebie, a już one częda popłaczą się za tobą.

Sławka zmagala się ze łzami, ale czuła, że jeśli ustąpi, nie prędzej zdobędzie się na opuszczenie klasztoru, aż Pietrek obejmie ojcowiznę, a i wówczas nie łatwiej. Głosem stłumionym odparła:

- Czy dziś odejdę, czy za cztery gody, żal będzie zawsze, a wam nigdy nie zabędę, żeście mi byli jako macierz najlepsza...

Urwała, czując, że nie pohamuje już łez. Wyszeniega objęła ją i powiedziała:

- Iście jako córę umiłowałam cię, ale nie dla siebie radam cię zatrzymać. Nie chcesz mi rzec, dlaczego pilno ci odejść, nie nalegam. Byłam i ja w twoich leciech, i to rozumiem, że ciągnie cię coś silniej, niżli tu trzyma. Jedno pomnij, że dom nasz i serca zawsze dla cię otwarte ostaną, gdyby ci chybiło, co przedsięwzięłaś. Włodarz klasztorny cię odwiezie, bo i samej jechać nijak, i nie wiada, co tam zastaniesz, bodaj dach nad głową i na ząb co położyć.

Dziewczyna pochyliła się do ręki przełożonej, która krzyż na jej czole zakreśliła, szepcząc błogosławieństwo.

Sławka z ciężkim sercem opuszczała klasztor, żegnana płaczem dzieci, które czepiały się jej sukien, nie chcąc wypuścić opiekunki. Chłopcy, bardziej przedsiębiorczy niż dziewczuszki, ładowali się na wóz i włodarz siłą musiał ich usuwać, po czym kazał podciąć konie, które klusem ruszyły z miejsca, a za wozem, czepiając się go, popędziła gromadka wyrostków. Dopiero gdy woźnica śmignął batem, tylko najstarszy z nich, zuchwalec i bitnik, z którym Sławka najwięcej miała kłopotu, nie poniechał pościgu i biegł aż do przewozu, a odpezdany przez przewoźnika, długo stał na brzegu; przed oczyma Sławki zasłonił go dopiero wstającą za wozem tuman kurzu.

W lipcowym skwarze woźnica Szkaradek nie gnał koni i podróż wlokła się. Południową porą w cienistych miejscach stawali, by spożyć posiłek i napoić konie, na noclegi nie szukali dachu, bo noce były krótkie i duszne. Sławka, leżąc na wozie, nieraz do świtu patrzyła w niebo, chwilami rozjaśniane przez letnie błyskawice. W półsennym marzeniu zdało jej się, że jeszcze wędruje z Główką, a przy niej śpi

braciszek, i ogarniała ją ogromna tęsknota za obydwoma. Pietrka może zobaczy już wkrótce, Jaśka chyba po latach, może nigdy... Tak czy inaczej, będzie czekała.

Pierwszy nocleg pod dachem spędzili w klasztorze w Busku. Tu znowu odżyły w dziewczynie wspomnienia własnych przeżyć w czasie najazdu. Po rzezi, z której ocalały tylko trzy mniszki, klasztor został tu przeniesiony. Jedna z nich, niestara jeszcze, ze śladami dawnej urody i błękitnymi oczyma o wyrazie zaszczutego zwierzęcia, pod wpływem strachu utraciła rozum i nie wierząc, że Tatarzy już odeszli, kryła się przed ludźmi, tak że ustawicznie trzeba jej było szukać. Sławka pamiętała własny strach i patrzyła ze współczuciem na istotę, która prócz przerażenia nie doznaje żadnych innych uczuć. Z ulgą rankiem opuszczała klasztor.

Przez całą drogę wspomnienia budziły w Sławce zarówno zarosłe chwastem pogorzeliśka, jak i świeżym drewnem świecące, niedawno odbudowane chaty, a wreszcie puszcza u stóp świętokrzyskiego pasma, przez którą zda się tak niedawno wędrowała z Pietrkim i Główką, nie dopuszczając nawet myśli, by wkrótce rozstać się miała z nimi na długo.

Dawniejsze wspomnienia naszły ją, gdy z puszczy wyjechali na otwartą, pagórkowatą okolicę, już rodowe ziemie rycerzy z Dębna, znane dziewczynie od dziecięcych lat. Wreszcie droga zesłała w dolinę rzeczulki, nad którą ongiś leżała Krępa. Tu już każda wierzbą przybrzeżna wiązała się z jakimś wspomnieniem; jeszcze chwila, a ujrzy miejsce, w którym przysła na świat.

Wiedziała, że dworzec został spalony, ale widok okopconych kikutów ulubionych drzew, które osłaniały go od wichrów północnych, zabolął Sławkę tak, że przymknęła oczy, bo ją zapiekły. Wysiadła z wozu i ze ściśniętym sercem jęła obchodzić pogorzeliśko.

Z zarastających jej wysokich na chłopa pokrzyw wysunął się pies i podchodził z wahaniem, jakby nie wierzył swemu powonieniu. Ona również patrzyła z niedowierzaniem, nie spodziewając się już zastać nic żywego. Ongiś była tu liczna psia sfora, oboje z Pietrkim całymi dniami wałęsali się z nią. Widocznie ocalał tylko jeden, a może tylko

on czekał na powrót ludzi, do których był przywiązany. Wychudły był, widno nie wiodło mu się dobrze na pogorzeliisku. Nie poznawała, który to z psiarni, ale na chybił trafił zawołała imieniem swego ongiś ulubionego szczeniaka:

- Łapa!

Jakby zrywając przytrzymujący go powróżek, rzucił się ku dziewczynie i omal jej nie przewrócił, doskakując do twarzy, by ją polizać. Dawniej Sławka nie pozwalała na to, bo piastunka gniewała się, gdy pies ubłoconymi łapami powalał sukienkę. Ale teraz nie myślała o tym i oddawała mu pocałunki, niemal do łez rozczulona powitaniem, którego się nic spodziewała.

Jeszcze tego wieczora czekała ją druga niespodzianka. Siedziała przy ognisku, wpatrzona w zamyśleniu w płomień, nieświadomie gładząc leżącego u jej stóp Łapę. Była sama, wódarz poszedł obmyć się w strumieniu, Szkaradek powiódł konie do wodopoju. Oni pozostać mogą dzień lub dwa, ale wracać muszą do klasztoru. Ona nie wróci. Bo choć wie, że Wyszeniega o nic nie zapyta, a dzieci powitają jej powrót z radością, tu jest jedyne miejsce, gdzie Główka może jej szukać. Mógłby jeszcze myśleć, że biskup zabrał ją do Krakowa, ale tam ani on nie mógł się pokazać, ani ona wracać nic chciała. Zostanie tutaj, z psem i bezpieczniej, i milej. Poprosi jedynie wódarza i woźnicę, by jej sklecili szafas. Do zimy daleko, tymczasem coś się stanie, nie bez tego, by nie ocalał nikt z czeladzi czy osady, trzeba się tylko rozejrzeć po okolicy. Zapasy żywności, odzieży i statków, w jakie zopatrzyła ją ksieni, starczą na długo.

Z zamyślenia wyrwał Sławkę szelest w zaroślach. Sądziła, że to nadchodzi wódarz lub woźnica, ale zdziwiło ją zachowanie psa. Podniósł łeb, ale nie zaszczekał, a nawet nie warknął, jakby zbliżał się ktoś znajomy. Sławka przysłoniła oczy od blasku ogniska, spozierając na zbliżającą się postać niewieścią. Gdy podeszła tak blisko, że płomień oświetlił jej twarz, przystanęła i obydwie patrzyły na siebie w radosnym zaskoczeniu. Niemał jednocześnie, jakby chcąc się upewnić, że to nie złuda, szepnęły:

- Bożycha!

- Sławka! Tyżeś to, córuś?...

Urwała, jakby ułękłszy się poufałości wobec dorosłej już, a od lat nie widzianej, dawnej swej wychowawicy. Ale Sławka objęła ją i długo trwały w uścisku. Nad wzruszeniem przemogła wreszcie ciekawość; usiadły i znowu patrzyły wzajem na siebie.

- Ledwie cię poznałam - powiedziała Sławka. - Zmieniłaś się. A po prawdzie już się nie spodziewałam zastać tu nikogo swojego.

- A ja cię zaraz poznałam, choć zmieniłaś się i ty: urosłaś i wypiękniałaś. A ja... - machnęła ręką.

Istotnie zmarnowana była, spod zniszczonego czepca wymykały się kosmyki szpakowatych włosów.

- Sama jesteś? I jako tu żywiesz?

- Z nim - wskazała na psa. - On także tu czeka. Ja żywię, jak się da, ale nie dla cię taki żywot. Zimą ciężko.

- Ostanę z tobą - powiedziała Sławka. - I ja będę czekała.

-Na kogóż, niebożę? Wždy rodzic i stryk legli, a Pictrek w Krakowie bawi przy książęciu.

Sławka pokraśniała, ale miast odpowiedzi zapytała:

- To wiedziałaś już, żeśmy uszli oncj rzezi?

- Wiedziałam. Zrazu i was opłakałam, bo był tu rycerz Radosław z Dębna i jego ludzie prawili, że przyjechali objąć prawem bliskości spuściznę. Dworzec zaczęli budować parę stajań stąd, także nad Krępianką. Potem zasię był tu pan Żcgota Toporczyk; jemu książę niechali włodarzyć puścizną po twym rodzicu i stryku; a Pictrek wraz z nim. Ale wrócił do Krakowa, bo cóż by tu działał, a tam na dworze wraz z innymi pacholętami do rycerskiej służby się zaprawia. Wróci tu, gdy do lat dojdzie, ale to jeszcze czasu sporo. Wracaj i ty do Krakowa.

- Tu ostanę - powtórzyła Sławka.

- Rada bym, ale jakoż ci tu osiedzieć? Ja żywię w parsku, ciepłą porą nijako, zimową zaduch, mroczno, ziąb chodzi po kościach, ni ognia zażcc. Z Łapą wzajem się grzejemy...

- Możesz ty osiedzieć, mogę i ja.

¹ W parsku - w jamie na zboże.

Bożycha westchnęła:

-Ja muszę. Czekam. Może mój wróci. Niestary był, pewnikiem je-
no w jeństwo popadł. Uciekł z niewoli Kulka. Pomnisz go? Gdzie mu
tam do mego...

Urwała, bo głos jej się załamał. Sławka opuściła oczy, by dawna
piastunka nic odgadła, że przed nią ukrywa, co wie. Małżonek Boży-
sławy, Socha, ranny był w czasie oblężenia. Z tych, którzy zostali
w kościele, nie ocalał nikt. Ku uldze Sławki Bożycha zaczęła:

- Chceszli tu ostać, to chyba w nowej Krepie. Zrąb pod dworzec
położony, bierwiona przyciosane, a braknie, to las nieopodal i rąk się
niewiele najdzie z dawnej czeladzi, co ubiezać wydoliła. Mężów twój
stryk do Sandomierza zabrał na przcpadłe, ale z paru wyrostków już
spore pachółki. Wždy to dwa gody z okładem... Prawda, że i ty żrała
już jesteś, skoro ci pod czepiec. Wiesz co - ciągnęła z ożywieniem -
będzie pół mili stąd, osada buduje się na niemieckim prawie za ksią-
żęcym przywilejem. Osadźca był tu wraz z Pietrkiem i panem Żegotą.
Młody, urodny i rycerskiego rodu Gozdawów, pono największego na
Mazowszu. Na sołectwie chleba mu nie zabraknie, a gdyby ciebie po-
jął, mógłby pieczę objąć nad Pietrkiem i zarząd puścizną. Sprawniej
by gospodarka poszła, gdy gospodzin swój i na miejscu, a nie jak pan
Żcgota, który i swego niezbyt pilnuje...

- Nie wyjdę za rycerza Gozdawę - powiedziała, rumieniąc się, Sławka.

Bożycha westchnęła. Od Pietrka słyszała o Główce, domyślała się,
na kogo Sławka czekać zamierza. Nic śmiała wprost odradzać, ale rzekła:

- Wždy go nawet nie widziałaś. Wdały jest, wielki i mocny. Nieza-
sobny, to prawda, ale i ty, niebożę, niewielkie wiano małżonkowi byś
wniosła. Ziemia bez rąk niewiele stoi, kromie niej nic z mienia nie
ostało... Może ta i kto wróci - ciągnęła - jako ów Kulka, ale nawet
z niewiast i młodzi tyle ocalało, co ubieżało w porę, zanim spadła ta
szarańcza. Na cóż ci czekać? Niewiela się odmieni i nierychło.

- Nie na to czekam - westchnęła Sławka. Milczały przez dłuższą
chwilę. Bożycha podjęła:

- Ciężko żyć samotnej białogłowie, nawet w spokojnym czasie i pośród przychylnych swojaków, bo nikt bliższy nie jest niżli małżonek. Taką już dola niewieścia - posiegać za męż¹ lubo do klasztoru...

Rozmowę przerwało nadejście włodarza, który zdziwił się, ujrzawszy Bożysławę. Gdy dowiedział się, kim jest, zwrócił się do Sławki:

- Możesz ją zabrać ze sobą. Jedna gęba więcej klasztoru nie ogłodzi.

- Ja tu ostanę - wtrąciła Bożycha, ale włodarz uciął:

- Twoja gospodna postanowi. Ksieni mi przykazała rozejrzeć się - ciągnął - zali tu dach jest nad głową i czeladź jakowa do gospodarki. Ni jedno tu, ni wtóre, tedy wracać nam.

- Ja ostanę - powiedziała Sławka.

- Mijęz rozsądek. Wždy tu i zgliszcza rozwiało z twego domu, anie zawždy jest lato. Ani gdzie schować zapasy, co ci ksieni dała na początek, a zjesz je, co dalej?

Bożycha tu żywię już dwa gody, wyżyję i ja.

- Cóże ja rzekę ksieni? Żem cię na przcpadłe ostawił? Może do Krakowa cię odwieźć, skoro wracać nic chcesz do klasztoru?

- Tu ostanę - stanowczo powtórzyła Sławka. - Postawcie mi checzę jakową. Będziecie mogli rzec ksieni, sumienia nic uciążając, że dach mam nad głową, czeladź i dobytek - uśmiechnęła się słabo, wskazując na Bożychę i psa.

Włodarz widząc, że nie przekona dziewczyny, przez dwa dni z pomocą woźnicy zwłoczył drągowinę i gałęzie na szałas, po czym zabrali się do budowy i wkrótce stanęło schronienie, w którym od biedy dałoby się i przezimować, ogaciwszy ściany. Zapasy z wozu wyładowali do parsku, bo w szałasie miejsca starczyło tylko na dwie prycze i palenisko, i żegnani podziękowaniami, odjechali. Gdy osiadł kurz wstający za wozem, Sławka z Bożycha usiadły na zbitej z krąglaków ławie pod ścianą.

- Lżej będzie nam czekać - odezwała się po chwili Bożycha z westchnieniem.

Posiegać za męż - wyjść za męż.

Patrzyła pytająco na Sławkę w nadziei, że zwierzy się, dlaczego uparła się pozostać, gdy wygodniej mogła osiąść gdzie indziej. Ale Sławka milczała, nie podnosząc oczu. Wiedziała, że Bożycha nie ma na co czekać, a nie wiedziała, czy sama czekać ma na co. Uczyniła, co zdołała, by Jasiek mógł ją odnaleźć, a przynajmniej przesłać wiadomość o sobie. Gdy milczała, Bożycha podjęła:

- Pójdę ja do Grabowca do pana Żegoty uwiadomić go, żeś wróciła. Niechajby przykazał dokończyć budowy dworca w nowej Krepie. Tu ciężko zimować - westchnęła.

- Ostań - powiedziała Sławka. - Ja tam nie pójdę. Pietrek sobie zarządzi, gdy do lat dojdzie.

Coraz częściej przychodziło jej na myśl, że Jasiek nie wraca, bo nie może. Niechby jeno przesłał wiadomość, gdzie go znaleźć, pójdzie za nim.

Główka nie mniej niecierpliwie czekał na wyzdrowienie rycerza Gozdawy niż on sam, tym bardziej że Wojan nie taił swej niechęci do Szymona. Pieczę nad rannym zdał całkiem na Jaśka, sam nieraz po kilka dni wałęsając się, tyle że zadbał o żywność. Gdy wracał, mało-mówny był, zamknięty w sobie i odpychający. Główka martwił się zmianą zaszłą we wzajemnym stosunku od czasu, gdy między nich wszedł Szymon. Rycerz również najchętniej usunąłby się, ale choć zaczynał już wstawać o własnych siłach, daleko było jeszcze do tego, by sam mógł puścić się w uciążliwą i trudną drogę. Gdy raz znowu nieobecność Wojana przeciągała się, by przeciąć niemiłe dla wszystkich położenie, zaczął:

- Coś ci postanowić winieneś. Ja wydobrzałem już, czas mi wracać do swoich. I tobie rad bym odwdzięczyć się za starunek: pójdź ze mną. A nie chcesz, użyc mi swego bachmata, jakoś zajadę. Konia ci w Łukowie ostawię u kasztelana, odbierzesz sposobną porą. Odesłałbym, jeno nie wiem, zali tu kto trafi z opowieści ani czy Wojan rad byłby, iżem zdradził jego siedzibę.

- Iście nie - odparł Jasiek. - Jeno sami nie uradzicie. Tu łącno zgubić się i ulgnąć, nawet w siłach będący.

- Tedy odwieź mnie. I tobie ulga będzie. Rozejrzysz się i postanowisz: ostaniesz lubo wrócisz.

- Nijak mi postanowić bez Wojana.

- Wždy mówił, że cię nie trzyma.

- Tak mówił. Jemu wolno nie stać o mnie. Ale co myśli, nie wiada.

- Wolno i tobie nie stać o moją odwdziękę - powiedział Szymon z westchnieniem. - Ty nie wiesz, co to tęsknica. Nie odwieziesz mnie, pójdę sam. Niech będzie wóz alibo przewóz.

- Nie uradzicie - powtórzył Główka i zamyślił się. Do Łukowa i tak trzeba będzie jechać, pozbyć się łupieży, a przykupić soli, odzieży i paści na bobry. Rozejrzy się, jaką korzyść przyniesie mu poparcie Szymona, a może sposobność się trafi uwiadomić Sławkę, że żyje i pamięta. Powiedział:

- Zawiodę was, ale wrócę tu. Bez Wojana nic postanowię o sobie.

- Mójżeś ty. Do śmierci nic przepomnę i zawsze na mnie liczyć możesz. Nie wiem, co doma zastanę, ale bratu nie byłbym tak rad, jak tobie.

Obydwaj niezbyt spali tej nocy, podnieceni mająca nastąpić zmianą, i wczesny świt zastał ich na nogach. Szymon zajął się przygotowaniem posiłku, gdy Jasiak siodłał konia i ładował kilka bobrowych i gronostajowych błamów oraz żywność na drogę, licząc się z tym, że niezbyt szybko pociągną. Wojan zabrał swego konia, widocznie zamierzając zapuścić się dalej niż zwykle. Główka przeto miał nadzieję, że zanim wróci, sam będzie z powrotem.

Mimo że na milę wokół znał okolicę, jeno wyruszyli, zrozumiał, że podróż przeciągnie się dłużej, niż sądził. Co chwila drogę zastępowały wiatrołomy, nieraz obalone burzami sprzed wieków, pnie grube na chłopa i więcej, zmurszałe tak, że można było ulgnąć w próchnic; pod siecią pnączy czaiły się wykroty niczym wilcze doły, przeważnie wypełnione mułem lub bagienną wodą. Stawały w drodze i otwarte bagna, które najczęściej trzeba było obchodzić, zdradliwe młaki, których niewinna na pozór zieleń skrywała często bezdenną topiel. Jasiak w swych włóczęgach poznał przejścia. Ale nie nadawały się dla obciążonego konia, trzeba było szukać innych. Rycerz Szymon, sam

nawykły do włóczęgi po bezdrożach, musiał podziwiać, jak Główka z wyczuciem losia ocenić umiał niechybnie, którędy można przejść przez bagno lub trzęsawisko. Niemniej co chwila musieli nakładać drogi i dłużyła się, mimo że Główka pospieszał w obawie, że gdyby Wojan nie zastał go po powrocie, gotów jak zwykle ciepłą porą odejść na włóczęgę, a co gorsza pomyśleć, że Jasiek opuścił go chyłkiem, zabierając ponadto wspólnie pozyskane łupieżę. Odszukanie go nawet zimą, która zmusza Wojana do dłuższego pobytu w miejscu, może potrwać lata, bo niczym wilk umiał dobrze ukrywać swe legowiska.

Toteż mimo że dni były jeszcze długie, Główka parł przed siebie do zapadnięcia ciemności, wyruszał z noclegu o pierwszym brzasku, a zarazem trafił się, że rycerz Gozdawa źle znosi trudy i niewygodę podróży, choć nie skarżył się, znając przyczynę pośpiechu. Jednego ranka wszakże, gdy Jasiek go budził, Szymon powiedział:

- Ostaw mnie. Tu już się wyznawani. Odpocznę, to i sam się dowlekę do swej stróży. Niedaleko już. Beze mnie prędzej pociągniesz, rzeknij jeno kasztelanowi, iżem wydobrażał, tobie dziękować, i doma wróciłem. Ludzi mu brak do obrony i z dawna zwykł zbiegów nad granicą osadzać. Lękać się nie potrzebujesz, by cię imać kazał.

- Odprowadzę was, skoro niedaleko, jeno ninie zbierajcie się. Na swoim wyrku lepiej wypoczniecie, a niewieści starunck lepszy niżli mój.

- Nie wiem, co doma zastanę - westchnął Szymon, dźwigając się. - Małżonka moja do swojaków wrócić mogła, za wdowę się mając, kasztelan nowych ludzi do stróży przysłał pewnikiem, skoro z tych, co ze mną wyszli, nie wrócił żaden.

- Dowiemy się - przerwał Główka.

Pomógł rycerzowi wgramolić się na konia i ruszyli. Wkrótce dotarli nad rzeczkę, wzdłuż której biegła przetarta drożyna. Posuwali się teraz szybciej, w milczeniu, każdy zajęty swymi myślami. Gdy jednak Główka chciał stanąć na południowy wypoczynek, Szymon odezwał się:

- Jeszcze dziesięć stajań i doma jestem. Wzruszony był widocznie i mimo woli popędzał konia, tak że Jasiek, który z trudem nadązał, rzekł:

- Jedźcie przodem, ja dociągnę.

Rycerz bez słowa żgnął konia ostrogą i za chwilę zniknął z oczu Jaśka, który ruszył za nim.

Z dala już ujrzał na wzgórzu nad rzeczką osadę. Zbudowana w okrąglicę, otoczona była fosą, wał najeżony częstokołem, a nad bramą wznosiła się baszta z dębowych bali. Szymon zsiadłszy z konia stał pod bramą, czekając widocznie na opuszczenie zwodzonego mostu. Nim Jasiek dotarł na miejsce, most opadł z hukiem, a Szymon, zostawiając konia, zniknął mu z oczu. Furta w bramie była otwarta, a przez nią widać było pusty dziedziniec z większym budynkiem pośrodku. Główka przywiązał konia do pieńka i zamierzał wejść, gdy z góry rozległ się głos:

- Stać! Bez przyzwolenia setnika nie Iza. Główka wzruszył ramionami i wydobywszy z juków zapasy pożywił się, pewny, że lada chwila zjawi się ktoś po niego. Gdy jednak skończył, a nikt nie zjawił się, trochę zdziwiony, a trochę zawiedziony dosiadł konia i krzyknął do strażnika:

- Rzeknij rycerzowi Gozdawie, żem go pożegnać nicchał, bo mi czekać nie pora.

Przypuszczał, że Szymon, po długiej nieobecności zajęty powitaniem, zapomniał o nim. Dość prędko, gdy już nie jest mu potrzebny.

Popędzał konia, by za dnia jeszcze stanąć w Łukowie i załatwiwszy sprawy ruszyć w powrotną drogę. Odwykł od ludzi, a zachowanie rycerza Gozdawy zniechęcało go. Niepotrzebnie przywiązał się do niego, tym spieszniej chciał wrócić do Wojana.

Ujechał już spory kawał, gdy za sobą posłyszał tętent idącego w skok konia. Obejrzał się zdziwiony. Zdało mu się, że to nadjeżdża Szymon, ale trzyma się w siodle, jakby nigdy nie słabował. Gdy jednak jeździec zbliżył się, Jasiek poznał swą omyłkę, natomiast pewny był, że przybywa od Szymona niewątpliwie jego bliski krewniak, bo podobny do złudzenia, jeno młodszy i tęższy. Gdy dojechał, powiedział dość ostro:

- Cóżes taki nagły, że cię ścigać trzeba, bo brat mój nijak cię puścić nie chciał bez podzięk i gościńca. Wróćc się!

- Chciałem i ja pożegnać go, jeno mnie strażnik nie wpuścił - odparł Główka. - Spieszno mi, a o gościniec nie stoję, tedy nie wrócę.

- Hardy z ciebie pacholek, rzekłby kto, że z równym sprawa. Nie stoisz o gościniec, przymusu nie ma. Ale pono uprzykrzył ci się żywot wywołańca, a skoro patrzeć, wyprawa pójdzie na Jadźwież, sposobność takim jak ty na wybaczenie zasłużyć.

- Iście rad bym, ale rycerz Szymon wie, dlaczego ninie zostać nie mogę. Zechciejcie wybaczyć, że wam się nie sprawiam, ale mi pilno w drogę.

- Jak sobie chcesz. Jedź z Bogiem, za małyś, abyś się niechał prosić.

Zawrócił konia i odjechał. Główka też ruszył dalej, ale pomarkotniał. Rycerz Gozdawa zawdzięcza mu życie, a brat jego za łaskę uważa, że chciał mu podziękować i obdarzyć. Tym bardziej zasługę tę lekceważyć będzie kasztelan.

Główka nie zwykł jednak poddawać się przygnębieniu. Trzymać się postanowił Wojana, póki nie będzie mógł połączyć się ze Sławką. A że nieprędko, tedy przedwcześnie się martwić; z nim uradzi, czy brać udział w wyprawie, o której wspominał brat rycerza Szymona. Kasztelana zawiadomi o powrocie Szymona, a przy sposobności dowie się czegoś bliższego o wyprawie.

Kasztelana jednak w Łukowie nie zastał, bo wyjechał na objazd pogranicznych stróży, podsędek natomiast, który go zastępował, wieść przyjął obojętnie:

- Kasztelan rad będzie, bo doświadczonych wojów mu brak. Ale jeśliś po nagrodę przyszedł, to darmo. Rycerz zresztą pewnikiem sam ci zapłacił.

Główka dotknięty lekceważeniem, odparł:

- Ani po nagrodę przychodzę, ani mi rycerz zapłacił, bo choćby chciał, nie ma z czego. Sam mówił, że mu na tarczownika zejść przyjdzie, skoro konia i miecz utracił.

- Coś ci nie tak, jak prawisz, bo był tu brat jego Krystyn, który od książećcia zaopatrzenie przywiózł dla wdów i sierot po tych, co legli. Dla Szymonowej takóży spory mieszek srebra. Skoro, jak prawisz, nie ostała wdową, tedy bratu oddać musiał, przeto stać go będzie i na za-

płatę dla cie, i na zakupno konia, i co tam utracił. Nie patrzysz ty na bogacza, by ci za jedno było. Coś za jeden?

Jaśka ubodła jednak widoczna podejrzliwość zgryźliwego podsędku i odpalił:

- Bogaczem nie jestem, ale nie po prośbie przychodzę, a com za jeden, rycerz Gozdawa wam powie...

- Jeśli prawda, żeś go odwiózł - przerwał podsędek. - Nierades mówić o sobie. Gdybyś iście był w stróży u niego, wiedziałbyś, że ma z czego zapłacić za przysługę.

- W stróży nie byłem, bo mnie strażnik nie wpuścił, ja zaś nie czekałem, bo mi spieszo - odparł Główka nieco zmieszany, czując wzrastającą nieufność podsędku.

Rad był skończyć niemiłą rozmowę, ale podsędek podjął drwiąco:

- I byłeś, i nie byłeś! Spieszno ci, tedy po cóżes tu przyjechał, jeśli nie zapłatę wyłudzić. Wždy z wieścią mógł Szymon przysłać byle pacholka.

- Iście mógł, ale żem i tak do Łukowa miał jechać przedać bobrowe łupieże i przykupić, czego mi trzeba, tedy mnie o to prosił. A taka mi podzięka, że sprawiać się muszę, jakbym przed sądem stał.

- Jakbyś zgadł, bom ja tu sędzią, a pierwsze sprawić się musisz, skąd tobie przywilej na łowienie bobrów?

Jasiek czuł, że sprawa wikła się coraz bardziej, i ogarniało go zniecierpliwienie i gniew. Hamując się jeszcze, odparł:

- Tam łowim, gdzie przywilej niepotrzebny, bo ziemia niczyja, tedy i pożytki...

- Niczyja, tedy twoja. A niczyje bobry pewnikiem po dwa chwosty miały, jeno ucięte, jako że bez futra, tedy już nie rozezna. Łupieże tu ostawisz i sam ostaniesz, póki się sprawa nie wyjaśni.

Jaškowi krew uderzyła do głowy, ale jeszcze się pomiarkował:

- Mniemałem, żem zasłużył, by przynajmniej wiara była mi dana. Ale nie wierzycie, ślijcie ze mną kogoś do rycerza Szymona, choć z drogi mi, a wracać pilno.

- Tobie pilno, nie mnie - uszczypliwie rzucił podsędek. - Sam wiem, co mi uczynić. Pilno ci, tedy w drodze łącno byś się mógł stracić, a tu w wieży będziesz przepieczny.

Główce poczerniało w oczach. Niewiele myśląc, oburącz pchnął podsędka, przewracając go wraz z ławą, a sam wypadł do sieni, jedynym susem przesadził schody, doskoczył w siodło, obalił strażnika, który na krzyk podsędka usiłował zastąpić mu drogę, i puścił się w cwał, mimo że koń zdronyony był. Nie wąpił, że będą go ścigać. Dopadł szczęśliwie lasu i, choć sam zmęczony, szedł aż do ciemności, konia wiodąc za uzdę.

Pewny, że już go nie dościgną, zatrzymał się nad brzegiem leśnej strugi, napił konia i spętanego puścił na paszę, a sam zajął się krzesaniem ognia. Wyczerpany był i nie chciało mu się jeść, ale rozsądek nakazywał pożywić się i spocząć.

Wzburzenie jednak nie pozwalało mu zasnąć, chociaż starał się spokojnie przemyśleć ostatnie przejścia. Nie zachęcały do powrotu między ludzi. Doznana niesprawiedliwość była dowodem, że prosty człowiek jest bezbronny wobec samowoli dzierżycieli władzy. Albo bronić się przed nią musi tak jak Wojan czy on sam w starciu z podsędkiem. Jeśli nawet Szymon kasztelanowi sprawę wyjaśni, lepiej się w Łukowie nie pokazywać. Niedziwne, że ludzie, dla których nie ma sprawiedliwości, na gościńcach zbijają lub zgola uchodzą do nieprzyjaciela. Ale takim nie myśleć o założeniu domu i rodziny.

Bliższą jednak troską było nie rozminąć się z Wojanem. Nic dniało jeszcze, gdy Jasiek ruszył w dalszą drogę, niemal nie spoczywając szedł do zupełnej ciemności i trzeciego dnia resztką sił dobił do chaty. Zapach dymu, który go doszedł, zanim ją ujrzał, zdał mu się najpiękniejszą wonią. Odetchnął głęboko i przywiązawszy konia, zsunął się po urwisku do wejścia. Przed ogniskiem siedział Wojan, zajęty przygotowywaniem posiłku. Na widok Główki mruknął:

- Wróciłeś? Mniemałem, żeś mnie już pożegnał, skoroś sobie znalazł nowego druha. Przedałeś łupieżę?

Główka stropił się. Jeśli opowie, co go spotkało, Wojan będzie podejrzewał, że wrócił tylko dlatego, bo zostać w Łukowie nie mógł.

Jeśli nie, będzie musiał kręcić, dlaczego nie sprzedał futer i nie poczynył zakupów. Wojan już podejrzewa nieszczerłość, gdyby go na niej przyłapał, koniec byłby z przyjaźnią. Odparł przeto:

- Ani mi w myśli nie powstało, bym cię miał chyłkiem opuścić. Jenom nie wiedział, kiedy wrócisz, a Szymon spraszał się do dom. Nam ciążył, a jemu było pilno, tędym go do stróży odwiózł, a wracałem, bez mała nie śpiąc i nie jedząc, bom się bojał, że odjedziesz i gdzie cię będę szukał?

- Widzę, żeś się zmamił - powiedział Wojan widocznie udobruchany. - Pożyw się, potem opowiesz.

Jedli w milczeniu, a gdy skończyli, Wojan zapytał:

- Wziąłeś łupieżę. Przedałeś?

- Przywiozłem nazad.

Mimo że lękał się, by Wojan znowu nie podjął podejrzzenia, że wrócił, bo musiał, z wahaniem, ale otwarcie opowiedział, co mu się w Łukowic przygodziło. Ale Wojan roześmiał się i klepnąwszy Jaśka po ramieniu, zapytał:

- A nie ubiłeś aby podsędką, bo rękę masz skorą do tego?

-Nie - odparł Jasiek. - Pozbierał się zaraz, bo słyszałem, jak na strażnika wrzeszczał, by mnie chwycił.

- To szkoda - parsknął Wojan. - A może choć strażnika ubiłeś?

- Chyba nic. Koniem go obaliłem, gdy mi się zastawił, ale obzierać się nie pora było, bo mnie pewnikiem ścigali. A gdyby mnie pościgli, toby się bez zabójstwa nic obeszło. Wówczas za nic byłoby, choćby rycerz Szymon objaśnił, jako niesłusznie chciał mnie podsędek w kluzie zawrzeć.

-A cóż ci o to? Najlepiej sam mu objaśniłeś. Czeka ty sprawiedliwości! On rycerskiego stanu i urząd ma, a tyżeś co? Gomólek! Aniby ci grzywien nie starczyło, coś uścibał, a wroga też napytałeś. Chyba ci się odniechciało wracać do onej społeczności. Nie czekają tam na cię.

Główka jednak podjął:

- Szymonów brat mówił mi, iż się wyprawa na Jadźwież gotuje. Nikt od nas na przewodnika zdatniejszy nie jest, obu nam sposobność przysługę oddać ksiąźęciu...

- Wierzę, żebyśmy się ksiąźęciu na Jadźwież zdali. A nie będziem już potrzebni, taka nam odpłata, jak tobie za to, iżesz Szymona Godzawę ocalił. Albo i za to, iżesz sierotom po Zbygniewie zginąć nie dał.

Widząc, że Jasiek zasumował się, ciągnął:

-Wiem ja, co ci na sercu leży, ale to sobie ze łba wybij. Twej dziewczce jużę pora pod czepiec, a ty? Choćbyś i ścierciałką ostał lubo zgoła do rycerskiego stanu podniesiony, nie dadzą za nowego człeka dziewczki ze starego rodu.

- Kto nie da? Pietrek? Wždy i on żywot mi dłużny.

- Dziś by może dał; nim do lat dojdzie, zabyć wydoli, obejrzy się za możniejszym dziewierzem.

- Po niewoli jej nie wyda ni ona za innego nie pójdzie, skoro mnie czekać obiecała.

- Jak długo? Do śmierci? Człęk samego siebie nie ze wszystkim rozumie, a cóż drugiego? Ja także ongiś zamierzałem między ludzi wrócić, po tom srebro gromadził. Ninie wiem, żebym się tam nie pomieścił. A ty? Dopiero dwa gody sam sobie panem jesteś, a już ci nie w smak było, co podsędek chciał uczynić.

Widząc, że Jasiek zadumał się smutno, ciągnął:

- Jeśli tobie nauki twego przeora po głowie chodzą, to zważ, co z tego wyszło, że świadczyć chciał niemocnym: im nie pomógł, sam głowę położył.

Jasiek jednak odparł z niezwykłą żywością:

- A nieprawda. Niemocnym ulżenie było, wiedzący, że nie ostaną przez opieki. On zasię i tak głowę by położył, jeno jako w stadzie owiec przez wilki opadniętym, ni wiedząc, za co umiera. A tak oddał żywot jako męczennik i niechybnie na ołtarze wyniesiony ostanie.

Wojan nieznacznie ramionami wzruszył:

- Może - powiedział. - Jeno sam sobie rzeknij, że ty nie na ołtarze zmierzasz, lecz do łożnicy. Tedy może ci twój przeor i to rzekł, co ja ongiś na kazaniu słyshałem: jako niewiasta macierz i rodzica opuścić

winna i za mężem iść. Jeśli Sławka iście chce ciebie lubo nikogo, tedy nie czekać jej, aż pasowanym rycerzem ostaniesz, bo i do siwego włosa może nie doczekać. Jeno to pomyśl, zali wzięłyś ją do lasu, a i to zważ, że nie zawždy będziecie we dwoje, choć i beze mnie.

Jasiek milczał przygnębiony. W tym, co mówił Wojan, sporo było słuszności. Ale jedno zdało się pewne: że nie chce rozstać się z druhem, może dlatego, że mu obrzydła samotność, a może i on chce czuć się komuś potrzebny.

Jakby zgadując, co Jasiek myśli, Wojan ciągnął:

- Prawda, że nawykłem do cię. Nic to. Nawykłem, odwyknę. Ale poznałem cię i wiem, żeś się na niewolnika nie zdał, który byle książecego psiarka słuchać musi. Obrotnyś, ni sił ci nie brak, ni umu, nie lepsi od cię wydołali z podłego stanu się wydzwignąć. Ale nigdy tak, by nad nimi nikogo nie było, jako nad tobą dziś.

- Wždy posłuch z dobrej woli niewolą nic jest - powiedział Jasiek w zamyśleniu. - Gdzicze takowa społeczność, by nikt nikomu posłuchu dłużny nie był? Przeor Sadok prawil, jako to u Tatarzynów jest, bez co pół świata pobili: dziesięciu nekarów¹ to juz, dziesięć juzów - om, dziesięć omów - chezar, dziesięć chezarów - tumen, dziesięć tumenów - ordu. Nad każdym dowódca, który do walki nic staje, tylko nad nią czuwa. A za jednego wszyscy odpowiadają, niechby który z walki się wycofać chciał przez rozkazu! Dlatego i pozór dać mogą ucieczki, jako pod Legnicą uczynili, by rozerwać krześcijańskie szyki, bo jeno wódz piszczałką znak da, a zawrócą jak jeden. U nas zasię wódz w czele iść musi, ani widzi, co się za nim wyprawia.

- I Chrobry, i Śmiały, i Krzywousty w czele walczyli, nie w ociążu, a wszystkich wrogów bili - przerwał Wojan. - Nie w tym rzecz, bo różne są sposoby wojowania. Nie pół świata podbić chcieli, jeno swego nic dać. Tacy godni byli posłuchu. Ninie nie wiada, czego się więcej lękać, wroga zali książęcia, a bardziej jego psiarków.

Jasiek nie wiedział, co odrzec. Przeor Sadok inaczej rozumiał te sprawy. Pozornie Wojan zdał się mieć słuszność, ale dlatego, że myśli

¹ Nekarów - towarzyszy.

o sobie. Jednak i jemu sposobność się trafia odmienić żywot, i z rodu i z męstwa między pierwszymi stanać, byle księżę w niepamięć puścił stare przewinienia. A nie zawsze będzie Wojan w pełni sił młodości; jak wilk, gdy mu się zachwieją zęby, w samotności zdychać musi. Może i to jest przyczyną, że chciałby Jaśka zatrzymać przy sobie. A mógłby przecie żonę pojąć, ród odbudować i kiedyś spokojnie oczy zamknąć wśród swoich najbliższych. Nieraz już Jaškowi chodziło po głowie, dlaczego Wojan nie pojmie niewiasty. Rosły, silny, urodziwy, zaradny, niejedna by za nim i do lasu poszła. Z wahaniem zaczął:

- Pytasz, zali wziąłbym Sławkę do łasa. Ona by przystała, ale nie do takowego życia nawykła, przeto między ludzi chciałbym wrócić. A ty zali do końca żywota bez niewiasty obywać się będziesz? Bo jeśli nie, to także wolałbyś pewnikiem małżonkę i dzieci w przezpieczności od zwierza i ludzi ostawić, gdy ci wojować lubo na łowy jechać przyjdzie.

Wojan roześmiał się:

- Wiedziałem, że kiedyś o to zapytasz, ale rzekę ci: niewiasty się beze mnie obywać muszą, ile ich jest. Gdybym jedną pojął, nie ona moja byłaby, jeno ja jej. Jako pies do budy przywiązany, za jedno na długim lubo na krótkim powrózku.

- Wždy nawet dziki zwierz swoją ostoję ma, tamże legowisko zakłada i potomstwo płodzi. Mógłbyś swój ród odnowić, na starość swoich mieć przy sobie.

- Nawet zwierz płoszony nie mnoży się, jakby rozeznanie miał, że na zatrącenie potomstwo płodzi. W przezpieczności, mówisz! A twojaż Sławka i Pietrek nie rodowi? Żeby nie ty, zdychać by im przyszło jak wilczym szczeniętom, gdy waderę psy zaszczyją. Ród odnowić! Takowy żywot jak mój zgotować potomstwu?

W porywie złości prasnął polanem w ognisko i powtórzył:

- Ród odnowić, po co? Zdechnę ja, nie będzie komu mnie żalować. Nowe rody wyrastają jak drzewa, co soki czerpią z padliny, dzielnicowym księżątkom ponad głowy. Co im urwą z właści, podlejszych gnębą i słabszych. Nie tobie to muszę prawić, sam wiesz.

To Jasiak wiedział, natomiast po raz pierwszy Wojan zdradził się, że żywot leśnego człowieka wybrał jako zło mniejsze, a nie dobrowolnie wyrzekł się zwykłej ludzkiej doli. Może uda się go nakłonić, by wspólnie próbować wrócić między ludzi. Droga do lasu zawsze zostanie otwarta, a życie bez celu nie uśmiechało się Głównce. Srebro, którego zbieranie było celem dotychczas, w lesie mniej warte od chrustu. Namyślał się, jak przekonać Wojana, by wspólnie spróbować powrotu do społeczności. Zaczął:

- Prawisz, że drzewiej książęta, co władli całą Polską, bronić jej umieli, a każdy służył im wiernie, bo swoje dobro w tym widział. Jakbyś nie wiedział, od czego zaczęło się zło. Nie od książąt, jeno od tych, co im wiary nie dochowali. Wždy i w stadzie zwierza jeden przywodzi, a które się odbije, to na zgubę własną. Gdy wilcy stado turów rozproszą, na łup idą cielęta i krowy, co słabe i kalekie. Nie także u ludzi? Wrogi przeto klin wbijają w naród, by go łacniej zniszczyć. Nic także Niemce czynili i czynią? Na Mieszka Bolesławica Bezpryma poszczuli, na Szczodrego - Hermana, na Krzywoustego - Zbigniewa...

- Tyżeś się na kaznodzieję zdał, jeno po cóż mi prawisz, co kaźden wie. I o proroczwie juź słyssałem, i jakowa rada jest na ono zło, jeno co się to ma do nas?

- A to, że zali kto całą Polską władnie lubo jedną dzielnicą, sam jej bronić nie wydoli. A gdyby kaźden własnej jeno bezpieczeźności szukał, jako my w lesie, toby i lasów nie starczyło, choć nie brak ich.

- Wždy nie myśmy się społeczności odrzekli, jeno ona nas. Wracajże do niej, by cię w kluzie posadzili lubo zgoła na haku. Nic jam cię k'sobie ciągnął ni cię nie trzymam, jako rzekłem; czyń, co ci się uwidzi.

Jasiak pobladł i zamilkł. Po chwili wstał, wszedł do chaty i ułożywszy się na posłaniu, zakopał się w skóry. Wyczerpany był, ale sen go nie brał. Wojan wyraźnie stawił go przed wyborem, po którym nie było odwrotu. Jeśli go opuści, straci nie tylko jego przyjaźń, ale jedynne oparcie. Nawet gdyby, jak on mówił, Sławka zgodziła się dzielić żywot wywołańca, na zawsze zrywając z całą przeszłością, nie to sobie obiecywał, nie tego dla niej pragnął. Widoki, jakie przed nim

otworzył rycerz Gozdawa, choć przyćmione przez zajęcie z podse-
kiem, znikną, jeśli nie wykorzysta sposobności, by się potrzebnym
uczynić. Nie było jednak wątpliwości, że w tej rachubie bardziej li-
czył się Wojan, a co więcej, nawet gdyby nadzieje się rozwiały, nie
utraciłby przyjaźni i oparcia, jakie u niego znalazł. Z drugiej strony
dane Sławce przyrzeczenie zmuszało Jaśka do wyboru, który może
okazać się chybiony, jeśli Wojan słusznie twierdzi, że Sławka nie bę-
dzie czekała. Chciał wierzyć, że będzie, ale musi jej dać przynajmniej
znak życia. A może to uczynić tylko wróciwszy między ludzi.

Rozterka długo nie pozwalała mu zasnąć. Późna noc była, gdy usły-
szał, jak Wojan wszedł do chaty, przed którą długo siedział, widno
również nad czymś zadumany.

Świtało dopiero, gdy obudziło go krzątanie się Wojana. Główka
znużony się czuł i zniechęcony, nie chciało mu się ruszyć. Nakrył się
z głową, usiłując jeszcze zasnąć, gdy wszedł Wojan i ściągawszy
z niego derę, zawołał:

- Wstawaj! Jedziemy do Szymona Gozdawy.

Z dawna zamierzoną wyprawę na Jadźwież wciąż odkładano. Bitne
i zajadłe plemię i bez udzielonej mu przez Litwę pomocy trudno było
wytepić w jego niedostępnych komyszach wśród lasów i bagien Pod-
lasia. Przy wsparciu Jadźwieży przez Litwę wojska zajęte walką
z nieuchwytnym przeciwnikiem w nieznanym kraju łatwo mogły zo-
stać odcięte i zniszczone. Pogłoski, że mimo odstępstwa Mindowego
i powrotu do starych bogów wrzenie przeciw niemu, nawet w jego
własnej rodzinie, zamiast przygasnąć, przybiera na sile, należało
sprawdzić przed powzięciem ostatecznego postanowienia. Wiadomo-
ści winien przynieść kanonik Paweł z Przemkowa, tym pewniej, że
jeszcze ojciec jego, stary Jazd, posłując na Litwie od Leszka Białego,
zawarł tam niejedną znajomość, która synowi winna ułatwić zasię-
gnięcie wieści.

Powrót kanonika jednak odwlekał się. Bolesław przypuszczał, że
natrafił na trudności w wykupnie Konrada, młody książę bowiem był

dla Litwy cennym zakładnikiem. Natomiast biskup, który lepiej znał swego podwładnego, podejrzewał, że zabawia się łowami lub podwilkami i niespieszno mu wracać pod rękę surowego pasterza.

Pierwsze słoty jesienne rozmiękły już drogi, gdy zamiast kanonika Pawła zjawił się posłaniec z wieścią od niego, że sprawę wykupu Konrada załatwił pomyślnie i odwiózł go stęsknionej i niespokojnej matce do Czerska, gdzie wdzięcznie podejmowany czeka, by mroźną ścieżką drogi. Posłaniec przywiózł także list do księcia, na skutek którego Bolesław zwołał naradę dostojników i polecił Prandocie pismo Pawła odczytać.

Kanonik potwierdzał, że wrzenie przeciw Mindowemu, wszczęte wśród książąt i możnowładców, którym nie na rękę jest wzrost władzy wielkiego księcia, zatacza coraz szersze kręgi, kapłani bowiem oczerniają go przed ludem, że nieszczerze do starych bogów powrócił i czeka jeno sposobności, by ich porzucić, a sprowadzić zależnych tylko od niego kapłanów chrześcijańskiego Boga.

Skończywszy, Prandota dodał w zamyśleniu:

- Gorzkie są owoce odstępstwa. Mindowe zbiera, co posiał, bo nie Iza Bogiem tarzyć.

- Zanim zbierze, przygotować się należy - wtrącił wojewoda krakowski, Piotr Śreniawita - stróże wzmocnić na jądzwieskiej granicy, a podjazdy wysłać, by, gdy działać przyjdzie, rozeznanie mieć w nieprzyjacielskim kraju, bo miejscowi przewodnicy w zasadzkę mogą wojska naprowadzić.

- To już zleciłem łukowskiemu kasztelanowi - powiedział książę - i to sprawa niełatwa. Jak wiecie, podjazd wysłany pod rycerzem Gozdawą do nogi widno wytracony ostał, bo ni świadek nie wrócił i jeno wdowy i sieroty po ległych zaopatrzyć należało. Pieniądza w skarbie skąpo, a kasztelanowi ludzi brak. Tedy zezwoliłem, by kogo wydoli do stróży dobrać, choćby zbiegów i wywołańców. Śmiałków tam potrzeba, którzy nic do stracenia nie mają, bo nawet głowa nic ich, a rodzin nie ostawia.

- To jeno dla niewolnych przypisańców zachęta do zbiegostwa - wtrącił Janusz Starzą, sandomierski wojewoda. - Zbójom zasię bez-

pieczniej kupieckie poczty obierać, niżli z Jadźwieżą poczynać, gdzie łup niebogaty, a jak widno, głowy zbyć łatwo.

- Lepiej, by zbiegowie na pograniczu osiedli, niżli do wroga szli - odparł książę. - Ze zbójów zasię niejeden przeto jeno na gościnniec poszedł, bo mu inna droga zamknięta. Rad będzie cześć odzyskać, gdy sposobność będzie mu dana.

Prandocie przypomniał się Główka i poparł księcia:

- Jak mówi Pismo, większa radość w niebiesiach z jednego nawróconego grzesznika niżli z dziesięciu sprawiedliwych. Każdy grzech zgładzić można pokutą, a za walkę z pogaństwem Kościół zupełnego udziela odpustu.

- Odpust odpustem - wtrącił wojewoda Piotr - ale i bez tego wiadomo, że pokojny osadnik nie ostoi się przy takowym somśiedzie. Tedy słusznie książę inną miarką tam odmierzać niechał. Inna sprawa, ilu się chętnych najdzie, tedy i wojów co nieco podesłać należy, by się zaprawili do takowej walki, jaką nam zwodzić przyjdzie. Z rozpoczęciem natomiast ja bym poczekał, pokąd pewności nie zyszczem, że nie z Litwą będzie sprawa, bo nawet pospołu z Mazurami nie dostoim.

- Gdzie one czasy, gdy moje naddziady strącali, wynosili postronnych władców - westchnął Bolesław.

Dostojnikom jednak nietęskno było do czasów, gdy potężnemu panu trzeba było płacić za bunt oczyma, jeśli nie głową. Tylko Prandota, rozumiejący, że od wspólnej doli narodu nikt się nic wybiega, rzekł:

- Siła ich leżała w jedności, której i Bóg błogosławi, a przez zasługi świętego męczennika przywrócić ją obiecuje.

Krakowski kasztelan, stary Sułko Gryfita, który w milczeniu przysłuchiwał się naradzie, teraz wtrącił:

- Iście, bywają cuda! Nie cudem jednakowoż, a siłą jednoczyli państwo przodkowie miłościwego pana. Ninie do tego przyszło, że luda szukać trzeba po gościńcach i lasach, bo rycerz do postronnej wyprawy nieobowiązany, jeno za zapłatą, jak najemnik, ani chłopca z bronią dostawić, gdy immunitet ma. Wolej mu, by bezbronny Tatar w łykach popędził na przedaj. Głupi zwierzę mędrszy od takowego, co płacić sobie niccha za to, że siebie i nory swej broni.

Kołał wszystkich, księcia i biskupa nie wyłączając. Prandota milczał, bo trudno było zaprzeczyć, że od nadań na rzecz Kościoła zaczęły się zwolnienia od wszelkich powinności, także wojennych, w ślad za tym zyskiwali je możnowładcy, a coraz częściej i proste rycerstwo. Wojewoda Janusz, który nie lubił zgryźliwego starca, zawidząc mu zarówno uposażenia krakowskiej kasztelanii, jak i pierwszego kroku, jaki brał przed wojewodami, rzucił złośliwie:

- Wierę, że wy byście bez opłaty stanęli, gdyby was wiek od tego nie zwalniał, ale wam nie wzbronno ponad powinność chłopów swych dostawić na wyprawę. Swojak mój, Pietrek z Krępy, i brat jego, Zbygniew, tak właśnie uczynili. Nie dość, że gardła dali, ale sierotom bez mała pustkowie ostawili, bo rąk brak, by choć dworzec w Krepie odbudować. Mówił mi Żegota Toporezyk, któremu miłościwy pan pieczę nad nimi zlecił, że dziewczuszka na zgłiszczach swego domu żywię zjedna dziewczką służebną, w checzy, która prawie dla bydłęcia. Onże zwierz, co to mędrzy ma być od człeka, swego pomiotu broni, a nie cudzego, swój na poniewierkę ostawując.

Bolesław, który z widoczną przykrością wysłuchał wojewody, powiedział:

- Nie ostawiłem i nie ostawię na poniewierkę sierót po panach z Krępy. Pietrek się u nas przy dworze chowa, póki do lat nie dojdzie, ani wonczas o zasługach jego oćca i stryka nie zapomnimy. Dziewuszka zasię dworką była małżonki naszej. Samowolnie odeszła i nie nas winić, jeśli w niedostatku żywię, bo w sprawnych leciech już jest i sama sobą rządzi. Ani się nie uchylę, gdy jej za mąż osiągnąć przyjdzie, by jej wiano i oprawę zapewnić, a mówił mi pan Żegota, że rycerz Krystyn Gozdawa o rękę jej uderzyć zamierzył. Niczasobny jest, ale z przywilejem naszym osadźcą ostał w somszedztwic Krępy, obrotny, zapobiegliwy i wielkiego rodu. Niechby się zań wydała, skończy się jej sieroctwo i niedola.

- Pięknje to, że się wojewoda Janusz o sieroty po swojakach ujmuje, ale nie o swatach nam radzić, jeno o wyprawie - podjął kasztelan Sułek. - Každy wie, że na nią trzeba nie jeno ludzi, ale i pieniądza.

Niech się skarbnik Bestrzyk wypowie, gdzie go szukać zamyślił, bo jak słyszym, w skarbie pustawo, a w zniszczonym kraju znaleźć niełatwo.

- Najłatwiej u krakowskich mieszczan, co raniej nim domy, kramy odbudowali. Jeno że im wolne lata jeszcze nie wyszły, a i to przedłużenia wolnizny się domagają, jako że na skutek najazdu straty ponieśli i w mieniu, i w handlu - odparł podskarbi.

- Mało przybłędom przywilejów, jakie jeno rycerstwu za zasługi przypadały - rzekł wojewoda Piotr. - Straty ponieśli, a Gedko Stilvogt za trzecią część krakowskiego wójtostwa całe kupił w Nowym Mieście na Śląsku. Ninie pośledni god wolnizny z kramów sukiennych, tedy nie przedłużać jej, jeno myto wypuścić w dzierzawę. A mniemam, że Kościół do onej wyprawy krzyżowej przeciw poganom takż przyczynić się winien.

- Nikt mnie pomówić nie może, bym się od świadczeń na rzecz społeczności uchylał - rzekł Prandota - ale nie jeno wojenne są potrzeby. Niechajby kaźden o własnej powinności pamiętał, obeszłoby się, bez rady, by miłościwy pan dochody ze swych praw książęcych na pniu przedawał.

Bolesław westchnął. Jedności nie ma nawet wśród najbliższych doradców. By nie dopuścić do zadzierki, wstał na znak, że narada skończona, a gdy żegnać się poczęli, Prandota powiedział:

- Jeszcze z wami pomówić chciałem, miłościwy panie.

- I ja z wami. Ostańcie!

Gdy umilkły głosy odchodzących, książę, widocznie czymś rozdrażniony, chodził przez chwilę. Stał przed Prandotą i zaczął:

- Rzekłby kto, że jam winien wszystkiemu złu, co się przygodzi; mój obowiązek szkody i straty wojenne rycerstwu wynagradzać, a za świadczenia płacić, bo kto żyw zwolnienia od wszelakich danin i powinności się domaga. Mieszczanstwu, które iście największe straty poniosło czasu najazdu, że własną zapobiegliwością dorabiać się zaczyna i skoro patrzeć, skarb zasilać będzie, już zawidzą. Wymogli na mnie, że chłopu praw miejskich nabywać zabroniono, a nawet pod miastem osiadać, a tyle z tego, że uciśniony z kraju uchodzi. Nawet i o to krzywi, że zbiegłych zwoliłem na pogranicznych pustkowiach

osadzać. I rzekłby kto, że nie dziedzicznym prawem na książęcym stolcu siedzimy, jeno z łaski wielmożów, za którą płacić sobie każą, a nie, to innemu przedadzą. Snadnie bym go rzucił, a pod habitem spokoju poszukał, gdy i tak jako mnichowi żyć przyszło i potomków krwi własnej nie ostawię.

- Właśc od Boga jest dana nie po to, by chciwość i pychę nasycić, jeno dobru powszechnemu służyć - surowo odparł Prandota. - Może i to zrządzeniem jest Opatrzności, że potomstwa mieć nie będziecie, bo miast jednoczyć potarganą ojczyznę, jeno by dalszego rozdarcia lubo walk bratobójczych stać się mogło zarzewiem. Gdy zasię brataniec wasz choć jeno część Mazowsza do naszej dzielnicy przyłączy, będzie to już pierwszy krok ku zjednoczeniu.

- Wybaczcie, wielobny ojcze - powiedział Bolesław z westchnieniem. - Ciężkie jest puste serce, zimne puste łóże. Ale chcieliście mówić ze mną: słucham.

- O onej sierocie po panu z Krępy. Lata sprawne już ma, ale ni żrącego rozsądku, ni doświadczenia. Mniemałem, że w staniąteckim klasztorze bawi, bo mówiła, że tam ostanie. Ksieni Wyszcznięga ją umiłowała, ona zasię całą opiekunką była onych piskląt przez najazd tatarski z gniazd wyrzuconych. Ninie słyszę, że stamtąd odeszła i na zgliszczach ojcowego domu żywić, a zima znowu za pasem.

- Cóż jej poradzić - przerwał książę - gdy sama tak chce. Niechby ją iście rycerz Gozdawa pojął; niestraszno mu niezycyliwych krewniaków w Dębnic, potrafi i mienie sierot bronić, i jej dolę zapewnić. Ja dla niej to mogę uczynić, że i do dziedzicznych ziem, jakie po jej ojcu i stryku ostały, prawo spadkowe jej przyznam, Pietrek zasię prawa skupu do nabytych nic wykona pewnikiem, bo i z czego? Mówił mi pan Żegota, że rycerz Gozdawa do Łukowa pojechał, by wdowę po bracie do siebie zabrać, bo gospodnej w jego nowym dworcu brak. Gdy wróci, będzie można owe stadło skojarzyć, pobłogosławicie je i jedna troska mniej.

- Tak by iście było, jeno ja wiem, że Sławka nijak na ów związek nie przyzwoli. Umilowała onego wyrostka, który sieroty z tatarskiej

obierzy zratował, i jeśli ninie ze Staniątek odeszła do Krepy, to ani chybi dlatego, że tam on ją łatwiej odnaleźć może.

- Prawiliście mi o nim. Wždy niewzdany¹ jest, bez swojaków ni mienia. Gdyby rodzic jej żyw był, nigdy by na takowe małżeństwo stanem i mieniem nierówne nie przystał. Gdy młodziczka nie jeno laty, ale i rozsądkiem sprawna będzie, sama zrozumie, iż kwiecie jeno wiosną, ciernie cały god. Do nas by kiedyś żal miała, żeśmy do związku pomogli, z którego potomstwo na ścierciałków zejdzie, jeśli nie gorzej.

Gdy Prandota milczał, smutno zadumany, Bolesław zapytał:

- Nie praw jestem? Wždy małżeński związek nie po to jeno, by sercu dogodzić. A jeszcze i ona sama nie wie, gdzie ów junoszka przebywa. Ninie mogłaby los swój ustalić, miast w niedostatku czekać na to, co choćby się ziściło, na dobro jej wyjść nie może. Wyda się za innego, o tamtym zapomni, jako się o śnie zapomina, choć człek nierad oczy otwiera do powszedniego dnia.

- Może i zapomni - powiedział Prandota. - Czas wszystko zakrywa zasłoną niepamięci. Jeno samiście rzekli, że ciężkie jest puste serce...

- Urwał, a Bolesław patrzył na biskupa zdziwiony. Zwykł mówić z nim jak ojciec z synem, a teraz, jakby onieśmielony, waha się wypowiedzieć, o czym istotnie chciał mówić z księciem. Biskup podjął jednak:

- Wiem to i ja. Nie jeno potomstwa swej krwi nie ostawię, ale ni jakiej pewności nie mam, że w godne ręce urząd swój przekazę, gdy mi dług przyjdzie spłacić naturze.

I moi dostojnicy nie widzą chętnie nowych ludzi, co własną, a nie przodków swych cnotą i zasługą wyrosli. Nie o Sławce jeno mówić chciałem z waszą miłością, ale i o tym junoszce, który jej serce zabrał, i nie dziw, bo jakoby sama Opatrzność go zesłała, by ją wraz z bratem od srogiej śmierci lubo gorszej jeszcze pogańskiej niewoli ocalić. On nikogo nie ma na świecie kromie tej dziewczyny, gdy przeor Sadok, który przygarnął sierotę, męczeńską śmiercią zginął.

¹ Niewzdany - nieprawego łoża.

Iście nie wiadomo, gdzie on junoszka przebywa, bo przed Radosławem z Dębna uchodzić musiał, człeka mu ubiwszy.

- Tedy gorzej niżli wyłęganiec¹, bo wypowiednik - powiedział Bolesław - i nijak mu wracać, gdy Radosław od człeka niskiego stanu krwi za krew domagać się będzie. Tedy ów związek, choćby przez to, nijak do skutku dojść nie może.

-Na rozum biorąc, iście tak. Ale i zrządzenie to Opatrzności, jeśli nie cud, że onych troje od tatarskiego okrucieństwa i srogości zwierza ocalało. I tak mi się zda, że to Opatrzność kazała mi zawierzyć junoszce, iż Sławki uprowadzić nie zamierzał, a onego człeka w obronie własnej ubił. Przctom mu dopomógł ujść przed pościgiem.

Bolesław w zamyśleniu słuchał o przebiegu zajścia w Dębnie. Gdy biskup skończył, rzekł:

- Iście wolno nam każdą sprawę przed swój sąd stawić, a nawet bez sądu łaskę winowajcy okazać. Nic to, że panowie z Dębna już do nas złość żywią o przegraną sprawę z wami. Nie brak im możnych krewniaków i swojaków, którzy z nimi trzymać będą, gdybyśmy nie jeno przewinę temu junoszce odpuścili, ale do małżeństwa z ich krewniaczką dopomogli. Po prawdzie wbrew obyczajom jest, a nawet Kościół takowych związków nic pochwała; a sami mówicie, że Radosław pomstą zagroził, i ani chybi jej dokona, choćby pogłówne miał zapłacić, byle jakie, bo za człeka niskiego stanu. Lepiej, by się ów otrok w oczy nie pchał, bo gdyby wrócił, zguba go miast dobrodziejstwa poścignąć może. Trzeba to onej dziewczeczce wyjaśnić, by darmo nic czekała. Panu Żegocie Toporczykowi zlecę, by ją do Grabowca zabrał, gdzie i Pietrka poślę. Społem lżej im czekać będzie, aż się dworzec w Krępic odbuduje, osady zwolę na magdeburskim prawie zakładać, a odstoi się sprawa, dziewczuszkę wedle stanu za mąż się wyda.

- Tak by najlepiej było, ale nie będzie - rzekł biskup z westchnieniem. - Mówiłem z nią, ona zasię mi odrzekła, że skoro przeciw one-mu Głowce wszystko, to ona z nim, i czekać będzie choćby do śmierci. I wierę, że słowo zdzierży, a ja takoz, bo jej pomagać przy-

¹ Wyłęganiec - nieślubny.

rzekłem. Nie mogę jeno zrozumieć, czemu ze Staniątek odeszła. Sama mi rzekła, że macierz chce zastąpić sierotom. Coś ci musiało się przygodzie, że je porzuciła i na poniewierkę poszła.

-Nie wiedziałem, żeście do onego związku pomagać przyrzekli, rad bym wam wygodził, ale cóże ja mogę?

- Przykazaliście łukowskiemu kasztelanowi zbiegów i wypowiedników nie wydawać, jeno na pograniczu osadzać. Gdyby Główka o tym się dowiedział, ani chybi skorzystać zechce; niechajcie ogłosić, że prawem ścigany nie będzie, tedy nie musi się przytajać. Ja ze swej strony parochom i kapelanom zalecę zapytywać o niego. Najdzie się, uwidzim, co dalej; może jeszcze o inną łaskę dla niego poproszę, a może i sam na nią zasłuży, bo dobre było ziarno, co je światłej pamięci Sadok posiał, i na urodzajną glebę padło. Nie jeno wdały jest, ale obrotny i tęgi, a dojrzeć już musiał. A jeszcze i tego się lękam, by młodziczka, przyrzeczonej pomocy nie widząc, sama szukać go nie poszła, na zatrąę duszy i ciała. Sobie bym wyrzucał, gdyby się zmar-nili. Jeno drogi stwardną, na wizytację się wybiorę, tedy i do niej wstąpię. Niechaj wie, że niepłonna obietnica, łacniej jej czekać będzie, a niecierpliwa jest jako zwykle młodzi.

- Czy aby podróż zimową porą zdrowiu waszemu nie zaszkodzi, bo nietęgę jest - z troską zauważył Bolesław, ale biskup odparł:

- Tęższe już nie będzie, a lękam się odwlekać, by me było za późno.

- Mało to ważna sprawa, by dla niej zdrowie stawić - powiedział Bolesław. - Sami wiecie, ilem dłużen waszej radzie i pomocy.

- Każdemu przyjdzie odejść, staremu raniej niżli młodemu - odparł biskup. - A nie ma ważniejszych spraw niżli dola choćby jednego czleka. Gdyby mnie nie stało, waszej łasce zalecam tych dwoje, którym srogi los nie poskąpił ciosów. Niech najdą swą szczęśliwość tam, gdzie ją upatrują.

Jaškowi nawet przez myśl nie przechodziło, by mu biskup poparcie księcia miał wyjednać, tym mniej, że zajęty był odgadywaniem, co zamierza Wojan. Ostatnimi czasy zamknięty w sobie, teraz zaciął się

w milczeniu. Ciągnęli przed siebie, rzadko obojętne słowo wymieniając. Jedno stało się niewątpliwe, że w ich dotychczasowym życiu nastąpić ma odmiana, ale jaka, darmo Jasiak się głowił. Zajście z podsędkiem nie wróżyło nic dobrego. Pewne było, że nie daruje znieważenia swej osoby i urzędu, gdyby zjawili się w Łukowie.

Z tego i Wojan musiał sobie zdawać sprawę, a może sam nie był pewny, co mu począć przyjdzie, bo zamysłony był tak, że zdał się nie słyszeć, gdy Jasiak próbował kilkakrotnie nawiązać rozmowę. I pogoda nie sprzyjała jej, bo raz wraz przechodziły ulewne deszcze, tak że pierwszy nocleg spędzili nawet nie próbując rozniecić ognia i nazajutrz przemoknięci pociągnęli dalej. Deszcz ustał, ale z zachodu wlokły się ciężkie chmury, skracając i tak kurczący się dzień. Pod wieczór trzeciego dnia wjechali w kraj bardziej otwarty, widać było zacierające się już ślady ludzkich rąk i o zupełnym mroku dotarli do gródka. Nie zsiadli jeszcze z koni, gdy z wyżki nad bramą odezwał się strażnik:

- Kto zasz i do kogo?

- Od łukowskiego kasztelana posłańcy do rycerza Gozdawy oznajmił Wojan ku zdziwieniu Głównki, a strażnik odburknął:

- Jeszcze za jednymi ślady wodą nic podeszły. O ćmie nie wpuszczamy do brony nikogo.

- Obejdzie się bez waszej gościny - odparł Wojan. - Ale że sprawa pilna, oznajmij nas rycerzowi, niechaj ku nam wynijdzie.

- Poczekajcie - po pewnej chwili wahania powiedział strażnik, a Głównka zapytał cicho:

- Czemu nie rzekniesz, jako jest?

- Bo chcę przódzi wiedzieć, co tu. Ninie już wiemy, iże chodzili posłańcy z Łukowa, jeno nie wiem, z czym, a także, kto tu rozkazuje, bo skoro Szymona za ległego mieli, musiał kasztelan innego setnika ustanowić. A raz się za nami brona zamknie, tośmy jako wilk w grodzach: kąsać może, ale nie ujdzie.

Jasiak pomyślał, że Wojan istotnie wilka przypomina swą nieufnością, ale nic nie rzekł. Dość długo czekali, zanim z wyżki odezwał się głos, po którym poznali Szymona:

- Kto zacz i co za sprawa pilna?
- Nie dla wszystkich uszu - odparł Wojan - tedy znijdźcie ku nam.
- Zali to Wojan?
- Iście tak, i nie sam.

Słyszeli, jak Szymon rozkazał spuścić zwodzony mostek, i po chwili broną opadła, a rycerz z wylaniem objął Główkę i powiedział:

- Czemuż zrazu nie rzekliście, kto? Nie dałbym wam czekać.

- Bo bywa, że człek z dobrej woli przyjdzie, a wynijść mu nie zwoła - odparł Wojan. Szymon jakby zrozumiał, co Wojan ma na myśli, bo rzekł:

- Moje tu rządy, mój dach i moja w tym głowa, by moich gości ni-jaka ujma nie spotkała. Pójdźcie! Tu nie będziem uradzać.

Strażnikowi kazał konie zaprowadzić do stajni, a sam wiódł przybyłych do budynku pośrodku obszernego dziedzińca.

W sieni, słabo oświetlonej płonąca w żelaznej kunie smolną drzazgą, wyszła naprzeciw nich niewiasta, a Szymon rzekł:

- To ci, co im odwdziękę dłużnaś, iże nie ostałaś wdową. Wieczereżę zgotuj i nocleg, a ninie ostaw nas samych.

W świetlicy ogień płonął na kominie. Gdy zasiedli przed nim, Szymon zwrócił się do Jaśka:

- Kasztelan Tomko Kościeszka człek jest rozsądny i sprawiedliwy, ale płazem puścić nie może zniewagi urzędnika, który go pod nieobecność zastępuje. Żle się stało, iżeś wonczas sam do Łukowa pojechał. Podsędek go na ciebie podbechtał, by cię chwytać przykazał. Ani mi w myśli posłuchnąć, ale nic z tego, com zamierzył, by twe służby kasztelanowi zalecić, teraz właśnie, gdy od księżęcia upoważnienie dostał, by zbiegów i wypowiedników na pograniczu osadzać. Walna wyprawa na Jadźwicz się kroi, w której za zasługi wybaczenie win i wolność mogą pozyskać. Sam rozumiesz, że choć parę dzionków odpocząć chciałem pod swoim dachem, małżonką i bratem się nacieszyć. Mogłeś poczekać. Niecierpliwy jesteś i nagły, i ninie nie wiem, jak by ci pomóc. Byłbym kasztelanowi wyjaśnił, co i jak, i nic by ci się nie stało. A ninie, choćby kasztelan płazem puścił, iżeś podsędką potłukł, on się mścić będzie.

- Dobrze się stało - przerwał Wojan. - Gdyby Jasek choć pół dnia później wrócił, już by mnie nie znalazł i zdany by był jeno na waszą odwdziękę, od siedzenia w więzy poczynając. Ninie już wie, że prostemu człeku tyle sprawiedliwości, ile sam sobie uczynić wydoli. A waszej odwdzięki zadość, iż go w więzach do Łukowa nie odeślecie. Mnie zaś od was podzięka się należy, iżem strażnikowi nie zdradził, cośmy za jedni. Nie będziecie musieli sprawiać się przed kasztelanem, iżście rozkazu nie posłuchnęli, by ściganego człeka chwytać.

Szymonowi krew uderzyła do twarzy, ale odparł spokojnie i poważnie:

-Nie za to tylko wdzięczność wam winienem, nie wiem jeno, czym na waszą niechęć zasłużyłem.

- Wraz się dowiecie. Ja dałem Jaškowi wolę, przezpieczność i swobodę, gdy sam ostał niczym ścigany zwierz. Nijakiej odwdzięki za to nie żądam, wiem, że mu się inny żywot marzy, i jako rzekłem, nie trzymam go. Pytam, co wy mu dacie kromie zachęty, by w pokorze znosił samowolę lubo w więzy cierpliwie siedział, czekając, by mu byle kasztelan zwolił zasługiwać się. Młody jest, doświadczenia mu brak, a ufności do zbytu; z waszego poduszczenia chce odejść ode mnie, tedy ja zapytam: co uczynicie, by mu się spełniło, co wziął przed się? A nie byle co, bo pojąc zamierzył dziewczkę rycerskiego stanu, sierotę po Zbygniewie z Krępy. Niechaj usłszy, w czym mu dopomóc możecie, a jeśli w niczym postanowi: z wami ostanie lubo ze mną.

- Sławkę po Zbygniewie - mruknął Szymon, widocznie zaskoczony, ale opanował się i ciągnął:

- Co nie w mojej mocy, tego nic przyrzekę, ale jedno uczynię: brat mój, Krystyn, pojąc ją zamierzył i zgodę pana Żcgoty Toporczyka, który pieczę nad nieletnim Pictrkiem sprawuje, pozyskał...

- Jakoż!/? - krzyknął Główka. - Pictrtek by się nic zgodził, ona zaś na mnie czekać przyrzekała.

- Wždy mówiłem ci, że Sławka wieki czekać nie będzie, Pictrtek zaś nieletni jest i opiekun za niego mówi - wtrącił Wojan. Szymon zaś ciągnął:

- Co dziewczka pocnie, nie wiem, wbrew woli jej nie wydadzą. Ale gdyby bez zgody krewniaków lubo ich opiekuna za ciebie wyszła, wszelakie prawa do dziedzictwa utraci. Jako głowa rodu Krystkowi ze swatami wstrzymać się przykażę, pokąd Pietrek lat sprawnych nie dojdzie. I ty na to czekać musisz, jeśli iście za tobą stać będzie. Jeno nie zda mi się, by do rozsądku przyszedłszy, dług swój chciał spłacić, siostrę wydając za człeka nie jeno niepewnego pochodzenia, ale wypowiednika. Sam pomyśl, jaką dolę zgotowałbyś jej, a co gorsze potomstwu. Młodemu się zda, że miłowanie starczy za wszystko. A to zważ, że i zwierz raniej jamę wygrzebuje, i ptak gniazdo wije, nim potomstwo płodzić zacząną.

Gdy Główka milczał zasepiony, Szymon zwrócił się do Wojana: -Ani mi w myśli nic powstało klin wbijać w waszą družbę. Nieczęsto ją człek najdzie, zwłaszcza gdy brać musi, a dać nic ma co. Mnie-małem, że i ty skorzystać zechcesz, gdy się sposobność trafia, wybaczenie win, a może i co więcej pozyskać. Dlatego rzekłem i powtórzę, że źle się stało, iż Jasiak pohamować się nie umiał, i źle mu przychwalasz, by sam sobie sprawiedliwość domierzał, a poszanowania nie miał dla stanu i dostojenstwa...

- Dostojenstwa! - parsknął Wojan. - Za Chrobrego dwunastu jeno było dostojników, a państwo od Dniepru po Sałę. Ninie każde książątko, co mu dziedzinę bez mała pies zadkiem przysiadzie, dostojników nakociło, że nie spluniesz, byś którego nie opluł. I nie oni jego, jeno on ich słuchać musi, a nie, to go strąca, a innego posadzą.

-Nie ty jeden widzisz zło, a czymże się przyczyniasz, by choć gorzej nie było? Wždy naród to nie jeno mężowie silni i sprawni, jako ty, co sami sobie sprawiedliwość domierzyć lubo przed bezprawiem uchronić się wydolą. A przyjdzie czas, że i tobie włos wylinicje i zęby się zachwieją. Ninie, gdy książę zamierzili osłonić bezbronych od ustawicznych napaści, nie jeno sam ręki przyłożyć nie chcesz, ale i tego junoszkę namawiasz, by z drogi zawrócił, u której kresu może i własnego celu dopnie.

- Wždy rzekłem, że go nie trzymam, jeno mu gruszek na wierzbie nie ukazuję. Do czego ręki przykładam, moja rzecz, jedno prawda,

żem ja czasu tatarskiego najazdu więcej przyłożył niżli ksiązę, który w bezpieczeńci na Śląsku siedział. Nie o mnie sprawa, jeno o Jaśka. Pytam, co dla niego uczynić możecie, a nie czy źle lubo dobrze z podśędkiem postąpił.

- Wszystko, co wydolę. Ninie choćby srebra nieco dać mogę, by miecz lubo szłom zakupił. Ale o nim gadamy, jakby go nie było. Niechaj sam rzeknie, czego chce i co uczynić zamierza.

Jasiek, który dotąd nad czymś dumał, teraz odezwał się:

- Czego chcę, wiecie. A nie chcę rozstawać się z Wojancm, skoro iście czekać muszę. Jeno niechaj Sławka wie, że żywię i com przyrzekł, pamiętam. Srebra mi od was nie trzeba, bo nieco już uścibałem, a przedamy łupieże, może na miecz starczy. Tedy jeno prośba do was, byście Sławkę uwiadomili, że myślę, jak do niej wrócić. A umyśliłem tak: ma iść wyprawa w jadźwieski kraj. Bywaliśmy tam na łowach, choć jeno z brzega. Lepiej niżli mieczem książęciu się przysłużymy drogi przepatrując, bo narobili fałszywych, co nigdzie nie wiodą, jeno w topiel, skąd odwrotu nie ma, a dziesięciu wojów setnie wygubić zdoła. Zasię, by zbiegów osadzić na pustaci, raniej złowić ich trzeba, bo nijak kasztelanowi to głosić, by się rycerstwo i duchowieństwo nie przeciwilo, ani mu zbiegi ufać nic będą, mniemając, że to jeno na wabia, by ich łącniej ująć. My zasię nicjednegośmy napotkali i nam dowierza, że ksiązę za usługi wolność i ziemię im przyrzeka. Juści każdemu radziej na swoim osiąść, niżli na obczyznę iść na niepewną dolę. Zbierze się chąsa¹, choć z pół kopy, będzie można śmielej i głębiej się zapuścić. Kasztelan i podsędek wiedzieć nic muszą, kto ją zbiera, a starczy, gdy wy będziecie wiedzieć, gdzie nas szukać, gdy pora nastanie do wyprawy się przyłączyć.

Szymon słuchał z rosnącym zaciekawieniem. Gdy Jasiek skończył, odezwał się:

- Iście zda się przepatrzeć, kędy wojska prowadzić, by wroga z nagła zaskoczyć, a samemu w zasadzkę nie popaść, i słusznie, że łatwiej wam zbiegów zmówić. Jeno rad bym posłyszał, co o tym Wojan mniema?

¹ Chąsa - gromada.

- A to, że Jasiak doradniejszy od nas obu. Mnie ta książęce wybaczenie niepotrzebne, ale jemu pomogę. Kiedy wyprawa ma ruszyć, bo za jedną ni dwie niedziele kraju nie przepatrzy, choćby onych zbiegów miał pod ręką, a zbierać ich dopiero trzeba?

- Aż się książę upewnia, że Jadźwież od Litwy wsparcia nie otrzyma - odparł Szymon. - Nie wcześniej, jak suchą porą, by bagna podeśchły, a ku jesieni już się ma, tedy czas przed wami. Skorośmy do zgody doszli, pójdźmy ją zapić.

- Jeno Sławki powiadomić nie zabądzcie - odezwał się Główka.

- Spokojny bądź. Jeno ze wszystkim do sił dojdę, a drogi stwardną, sam pojedę z bratem się rozmówić, tedy i do niej wstąpię. Mniemam, że rada mi będzie.

Zimowe zawieje grubym na łokieć kozuchem zasłały zgliszcza Krępy i tylko jeszcze kikuty osmalonych drzew znaczyły miejsce, gdzie ongiś stał dworzec. Pokryta śniegową czapą hecza zdać się mogła stertą chrustu, gdyby nie smuzka dymu wysnuwająca się z otworu w strzesze.

We wnętrzu panował półmrok i chłód, płonący na palenisku ogień niewiele dawał ciepła, natomiast zasnuwał je półprzezroczystą zasłoną dymu, od którego łzawiły oczy siedzącej przed paleniskiem Sławki.

Sama zresztą nie zdawała sobie sprawy, czy tylko od dymu. Ciężkie było bytowanie zimą na odludziu, tym cięższe, że coraz częściej nachodziło ją zwątpienie, czy nie znosi go na darmo. Gdyby Główka mógł i chciał, dawno by ją odszukał, a przynajmniej przesłał wiadomość. Bożycha nie podnosiła Sławki na duchu. Ona już czekać przestała na powrót swego małżonka, mimo że dziewczyna nie zdradziła przed nią, co o nim wie. Nie potrafiła jednak zdobyć się na podtrzymywanie w niej nadziei, wiedząc, że płonną jest. Teraz podejrzewać zaczynała dawną piastunką, że i ona wie coś, czego wyjawić nie chce. Gdy jesienią na objeździe odwiedził ją Żegota Toporczyk, ofiarowując Sławce gościnę u matki swej w Grabowcu, rozmawiał na osobności z Bożyczą, a ta znowu próbowała wy badać Sławką, czy nie

zmieniła swego postanowienia. Dziewczyna dość ostro ucięła naga-bywania i dłuższy czas nie mówiły o tym więcej. Niewypowiedziane legło między nimi mimo spoufalenia, jakie nastąpić musiało w codziennym obcowaniu. Sławka odtąd chętnie zostawała sama. Zdarzało się to coraz częściej, co prawda dlatego, że Bożycha cały ciężar utrzymania ich przy życiu wzięła na siebie. A nic był mały i wzrastał w miarę, jak zrazu słotna jesień, a potem śnieżna zima utrudniały zapotrzenie się w świeżą żywność, po którą Bożycha wędrować musiała do nowej osady, taplając się po błocie, a potem kopiąc się w śniegu. Toteż nieobecność jej przeciągała się coraz bardziej, nigdy jednak tak, jak tego wieczora. Zapadł już zmrok, chmurny dzień skończył się, na polu wstawał wiatr, szło na zawieję.

Zrazu szum, a potem wycie wichury obudziły Sławkę z zadumy. Zaniepokoiła się. Do nowej osady nie było zbyt daleko, ale w nocną zawieruchę można zbłądzić nawet w najlepiej znanej okolicy. Przypomniła sobie, że z Bożychą pobiegł pies, który trafi do domu o kaźdej porze. Tym bardziej jednak przedłużająca się jej nieobecność była niezrozumiała. Do niepokoju przyłączył się głód, pora wieczery dawno minęła, co gorsze nie było komu narąbać drew, a chrust, którym podtrzymywała ogień, kończył się już. Wstała z ociąganiem, z trudem otwarłszy zawiane drzwi, i wyszła w zawieruchę w nadziei, że znajdzie choć nieco trzasek, które by starczyły do rana. Ale zdołała dokopać się w śniegu tylko grubego konara, który zawlekła do checzy i umieściła na palenisku. Oblepiony był zmarzniętym śniegiem i w miarę jak tajał, skapując z sykiem na żar, omal go nic zgasił. Dorzuciła na ognisko resztę chrustu, myśląc, że zdoła rozpalić nawilgłe drewno, ale jeno zadymiała wnętrze, tak że oczy zmrużyć musiała, przez zamknięte powieki widząc różowy poblask gasnącego płomienia, aż nastąpiła ciemność. Gdy otwarła je znowu, już tylko resztki żaru świeciły pod popiołem, ale i one bladły, tylko jaśniejszą plamą odcinał się dymnik, przez który ciągnął chłód, a chwilami, gnany wiatrem, sypał śnieg.

Zakopana w skóry na legowisku, trzęsąc się z zimna, Sławka długo w noc rozmyślała nad swym położeniem. Co było w jej mocy - zrobi-

ła, by Jaškowi umożliwić powrót. Jeszcze nie chciała wyzbyć się nadziei, ale sama tu czekać nie może, trudno przeżyć nawet kilka dni, cóż dopiero zimę. Jeżeli piastunka nie wróci rankiem, trzeba odejść. Jeno dokąd? Najchętniej wróciłaby do Staniątek, rozumiała jednak, że nie zdoła. Nie chciała zresztą odchodzić bez wieści, co się stało z Bożychą. Musiało się jej coś złego przygodzić. Nie pojmowała natomiast, dlaczego nie wraca pies. Tak czy inaczej, trzeba iść do osady, tam się dowie wszystkiego i o sobie postanowi.

Usnąwszy nad ranem, obudziła się o dobrym dniu. W checzy był trzaskający mróz, woda w wiadrze zamarzła. Mimo dotkliwego głodu nie mogła się zdobyć na to, by zrzucić okrycie, choć rozsądek mówił, że darmo zwlekać. W czasie ucieczki z Sandomierza, gdy jak teraz trzęsła się z głodu i chłodu, wiedziała, że przyjdzie Jasiek i złemu zaradzi. Teraz nie przyjdzie, sama musi poszukać ludzi, póki sił starczy. Opuścił ją nawet pies.

Sławkę ogarnęło przygnębienie: wzięła nad siły. Dotychczas żywiła nadzieję, że jeśli nawet Główka nie będzie mógł dotrzymać przyrzeczenia powrotu, ona pójdzie za nim, byle dał wiadomość, gdzie przebywa. Teraz uświadomiła sobie, że byłaby mu tylko ciężarem. I on to musiał zrozumieć, dlatego nie przesyła wieści. Trzeba się pożegnać z marzeniem.

Pomyślała o Pietrku, jedynej bliskiej istocie, jaka jej pozostała. Ale on jej nie potrzebuje ani z nią siedzieć nie będzie. Nawet nie odwiedził siostry. Ma towarzyszy, sposobi się do rycerskiego zawodu, drogi ich się rozeszły. Byle doczekać ciepłej pory, wróci do klasztoru i tam już pozostanie. Piastunka ma pociotków w nowej osadzie, dawno by do nich odeszła, gdyby nie Sławka. Jej gościńcę ofiarował Żegota Toporczyk, ale do Grabowca bite trzy mile bezdroży, sama nic zajdzie, dobrze jeśli jej sił starczy dowlec się do nowej osady.

Wciąż jeszcze nie mogła się zdobyć, by porzucić zagrzane legowisko i wyjść na mróz, choć rozsądek mówił jej, że szybki ruch ją rozgrzeje, droga choć niedaleka, ale uciążliwa po świeżym opadzie, a dzień zimowy krótki.

Odrzuciła okrycie i zgrabiłymi rękami jęła zawiązywać cizmy, dygocąc z zimna. Z wzrastającą trwogą podeszła do drzwi i jęła się z nimi mocować. Ustąpiły tylko na tyle, że przez powstałą szparę mogła zauważyć, iż zavalone są wysoką na dwa łokcie zaspą. Była uwięziona.

Ogarnęło ją tak wielkie przygnębienie, że nie pomyślała, iż przy pomocy siekiery może się wyrąbać przez cienką, tylko chrustem ogaconą ścianę. Nie dba o nią nikt, nie ma po co żyć. Zakopała się z powrotem w skóry na legowisku. Choć wiedziała, że sen na mrozie to śmierć, nic bronila się przed ogarniającą ją sennością. Myśli zaczęły się jej mieszać, skuliła się, okrywając wraz z głową, która jej marzła, i usnęła.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo spała. Półświatomie poczuła, że zdrętwiała w niewygodnym położeniu, a pod nakryciem jest duszno. Wyciągnęła się na wznak, odkrywając twarz, i nagle uprzytomniła sobie, że w checzy jest ciepło, a woń dymu miesza się z wonią gotowanej stawy. Oprzytomniała, a jednocześnie poczuła taki głód, że zerwała się. Na palenisku płonął ogień, nad którym wisiał kociołek. Zdumiona i zaskoczona, patrzyła na siedzących przy ognisku dwóch mężów, 7, których jeden, widocznie posłyszawszy ruch, powstał, a widząc jej zmieszanie, powiedział:

- Nie lękajcie się. Jam jest Krystyn Gozdawa, somsiad i sołtys osady tegoż zawołania. Byłbym raniej poznać się przyjechał, ale wieść otrzymałem, że brat mój, który stróżę pełni na jadziewskiej granicy, poległ. Jeździłem tedy sprawy po nim załadzić i o wdowę się zatroszczyć. Ale nie o tym, jeno skąd się tu naszedłem: z Krępy wiadomość przynieśli, by was stąd zabrać, bo służebna wasza samą was ostawiła i wrócić nie może.

- Co się jej przygodziło? - przerwała Sławka niespokojnie, a Krystyn odparł:

Wracając, nogę wypłczyła. Dobrze, że pies był z nią, bo do osady przybieżał i poty wył i szczekał, aż z nim wyrostek jeden poszedł i nalazł leżącą w śniegu. Żeby nie to, byłaby doszła na mrozie, aniby kto wiedział, że was tu samą ostawiła, a nijak wam odejść, bo śnie-

giem zasulo. Tedy zebrałem się migiem i bótki przywiódłem, by was odwieźć, dokąd wam wola; gdybyście nie pogardzili moją gościna...

- Nie wiem, jako wam dziękować - powiedziała zmieszana - żeście się sami trudzili...

- Co tam - przerwał. - Wzdy i psu się przytrafiło przysługę wam oddać, i pono największą - uśmiechnął się, a widząc spojrzenie Sławki skierowane na kociotek, dodał:

- Pożywcie się, a potem w drogę nam, bo ku wieczorowi się ma, a wilcy już się włóczą. Idź do koni - zwrócił się do woźnicy, który powstał i wyszedł. Sławka lękała się, że zacznie mówić o swych zamiarach, ale milczał, patrząc, jak ona pożywia się chciwie. Dopiero gdy skończyła jeść, zapytał:

- Nie rzekliście, zali wam miła moja gościna? Zmieszana odparła:

- Pan Żegota raniej mi ją ofiarował. Jeśli wam...

- Tedy pospieszajmy, bo do Grabowca opętane trzy mile - przerwał.

Wdzięczna mu była, że nie nalegał, by choć jedną noc spędziła w Gozdawie, dokąd mogli dotrzeć przed zmrokiem, gdy do Grabowca noc zarwać musiał. Zarazem jednak przykro jej się uczyniło, że jej odmowę poczyta za odpychającą nieufność.

Nie dał jednak nic poznać po sobie, ułożył dziewczynę na miętko wymoszczonych saniach, i okrywając ją troskliwie niedźwiedzią szubą, powiedział:

- W takowym futrze miś prześpi całą zimę, by w największy mróz. Możecie i wy spać bezpiecznie; zeszlą noc pewnikiem nie do snu wam było, a nieskoro będziem na miejscu, bo zasy koniom po brzuchy.

Mimo ulgi, jaką odczuła po przejściach, świadomość, że nie tylko przyjmuje, ale zażądała przysługi od człowieka, o którym wie, jakiej odwdzięki oczekuje, przynębiła ją. Zbyt jednak czuła się wyczerpana, by długo nad tym rozmyślać. Jednostajny szelest płóz po zmarzniętym śniegu ukołysał ją do snu tak mocnego, że gdy ktoś zaczął ją trącać, nie pamiętała, gdzie się znajduje. Otrzeźwiło ją zimno, gdy zdjęto z niej niedźwiedzią szubę, i rozejrzała się dokoła. Sanie stały przed podjazdem obszernego dworca, a na podcieniu w świetle łączywa spostrzegła starą niewiastę, która zapytała:

- Kogo Bóg przynosi? A, to Krystyn Gozdawa. Cóż was przywiało w takową porę? To zasię kto? - zapytała, patrząc na Sławkę, która stała onieśmielona.

- Córa pana z Krępy o gościnę was prosić przyjechała - powiedział Krystyn. - Wybaczcie, że porą niezbyt stosowną, ale z mojej gościnności skorzystać nie chciała ni na jedną noc, a nijak ją było samą ostawić, gdy ją służebna odeszła.

- Jedna noc starczy, by młodziczkę osławić, tedy słuszeniec uczynili, tu ją przywożąc. Rada ci jestem - zwróciła się do Sławki, która pochyliła się do ręki starej niewiasty - ale pójdźmy do świetlicy, bo mróz, a i pożywić się trzeba z drogi.

Zwracając się do parobków, rozkazała:

- Konie zawieść do stajen, a klucznicę obudzić, niechaj wieszczę podaje gościom.

- Pożywię się chętnie - powiedział Krystyn - ale koni nie wypręgać, bo wracam do siebie.

- Cóż wy jak po ogień? Ani to przepiecznic w takową noc, a już wilcy się pokazują.

- Nicbojażny jestem, a jakoście rzekli, jedna noc starczy, by młodziczkę osławić - uśmiechnął się nieszczerze. Sławka zmieszała się, a stara niewiasta rzekła:

- Byle co prawie, ale nie pytam, co was gna. Młodzi mają swoje sprawy...

Urwała. Biorąc Sławkę pod ramię i prowadząc do świetlicy, mówiła:

- Nie chciałaś i naszej gościny, a oto przyszedł na psa mróz. Rozumiem, że kaźden rad na swoim siedzieć i tam go ciągnie, gdzie się urodził, ale cóżes tam miała swego? Gołą ziemię i wspominki. A w oncj pustelni mówić widno zabyłaś.

- Nie zabyłam, gospodna. O wybaczenie proszę, zem wam spoczynek zakłóciła.

-Nic mi nie zakłóciłaś - przerwała Bogusza. - Mało sypiam. Takoz wspominkami żywię, gdy gadać nic ma z kim, a wspomnień do zbyt-ku. Stara jestem, babką twą mogłabym być. Twoją dobrze pomnę, z Grzymalitów domu była jako i ja. Tedy mów mi babko.

- Dobrze, babko - powiedziała Sławka, a stara dodała:

- Teraz jedz, bo nie spasaś się na swoim. Krystyn tymczasem pożywał się w milczeniu, wpatrzony w dziewczynę, która opuszczając oczy, rumieniła się pod jego spojrzeniem. Stara rzekła do niego żartobliwie:

- Widzę, żeście nie pośpieli obejrzyć, coście mi przywieśli. A ty także - zwróciła się do Sławki - przyjrzałabyś się, kto ci rękę pomocną podał w potrzebie.

Zmieszana, podniosła oczy i opuściła je zaraz. Odetchnęła z ulgą, gdy Bogusława zwróciła się do Krystyna:

- Prawił mi syn, iżeście aż za Łuków jeździli po Szymonową wdowę. Przywieźliście niebogę?

- Tam ostała, jeno nie wdową. Jako się okazało, Szymon jeno raniomy był i dwa miesiące z okładem ani wieści o nim. Szczęściem naszli go w lesie jakowś wywołańc i u nich z ran się lizał, co iście zrządzeniem jest Opatrzności, bo na jądzwieskiej granicy pustkowie i spokojnego osadnika nie uświadczy.

Sławkę tknęło jakby przecucie, ale nic śmiała dopytywać, a Krystyn wstał i zaczął się żegnać. Stara nie zatrzymywała, ale rzekła:

- Przetną się drogi, zajeżdżajcie tu, choćby nie do mnie - zaśmiała się.

- Rad bym, jeno nierychło, bo do Krakowa mi jechać, panu sprawę zdać. Pilnie tam na wieści z Litwy czekają, bo od nich, jak mniemam, wyprawa na Jądzwież zawisła, a zawlekało mi się, bo gdy gospodzina nie masz doma, nawet psy się zwłóczą. Nic wiem także, zali mi skoro na wyprawę ciągnąć przyjdzie, tedy i poczet przygotować trzeba.

- Kiedy to mąż doma siedzi? - powiedziała Bogusza. - Pojmiecie niewiastę, będzie komu gospodarki dopilnować. I wracać do kogo. Ja synów rzadko widuję i wszystko tu na mojej głowie, po prawdzie dlatego, że majątności mają rozrzucone po całej Polsce. I źle, i dobrze, jako się czasu tatarskiego najazdu okazało.

Gdy za Krystynem drzwi się zamknęły, Bogusza zwróciła się do Sławki:

- Nawet nie podziękowałaś rycerzowi Gozdawie za przysługę, jakbyś mu nierada była. Nie udał ci się?

- Nie wiem - szepnęła Sławka. - Nie patrzyłam...

- Nie mnie to mów. Juści nie przystoi dziewce ślepiami strzelać jako jemu, ale podziękować, a i obejrzyć nie wadziło. Wdały jest i zanej krwi, choć przez księcia Konradową nieprawość i srogość ród jego majątności obszerne, jakie miał na Mazowszu, utracił. A cóż i ty, nieboże, za wiano wniesiesz małżonkowi?

Napomknienie było tak wyraźne, że Sławka zakłopotana odparła:

-Wiem, że niebogate. Wdzięczna jestem rycerzowi Gozdawie za przysługę iście niemałą, bo żeby nie on, byłabym w checzy grób nasza; bez ognia i strawy ostałam, a wyjść nijak, bo dzwierz zaspasła. Życzę mu najlepiej, ale go nie pojmem.

Nieco wymuszony uśmiech zjawił się na pomarszczonej twarzy Boguszy, gdy rzekła:

- W klechdach bywa, że gdy rycerz dziewczę od smoka lubo innych złych mocy ocali, ona mu serce i rękę oddaje w odwzięcie.

Patrzyła na dziewczynę, która rumieniła się pod jej spojrzeniem, i ciągnęła:

- Bywa i nie w klechdach. Wierzę ci, że wiesz, iż rycerz Gozdawa o twoją rękę uderzyć zamierzył, ale także miarkuję, dlaczego mu serca oddać nie chcesz. Mów ze mną, jakbyś z macierzą mówiła, choć wiem, że tej nikt nie zastąpi, ani łez się nie wstydz, bo lżej człeku, gdy się wypłakać zdoli.

Przygarnęła Sławkę i mówiła jak do siebie:

- Stara jestem, ale jeszcze pomnę, co to miłowanie. Jakoby kwiat czarowny, którego blask oczy ślepi, a woń zmysły mąci; ale jeno z wiesny zakwita, a wiesna jest krótka. Zerwać lubo nie zerwać, jednak w szary pył się rozsypie. Gdy człek znojne lata ma za sobą, wie, że owoc ważniejszy od kwiatu, a jeno kamień trwa, bo martwy. Jedno ci rzekę: lepiej miłować na darmo, niż nie miłować wcale. Ostaje wspomnienie. Już blask oczu nie ślepi, jeno jak próchno świeci. Ale lepsze to niż ciemność. Wiem, że trudno ci to pojąć, ale wierzaj mi: jeno rodzicielskie miłowanie każdej burzy się oprze, nawet czasowi i śmierci.

Zamyśliła się i po chwili podjęła:

- Nie młodości wspominkami żyć. Żrałaś już i urodna, pora ci pod czepiec. Gdyby rodzic twój żył, nigdy by na twój związek nie przyzwolił z onym wyrostkiem, o którym brat twój prawił Żegocie. Takowe związki tylko w klechdach bywają. A małżeński związek nie po to zawarty, by chuciom dogodzić, ale ogniwiem, które pokolenia i rody wiąże ze sobą.

Czekała na odezwanie się Sławki, ale gdy ta milczała, Bogusza ciągnęła:

- Bywa, że się człeku przyśni, że lata, a obudzi się, wie, iż jeno po ziemi stapać musi. Alibo królewic się zjawi, który serce zabierze jak rękę, ale darmo na jawie za nim się oglądać. Wybierać w tym, co jest, bo kto wybierać nie chce, ostaje bez niczego. A gdzie twój królewic?

-Nie wiem, gdzie jest... Przynekł, że wróci. A ja przynekłam, że czekać będę...

- Nawet zrękowiny bez kapłana i świadków nieważne, bo tak legat Jakub na wrocławskim synodzie zarządził. Wołu trzyma się za rogi, a człeka za słowo. Ale nie zdzierzył on swego, twoje cię nie wiąże.

- Widno wrócić nic mógł... lub nie ma go między żywymi. Jeśli nie wróci, ja w klasztorze dokonam żywota.

-Nie praw byle czego. Gdyby każda, co ją zawód spotka, do klasztoru szła, nie starczyłoby miejsca i nic Bogu po takowej ofierze, co nie z serca dana. A w klasztorze co? Czekanie... na śmierć? Najdzie ona każdego bez czekania. Na zbawienie? Od pokus nie uchroni ni klasztorny mur, ni suknia duchowna; mało to mniszek opętanych przez złego ducha, mało lubieżników w sutannach? Pomożesz mi oto w gospodarce, nim na swojej osiędziesz, przy pracy czas przedziej zleci. Każdą ranę zagoi, byle jej nie rozdrapywać.

Widząc, że Sławka siedzi zadumana, zakończyła:

- Czas będziesz miała przemyśleć, com ci rzekła. Ninie pójdz spo-
cząć, bo drugie kury już piały.

Gotując zamierzoną wyprawę na Jadźwież, księżę z goryczą widział oplakane skutki przywilejów, jakimi w czasie walk o tron krakowski ku-

pować musiał przychyłność możnowładców. Uczyniły teraz kraj niemal bezbronny łupem. Jego obciążono odpowiedzialnością za nie, a jednocześnie zarządzenie, by pograniczni kasztelanowie zbiegów nie wydawali właścicielom, wywołało sarkania. Czarę goryczy dopełniła rozmowa księcia z Prandotą, u którego zwykł zawsze znajdować zrozumienie, radę i pomoc. Gdy Bolesław prosił go, by dla celów wyprawy dostarczyć kazał tarczowników z kasztelanii krakowskiego biskupstwa w Tarczku, Iłży, Sławkowie i Kielcach, Prandotą odparł strapiiony:

- Nie mógłbym tego uczynić bez zgody kapituły, a jak ją znam, jeden chyba Jakub ze Skarszewa byłby skłonny przyzwolić.

Posiadających liczne włości klasztorów w Szczyrzycu, Kocku, Tyńcu, Koprzywnicy, Jędrzejowie, Mogile i innych książę nawet prosić nie chciał, wiedząc, że daremnie. Jedyne Staniątki winny były dostarczać na żądanie szesnastu tarczowników, nieliczni świeccy możnowładcy - z dymu miecz. Jasne już było, że oprzeć się trzeba na chłopach z książęcych włości, softysach, obowiązanych w przywilejach lokacyjnych stawać na wyprawę z poczem, konno i w blachy, a brakujące siły należało uzupełnić najemnikami. Wymagało to czasu i pieniędzy.

Pieniądzy i czasu potrzebowali też Wojan i Główka, by zebrać i uzbroić gromadę zbiegów, z którą mogliby zapuścić się w głąb nieprzyjacielskiego kraju dla przepatrzenia szlaków przyszłego pochodu, wyszukanie brodów, a zwłaszcza zbadania stanu i położenia obwarowań jądzwieskich osad i wiodących w zasadzkę ślepych dróg.

Gdy po powrocie od rycerza Gozdawy zaczęli omawiać przedsięwzięcie, Jasek nieśmiało napomknął, że nie wie, czy srebro, jakie zbierał, starczy jemu samemu na szłom i miecz. Wojan jednak rzekł:

- O pieniądź się nic trap. To, co tu mamy, starczy na noże i groty do sulic i strzał nawet dla sporej chasy. Nic brak w boru cisów na łuki ni drągowiny na drzewce. Mamy łupieże na przedaj, najdzie się jeszcze srebro indziej, jeno wiedzieć pierwej, ilu chłopca zbierzem. Pierwsza troska, skąd ich wziąć. Przypisańce i zakupieńce ciepłą porą uchodzić zwykli, gdy i wyżywić się łącniej, i dachu nad głową nie trzeba. W słotną lubo zimową jeno tacy jak my, którym za jedno, gdzie kości złożą, psi je ogryzą lubo wilcy.

- Po tatarskim najściu nie brakło zbiegów - powiedział Główka w zamyśleniu. - Wówczas byłby zebrał, ilu chciał.

- Iście tak - przyświadczył Wojan. - Bo pokąd człek swoją strzechę ma, niewiastę i częda pod nią, a parę ogonów w oborze, to i niewolę znosi. Niejeden sam się w nią zaprzeda, gdy go bieda przycisnie. A kto nie ma nic, ten wolny jako ptak.

- I ptacy gniazda mają - odparł Główka.

- Ale na gnieździe złowić je najłatwiej lubo jaja podbierać. Wiem, co ci w myśli, a ty wiesz, iż nie chciałem, byś się ze mną sprzął, póki sam wypowiednikiem nie ostałeś. Uwidziałeś sobie gniazdo założyć, nie ja ci stanę na zawadzie.

- Wždy wszystko, co żywię, jakoweś gniazdo założyć rade - rzekł Jasiek, ale Wojan zaśmiał się w odpowiedzi:

- Nie wszystko. Kukułka w cudze się niesie i ani dba o pokolenie. Ale nie o tym nam radzić, czego chcesz, jeno jak swego dopiąć. Ni nie, póki śnieg śladów nie zdradzi, niełacno będzie zbiegów napotkać, choćby i szli. Tedy jedno, co uczynić możemy: ja odwożę łupieże Gozdawie, niechaj przeda, a grotów i noży przykupi, ty zasię łączyska gotuj i drzewce do sulic. Trzeba i dla koni jakoweś schronienie przysposobić, bo jeno patrzeć, słoty się zaczną albo i przymrozki. Zabiorę obadwa, mniej będziesz miał zachodu, a załadować będzie co, bo i dla nas kaszy i soli, i dla nich choć co owsa, bo na samym kwaśnym sianie zmarnieją bez zimę.

- Mój tatarski bachmat byle wiechciem ze strzechy się przyżywi, bo do lepszego nie nawykł, a twój po lasach i bagnach nieprzydatny. Spyży zasię sporo przywieźć trzeba, bo zbiegów takż kwaśnym sianem nie nakarmimy.

- Ale konie są, a zbiegów nie ma. A chcesz ryby łowić przed niewodem, tobie bojowy koń zda się, kiedy już rycerzem ostaniesz. Zbierz się chęsa, czas będzie o niej pomyśleć.

Niemniej Jasiek myślał, bo nie było o czym innym. Dni, coraz krótsze, schodziły mu na przygotowaniach do zimowego pobytu i ściąganiu potrzebnego na łączyska cisowego drewna, po które trzeba było wędrować daleko, bo na bagnach okolicznych cisy nie rosły. Wieczo-

ry natomiast wlokły się w samotności. Jasiak zrazu niecierpliwiał się, potem zaczął go ogarniać niepokój. Gdyby Wojan pojechał tylko do Gozdawy, dawno winien wrócić. Może czeka, by rycerz Szymon przywiózł zakupione dla nich żelastwo i zimowe zapasy. Ale i na to starczyło parę dni, a mijały już tygodnie, jesień zaczęła się słotna, bagna rozkisły, a Wojan nie wracał. Teraz Główka zabijał czas rąbaniem drzew na opał i struganiem łuków i bełtów na strzały, zdając sobie sprawę, że jeśli druha spotkała jakaś przygoda i nie wróci, to praca ta na nic się nie zda. Gdyby nawet rycerz Gozdawa odnalazł Sławkę i zawiadomił ją o zamierzeniach Jaśka, to obudzi w niej jedynie zwodniczą nadzieję. Bez Wojana, jego zaradności i doświadczenia, a także zasobów, zamierzone przedsięwzięcie nie może dojść do skutku. Jasiak nie dopuszczał myśli, by Wojan bez ważnego powodu porzucił go, ale tym bardziej niepokoił się.

Nie chciał się jednak poddać przygnębieniu. Nie pierwszy raz musiałby sam postanowić o sobie, ale nawet mu przez myśl nie przeszło, by poniechać próby odszukania towarzysza. Ślad prowadził niewątpliwie do stróży rycerza Gozdawy. Jeśli nawet wyjechał, ktoś będzie wiedział, dokąd Wojan się udał.

Główka podjął postanowienie, ale uzbrajał się w cierpliwość, zdając sobie sprawę, że samotna wędrówka bezludziem w jesienne słoty, gdy brzask niemal schodzi się z mrokiem, przekracza ludzką wytrzymałość i źle się skończyć musi. Z utęsknieniem oczekiwał, by mróz ściał bagna i obniżył zwierciadła wezbranych strumieni, a tymczasem korzystał z każdej pogodniejszej chwili, by polować na głuszce, których lotki nadawały się do strzał, a świeże mięso urozmaicało jednostajną strawę.

Czujne ptaki niełatwo było podejść, Jasiak jednak znał ich ostoje i zaczajony czekał pory, gdy zasiadają na nocleg, ale też wracał o zupełnej ćmie. Znał okolicę na dziesiątki stajań dokoła, a mimo to nie raz dobrze się namozolił, nim trafił do chaty. W smolnych ciemnościach jedynym przewodnikiem był strumień, nad którym leżała chata, nie zawsze jednak umiał się połapać, czy iść w górę, czy w dół rzeczki.

Pogoda ustaliła się wreszcie. Wstającą rankami z sąsiednich oparzelisk przenikliwa mgła, rozpełzając się po okolicy, osiadała szronem pod bladym słońcem skapującym jeszcze zimną rosą, ale gdzie nie dotarły jego promienie, szron utrzymywał się już stale, tak że mimo iż dzień wciąż jeszcze się skracał, smoliste ciemności w głębi boru zmieniły się w szary mrok, w którym łatwiej już było się odnaleźć. Potem niebo znowu zawleкло się niskimi chmurami, ale przymrozki ścinały brzegi stojących wód cienką jeszcze skorupą lodu.

Teraz Jasiek czekał już tylko, by śnieg pobielił świat, umożliwiając wędrówkę i po skłonie krótkich dni. Gotował się do drogi, rozmyślając, czy mu tu jeszcze wrócić przyjdzie. Żał mu było pracy włożonej w przygotowania, ale jeśli nie odnajdzie Wojana, siedzenie w samotni nie wiodło donikąd, nie było miłe, a przy tym kryło w sobie niebezpieczeństwa, z którymi dotychczas się nie liczył. Wracając raz wieczorem przewrócił się na niewidocznym korzeniu i skrzył nogę w kostce. Zaciskając z bólu zęby, z trudem dowlókł się do chaty. Gdyby mu się to przygodziło parę stajañ dalej, nie zdołałby do niej dotrzeć. Kilka dni i nocy bez dachu nad głową, ognia i strawy oznaczało koniec wszystkich nadziei i zamierzeń.

Na razie nie groziła mu śmierć z głodu i mrozu, ale przykuty do legowiska, poniechać musiał nawet myśli, by rychło zdołał cokolwiek przedsięwziąć. Na inne natomiast czasu miał nadmiar, a nie były wesołe. Największa sprawność nie uchroni od przygody, jaka go spotkała, a utrata sprawności w zwierzęcym życiu skazuje samotnika na nieleką śmierć. Jednak takie z własnej woli wybrał Wojan; nawet z Jaśkiem zgodził się stowarzyszyć dopiero, gdy ten nie miał innej drogi przed sobą. Może wrócił do swej samotności, nieraz przecież mawiał, że wiązać się z kimkolwiek to niewola, a sądzi, że nic jest już Jaškowi niezbędny. Jeżeli jednak druh istotnie teraz opuścił go, nie może mu tego mieć za złe, skoro sam nie zamierzał pozostać z nim na zawsze. Niemniej przywiązał się do niego i sądził, że choć się rozejdą, druhami zostaną. Żał miał tylko, że opuścił go bez słowa.

Gdy jednak stłumił wstającą w nim gorycz, miejsce żalu znowu zajął niepokój. Wojan nie tylko zgodził się brać udział we wspólnym

przedsięwzięciu, ale, choć żartobliwie, obiecał dać Jaśkowi swego konia. Byłby przynajmniej nie zabierał bachmata, gdyby wrócić nie zamierzał. Coś innego musi być przyczyną, że nie wraca, ale darmo się głowić. Jasiak niecierpliwie czekał, kiedy poczuje się dość sprawnym, by wyruszyć na poszukiwania. To był cel na najbliższą przyszłość, ale niezbyt wierzył, by go osiągnąć zdołał. Poradzi sobie sam, ale nieprawda, że przywiązać się do kogo to niewola. Nie dlatego żałował Sadoka i Wojana, że ich potrzebowali. Sadok miał słuszność, mówiąc, że darmo żyje, kto nikomu niepotrzebny; ale darmo też, kto nie potrzebuje nikogo.

Jasiak dość miał jednak rozmyślań i domysłów. Tak czy inaczej, rozpocząć musi od rycerza Gozdawy. Tam może zasięgnąć wieści zarówno o Wojanie, jak i o Sławce i w miarę tego postanowi, co dalej. Noga służyła mu już na tyle, że przedsiębrał niedalekie wędrówki. Zima, choć łagodna, ustaliła się, mróz skuł już wody. Główka zbierać się zaczął do drogi. Przygotowana na nią żywność stanowiła spory ciężar, ale wolał ją dźwigać, niż zabawiać się polowaniem i gotowaniem posiłków, gdy samo urządzenie się na noclegi zajmie dużo czasu. Wcześniej ułożył się na spoczynek, by wyruszyć przed świtem, z żalem myśląc, że raz jeszcze w swoim krótkim życiu musi wszystko zaczynać od nowa.

Zasypiał już, gdy zdało mu się, że posłyszał jakiś głos, jakby rzenie konia. Ocknął się i nasłuchiwał, ale głos nic powtórzył się. Znowu zapadał w sen, gdy głuchą ciszę bezludzia zmały jakieś odgłosy, coraz wyraźniejsze. Zerwał się i zaczął się ubierać, jeszcze nie śmiejąc przypuszczać, że to wraca Wojan. Ale teraz stąpanie koni słyszał wyraźnie i z bliska. Tarpanów w okolicy nie było, nikt prócz Wojana nie trafiłby do chaty o tej porze. Główka skoczył do drzwi i patrzył na druha, którego już ujrzeć niezbyt się spodziewał, z radości i zaskoczenia nic mogąc przemówić słowa. Wojan natomiast zagadnął, jakby nie było nic do wyjaśnienia:

- Cóżc na mnie patrzysz, jakbyś leśnego dziada ujrzał? Idź rozkulbaczyć i naobroczyć konie, bo uznoilem się zadość. I one ledwo się dowlekły.

Zdjął kozuch, i usiadłszy przed paleniskiem, rozgrzebał żar, dorzucił szczap i wziął się do jedzenia. Główkę paliła ciekawość, ale wyszedł do koni. Ściągając z nich toboły zrozumiał, dlaczego ledwo się dowlekły. Obładowane były ponad siły, samego zelastwa dwa miechy tak ciężkie, że, choć krzepki, darmo usiłował zadać sobie jeden na barki. Poniechał przeto wszystko w szopie, przetarł spotniałe konie, rzucił im siana i wrócił do checzy.

Wojan, który tymczasem skończył się pożywiać, wskazując na spakowany do drogi toboł, zapytał:

- Daleko się wybierałeś?

- Do rycerza Szymona. Myślałem, że już nie wrócisz. Byłeś u niego?

- Głupio myślałeś. Wždy mówiłem, po co jadę, a nie, kiedy wrócę. Iście, że byłem u Szymona.

- Wywiedział się o Sławce i ode mnie wieści przekazał?

- Wiem, że ci to pierwsze. Czekał, to rzadnie opowiem. Nie jeździł nigdzie, bo w łożu zleżał. Może i słabuje, ale to pewne, że gdy człek wie, że mu nikt palca nie poda, to na jednej nodze ubieży, a gdy skaczą wedle niego niczym przy położnicy, to sobie folguje. Nie patrzy, by się na Bożą rolę wybierał, ale ja czekać nie mogłem, aż wydobrzcze. Nie mógł lubo nie chciał on, pojechałem ja, jeno mi pierścień dał ze znakiem Gozdawy, by brat jego wiedział, jako od niego przychodzi.

- Mójżeś ty - zaczął Główka, ale Wojan przerwał:

- Będziesz mi za każde osobliwie dziękował, do rana nic skończymy, a zdrożony jestem. Bez podziękowań też się obęde. Cichaj i słysz! Pojechałem tedy do Krystyna Gozdawy, który w osadzie siedzi swego zawołania. Nie mogę rzec, by mnie wdzięcznie przyjął. „Chce ci Szymon za pieczę odwdzińczyć - prawi - starczy gomółkowi srebrem zapłacić, a nie rycerską dziewczkę mu raić. Żegota Toporczyk, co nad Pietrkiem pieczę sprawuje, jego imieniem na ów związek przyzwolił, on zasię nikomu Sprawiać się nie będzie, mali dziewczkę pojąć lubo nie, i jeno ją o zgodę zapyta”.

Zeżliło mnie, alem się miarkował, tedy rzekłem, że tani mu braterski żywot, gdy zań srebra starczy, ale dziewczka widno swój, coś go jej ocalił, drożej ceni, bo na ciebie czekać przyrzekła. Myślałem, że go

pozłoszczę, ale się oześmiał i prawi: „Zrękowiny bez duchownego nieważne, tym ci mniej, że oboje nie w sprawnych lecjach byli, tedy o sobie stanowić nic mogli”. Jeśli zasię za zratowany żywot ręką płacić - prawi - tedy jedna twoja, a druga jego, bo on takż Sławkę z zasutej śniegiem checzy wygrzebał, gdy ją służebna dziewczka opuściła, i na poły zamarzła do Grabowca odwiózł.

Byłbym mu snadnie za wiadomość podziękował, alem jeno rzekł, że troje rąk mieć by musiała, bo i mnie żywot dłużna, tedy zapytać pojedę, zaliby mnie nie chciała, skoro gomólek dla niej za mało. Dopiero się zeżlił i prawi mi, że dziad jego wojewodą był mazowieckim, ja mu zasię, że wstydno mi było, gdy obaj zeszlśmy na nice, chwalić się, że mój naddziad takż wojewodą był u Chrobrego, ale ich było jeno dwunastu, a niejako ninie, że ich policzyć niełacno...

- Byłeś u Sławki, gadałeś z nią? - przerwał niecierpliwie Jasiek, a Wojan ciągnął:

- Wždy po to jechałem, choć nic ze wszystkim bezpiecznie. Żegota mógł wiedzieć, com napakościł, bo głośnie było. Z przezorności tedy nic rzekłem, ktom jest, jenom się posłańcem od rycerza Gozdawy oznajmił, on zasię nie poznał mnie widno, bo w czeladnej niechał czekać...

- Gadajże o Sławce! - zakrzyknął Główka, nic mogąc pohamować niecierpliwości.

- Juści, że o Sławce. Bo gdyby ona iście zamysł odmieniła, to ani mi w myśli głowę i kiesę stawić, by się zasługiwać onej społeczności, co się nas odrzekła. Z tego, co gadał Krystyn, miarkowałem, że albo już ma jej przychylność, albo choć nadzieję żywi pozyskać ją za przyszłą. A urodny jucha jest, że się zawziął, też nie dziwota, bo zawždy wdzięczna była dziewczuszka, ale ninie, rzekłbyś, księżniczka lubo zgoła królewna.

Roześmiał się, ale jakoś nieszczerze, i ciągnął:

- Sam bym się zawziął, gdyby na mnie czekała, a snadnie takie pan Żegota mógł powziąć mniemanie, bo ażc gębę ozwarł, gdy ujrzał, jak mnie powitała. Alem ja wiedział, że to dla ciebie, bo jakby miarkowała, od kogo przychodzę, zaraz wypytywać ją, gdzie i jak żywiesz, aż się pobeczwała w ostatku... Ostawże! - odepchnął Główkę, który rzucił

się go ścisnąć - bo nie koniec. Skórom tedy pomiarkował, że masz się po co zasługiwać, pojechałem wykopać srebro, co je miałem w checzy na starym zimowisku, bo tego, com za łupieżę dostał, nie starczyłoby na miecz, szłom i szczyt dla ciebie, a jeszcze wszelakie żelastwo dla onej chąsy, którą zebrać mamy. Zasię z takowym brzemieniem czekać musiałem, póki ziemia nie stwardnie... Odczepże się, bom ja nie Sławka, a gnaty mnie bolą i spać mi się chce.

Nie odpowiadając na pytania, którymi zasypał go Główka, już spod dery mruknął tylko:

- Czas będzie gwarzyć całą zimę - i usnął.

Jaškowi natomiast nie do snu było. Długo w noc siedział przy paleńniku, rozmyślając o przyszłości. Teraz już pewny był, że spełnią się jego zamiary, choć nie łudził się, by droga do celu była krótka, łatwa i prosta. Trapił się tylko, kiedy i jak zdoła wyrównać Wojanowi coraz bardziej rosnący dług wdzięczności. Ale by z nim pozostać, musiałby wyrzec się nie tylko własnego szczęścia. Nic nie wymyślił, wreszcie od troski wybawił go sen.

Także w Krakowie przygotowania do rozprawy z Jadźwieżą były w pełni, a po powrocie z Mazowsza mianowany kanclerzem Paweł z Przemykowa, wykorzystując nawiązane w czasie poselstwa stosunki, ściągał wieści z Litwy, od których zależało wyznaczenie terminu wyprawy.

Wrzenie rozpoczęte chrztem Mindowego nie ustawało, mimo że - zawiedziony - wrócił do starych bogów. Kapłani ich nie zapomnieli, że wprowadzając chrześcijaństwo Wielki Książę nakazał wygnać ich, wycinać święte drzewa i gaje, a syna Wojsalka do duchownego stanu przeznaczył. Gdy oni podburzali prosty lud, drobni książęta, czując się zagrożeni w swej władzy przez koronację, oznaczającą zjednoczenie całego kraju pod zwierzchnictwem Mindowego, zmawiali się, by strącić z jego głowy także czapkę wielkksiążęcą, a ofiarować ją temu, kto za poparcie w jej uzyskaniu pozwoli się od nich uzależnić. Mindowe czuł narastające wrzenie, ale srogość, z jaką tępił każdy je-

go objaw, wzmagała tylko niechęć. Kanonik Paweł zapewniał, że każdej chwili można oczekiwać wybuchu, po którym zamęt, jaki ogarnąć musi cały kraj nie pozwoli na udzielenie Jądzwieży pomocy.

Wiosenne wody już spłynęły, pora nastąpiła sucha, pomyślna dla wyprawy, i znowu zaczęły się narady nad jej rozpoczęciem. Zdania były podzielone, a spowodowana przez to zwłoka zapobiegała szczęśliwie skutkom, które mogły być groźne. Potężny najazd Litwy z udziałem Swarna i Jądzwieży, nie spotykając nigdzie oporu, zniszczył dalsze połacie Mazowsza, które nie zagoiło jeszcze zeszlórocznych ran. Docierając aż pod Łowicz, zamienił w perzynę liczne włości gnieźnieńskiego arcybiskupa, a pamięć nieopatrzności pościgu, zakończonego klęską Mazurów pod Długosiedlcm, sprawiła, że nikt nawet nie próbował odbić wprowadzonych brańców i łupów.

Zwykle po najeździe rozprzeżenie sprzyjało zbiegostwu. a pozbawieni dachu nad głową i mienia chłopcy woleli szukać nowych siedzib, wolnych od powinności. Najazd stał się zarazem przestrożą, że mimo zamieszek na Litwie jeszcze nie pora rozprawić się z Jądzwieżą.

Z nastaniem zimy Jasiek i Wojan dokończyli przygotowania broni dla większej gromady ludzi. Wojan nic chciał zdradzać swej siedziby, zamierzał zresztą zbudować warowną bronę najbliższej Bugu, by wypatrzyć brody na rzece, za którą zaczynał się kraj wrogiego plemienia i zarazem najkrótsze połączenie między Rusią a Litwą.

Niebezpieczne wędrówki dla wyszukania odpowiedniego miejsca odbywał Wojan samotnie, bo nie można było zostawić koni bez opieki, i Główka przeżywał chwile niepokoju o towarzysza, gdy ten nic wracał po kilka dni, a wilki już zaczynały włóczyć się stadami. Niebezpieczeństwa ze strony ludzi mniej się obawiał, Wojan bowiem czujny był, niemniej groźny mógł być i taki przypadek, jaki swego czasu samego Jaśka unieruchomił na dłuższy czas. Za każdym razem, gdy nieobecność Wojana przedłużała się, rozsądkiem musiał się hamować, by nie porzucić koni na przepadłe i nie wyruszyć na poszukiwanie. Zdawał sobie jednak sprawę, że z równym skutkiem mógłby szukać zgubionej w lesie igły. Nie myślał o tym, że straciłby oparcie, gdyby Wojan zginął. Coraz jaśniej natomiast zdawał sobie sprawę, że

gdy kiedyś rozstać się im przyjdzie, nigdy już nie znajdzie druha, który by w zamian za swą przyjaźń nie oczekiwał niczego. Główka nieraz nalegał, by Wojan pozostał w checzy, a pozwolił iść jemu, ale ten zbywał go kpina, że poczeka, aż Jaškowi wąs wyrośnie większy niż u myszy.

Jasiek zaczął podejrzewać, że Wojan coś innego ma w swoich wędrówkach na celu, niż wyszukanie miejsca na bronę, ale tym bardziej niepokoił się. Ciągła niepewność stała się wreszcie tak nieznośna, że gdy raz Wojan wrócił po dłuższej niż zazwyczaj nieobecności, Główka na powitanie powiedział:

- Gadaj, co chcesz, a więcej cię samego nie puszcę. Niech licho bierze konie. Albo je sprzedać, albo do rycerza Gozdawy oddać w przechowanie, bo tu jeno jako dwie kłody u nogi.

Obawiał się, że Wojan znowu szydzić zacznie, ale ten odparł:

- Do rycerza Szymona trzeba będzie jechać, bo wiedzieć winien, gdzie nam wieść przesłać, byśmy w gotowości byli. Wtedy konie ostawim, ale ninie potrzebne będą, bo tyle sprzętu na barach nie udźwigniem. Jutro bołki zgotuję, by odwieźć, co tu nam jeno gawędzi...

-Wyszukałeś miejsce na bronę? - przerwał Główka podniecony, a Wojan zaśmiał się:

-Nie jeno wyszukałem, ale już trzech obwiesiów tam siedzi. Miejsce dobre, z trzech stron woda broni, do Bugu jednym dniem zalezie, wyciągając nogi, a łodzią i prędej. Z Łukowa takóž wodą można sprowadzić, co trzeba, i budulec spławić, bo w pobliżu lasu ciąc nie zwolę, by siedziby nie zdradzać. Niech jeno książę somsiadów wykurzą, nie jeno rycerzem, ale kasztelanem możesz ostać.

Zaśmiał się znowu, ale Główka powiedział:

-Nie ja, jeno ty.

- Wolę ja sam sobie być panem, tedy nie ma o co się tarzyć ani jeszcze nie pora. Jeszczeć kasztel nie stoi ani go w pięci nie wystawimy. Ciepłą porą nieco zbiegów będzie szło, uzbiera się luda, ile trzeba.

Główka zaciekawiony wypytywać zaczął, ale Wojan zbył go:

- Co ci będę prawił, sam obaczysz.

Główkaomal nie usechł z ciekawości, zanim po mozolnej wędrówce ujrzał miejsce, które może kiedyś stać się jego domem. W podmokłym lesie niewielkie wzniesienie w widłach Krzyny i leśnego strumienia, od południowego zachodu bronione oparzeliskiem ich rozlewisk, nie widziało na pewno człowieka, zanim zjawił się tam Wojan. Zarośniętą wysokopiennym lasem niewielką kępę trudno było odnaleźć, a łatwo zamienić w obronne miejsce.

Gdy rankiem trzeciego dnia uciążliwej podróży Główka i Wojan dotarli do kępy, naprzeciw nich wybiegły trzy wychudzone i zarośnięte postacie. Wojan rzekł, wskazując na nie:

- To są owi obwieście, o których ci powiedziałem: Wojtało, Marsz i Kudeł. To zasię - zwrócił się do nich - Jasięk zwany Główka, któremu posłuch będziecie dłuźni jako mnie samemu.

Jasięk patrzył na nowych towarzyszy z ciekawością. Marsz i Kudeł zapewne niewiele ponad dwadzieścia lat liczyli, Wojtało natomiast szpakowaty już był; sucha, poorana zmarszczkami twarz miała wyraz chmurny. Rosły był i tęgi mimo wychudzenia i widocznie nic tylko z wieku objął nad towarzyszami dowództwo. Sam nic brał się do rozładowywania przywiezionych zasobów, nie zdradzając większego zaciekawienia, tylko im wydawał rozkazy. Natomiast bacznie przyglądał się Jaśkowi, jakby się wahał, jaką wobec niego zająć postawę. Potem zabrał towarzyszy i gdy Wojan z Główką zajęli się końmi, a następnie posiłkiem, posłyszeli huk toporów.

- Nad czym się zadumałeś? - zapytał Wojan Jaśka, który jadł w milczeniu.

- Zali ja posłuch u nich najdę - odparł Główka.

- O tym starym myślisz. Ja takż nie wiem, jeno że on z nich najprzydatniejszy. Zna litewską i ruską mowę, naszej jakby już nieco za był. Dawno musiał ujść z kraju. Nie patrzy na prostego zbója jak tamci. O sobie nierad gadać, jeno pytał o porękę, że będzie mógł spokojnie osiedzieć. Widno zacniło mu się na obczyźnie i rad by tam kości złożyć, skąd je wyniósł. Tylem mu rzekł, co wiem, a porekają sam.

- Źle musi być człęku między obcymi - powiedział Jasięk.

-Gorzej, gdy źle między swymi - odparł Wojan. - Dziki zwierz, choć właści niżej nie ma nad sobą, wie, że wśród wrogów żywie, broni się, póki wydoli. Człek nie krowa, co jeno ryczy, gdy jej cielaka biorą pod nóż, łeb pochyla, gdy jej jarzmo nakładają, a utnie mleko, gardło musi dać. Jeno mi zasię o Sadoku nie gadaj - dodał, widząc, że Główka zbiera się do odpowiedzi; ale ten podjął żywo:

- A właśnie o nim, bo onże właś sprawował nad swymi mnichami bez niżej przymusu, jeno rozumem i przykładem. Prawił, że człek do społeczności stworzony, a zła jest, to ją poprawić winien, jako i dom poprawia, w którym żywie, gdy innego nie ma, a w cudzym nie będą mu radzi. Wždy oczywidnc, że tak ci jest, bo człek pazurami ani jamy nie wygrzebie, ani spać nie wydoli na mrozie. Zda ci się, że ży-wiesz jak zwierz, ale po sól i żelastwo do ludzi musiałeś jeździć, a łupieże wozić w zamian. Wždy sam Chrobrego przychwałeś, że by najmniejszy nalazł u niego sprawiedliwość, choć takiej właci jak on nikt już nie miał po nim. Tedy nie właci jest zła, jeno ludzie, co ją sprawują. A najgorsze, gdy wielu gospodzinów w jednym domu, co się jeno waśnią, pokoju dla nikogo ni ochrony przed wrogiem.

- Acć będzie na twoim. Poprawiajże ów dom, w którym dla mnie i dla cię miejsca nie stało.

- Wždy właci to czynim, by doń powrócić.

Patrzył badawczo na Wojana, który odparł:

- Ninie tu dom wybudujem dla takich, co innego nie mają. A pierwsze gać¹ rzucić przez kałuż, póki twardo, bo w roztopy ni łoś nie przebrnie. Nam zasię do rycerza Szymona, by wiedział, gdzie wieści przesłać, ale tak mniemam, że nie wcześniej niż latem ruszy wyprawa, tedy czas będzie kraj przepatrzeć za Bugiem.

Gdy nazajutrz ruszyli w powrotną drogę, Jasiak obejrzał się na miejsce, w wyobraźni widząc już na nim gródek, w którym kiedyś ma osiąść. Droga do niego jeszcze daleka, czyha na niej wiele niebezpieczeństw, ale trapił się jedynie, że u jej kresu leży rozstaje, na którym

¹ Gać - groblę z faszyny.

pożegnać się przyjdzie z Wojanem. Sama myśl o tym była przykra, mącąc marzenia o pogodnej przyszłości.

Dawno wysłana do kurii rzymskiej prośba o zezwolenie na misję w kraju Jadźwingów doczekała się wreszcie przychylnego załatwienia. Kanonicy Salomon i Mikołaj, którzy zabiegali w Rzymie o kanonizację Jadwigi, przywieźli pismo papieża, w którym niesienie Słowa Bożego zlecił braciom mniejszym, a po nawróceniu Jadźwingów zezwolił gnieźnieńskiemu arcybiskupowi, na ustanowienie dla nich diecezji, ze zwyczajną ostrożnością zastrzegając, by przez to niczyje prawa nie zostały naruszone.

Ostrożność ta stała się tymczasem zbędna, z chwilą bowiem powrotu Mindowego do pogaństwa, a halickiego Daniela do schizmy, żaden z nich nie mógł podnosić roszczeń do misji w tym kraju. Gdy Prandota przyniósł księciu wieść o pomyślnym załatwieniu jego prośby, Bolesław rzekł niechętnie:

- Nic Słowem Bożym, jeno mieczem kres położyć można napaściom. Nie najdziem dziś Wojciechów ni Brunonów, którzy by własną krwią chrzcic chcieli zatwardziałyh pogan. Możecie, ojcze, franciszkańskich mnichów do wyprawy przyłączyć, jeno że ewangelię głosić będą chyba drzewom w lesie, bo zajadłe plemię do pośledniego opierać się będzie. Z korzeniem wyplenić je trzeba, jeśli spokój ma być.

- Czyń, synu, co ci każe rozum i sumienie. Bronić się każdemu prawo służy, a bronić swoich to powinność władcy. Ale niechaj się srogość wojny na bezbronnych nic wywiera; zechciejcie przykazać niewiast i dzieci szczędzić.

- Z rodu łasica krwie chciwa - powiedział Bolesław. - Dojrzeją, pomsty szukać będą za oćców i braci. Przykazać mogę, jeno nic dopilnować posłuchu, bo nazbyt wiele krzywdy się zapiękło!

- Zali nigdy kresu nie będzie krwie rozlewu? - westchnął Prandota, ale Bolesław odparł rozdrażniony:

- Wiecie, zem ja jej niezładny. Ale mnie uciążają winą, że nie osiedzieć pokojnemu człeku w takowym somszedztwie. Moja, rzekliście,

powinność osłonę dać dziedzinie przed napaścią, jeno do pomocy nikt się nie kwapi, przywilejami się zastawiając, że u zbiegów jej szukać muszę, co boskich ni ludzkich przykazów słuchać nie nawykli. Moja będzie wina, co uczynią - zakończył z goryczą.

Prandota rozumiał ją i odparł poważnie:

- Możesz, synu, nie stać o ludzkie sądy, a przed Boskim jeno z własnych czynów przyjdzie ci zdać rachubę. Jako rzekłem, ja pomocą służyć ci nie mogę bez zgody kapituły, której za pozór odmowy starczy, że nie Iza Kościołowi ręki do rozlewu krwi przykładac. Ale siedradzkiego Leszka wezwać winienes, by posiłków udzielił i sam na wyprawę stanął. Mali twoim następcą na krakowskim stolcu ostać, jego to sprawa i dziedziny bronić, i ludzi sobie zjednać, których przychylność będzie mu potrzebna, bo przewidzieć nietrudno, że i przeciwników mu nie braknie.

- Ni przewidywać nie trzeba, bo już zadrę miał z kanonikiem Pawłem, który go na pośmiewisko chciał wystawić, a możny jest i możnych ma swojaków i krewniaków.

- Trzeba wam było jeszcze kanclerzem go ustanowić, gdy lepiej oszczepem niżli piórem władnie, a człek niepohamowany jest.

- Wždy nie od dziś kupować muszę ludzi dostojęstwami i nadaniami - odparł Bolesław. - Potrzebny mi iście, bo przez niego rękę trzymam na tym, co się na Litwie wyprawia.

- A jemu to za pozór służy, by się od prezencji uchylać. I ninie po wieści wyjechał, a pewnikiem po swojemu się zabawia.

Tym razem jednak Prandota niesłusznie podejrzewał swego kanonika, że wyjechał tylko, by ujść oczu surowego pasterza. Co prawda w drodze korzystał ze swobody, ale przybywszy do Czerska, choć mile był tam widziany z wdzięczności za wykupienie z niewoli Konrada, zastał wieść, która skłoniła go do natychmiastowego powrotu.

Oto bratanek Mindowego, Trojnat, na czele zbuntowanych książąt naszedł go w Wilnie, nocną porą zaskoczył zamek, zamordował stryja we śnie i wyrznął jego synów. Ocalał tylko najmłodszy, Wojsalk, który, po chrzcie na mnicha przeznaczony, bawił na Rusi w klasztorze. Trojnat opanował stolicę i ogłosił się Wielkim Księciem, ale księżęta

nie po to usunęli Mindowego, by podlegać Trojnatowi. Zbiegły z klasztoru Wojsalk znalazł gotowych stronników, na których czele ruszył pomścić śmierć ojca i braci. Na Litwie rozgorzała wojna domowa, nadeszła długo oczekiwana sposobność rozprawienia się z drapieżnym plemieniem Jadźwingów.

Teraz już tylko przeczekać należało przedwiośnie, by wody opadły i bagna podeschły. Zawrzało od końcowych przygotowań. Po naradzie księżę wyznaczył zbór wojsk w Zawichoście na dzień Św. Bernarda, gdy świeża ruń pozwoli nie obciążać się paszą dla koni, a obozowanie wojsk pod gołym niebem nie będzie uciążliwe. Pobiegli gońce z wiciami, a sam księżę z dworem i hufcem przybocznym pod wezwaniem św. Stanisława ruszył do Sandomierza, gdzie w odbudowanym już grodzie wyczekiwać zamierzał na wyznaczony termin zboru.

Wraz z księciem wyruszył Prandota, by na nowo konsekrować odbudowane już, splugawione rzezią i zniszczone pożarem kościoły. Zamierzał też zwiedzić swe kasztelanie w Tarczku i Kielcach, a po drodze wstąpić do Grabowca, by spotkać się ze Sławką. Dawno postanowił odwiedzić ją, ale zapadał na zdrowiu ostatnio i czuł, że niedługo już przyjdzie mu pożegnać się ze światem. W miarę sił dokończyć chciał rozpoczęte sprawy, a wśród wielu innych leżał mu na sercu los dwojga młodych, których przypadek postawił na jego drodze.

Pod wieczór pogodnego dnia orszak biskupa dotarł do stóp pagórków, na których skłonie stał gródek w pianie rozkwitłych już sadów. Gdy przez otwartą bramę orszak biskupi wjechał na dziedziniec, Prandota ujrzał zaprzężone wozy, a u podjazdu do dworca kilku pachółków trzymało osiodłane konie.

Gdy biskup zajechał przed dworzec, z sieni wybiegł Żegota Toporczyk. Pomógł Prandocie wysiąść z wozu, po czym pachółkom rozkazał konie odwieść do stajen. Biskup jednak powiedział:

- Widzę, że w drogę wam, a ja, prawdę rzec, jeno ze Sławką mówić chciałem i przez jedną noc z gościny waszej skorzystać.

- Choćby i najdłużej, mile was będę widział pod swoim dachem - odparł Żegota - a niespieszno mi, bo do zroku w Zawichoście jeszcze

parę niedziel. Jenó wcześniej się wybrałem, by chłopów na wyprawę ściągnąć z włości i do broni wdrożyć. Tedy zwólcie do świetlicy, a po Sławkę zaraz poślę. Ze mną się na wyprawę napierała - zaśmiał się - ale odmówiłem, bo dziewce między wojakami ani poręcznie, ani przystojnie.

Prandotę zaniepokoiła wiadomość. Uciezka dziewczyny z Krakowa, niespodziewany wyjazd ze Staniątek dowodziły, że znowu zamierza porzucić bezpieczny przytułek, zapewne by poszukiwać Jaśka, a w wykonaniu swego zamiaru z niczym liczyć się nie będzie. Obawiał się, że przy ludziach nie zechce mówić otwarcie, i gdy nadbiegła z powitaniem, powiedział:

- Coś ci mam rzec, a pewnikiem i ty mnie, tedy zajdź do mnie po wieczery.

Przy świetle świec Prandota czytał brewiarz, gdy do komory zapukała Sławka i na wezwanie wsunęła się nieśmiało, z pewnym niepokojem patrząc na biskupa, który zaczął:

- Prawił mi pan Żcgota, iż się z nim na wyprawę upierasz. Nie muszę ci rzec, bo sama wiesz i bez zwierciadła, że wabisz oczy mężów. Żrałaś już i pięknie rozkwitła, wiedzieć musisz, że nie przed własnymi jenó pokusami bronić ci się przyjdzie. Trzeci już raz Opatrzność dała ci przytułek, który cię przed nimi chroni, i słyszę, znowu go porzucić wzięłaś przed się. Po dwakroć omal nie zbyłaś żywota, nie kuśże Boga po raz trzeci. Wiem ci ja i rozumiem, co cię gna, ty zasię wiedz, żem wam obojgu przychylny i książeńcia uprosiłem, by onemu pachółkowi -jeśli się najdzie - łaskę swą okazał, choć niebywała to rzecz takowy związek. Aliści lata minęły, gdyście się rozstali, tobie pora pod czepiec i on żrały już. Może mu się i serce odmieniło, bo miłowanie bez nadziei wiedznie jako kwiecie bez wody, a i ciało swoje prawa rości, którym w młodych lecich oprzeć się najtrudniej. Słyszę, że rycerz Krystyn Gozdawa o twą przychylność zabiega. I jemu wdzięczność dłużnaś, stanu jest równego, urodny i zaradny, osiadłabyś w somszedztwie brata, a wždy nikogo bliższego nie masz. Nawet nie wiesz, zali czekać masz na co, a szkoda żywota na czekanie.

Podniosła oczy i odparła zarumieniona:

- Wiem. Nie rzekł wam rycerz Żegota, iż był tu od Jaśka druh jego, z którym społem jądzwieski kraj przepatrywać mają, by za przewodników służyć wyprawie? A wam dzięka, iżecie się przed książciem ujęli za nim. Jaki los jego będzie, taki z nim podziele.

Pochyliła się do ręki biskupa, który, gładząc ją po jasnych włosach, powiedział:

- Bóg niechaj błogosławi waszemu miłowaniu. Nie ja wam stanę w drodze, która ni prosta, ni łatwa. Jeno czemu, jak słyszę, porzucić chcesz schronienie, w którym bezpieczeńność znalazłaś i życzliwych ludzi? Po raz wtóry już, bo i w Staniątkach czekać mogłaś na swych nadziei spełnienie. Żle byś mi odpłaciła za życzliwość, wiążąc się z Jaśkiem bez kościelnego błogosławieństwa. Sobie bym wyrzucać musiał, żem do złej sprawy ręki przyłożył - głos biskupa zabrzmiał surowo - a i to wiedz, że woje swawolni bywają, szczególnie na wyprawach żądż swych hamować nie zwykli.

- Nie jeno woje i nic jeno na wyprawach... bąknęła i urwała zmieszana, a widząc pytające spojrzenie Prandoty, ciągnęła wymijająco:

- Nie na wyprawę się wpraszam, jeno blisko chcę być Jaśka.

- Wždy i tutaj swaty słać może i na zdawiny przyjechać, jeśli nic /goła osiąść. Micjże cierpliwość.

-Nie może. Stryk mu nie daruje nie to, że mu człeka ubił, jeno że nas ocalił, bez co dziedzina krewniakom się wymknęła, co ją za swoją już mieli.

-Zły to człek, alic i od onego zabójstwa lata już minęły, a co się w pierwszym gniewie uczyni, tego poniecha w drugim. Może się Radosław grzywnami zadowoli, a i książę kaźden występек wybaczyć władni. Tak czy inak, czekać musisz, a mnie przyrzec, że niczego nie uczynisz, by się Z Główką połączyć, póki się on nie ustali i wedle praw i obyczaju pojąć cię będzie mógl. Może skoro już, jeśli iście wyprawie się przysłuży, do której książę wagę przywiązują i zasłużonych nagradzać będą.

- Przyrzec mogę jeno, że poczekam, pokąd wojska z wyprawy nie wrócą. Potem podzielę z Jaśkiem taki los, jaki jemu przypadnie, a sa-

miście rzekli, że szkoda żywota na czekanie. Ninie jeno wstawcie się u rycerza Żegoty, by mnie do Sandomierza odwiózł. U mogił rodzica i stryka pomodlić się chcę o błogosławieństwo.

- Tego ci nie wzbraniam i sam mszę odprawię na waszą intencję. Idźże tedy przysposobić się do drogi. I ja już spocząć muszę, bo o świecie także w drogę mi, a sił brak.

Nazajutrz dwa orszaki ruszały w przeciwne strony. Pogodny ranek wiosenny pozwalał zapomnieć o troskach, i Prandota, słuchając śpiewu ptactwa, przestał myśleć o czekających go sprawach.

Nie na długo jednak, bo gdy orszak biskupa dotarł do brodu na rzece przecinającej gościnię, przeprowało się właśnie przez nią kilku jezdnych. Gdy mijali Prandotę, jadący na czele Radosław z Dębna nie skłonił się nawet, lecz spojrzął wyzywająco. Widocznie nie zapomniał biskupowi ani zajścia, ani przegranej sprawy o przesypane kopce graniczne. Niewątpliwie pamięta i księciu niekorzystny wyrok, a już najpewniej nie wyrzeczę się zemsty nad wyrostkiem. Najgorsze zaś, że ci, którzy oparcie mają w rodzie i w majątności, nie uznają niczyjej powagi, ni kościelnej, ni książęcej.

Prandota nie słyszał już śpiewu skowronków. Zdało mu się, że nawet słońce mniej jasno świeci nad krajem.

W pamięci Sławki Sandomierz pozostał jako zasute śniegiem pogorzelsko, a gród jako cuchnące mrowie zrozpaczonych ludzi, dniami całymi wyglądających za rzekę w oczekiwaniu na odsiecz, która nie przyszła. Gdy pod zachód orszak Żegoty zbliżał się do miasta, dziewczyna patrzyła na złocące się świeżym jeszcze drewnem ściany nowych zabudowań, rozrzuconych w bieli młodych, rozkwitłych sadów, na zieleń łąk nad Wisłą, które pamiętała jako piekło, na spokojną toń rzeki, nakrapianą bielą gęsiach stad. Jeszcze miała w oczach czerniejące na niej trupy, a w uszach brzmiały jej wrzaski mordowanych i miażdżonych przez zjadliwie syczącą krę. Nie mogła pojąć, że tak wygląda mogiła najbliższych jej ludzi, a zarazem jej dzieciństwa, że na tym cmentarzysku płynię zwyczajne, spokojne życie i zdaje się

nikt nie pamięta, co tu zaszło, a przecież nie wieki, lecz zaledwie cztery lata minęły. Wiedziała, że wszędzie życie toczy się po mogiłach, ale czuła, że nigdy nie potrafi się do niego włączyć. Kto nie przeszedł przez grozę obłączenia, nie musiał wybierać między przerażającą niewolą pogańską a ucieczką po chybotliwej krze wśród gwizdających pocisków, nie może zrozumieć, że nieważne są przywileje stanu, bogactwa i majątności, gdy wraza przemoc zrównać może wszystkich w nędzy, męce i śmierci. Nie rozumiała życzliwa Bogusława, nie rozumiał doświadczony i mądry biskup Prandota, że nie zwyczajna tęsknota za umiłowanym nie pozwala jej wyczekiwać jedynie na to, by zapewnił jej takie życie, jakie z urodzenia winno być jej udziałem. Po przejściach, które wstrząsnęły nią do głębi, on dał jej poczucie bezpieczeństwa i tylko przy nim potrafi je odnaleźć. Jeżeli zgodziła się czekać na zakończenie jadrzewskiej wyprawy, która - być może - pozwoli jej połączyć się z Jaśkiem wedle prawa i obyczaju, to jedynie by oszczędzić Prandocie wyrzutów, że do złej sprawy ręki przyłożył, okazując Głównce wyrozumiałość i przychylność, za którą wdzięczna była biskupowi. Gdy po ucieczce z Krakowa i przebytej chorobie znalazła schronienie w staniąteckim klasztorze, pod opieką Wysznicgi, która zostawiła jej zupełną swobodę, przez pewien czas powrócił jej spokój. Tam mogłaby czekać, ale zburzył go Paweł z Przemkowa. Jego zaloty przejęły ją zarazem obrzydzeniem i wstydem, tak że mówić o tym nie chciała. Ale nawet obyczajne zabiegi rycerskiego Krystyna Gozdawy były jej przykre. Winna mu była wdzięczność, ale mimo nalegań Bogusławy nie mogła mu nawet życzliwości okazać, w obawie, by jej źle nie rozumiał.

Gdy orszak zatrzymał się w dworcu Żegoty na przedmieściu, rycerz powiedział:

Idę na gród zgłosić książęciu, ilu chłopów przywiódłem, i o rozkazy zapytać. Pewnikiem skoro dalej pociągnę, ale tobie dłużej tu czekać przyjdzie na sposobność powrotu do Grabowca, tedy rozejrzyj się i rozgość.

- Pójdę i ja - odparła.

- Czas będziesz miała i po nowym mieście się rozejrzeć. Piękniejsze się odbudowało niż stare i obszerniejsze. Ale spieszo ci, to idź, jeno wracaj skoro, bo bramy zamykają przed zmrokiem.

Sławka jednak nie rozglądała się po mieście. Doszła do mostu na parowie i stanęła. Wiedziała, że tu, we wspólnej, bezimiennej mogile spoczywają jej ojciec i stryj. Gdy po zniszczeniach do Sandomierza wrócili pierwsi ludzie, nie o śmierci myśleli, jeno o życiu. Zwłoki zasypali ziemią, bo zatrwały powietrze, nikt nie zadbał o to, by choć krzyż postawić, jeno chwasty bujały na znawożonej krwią ziemi.

Wspomnienia najcięższych chwil życia naszyły dziewczynę, tak że nie słyszała, co się dokoła dzieje. Oparła głowę o poręcz mostu i rozpłakała się bezgłośnie w poczuciu krzywdy, jaka jej najbliższych jeszcze i po śmierci spotyka. Nowi ludzie przechodzą obojętnie po tym miejscu męczeństwa, widno tu nikt nie ma nikogo bliskiego, by mu choć wspomnienie poświęcić.

Gdy otarła zapłakane oczy, słońce stało już na zachodzie, ruch na moście wzrastał się widocznie i teraz dopiero uprzytomniła sobie, że zwraca uwagę spóźnionych przechodniów. Nic chciała zdawkowego współczucia, wyprostowała się i stała jeszcze przez chwilę, by się uspokoić, gdy za nią odezwał się głos:

- Wždy mówiłem, że się ujrzym jeszcze. Alem się nie spodziewał, że tu.

Odrzuciła się gwałtownie i zobaczyła Pawła z Przemysłowa, który uśmiechał się i ciągnął:

- Wypiękniałas jeszcze, ale zważ, że płacz urodzie nie pluży.

Chciała odejść bez słowa, ale uchwycił ją za rękę:

- Cóż ci tak spieszo? Hamując wzburzenie, odparła:

- Bramy zamkną. Puśćcie!

- Takiej krasnej dziewczynie o nocleg trafić się nie trzeba, choćby i u mnie - zaśmiał się, ciągnąc ją ku sobie.

W szamotaniu nie spostrzegli nadchodzącego z grodu Żegoty, dopiero gdy uchwyciłszy Pawła za łokcie szarpnął nim tak, że omal go nie obalił. Stali naprzeciw siebie, zdało się, że kanonik rzuci się na

Zegotę. Widząc jednak, że ten sięgnął do noża, opanował duszącą go wściekłość i wymusiwszy uśmiech na twarz, powiedział:

- Wybaczcie! Nie wiedziałem, że to wasza miłośnica.

Żegocie gniew odebrał rozwagę; zamierzył się nożem, ale Sławka uchwyciła go za rękę, wołając:

- Niechajcie! Nie chcę, by taka krew splugawiła to miejsce.

Żegota oprzytomniał. Zabójstwo duchownego i ksiązęcego kancle-rza groziło nie tylko karą na gardle, ale udaremnić mogło wyprawę, powodując rozdwojenie między rycerstwem, wśród którego obojgu nie brakło możliwych krewniaków i stronników. Splunął ze złością pod nogi kanonika, który jednak roześmiał się drwiąco:

- Ani mnie wasza plwocina nie dosięże, bo za wysoko.

Żegota odwrócił się i, biorąc Sławkę pod rękę, ochryplym z hamo-wanego gniewu głosem rzekł:

- Pójdźmy, bo nie wydzierzę.

Jakiś czas szedł w milczeniu, sapiąc i zgrzytając zębami. Gdy ochłonął, powiedział:

- Za zniewagę rycerskiej dziewczki jak za zabójstwo się płaci.

Nie mógł się jednak uspokoić i ciągnął:

- Starzy do Półkozica za wysoko! Na duchownych godnościach się spaśli, ośła głowa, co ją za klejnot mają, wyżej Starego Konia! Mało (ego, bo już jego pociotki zabiegają w kapitule, by go biskupem obrać, gdy Prandocie odejść przyjdzie. Iście godny następca! Zamtuz by z kościoła uczynił!

-Nie chcę ja żadnej zapłaty, jeno weźmijcie mnie z sobą, bym go więcej nie widziała - przerwała Sławka.

- Sama tu ostać nic możesz, ale cóż mi z tobą począć w obozie? Do Grabowca cię odeślę, choć nie na rękę mi, bo wóz ci trzeba dać i po-czet, a jutro mi ciągnąć do Zawichostu, skoro potem na wyprawę. Ani cię w Zawichoście ostawić, ani z sobą brać. Plugawy jęzor ma nie je-no Paweł z Przemkowa. U mej macierzy zasię będziesz od osławy bezpieczna.

-Nie stoję o to, skoro mnie obmowa i tu poścignąć mogła. Ostawicie mnie po drodze, gdzie się wydarzy, choćby u onego Szymona Gozdawy, co z Jańskiem się znosi, a coś ci mu dłużny.

Żegota zdał się wahać i odparł:

- Do Łukowa mogłabyś jechać z onymi mnichami, którzy tam czekać mają na misję a języka się poduczyc. Tak by mi najporęczniej było, jeno co rzeknie biskup Prandota? I mnie za złe weźmie, że cię onemu Głowce podwożę, i tobie, żeś go w pole wywiodła. Mówiłaś mu, że jeno pomodlić się chcesz na oćcowym grobie. Srodze biskup obyczajności przestrzega, gotów przychylności wam umknąć, a jeszcze wam potrzebna będzie.

- Alem nie mówiła, bo i mówić mi wstydno, co mnie raz już w staniąteckim klasztorze od onego lubieżnika spotkało. Brat nieletni, małżonka nie mam, a ujmie się kto za mną, jako wy ninie, to jeno złemu językowi pozór, by mnie zelżyć. Tedy i was proszę, nie gadajcie nikomu.

- Książęciu rzekę. Co uczyni, nie wiem, ale niechaj on wic, jakowego ma dostojnika. A ja mu już zakarbuję. Żeby nie suknia duchowna, aniby długo nie czekał.

Bolesław słuchał sprawozdania Żegoty o zajściu z wyrazem wstydu i upokorzenia, opuszczając oczy. Żaden z jego wielkich przodków i imienników nie wahałby się ni chwili, by przykładnie ukarać wszeźtecznika, nie licząc się z nikim. On musi się liczyć z każdym, a gdyby choć pozbawić chciał niegodnego człowieka powierzonego mu urzędu, musiałby mu w pierw zwrócić pięć tysięcy grzywien wyłożonych na wykupno Konrada. Pieniądzy nie miał, przygotowania do wyprawy wyczerpały skarbiec, a mściwy kanonik nie omieszkałby mącić wody pod nieobecność księcia, a bodaj i przestrzec wroga przez swych litewskich znajomków i utrudnić przebieg tak długo i starannie przygotowywanej wyprawy lub nawet w ogóle uniemożliwić osiągnięcie zamierzonego celu. Toteż gdy Żegota skończył, książę, nie podnosząc oczu, odparł:

- Sposobną porą rzeknę biskupowi, bo jemu, nie mnie sąd służy nad duchowieństwem. A i on nie z urzędu, jeno na pozew znieważonej mógłby Pawła wezwać do sprawy, bo ona lata sprawne już ma.

Czuł jednak, że Toporczyk uważa to za wykręt, i dodał z rozdrażnieniem:

-Nie byłoby tego, gdyby z dworu naszej małżonki, gdzie ją przygarnąłem, nie uszła. Sama sobą porządziła, a oto są skutki.

Żegota, który patrzył na księcia z politowaniem, teraz zeżlił się i wygarnął:

- Rzekłby kto, że gdyby nie uszła, Paweł z Przemykowa ostałby cnotliwym człkiem. Jeno że nic pierwsze to jego poczynanie, a biskup także widno z Półkolicami się liczy, skoro go z kapituły nie wyświecił. Już ich ponad nas, Starzów, wydeło, bo nic wypłeniony w porę chwast szybko buja.

Bolesław zagryzł wargi. Z Toporczykami także liczyć się musi, a co gorsze czuł, że słusność jest po stronie Żegoty. Od sierocego dzieciństwa po dzień dzisiejszy wciąż jest od kogoś zależny, a za wszelkie zło jego obciążają odpowiedzialnością. By skończyć niemiłą sprawę, zapytał:

- Czego ode mnie chcecie?

- Ja niczego. Ona zasię blisko chce być onego junoszki, który ze swym druhem przepatrzyć mieli brody i drogi, by za przewodników służyć wyprawie.

- Aćby się powiodło, pustej ziemi będzie do syta. Jeśli się iście przysłuży, nadam mu ujazd na rycerskim prawie, bo i Prandota się za nim wstawiał. Ona zasię niechaj czyni, co chce, żrała już jest.

- Tedy ją z onymi mnichami do Łukowa odeślijcie, jakową służebną niewiastę przydawszy.

-Tak iście najlepiej będzie. Mogę i kasztelanowi zalecić, by się o nią zatroszczył. A posięże raz za mąż, mnie troska o nią spadnie, gdy innych nie brak.

Nie brakło ich istotnie. Z rycerstwa wielu nie stanęło, zwłaszcza z zachodnich powiatów. Taniej im było grzywnę zapłacić, niż znosić trudy i niebezpieczeństwa walki z zajadłym przeciwnikiem, a nie im

groziły niszczące kraj najazdy. Ale nawet osiedli w sąsiedztwie dzi-
kiego plemienia już teraz nie taili, że domagać się będą zapłaty jak za
postronną wyprawę, choć jawne było, że nie o zdobycze chodzi, ale
zabezpieczenie spokoju. Podnosiło jedynie księcia na duchu, że mimo
sprzeciwu Prandoty towarzyszące wojsku wiedźmy przepowiadały
pomyślny wynik wyprawy, a sprzyjała jej sucha i ciepła wiosna. Wo-
dy wąskiej w tym miejscu Wisły opadły, ułatwiając przeprawę wojsk,
które stanęły obozem na niewielkich wzniesieniach lewego brzegu,
w miejscu gdzie przed blisko sześćdziesięciu laty siły zgodnie jeszcze
działających Leszka i Konrada, pod wodzą Krystyna Gozdawy, poło-
żyły kres najazdowi Romana halickiego, a zarazem jego życiu.

Mimo dość licznego niestawiennictwa, zebrane w Zawichoście bli-
sko trzydziestotysięczne wojska stanowiły dostateczną siłę, by roz-
prawić się z Jadźwieżą, i książe postanowił nie zwlekać
z wyruszeniem. W świetlisty poranek wiosenny, po nabożeństwie,
w czasie którego wielu z rycerstwa i sam książe składali śluby na
szczęśliwy powrót, rozpoczęła się przeprawa. Bolesław nie czekał
jednak na jej zakończenie, lecz zleciwszy prowadzenie wojsk krakow-
skiemu wojewodzie Piotrowi, sam z jazdą ruszył gościńcem na Lu-
blin, gdzie czekać miał Leszko sieradzki z posiłkami. Połączywszy
się, ruszył dalej wprost ku północy, zostawiając wojewodzie wiado-
mość, że czekać będzie na niego nad Krzną, gdzie zebrać się miały
wojska z pogranicznych powiatów. Tu książe zamierzał dać im spo-
cząć przed dalszym pochodem, który kilkoma już szlakami dotrzeć
miał do Bugu. Wiele, bodaj powodzenie wyprawy zależało od tego,
by przeprowić się niespodzianie i bez strat, po czym szeroką ławą ze-
pchnąć nieprzyjaciela do Narwi i, przypartego do jej rozlewisk i bagien,
wygubić.

Dotarwszy na miejsce zastali tam zgromadzone rycerstwo z pocztami
i łukowskiego kasztelana Tomka Kościeszę. Po naradzie z kasztela-
nem Bolesław wojska, jakie były pod ręką, wysłał pod wodzą Leszka,
polecając mu przeprowić się za Bug poniżej ujścia Nurca i przeć
w górę tej rzeki. Sam zaś, doczekawszy nadejścia wojewody Piotra

z główną siłą, zamierzał ruszyć wprost ku północy, by przebyć Nurzec pod Brańskiem, niszcząc po drodze ten warowny gród.

Trzeciego dnia nadciągnął wojewoda. Po krótkim postoju, o zmroku wojska ruszyły dalej i po całonocnym pochodzie zapadły w nadbużańskich borach poniżej Drohiczyzna. Obóz spał, czuwały tylko strażę. Dopiero gdy słońce pochyliło się, książę zarządził przygotowania do pochodu. Wojska pożywiały się jeszcze, małe oddziały łuczników z przywiedzionymi przez rycerza Szymona przewodnikami ruszyły przodem, by przeprawiwszy się, ubezpieczać pochód od niespodziewanej napaści, która w ciemnościach łatwo mogłaby wywołać zamieszanie, a co więcej, przestrzec przedwcześnie nieprzyjaciela o nadchodzącym najeździe.

Przed zachodem pierwszy wyruszył na czele swego oddziału kasztelan Tomek Kościcsza z zadaniem dotarcia do Nurca, by po nawiązaniu łączności z Leszkiem posuwać się w górę rzeki. O zmroku książę podniósł pozostałe wojska i z wojewodą Piotrem wyjechał na czoło, nasłuchując, czy od brodów nic dojdą odgłosy walki. Ale cisza była, którą mącił jedynie głuchy odgłos tysięcy stóp na leśnym podłożu. Wyjechawszy na otwarty łęg nad rzeką zatrzymali się, by uporządkować oddziały do przeprawy. Przed wzejściem księżycy panowała ciemność, tylko wyiskrzzone gwiazdami niebo odcinało się od czarnej linii borów za rzeką. Stali jeszcze, gdy zrazu niepewny, a potem coraz jaśniejszy różowy poblask zabarwił niebo na północy. Luna! Bolesław patrzył przez chwilę, po czym uczynił znak krzyża: W imię Ojca i Syna! Zaczęło się.

Z całych ponad trzydzieści tysięcy liczących wojsk jeden chyba Jasiak czekał na tę chwilę z niecierpliwością i zapałem, mimo że i on zdawał sobie sprawę, iż walka z bitnym plemieniem w jego własnym kraju będzie ciężka i krwawa. Od Wojtały wiedział, że nie ma tu prawie starców, śmierć bowiem w łóżu uchodziła u Jadźwingów za niesławną, w walce natomiast była najwyższym zaszczytem, toteż zaprawiali się do niej od najmłodszych lat po to tylko, by okazać męstwo. I teraz nie

pominęli sposobności, by wziąć udział w wojnie domowej na Litwie, osłabiając jeszcze swe i tak niezbyt liczne a rozproszone siły.

Zaskoczeniem udało się zniszczyć kilka osad, nie bez własnych strat, a Bolesław zdawał sobie sprawę, że łuny nocą, a dymy we dnie zdradzają najazd i należy się liczyć z przygotowanym oporem. Następnego dnia osady zastawano już puste, co świadczyło, że ludność gotuje się do obrony, i książe parł naprzód, by jak najmniej czasu zostawić nieprzyjacielowi na ściągnięcie sił do rozstrzygającej bitwy.

Pochód posuwał się szybko, prawie bez strat, zatrzymując się tylko na krótkie czerwcowe noce, gdy zmrok niemal schodzi się ze świtem. Tylko tylna straż miała kilku rannych, od strzał wypuszczonych z zasadzki, przednia natomiast, dzięki przewodnikom, ani razu nie pozwoliła wciągnąć się w ślepą drogę, u której kresu niechybnie czekały na nadchodzących poważniejsze siły. Wszędzie już można było wyczuć ich obecność i jasne było, że o przeprawę przez Nurzec trzeba będzie stoczyć ciężką walkę. Toteż pod wieczór czwartego dnia pochodu, dotarłszy niespełna o milę od Brańska, książe wcześniej niż zwykle zarządził postój, by dać wojskom oddech przed czekającą je rozprawą, a zarazem narodzić się nad jej przebiegiem.

Narada była krótka, bo wszyscy byli jednego zdania, by nie stawać do bitwy bez zapewnienia sobie współdziałania wojsk wysłanych pod Leszkiem i kasztelanem łukowskim, którzy, idąc obu brzegami Nurca, nie powinni byli natrafić na trudności w porozumiewaniu się. Dotychczas jednak nie tylko nie dali o sobie żadnej wieści, ale od dwóch dni nie widać było nawet łun i dymów, które początkowo wskazywały szlak ich pochodu. Książe niepokoił się już. Gdyby oddziały te zostały rozbite, wynik nadchodzącej bitwy, dla której równie pomysłne okoliczności mogą się nie powtórzyć, był wątpliwy. Wojewoda Piotr jednak powiedział:

- Kasztelanowi Tomkowi takowa wojna niedziwna, a i książe Leszko okazali się doświadczonym wojennikiem. Gdyby nawet klęskę ponieśli, co każdemu przydarzyć się może, ani podobne, by nikt nie uszedł, a to pewne, że na nas by się cofali. Coś innego widno wieść przesłać im przeszkadza. Nie mogą oni do nas, musimy my do nich.

Rada była rozsądna i o zachodzie wyruszył silny podjazd z rozkazem, by napotkawszy kasztelana polecieli mu dołączyć do głównych sił. Gdyby go nie napotkali, bo mógł opóźnić się w pochodzie, przeprowadzić się mają przez Nurzec i iść naprzeciw Leszka, który, wcześniej wyszedłszy, winien już nadciągać pod Brańsk.

Nie było już celu przystać się, przeto z zapadnięciem zmroku książkę kazał dokoła obozu rozpałcić ogniska, zarówno celem przygotowania ciepłej strawy, jak i dla bezpieczeństwa. W ciemnościach bowiem uderzenie choćby niewielkich sił mogło spowodować zamęt i straty. Wysunięte w głąb lasu czaty ubezpieczyły ponadto obóz przed niespodziewaną napaścią i zbierano już się do wypoczynku, gdy zbliżające się szybko odgłosy walki postawiły wszystkich na nogi. Nie było wątpliwości, że wysłany podjazd natknął się na nieprzyjaciela i cofa się.

Zanim niedobitki dopadły obozu, przed namiotem księcia zebrała się starszyna, nasłuchując zamierających już odgłosów walki. Nie obawiano się napaści na obóz, ale chybiona próba porozumienia się z pozostałymi oddziałami zaciężyła wszystkim, Bolesław rzekł jak do siebie:

- Lepiej było nic dzielić wojsk, gdy ninie nijak się zmówić.

Wojewoda Piotr wziął to jednak za przytyk do siebie i odparł:

- Lepiej mieć siły za Nurcem, które na tyły wroga uderzą, gdy nas u przeprawy zaskoczy. A nie przeszedł mały podjazd o ćmie, większy za dnia wysłać należy. Bez walki się nic obędzie, ale jakoś się przejdą, bo Jadźwież ani chybi pod grodem siły zgromadziła, a tu jeno podjazdy i straże, którym każdy wykrot i pień znane, gdy nasi w ciemności jako ślepiec, który się od ciosu osłonić nie wydoli.

Książę wahał się. Zwłoka była mu nie na rękę, a pewne było, że przebijanie się na siłę połączone będzie ze znacznymi stratami. Zapytał:

- Mali kto inną radę?

-Nie przeszedł niepostrzeżenie podjazd - odezwał się rycerz Gozdawa - może by przeszedł jeden człek lubo dwu, a i więcej nie trzeba, by wieść przenieść.

- Jeno najdziecie takowych śmiałków - wtrącił wojewoda, ale Szymon odparł:

-Ani mi szukać nie trzeba, bo się sam wpraszał. Pas i ostrogi mu się marzą, tedy i nie zważa, że głowę położyć może. Nic zwoiliłem, bo...

- Tedy dajcie go tu - przerwał ksiązę - bo noc krótka, a iście o ćmie przemknąć się łacniej.

Rycerz Szymon odszedł i po chwili wrócił z Główką. Wyrostek nie zmieszany spoglądał na grono dostojników. Ksiązę na widok młodzika, któremu dopiero pierwszy puch zaczął wargę, zwrócił się do niego z powątpiewaniem:

- Czego ty ode mnie czekasz, wiem. Młodyś i niedoświadczony, może ci się zda, że ci lekko przyjdzie. Wiedz, że głowę stawisz, tedy rozważ, czy wydolisz przez wroga się przemknąć niepostrzeżenie, bo jeśli go napotkasz, posiejesz ją, z czego ni tobie, ni mnie pożytek.

- Iście stary nie jestem - śmiało odparł Główka - ale mi doświadczenia nic brak i to wiem, że pasa ni ostróg darmo nie dają. A i to, że nie wroga mam szukać, jeno ksiązęcia Leszka. Natknę się na wroga, też mi nie pierwsze, a głowę jeszcze mam, jako widać.

- Chełpliwy z ciebie młodzik - wtrącił wojewoda -jeno nie wiada, zali w twej głowie co więcej kromie gęby.

Jasiek spłonił się po uszy, ale odparł:

- Byłem w Sandomierzu, gdy go Tatarzyn zajął, a nie jeno swoją głowę wyniosłem, ale i panią z Krępy.

- Tyżeś ów junoszka, o którym mi biskup prawił - przerwał ksiązę.

- Słyszałem takóž, że iście rękę masz prędką. Na wojnie to i dobrze, a sprawisz się ninie, nie będziesz się musiał o siebie troskać. Tedy idź nie mieszkając, a znajdziesz ksiązęcia Leszka, rzeknij mu, niechaj ogniem znak da, że pod grodem stanął. Wówczas my od tej strony uderzym i on niechaj zaczyna.

- Mogę jeszcze coś rzec, miłościwy panie? - zapytał Jasiek.

- Mów, jeno prędko, bo czas uchodzi.

- Pod grodem rzeka głęboka, most pewnikiem zniesiony, a jeśli i nie, to przeprzeć będzie trudno, bo baszta nad nim, skąd razić nas mogą. Powyżej grodu zasię u ujścia rzeczki łachy są i koryto płytkie, tam się przeprawić łacno.

- A ty skąd wiesz? - zapytał ksiązę, a Główka odparł:

- Wždyśmy rok bez mała brody przepatrywali, nie jeno na Bugu i Nurcu, ale i na Narwi od Suraza po Wiznę.

- Zmyślny z ciebie pacholek. Tedy rzeknij ksiązęciu Leszkowi, że tam się będziemy przeprawiać, on zaś niechaj się przytai i, gdyby nam przeszkadzali, od tyłów uderzy. No, ruszaj z Bogiem, póki ćma.

- Migiem, jeno skoczę wziąć co do garzci - odparł Główka, skłonił się i pobiegł ku ognisku, gdzie z kilkoma towarzyszami siedział Wojan. Na widok rozradowanego Jaśka, zbierającego się pospiesznie, zapytał:

- Już cię ksiązę opasali, iześ taki rad? Małośmy się jeszcze onej społeczności przysłużyli? Dwóch pasów ci nie trzeba, a i jeden na nic, gdy cię ubiją.

- Co by mieli ubić - odparł Jasiek lekko. - A ninie ksiązę wiedzą o mnie i jeszcze się biskup Prandota za mną wstawiał, niech mu Bóg odpłaci.

Może przeto kasztelanem ostaniesz - zadrwił Wojan. - Warto żywot stawić, tedy pójdźmy!

- A tobie warto, skoro nic chcesz niczego?

-Nie chcę, by się szłom zmamił, com ei go kupił. Ty dokąd? - zwrócił się do Wojtały, który jak zwykle siedział milczący i chmurnie zadumany, a teraz wstał, i biorąc łuk i kołczan, odparł: Idę z wami.

- Może i tobie pasa się zachciało?

- Dwu mi nie trzeba - odparł. - Mowę jadzwieską znam.

Jego znajomość litewskiego języka i jadzwieskiego narzecza nieraz już się przydała. Wojan jeno skinął przyzwalająco i ruszyli.

Wyszędłszy z kręgu światła, zatrzymali się przez chwilę, by oczy nawykły do mroku. Cisza była taka, że pogłosem zdał się chodzić po lesie najlżejszy szmer. Trudno go było uniknąć przedzierając się przez krze, którymi las był podszyty. Posuwali się niezmiernie ostrożnie, chwilami przystawali, nasłuchując, choć jasne było, że jeśli nieprzyjaciel jest w pobliżu, niewątpliwie zachowuje ciszę. Nagle zatrzymali się jak na rozkaz. Nie było wątpliwości, że głos był ludzki, słaby, lecz niedaleki, jakby ciche wołanie, a potem jęk.

- Tedy wiemy, że w pobliżu nie ma wroga - szepnął Wojan i ruszył, ale Wojtało chwycił go za rękę:

- Czekaj! Ani chybi raniony w onej bitwie.

- To i cóże? Nie pora nim się zajmować, swój zali obcy.

Wojtało jednak bez słowa ruszył wprost na głos i zginął im z oczu, a oni chcąc nie chcąc za nim, by się nie pogubić w ciemności. Za chwilę posłyszeli przyciszoną rozmowę w obcym języku i Wojan aż syknął ze złości:

- Zabawiać się będziem, a ino patrzeć świtu. W tej chwili zjawił się Wojtało i rzekł:

- Pójdź! Zabierzem ranionego.

- Zgłupiałeś! Choćby i swój był, nasz żywot nie tańszy niż jego.

- Słysz! - powiedział Wojtało niecierpliwie - prawi, że nad rzeką strażę stoją na milę od grodu. Wolej nam parę stajań go ponieść, niżli milę pełznąć, nasłuchując co krok, bo noc ucieka. Jeno wy ni słowa.

Nie czekając, ruszył do rannego, a oni za nim. Zamiar Wojtały był jasny, póki noc, może się udać. Toteż Wojan zadał sobie rannego na barki i ruszyli szybko, zgoła się nie ukrywając. Ranny jęczał i mówił coś do Wojtały, który zdał się go uspokajać, a Wojan wyciągał nogi, aż się zasapał, ale nie trwało długo, gdy las się skończył i wyszli na łęg porośnięty krzami. Tutaj ciemność była mniej głęboka, a na wschodzie niebo zaczynało już przybierać zielonkawą barwę. Szli spiesznie, a Wojtało głośno zaczął mówić do rannego, gdy zza kępy krzów wysunął się wojownik i patrzył na nadchodzących. Głównie głośno zabiło serce, ale Wojtało podszedł spokojnie i wskazując na rannego, którego Wojan złożył na ziemi, zaczął rozmowę. Jasiak już sądził, że podstęp się udał, i aż drżał z podniecenia, gdy niespodzianie strażnik zwrócił się do niego z zapytaniem. Jasiak spojrzął na Wojtałę, który wtrącił się, ale strażnik widocznie powziął podejrzenie, bo raz jeszcze ostrzej powtórzył pytanie, rozkazującym ruchem wskazał na majaczącą opodal kępę drzew i sięgnął do pasa po broń.

Ale nie zdążył jej wyjąć. Wojan uchwycił go za gardło, i obaliwszy na ziemię, dwukrotnie pchnął nożem w serce, a słaby krzyk rannego stłumił Wojtało, jednym cięciem poderżnąwszy mu gardło.

Czasu do stracenia nie było, strażę zmieniają o świcie, a był tuż. Pędem dopadli rzeki, przepłynęli na prawy brzeg nie zdejmując nawet cizem i, ociekając wodą, szli aż do wschodu słońca. Dopiero natrafwszy na małą łysinę w gąszczu zatrzymali się, by wypocząć i wysuszyć mokrą odzież. Po niespanej nocy wszystkim należało się trochę snu, ale Wojan przestrzegli:

- O ćmie będziem spać, a ninie szukać nam ksiąźęcia Leszka, bo nocą go nie najdziem, a za to ci książę pasa nic dadzą, iżeś cizmy i portki zmoczył. Zjeść by się zdało co, a bez to, żeś nagły, o tym nie pomyślałeś.

- Aleja pomyślałem - powiedział Wojtało -jeno że osuchy zamokły.

-Nie będziem czekać, aż wyschną, nie pora przebrzydzać. Dawaj, nie trzeba będzie popijać.

Wędzone mięso nie zamokło, a gdy się pożywili, Wojan jął wciągać mokre jeszcze szaty, mówiąc:

- Na grzbiecie przedziej wyschną, a czasu nie ma do stracenia. Łatwo rzece: wieści zanieść, jeno dokąd?

- Wiadomo - odezwał się Wojtało. - Książę Leszko mieli iść pod Ikańsk. Jeśli poszli indziej, to go i nic najdziem, by na bitwę nadażył. Ale jeśli idą tu, to nic bez tego, by podjazdów nie wysyłał, a choćby i nie, pomiarkujem, bo zawsze zwierz pomyka przed wojskiem. Tedy on ku nam będzie szedł i nic trzeba nam ku niemu. Miejmy jeno oko na rzece, by nie prześlepić, a Jasiek niechaj śpi, bo już na oczy nie patrzy, tedy i nie uwidzi nic.

- Ku rzece pójde sam, a ty jeno podsuń się, gdzie las nic podszyty, bo tu ni nas kto najdzie, ni my nikogo. A Główka iście niech śpi, bo i to nie wiada, zali nam i drugą noc czuwać nie przyjdzie.

Jeszcze nie ustał szelest krzów, przez które przedzierali się Wojan z towarzyszem, a Jasiek już spał tak głęboko, że nic pamiętał, gdzie się znajduje, gdy Wojtało zaczął go szarpać, nie mogąc dobudzić:

- Migiem zbieraj się. Ktoś ci nadchodzi.

Jasiek szybko zaczął wdziwiać odzież, zdziwiony, że wyschła, gdyzdało mu się, że spał jeno chwilę. Ale czerwcowe słońce już schodzi-

ło z południa, doskwierając silnie. Poczul pragnienie, nie pora jednak była szukać wody, bo w tej chwili nadszedł Wojan, mówiąc:

- Podjazd. Nasi. Gotowyś, to pójdz. Tyżeś całym posłem.

Wysunęli się z zarośli w słabo podszyty las. Nie trwało długo, gdy zamajaczyło coś między pniami i po chwili ujrzeli idący bezładnie stępą oddział konnych. Na czele jechał rycerz w kolczudze i szkaple-rzu, tylko na głowie zamiast hełmu, który wisiał na łęku, miał pątlík, spod którego wymykały się długie, krucze włosy. Główka domyślił się, że ma przed sobą księcia Leszka, i wysunąwszy się naprzód, czekał w podnieceniu, by spełnić zadanie, od którego zawisł jego przyszły los. Zarazem myślał z pewnym zawstydzieniem, że gdyby nie towarzysze, byłby przespał szczęśliwą dla siebie okoliczność. Książę patrzył na stojących i podjechawszy, zwrócił się do Wojtały:

- Coście za jedni?

- Owo jest posłaniec od księcia Bolesława, a my dla bezpieczeństwa - rzekł, wskazując na Jaśka, który niezbyt pewnym głosem, ale dokładnie jął wyjaśniać położenie i zamiary Bolesława. Leszek patrzył na niego z uśmiechem, a gdy Jasiek skończył, rzekł:

- Tedy wiemy, co poczynać. Że też stryk młodzikowi zlecili taką ważną wieść! Po trzykroć wysyłałem doświadczonych wojów i ni jeden nie wrócił.

- Sam się wprosiłem - powiedział Główka sploniony, a książę poklepał go po barku, mówiąc:

- Śmiały jesteś i widno obrotny. Jakoż cię zowią?

- Jasiek. A wołają Główka.

- Tedy prowadź, skoro się tu wyznawasz. Jeno jak księcia uwiadomić, żeśmy wieść otrzymali? Ani to pewne, zali kto dojdzie.

- Ogniem książę znak dać kazali.

- Iście to łatwiej, jeno że przytajam się, a ogień dostrzegą i z grodu.

- Przytając nam się trzeba nad Bronką, oną rzeczka, co na wschód od Brańska do Nurca uchodzi. Ognisko zasię tu zażec, bo i bliżej. Nim z grodu dostrzegą, nikogo przy nim nie będzie, a śladów nic rozeznają ómie.

- Tak i uczynim, a ty prowadź.

Ruszyli wprost na północ dolinką między pasmami niewysokich wzgórz. Uszedłszy kilka stajañ, za łysym, wyższym od innych pagórkami skierowali się na wschód. Gdy dotarli do leśnej strugi, pochód stanął. Książę nakazał ciszę, a sam ruszył w dół strumienia, by za dnia jeszcze rozejrzeć się w okolicy. Upalny, letni już dzień miał się ku schyłkowi, a wyruszyć należało, gdy tylko zapadnie ciemność, by o świcie znaleźć się opodal miejsca przeprawy, przy której niewątpliwie rozpocznie się bitwa. Mało kto korzystał z paru godzin spoczynku. Wszyscy świadomi byli, że gdyby wojskom Bolesława nie powiodło się uchwycić prawego brzegu Nurca, Sieradzanie sami znajdą się naprzeciw całej siły, jaką zebrać pod Brańskiem zdołali Jadźwingowie.

Siły te były dość znaczne, mimo że wmieszanych w walki wewnętrzne na Litwie nie dało się ściągnąć na czas. Przywykli sami najeżdżać sąsiadów, a nie bywając ofiarą napaści, Jadźwingowie zaniedbali strzeżenia przepraw na Bugu. Toteż wódz ich, Komiat, gdy tylko pomiarkował, że przeprawiły się liczne wojska, które bez trudu zdołają złamać opór bezładnej obrony, postanowił ściągnąć je nad Nurzec, którego kilka odnóg o zabagnionych brzegach stanowiło trudną do przebycia przeszkodę. Pod Brańskiem natomiast rzeka szła jednym korytem, a bagno wąskim klinem podchodziło pod gród, rozszerzając się ku wschodowi w coraz rozleglejszy moczar. Gdy podjazdy doniosły, że główna siła nieprzyjaciela ciągnie na Brańsk, Komiat nie wątpił już, że Bolesław tu będzie próbował się przebić. By jednak nie dopuścić do przeprawy w innym miejscu, prawy brzeg Komiat obsadził niewielkimi oddziałami, a znaczniejszy wysłał ku ujściu Nurca z zadaniem przeszkadzania najeźdźcy, gdyby próbował jakieś siły przerzucić w dolnym biegu rzeki. Oddział ten, napotkawszy kasztelana Kościcszę, stoczył z nim niewielką, ale krwawą bitwę, zmuszając go do cofnięcia się. Książę Leszko zaś, gdy kilkakrotne próby nawiązania łączności chybiły, pomiarkował, co zaszło, i odbiwszy się od Nurca szedł bezdrożami, unikając osad, by nie ściągnąć na siebie znaczniejszych sił nieprzyjacielskich, co łatwo mogło skończyć się klęską, a w każdym razie uniemożliwić wzięcie udziału w bitwie

pod Brańskiem. Otrzymana wieść upewniła go, że zdążył w sam czas, a wyznaczone mu zadanie pozwoli odegrać rozstrzygającą rolę. Toteż niecierpliwie czekał znaku, który miał stanowić hasło rozpoczęcia działań. Czując, że nie uśnie, gdy tylko słońce zaszło, wyszedł na łysy wzgórek, by wypatrywać umówionego znaku.

Zorze długo stały na zachodnim niebie, ale na ziemi barwy już gaśły. Jeszcze tylko wąską smugą nieboskłon odcinał się od czarnej linii borów, gdy w jednym miejscu blednąca czerwień zorzy rozjarzyła się i blask się nasilał w miarę postępującej ciemności.

Książę Leszko zawrócił co prędzej i ciszę panującą w obozie zmaćcił szmer. Wojska zbierały się do pochodu, przodem wyruszyły straże z rozkazem, by dotarłszy na skraj lasu, który podchodził na parę stajni od grodu, dawały bacznie na błonie u wschodniego ujścia Bronki do Nurca, gdzie książę Bolesław zamierzał rozpocząć przeprawę.

W głębi lasu panował jeszcze głęboki mrok, ale na wschodzie wstawała już jutrzienka najdłuższego dnia w roku¹. Napięcie oczekiwania wzrastało w miarę, jak rozjaśniało się niebo. Książę Leszko niecierpliwił się i gdy dniało już, a od straży nie przychodziła żadna wiadomość, sam wysunął się na skraj lasu, zabierając z sobą Jaśka z towarzyszymi, by mu pomogli rozejrzeć się w położeniu.

Choć jasno już było zupełnie, straż niewiele mogła zobaczyć, w chłodzie przedświtów bowiem z bagien wstała gęsta mgła, w której ledwo można było rozeznaczyć zarysy grodu. Siadała jednak, bo po chwili wynurzył się z niej rąbek słonecznej tarczy.

Słońce dzwigało się szybko, dzień był już pełny, a nic się nie działo. Książę Leszko drżał z podniecenia i niepokoju; zaczynał wątpić, czy w wojsku Bolesława dostrzeżono umówiony znak, a obecność jego wojsk opodał grodu każdej chwili może być zdradzona.

Ciszę poranka nagle skłócił gwar odległy, ale coraz wyraźniejszy. Bolesław musiał dostrzec umówiony znak, ale uderzył nie w umówionym miejscu, lecz wprost na gród. Leszek zaklął. Jeżeli nawet Jądźwingowie nie zdjęli dyłowań mostu, przeparcie go pod gradem

¹ 23 VI 1264 r.

pocisków było nieprawdopodobne, na zabicie trawek czasu jeszcze nie stało, tym bardziej że las odległy był o kilka stająg od grodu i przygotowanie ich zabierze co najmniej dzień.

Leszko wahał się, co poczynąć w tym położeniu. Uderzenie na gród niewiele mogło się przyczynić do ułatwienia przeparcia mostu, na którego obronę starczyła drobna część sił nieprzyjacielskich, a oznaczało to ściągnięcie ich większości na siebie. Że były przeważające, wkrótce mógł stwierdzić, bo gdy tylko słońce zegnało mgłę, pod wałami ujrzął obszerny obóz, widocznie tej części sił jądźwieskich, której gród nic zdołał pomieścić.

Wybór pozostawał między wycofaniem się a beczynnym oczekiwaniem, gdy każdej chwili Leszko mógł być odkryty i zmuszony do samotnej walki z przeważającymi siłami, bez możności odwrotu w razie niemal pewnej klęski. Oznaczało to ponadto chybiecie celu dłuęo i wielkim nakładem pracy i kosztów przygotowywanej wyprawy, w której wziął udział, by pozyskać krakowskie i sandomierskie rycerstwo dla sprawy swego następstwa po Bolesławie. Przeciwnicy nie omieszkają niepowodzenia jemu przypisać, mimo że nic z jego winy bitwa przybierała przebieę inny, niż zamierzono.

Nic doceniał jednak stryja. Bolesław, gdy tylko umówiony znak upewnił go o nadejściu Leszka, natychmiast podniósł wojska i gościńcem wiodącym do grodu podsunął je do miejsca, gdzie przewodnicy wskazywali przejście przez bagno naprzeciw ujścia Bronki. Była to jednak wąska i kręta ścieżka, po której tylko w pojedynkę można się było posuwać, i to miejscami grzęznąc po kolana, dla jazdy zgoła nieprzydatna. Po krótkiej naradzie przeto ksiąęę pchnął lekką jazdę z rozkazem objechania bagna od wschodu i przeprowienia się wplaw, a pieszym oddziałom, gdy przebrną moczar, polecił przytaić się w nadbrzeźnych krzaczach, nic rozpoczynając przeprowy, póki na prawym brzegu nie zjawi się jazda. Pancerny hufiec pod wodzą wojewody Piotra pozostawił na gościńcu, rozkazując z nastaniem świtu spieszyć go i uderzyć na most, by na siebie ściągnąć uwagę nieprzyjaciela.

Obydwaj książęta jednak nie docenili Komiata. Wiek życia spędził w bojach i spostrzegłszy wielkie ognisko na prawym brzegu rzeki nie wątpił, że to nie jego strażę gotują strawę. Natychmiast pchnął silny oddział, który jednak nie zastał już przy ognisku nikogo, musiał zaś czekać świtu, by stwierdzić po śladach, jaka siła i dokąd przeszła. Dowódca podjazdu, Dołub, sprawdziwszy, że była znaczna, wysłał po posiłki, i gdy Leszek wciąż jeszcze wypatrywał zjawienia się wojsk Bolesława u ujścia Bronki, od północy odcinał mu już odwrót silny oddział jądzwieskiej piechoty.

Komiat słusznie mniemał, że uderzenie na most ma na celu tylko odwrócenie jego uwagi. Od strony rzeki, bez tratw i machin, wróg nie zdoła przełamać obwarowań, nawet kosztem największych strat. Tego był tak pewny, że nie kazał zdjąć z mostu dyłowań, dowiedziawszy się zaś o obecności znacznych sił od północnej strony grodu, którego tu broniła tylko wypełniona wodą fosa i wał z pojedynczym częstokołem, sądził, że Bolesław gdzie indziej zdołał przeprowadzić się na prawy brzeg, by od północnej strony przypuścić główne uderzenie.

Z grodem na zapleczu Komiata nie obawiał się o wynik nierównego spotkania. Za wałami ranni znajdą ochronę, znużeni wypoczynek i posiłek, a w razie niepowodzenia zamknie się w grodzie, by doczekać odsieczy, która nadejść musi, bo wieść o najeździe rozeszła się po kraju. W gotowości czekał, kiedy z odległego o parę stająg lasu rozlegną się odgłosy walki, by jednocześnie na ukrytego tam nieprzyjaciela uderzyć.

Wcześniej niż on usłyszał je książę Leszko. Walka w lesie groziła rozproszeniem jego oddziałów, wytrącając mu z ręki kierownictwo. Gdyby nawet zdołał się przebić ku północy, zerwie związek z główną siłą. Skoro Bolesław nie zdołał jej przeprowadzić, trzeba przeprowadzić się do niego za wszelką cenę.

Że będzie wysoka, pomiarkował zaraz. Zanim zdążył ściągnąć na skraj lasu i uładzić napierane już z tyłu oddziały, ujrzał wychodzące z obozu jądzwieskie zastępy, które natychmiast ruszyły naprzeciw.

Każda chwila była cenna; jeżeli odetną go od brodu u ujścia Bronki, nie tylko będzie miał przeciw sobie całą siłę nieprzyjacielską, ale zamknięta zostanie jedyna droga, którą choć część swoich mógłby wycofać z niewątpliwego pogromu. Tylko jazda może zdążyć, by nacierającego od strony grodu nieprzyjaciela powstrzymać. Teraz nie wahał się, doskoczył podanego konia, i stanąwszy na czele hufca, krzyknął:

- Za mną!

Na pochyłości konie z miejsca wzięły największy pęd, ława nieprzyjacielskiej piechoty zatrzymała się w miejscu, najeżona spisami, a spoza niej lunął na nadbiegających grad strzał i pierwsza krew splamiła pole rozwijającej się bitwy.

Gdy klin jazdy był tuż, jądzwieskie szeregi rozłamały się sprawnie, przepuszczając hufiec, i natychmiast zamknęły się za nim. Krzyk bojowy zmieszał się z łoskotem tarcz bitych mieczami, jękami rannych i kwikiem koni. Sieradzanie, otoczeni ze wszystkich stron, walczyli rozpaczliwie z zajadłym przeciwnikiem, który jeszcze na ziemi leżąc kaleczył konie, nim ich kopyta stratowały go na śmierć.

Książę Leszko w pierwszym szeregu ścinał się z wrogiem. Świadomie poświęcił hufiec, by zapewnić reszcie drogę odwrotu, ale nic miał możliwości ni okiem rzucić, by się przekonać, że ofiara nie była daremna. Kolisko jazdy kurczyło się szybko, wzrastający upał nie pozwalał chwycić w zdyszane piersi oddechu, pot zalewał oczy. Cichły nawet wrzaski, ale nic malała zajadłość walki, która jednak zdała się mieć ku końcowi. Jeszcze chwila, a mdlejące ramiona nie zdołają dźwignąć miecza ni osłonić tarczą ciała od sypiących się zewsząd ciosów.

Nagle na tyłach jądzwieskich szeregów rozległy się głosy rozkazów, walka na chwilę ustała, a książę Leszek przetarł oczy i spojrział ku brodowi. Pędem szedł ku bitwie silny oddział jazdy, obalając wszystko, co w zamieszaniu nie zdołało uskoczyć z drogi. Tłum jednak zahamował jego pęd i gasnąca już walka rozplómiła się znowu.

Komiat zmiarkował, że mylił się, biorąc oddział Leszka za główną siłę nieprzyjacielską. Zagrały rogi i Jadzwingowic, odcinając się, cofali się pod tyny grodu, zza których znowu posypały się strzały.

Dowodzący hufcem chorąży sandomierski, Gniewomir, spełniwszy swe zadanie, wycofał się poza zasięg pocisków. Wraz z nim księżę Leszko wyprowadził swój zdziętkowany i wyczerpany oddział i teraz dopiero ogarnąć mógł okiem pole bitwy. Pod lasem wrzała jeszcze walka, ale nieprzyjaciel uchodził, od brodu natomiast nadciągały w szyku świeże oddziały tarczowników i łuczników Bolesława.

Leszko dostrzegł stryja, jak stojąc opodal brodu, z pomocą miecznika krakowskiego Floriana sprawiał wojska, w miarę jak przedostawały się na prawy brzeg. Gdy Leszko podjechał, księżę uściskał go, mówiąc:

- Lękałem się, że cię nie ujrzę. Zapalczywy jesteś. Po cóż ci było wdawać się w bitwę raniej, niż myśmy się przeprowadzili?

- Bo wróg na to nie czekał. Żebyś z jazdą nie skoczył, byłby drogę odciał do brodu. Wówczas ani mnie ku wam, ani wam ku mnie, a już z moich noga by nie uszła. Od tyłu mnie naszli, w sak biorąc. Ninie my ich mamy w saku, ale zębiasta to Szczuka¹, jeszcze niejednego skaleczy, nim jej łeb utniem. Z mego hufca nie wiem, zali połowa jeszcze do walki zdalna.

-Zdziałali, co najważniejsze, ninie niechaj spoczną, opatrzą rany, napoją i przetrą konie, by wypoczęte były, gdy rozbitego wroga ściągac przyjdzie. Spocznij i ty. Uznoićś się, a o posiłku też pomyśleć czasu ci nie stało. Spraw swoich, niechaj w gotowości będą, by świeżymi siłami bitwy dokończyć.

Ale do końca było jeszcze daleko, choć słońce stało już na południu. Przyparty do tynów Komiat uderzeniem odpowiadał na uderzenie. Chwilami bitwa ustawała, gdy wysuszone wzrastającym skwarem gardła niezdolne już były nawet wydać okrzyku. Słychać było tylko jęki rannych wynoszonych z pobojuwiska. Kto wydolił, dopadał wody i znowu podnosiła się wrzawa. Sił ubywało, ale nie malała zaciekłość.

¹ Szczuka - szczupak.

Książę Bolesław, przeprawiwszy już całe wojska, miał liczebną przewagę i co raz wysyłał świeże oddziały, by nie pozwolić przeciwnikowi złapać oddechu. Komiat zrazu również ściągnął odwody z grodu, obronę zlecając lżej rannym, ale gdy słońce pochyliło się, zabrakło mu już ludzi na wymianę. Ściana jego wojowników wykruszała się w oczach. Zrozumiał, że bitwa przegrana, postanowił odepchnąć wroga od bramy i z niedobitkami schronić się za wały.

Bolesław jednak przewidział ten zamiar. Komiat zyskałby czas, a co więcej, mógł doczekać nadejścia odsieczy. W szeregach polskich rogi zagrały, dając znak odwrotu, i wojska jęły się wycofywać, odcinając się słabo następującym im na karki jądźwieskim wojownikom. Dożywiali resztek sił, sądząc, że to koniec bitwy.

Zbliżał się już. Stojące w lesie oddziały Leszka ruszyły biegiem, uderzając od skrzydła na rozproszoną w pościgu Jądźwież. Walczący w przedzie Komiat za późno poznał podstęp, droga do grodu była zamknięta. Pozostawało poddać się lub walczyć do ostatka.

Ale nawet nie pomyślał o poddaniu. Gdyby po wytraceniu całych wojsk pozostał przy życiu, hańba przylgnęłaby do jego imienia na wieki. Skrzyknął, ilu jeszcze pozostało wojowników, i nic bacząc, kto idzie za nim, rzucił się na wroga, obalając każdego, kto mu stanął w drodze. Pierzchali przed oszalałym osiłkiem, który zdał się nie odczuwać znoju całego dnia walki w czerwcowym słońcu, ni ciosu, który zmiotł mu z głowy hełm i zakrwawił twarz tak, że tylko świeciły w niej białka oczu i wściekłością wyszczerzone zęby.

Walka rozgorzała z nową zajadłością i zdało się, że dopiero ciemność położy jej kres, bo słońce stało już na zachodzie. Ale Komiat nie ujrzał go już, bo ugodzony w pierś ciśniętą włócznią, przyklęknął. Wstał jeszcze, ale na ten widok rzucił się na niego, kto żył. Pchnięty po raz drugi oszczepem opadł na kolana, podpierając się ręką. Towarzysze skoczyli osłaniać wodza, ale był to już ostatni płomyk gasnącej bitwy. Nim słońce schowało się za nieboskłon, nad zwłokami Komiaty wyrosła mogiła ciała jego towarzyszy, z których ni jeden nic cisnął broni, by ręce wyciągnąć do pęt. Nie brano zresztą jeńca, bo rozjuszeni ogromnymi stratami Polacy bez miłosierdzia wycinali każdego, kto

jeszcze trzymał się na nogach, po czym wpadłszy do grodu i tam rozpoczęli rzeź, której kres położył dopiero książę Bolesław.

Siła jadvieska złamana została do cna, ale nie było upojenia zwycięstwem. Do późnych godzin nocnych znoszono i opatrywano rannych, polegli czekać musieli na swe ostatnie posłanie do następnego dnia. Mało kto nie miał wśród nich krewniaka czy najbliższego towarzysza, mało kto nie odniósł w bitwie obrażeń. Zwycięstwo było zupełne, ale drogie i gorzkie.

Nieliczni zbiegowie, którym udało się ująć z pogromu, roznieśli wieść o druzgocącej klęsce, śmierci Komiata i okrucieństwie najeźdźcy, który biorąc odwet za niszczące najazdy - śmiercią karał odmowę pokłonenia się chrześcijańskiemu Bogu. Wszelki opór zgasł, popłoch ogarnął cały kraj, kto zdołał zbiec przed rozlanym szeroko nieprzyjacielem, uchodził do Prus i na Litwę, unosząc życie, a całe mienie zostawiając na łup zwycięzcy.

Zdobycz nie była bogata. Półdzikie plemię nie zajmowało się handlem, nie znało niemal srebra, nie uprawiało rzemiosła. Wojownicy trudnili się łupiestwem, chłopci hodowlą. Toteż cały łup stanowiło nieco broni, której nie starczyło nawet na nagrody za męstwo, i spędzone zewsząd stada kosmatego bydła. Zdało się i to, bo ubiegłego roku w Polsce wyniszczył je pomór.

Książę Bolesław daleki był od radości z odniesionego zwycięstwa. Gdy nazajutrz, wysławszy wojska z zadaniem oczyszczenia kraju z niedobitków drapieżnego plemienia do granic dawnego państwa Mieszkowego, obchodził pobożowisko, ogarnęła go zgroza. Jak okiem sięgnąć, mało gdzie można było nogę postawić, by nie nadepnąć na zwłoki. Miejscami leżały ich sterty. W upalnym powietrzu rozkład już się zaczynał; słodkawo-mdła woń stała nad polem walki, zatykając oddech w piersiach. Księżciu robiło się słabo, a zarazem wstydził się wojewody Piotra, który również chmurnym okiem patrzył na żniwo wczorajszego dnia. Bolesław zwrócił się do niego:

- Dopilnujcie, by choć naszych uczcić chrześcijańskim pochówkiem. Policzymy straty, gdy ich zniosą. Tamtych do rzeki. Trzeba to prędko uczynić, by się nie wdała zaraza.

Odszedł do namiotu, który kazał ustawić pod lasem, i zatopił się w niewesołych rozmyślaniach. Granice Mieszkowego państwa! Mieszko nie miał granic wewnętrznych, których strzec trzeba przed drapieżnymi krewniakami. Wówczas kraj zrastał się w jedność w poczuciu wspólnoty w złym i dobrym. Prandota każe wierzyć, że zjawi się jednoczytel, że potargane państwo zrośnie się znowu, jak ciało świętego biskupa, zmartwychwstanie jak wskrzeszony przez niego rozkładający się trup. A tymczasem rozkład postępuje z każdym pokoleniem, rozrodzeni Piastowicze nie uznają już nad sobą nikogo, zaś senioracka stolica - ostatni ślad jedności - stała się jedynie kością niezgody między nimi.

Bliższe troski księcia przesłoniły dalsze. Już zapłacił krwią za pozbycie się uciążliwego sąsiada, a jeszcze srebrem przyjdzie płacić rycerstwu za postronną wyprawę, odszkodowania za straty w orężu i koniach, a przede wszystkim zatroszczyć się o wdowy i sieroty po poległych. Wyczerpany na przygotowania do wyprawy skarb znowu trzeba obciążyć zastawem dochodów z nowo zakładanych miast i kopalń. Ale najpilniejszą troską jest zaludnienie i obrona odzyskanego kraju. Pozostawiony pustką zajmie którykolwiek z drapieżnych sąsiadów; krwawy i kosztowny wysiłek poszedłby na marne. Niemiecki osadnik tu nic przyjdzie - z dala od targów i dróg handlowych. Niceo zubożalego rycerstwa i włódków osadzić można w pogranicznych stróżach, ale tego nic starczy.

Księżciu przyszedł na myśl Główka i jego towarzysze. Potrzeba mu ludzi zależnych od łaski księcia, którzy na nią zasługiwać się muszą, a nie za zasługi przodków obrosłych w dostatki i przywileje zwalniane od wszelkich niemal świadczeń na rzecz kraju.

Główka po bitwie nie zgłosił się. Zapewne jako przewodnik poszedł z Leszkiem, który na czele lekkiej jazdy oczyścić miał kraj w dorzeczu Narwi z niedobitków, po czym, obsadziwszy nadgraniczne stróże, z pozostałymi wojskami wrócić do Łukowa, dokąd, pochowawszy poległych, pociągnął też Bolesław, zabierając lżej rannych, a niezdolnych do drogi pozostawiając w Brańsku pod opieką franciszkańskich mnichów. Nie za wicie trudu przyczyniało im oświecanie w wierze

nielicznych niedobitków, którzy ująć nie zdołali i pod groźbą śmierci przyjęli chrzest. Praca nad przemianą wilków w owieczki nie była całkiem bezpieczna i książe zostawił mnichom ochronę, stanowiącą zarazem załogę Brańska, pod dowództwem Szymona Gozdawy.

Niemal całkiem opustoszały gród w wyludnionym do cna kraju Szymonowi również niewiele czasu zabierał, pomagał przeto mnichom w pielęgnowaniu rannych, których książe spisać polecił, by im do domów odesłać odszkodowania i nagrody, gdyby nie zdążyli z księciem Leszkiem zjechać do Łukowa, gdzie rozwiązana miała być wyprawa. Umieszczono ich w wietnicy¹, gdzie łatwiej było zadbać o nich, ale że miejsca dla wszystkich nie stało, część leżała w opustoszałych domach.

Rycerz Szymon, który pamiętał, jak bardzo opieki wymaga bezradny człowiek, niezdolny sam zaspokoić swych potrzeb, trudu nie żałował, by ulgę nieść cierpiącym. W duszne lipcowe noce, gdy leżących w gorętwie dręczyło pragnienie, pozbawiając snu niosącego ulgę w cierpieniach, obchodził leżących po domach, pojąc ich i obmywając. Cierpliwie wysłuchiwał ich skarg i żalów, a nieraz i woli ostatniej, gdy ranny dochodził, by powiększyć wyrosłą nad Bronką mogiłę.

Jednej nocy skwar zdał się leżeć jak ciężkie brzemie, płucom brakło oddechu. Szło zapewne na burzę, bo na niebie nie świeciła ni jedna gwiazda, powietrze stało nie poruszone najlżejszym powiewem. Rycerz Szymon na próżno usiłował zwabić sen. Wstał, i wzięwszy pacholka z łuczywem i wiadrem na wodę, wyszedł z gospody, by obejść rannych, których również nękać musiała bezsenność. W głuchej ciszy dudniły kroki po dranicach, którymi wyłożone były wąskie przejścia między domami. Smolna drzazga niewiele dawała światła i Szymon omal nie nadepnął na człowieka.

W pierwszej chwili sądził, że leżący nie żyje. W wychudłej twarzy pokrytej szpakowatym zarostem widać było tylko wyciągnięty nos i wpadnięte oczodoły. Ale gdy Szymon położył rękę na wilgotnym od potu czole, ciepłe było. Widocznie ranny wyszedł z domu za jakąś

¹ W wietnicy - w budynku rady.

potrzebą i omdlał. Gdy Szymon prysnął wodą na jego twarz, zachłysnął się oddechem i otworzył oczy. Przez chwilę mrugał nimi i szepnął:

-Pić!

Pił długo, pokaszując w przerwach i wówczas czoło jego marszczyło się jakby z bólu. Napojony, zamknął oczy i dyszał chrapliwie. Szymon z pomocą pachołka zaniósł go do izby i złożywszy na postaniu, zauważył przewrócony dzban oraz zgaszony kaganek. Widocznie ranny, chcąc się napić w ciemności, rozlał wodę i dlatego wyszedł, nie mogąc doczekać, by ktoś go napoił. Szymon zaświeceił kaganek, napełnił dzban wodą i odesłał pachołka, by zajrzał do innych, a sam usiadł przy rannym. Zdało mu się, że dochodzi, ale po chwili oddech jego uspokoił się. Otworzył oczy i szepnął:
Rycerz Gozdawa!

- Znasz mnie?

- Wzdyśmy razem przyszli.

Szymon wpatrzył się w twarz rannego, która zdała mu się znajoma:

- Tyżeś Wojtało?

- Niech będzie Wojtało. Jasiek wrócił?

- Poszedł z ksiąźciem Leszkiem i pewnikiem z nim wróci, ale kiedy, nie wiada.

- Nie wiem, zali doczekam - szepnął ranny i przymknął oczy.

- Chcesz mu coś rzec? A może duszę oczyścić? Przyślę któregoś z mnichów.

Ranny zmarszczył się:

- Lakim jak ja nic Iza przyjmować sakramentów. Szymon zrozumiał i zmieszał się. Wyklętemu nawet wody podać nic wolno. Wolał nie pytać, jeno rzekł:

-Na wypadek śmierci, jeśli szczerze żałujesz...

- Nie o mnie sprawa - warknął. - Waguję się, czy Jaśkowi rzec, kto jego rodzicem. Tyżeś mu przychylny. Doradź!

- Żywot mu jestem dłużny. Ale jakożc mam doradzić, gdy tyle jeno wiem, iżc wylęganiec jest i wypowiednik.

- Wylęganiec albo i nic. Kto się na onych prawach wyznawa? Albo co ważniejsze: nasze prawo i obyczaj, co od wieków ten sam, lubo

kościelne, co raz takie, raz inne. Gdy dziad mój swadźbę ślubił, nijkiego kapłana nie było. Ninie i zrękowiny bez tego nieważne. Nasze prawo nie zwala porwanej pojąc, kościelne na opak, byle kapłan był.

- Nie wiem, ale cóż to ma do Jaśka? Rzeknij prosto: tyżeś jego rodzicem?

- Nie, ale mogłem być.

- Chcesz dorady, nie każ zgadywać.

-Poczekaj... Spoczne...

Dyszał przez chwilę, a gdy uspokoił się, zaczął:

-Nijaki ja Wojtało. Sulisław jestem z rodu Jastrzębców, jeno tych, co z biedy nad Mierzawą i Mozgawą w stróżach rycerskich osiedli. I twoi Gozdawici tam siedzą, co jeno z mieczem z Mazowsza przyszli, gdy ich wyгнаł Konrad. Z nich była Żonka, macierz Jaškowa...

- A rodzic?

-Rodzic!! Jeno do lat doszła, za starego Wierzbietę znaku Koźlęrogi ją wydano, co dziadem jej mógł być, choć mnie była przyrzeczona i od dzieciństwa ją miłowałem. Ociec jej mniemał, że jej wianem z włodyczego stanu się wydzwignie... Wyrostkiem byłem, co mi było czynić? Czekać, aż wdową ostanie? Tym mnie mamił, że i ja skorzystam, gdy jej Niegosławice oprawą przypadną.

Nic z onego kupczenia nią nie wyszło. Ni się stary Wierzbietą Żonka nacieszył, ni ociec jej wianem, ni ona oprawą. Przyszedł najazd tatarski, obaj legli pod Chmielnikiem, alem ja o tym nie wiedział, bo nie wiedziałem o świecie. Pod Legnicą bez duszy mnie naszli, gdy szukali zewłoku księżęcia Henryka po bitwie. Co wam będę o niej prawić. Rzeź była takowa, że tylko księżęciu łeb ucięli, jako u nich jest obyczaj, a innym, co legli, jeno po uchu. Pono dziesięć wozów tego nasypali. I moje tam ostało.

Odsłonił włosy zakrywające bliznę i ciągnął:

- Nieskoro się wylizałem, wracać nie było do czego, a nie jeno miecza i szłomu, ale i szat zbyłem, i nagiego mnie z pola unieśli. Gdym się w siłach poczuł, zaciągnąłem się do księżęcia Konrada, gdy z waszym o krakowski stolec wojował. Byłem pod Suchodołem, gdzieśmy klęskę ponieśli, i pod Jaroszynem, gdzie jako wiecie, z li-

tewską pomocą zbiliśmy Bolesława i wielu z krakowskiego rycerstwa w jeństwo popadło. Od nich się dowiedziałem, że Żonka została wdową.

Anim się setnikom nie opowiedział, zabrałem konia nie swojego i pogałem do Niegosławic. Spóźniłem się. Żonkę Przybysław Niesobia siłą uprowadził i w leśnym dworcu koło Książa trzymał.

Jako wiecie, zamęt był wóczas w kraju. Bolesław dzierzył krakowski gród, Konrad się usadowił w gródkach u ujścia Rudawy i w Tyńcu. Nijakiego prawa nie było. Choćby i było, ja nijakiego prawa do Żonki nie miałem, a jakbym i miał, nijak go było dochodzić, gdy dla Bolesława prznicwicrą byłem, a dla Konrada zbiegiem. Nie o prawie myślałem, jeno o pomście, co bym jednakowoż zdziałał sam przeciw możnemu człeku? Dogałem Litwę, co z łupem i brańcami wolno wracała do dom, i zmówiłem gromadę.

Co dużo gadać: wtóry raz Żonka wdową ostała, bo jak się wydało, Przybysław poślubił ją, gdy w ciążę zaszła. Nic Iza wdowę pojąć mężobójcy... Takową przysługęj i sobie oddałem, a już dziecku...

W kraju nijak było pozostać ani po co. Uszedłem na Litwę - i tam miejsca nic zagrzałem. Mniemałem, że zabędę. Im bliżej starości, tym gorzej. Spokoju nigdzie i tęsknica żarła. Lata minęły, przybrałem chłopskie imię, by się przytaić, i wziętem przed się wracać. Widno los chce, bym onemu otrokowi krzywdę wynagrodził, skoro mnie z nim zetknął. Może jeno po to, bym za niego ranę wziął, bo żarliwy jest i pcha się, gdzie śmierć rozdawają, niepomny, że nań dziewczyna czeka. A może po to, bym zaświadczył, jako prawowitym dziedzicem jest Przybysława Nicsobi i dziedzina mu się po nim patrzy. Jeno pewności nie mam.

Skończył i patrzył na Szymona, który słuchał zamyślony, aż w końcu odezwał się:

Wedle naszego prawa z porwaną nic Iza zawrzeć związku, pokąd swobody nie odzyszcze. A choćby wedle kościelnego ważny był, świadków zaślubin trzeba, a gdyby byli zdatni świadkowie onego związku, macierz by mu rzekła, kto iście jest jego rodzicem. Dziedziny Jasiek nie odzyszcze, bo dawność nastąpiła. Łacnie by każdemu przyszło stan rycerski mu naganie. Po to trawą zarosłe mogiły rozko-

pywać, by upiora wypuścić? Jenó byś mu jeszcze żywót zamaćił. Książę zasłużonych nagradzać będzie, ani chybi do rycerskiego stanu go podniesie, pojmie Jasiek swoją dziewczynę i spokojny żywót przed nim.

- Rodowe rycerstwo za nic będzie miało barczalkę - powiedział Sulisław z powątpiewaniem, Szymon jednak odparł:

- Ale książę wyżej cenią wyniesionych za własne zasługi i potrzebniejsi mu oni. I twoje, jak mniemam, nie pozostaną bez nagrody, pono większe niż Jaśkowe; będziesz mógł do czci i mienia wrócić, tedy krzep się.

- Niechaj idą na Jaśkowy poczet. Ja już Wojtałą ostane, by się zaś przed nim nie wydało, zem ja mu rodzica ubił. Rad bym choć przyrzec się ich szczęśliwości, skoro mnie ominęła.

Czekając na powrót Leszka, Bolesław czasu nie tracił, a nie brakło spraw ni trosk. Prócz bieżących, sądowych i gospodarczych, uładzić należało zabezpieczenie świeżo odzyskanych ziem Podlasia. Wstrząsana wojną domową Litwa na razie nie była groźna, ale pozostawał drapieżny Swarno, który nie omieszkałby skorzystać ze sposobności, by rozszerzyć swą dzielnicę.

Sprawa była trudna, zawiła i drażliwa. Książę uradzał nad jej rozwiązaniem z wojewodą Piotrem i kasztelanem Tomkiem, na którego barki spaść miała troska o bezpieczeństwo i zagospodarowanie odzyskanych ziem.

Bolesław miał własne zdanie, wolał jednak, by się wypowiedział kasztelan; chciał mieć pewność, czego się po nim może spodziewać. Już poprzednio bowiem, zarówno wśród możnowładców, jak i rodowego rycerstwa, szemrano, że książę zachęca chłopów do zbiegostwa, nie ściga przestępców i pospolituje stan rycerski nowymi ludźmi. Teraz trzeba będzie to czynić na szeroką skalę, i to w obecności zebranego rycerstwa, które, mimo że nadszedł żniwny czas, nie rozjeżdżało się do domów, czekając na wynagrodzenie szkód i nagrody, z doświadczenia wiedząc, że jeśli nie otrzyma ich zaraz, lata na wyrówna-

nie czekać przyjdzie. Dołączało się rozgoryczenie krwawymi stratami i Bolesław rad by był zaspokoić i odprawić buntowniczy żywioł. Tymczasem jednak całą gotowiznę, jaką miał pod ręką, wydał na wyrównanie należności najemników, bo nie zapłaceni już rabować zaczęli, a wysłany podskarbi Bestrzyk z poleceniem ściągnięcia pieniędzy skąd się da, choćby zastawić kopalnie i żupy, nic wracał.

Bolesław polecił też wezwać do Łukowa kanclerza z pieczęcią i skrybami, by choć w części zaspokoić rycerstwo przywilejami i nadaniami. Niedawno jeszcze starczyło zatwierdzenie przy świadkach, teraz - wzorem kościołów i klasztorów - każdy pergaminu się domaga z książeczą pieczęcią, by prawa swe i przywileje stanu zabezpieczyć, a bodaj i sfalszować.

Kasztelan Tomko sam rozumiał, że nie ma innego sposobu zasiedlenia i obrony odzyskanego kraju, wojewoda Piotr jednak powiedział:

- Nic wiem, zali nie ważniejsze, by ład i prawo nie naruszone zostały. Stanowi rycerskiemu służy prawo swych zbiegłych chłopów dochodzić, a występnych kaźnić, i odebrać go sobie nie zwoli. Nie będą kasztelanowie zbiegów chwytać i wydawać, rycerstwo samo to czynić zacznie. Chcecie tego czy innego włodyczkę czy ściereiałkę do stanu rycerskiego podnieść, wasza sprawa. Ale w czambuł to czynić?! Dość się rycerstwo krzywi, że obcym przybłędom w miastach przywileje nadajecie, jakie drzewiej jeno rycerskiemu stanowi służyły. Naruszenia swoich praw siłą gotowi dochodzić.

Bolesław, który słuchał z rosnącym rozdrażnieniem, odparł:

-Jeszcze w moim ręku przywileje, i temu je nadam, kto zasłuży. I jam jeszcze sędzią najwyższym. Wiem ci, że wiciu takich, co książęcia jeno na pieniądzu lubo pieczęci oglądać radzi, a moje prawo łąski jeno dla buntowników. I ja swoich praw siłą będę bronić, bo już zadość je okroili.

Wojewoda, zaskoczony wybuchem łagodnego i powolnego zazwyczaj księcia, rzekł:

- Nie miejcie mi za złe, co mówię, bo nie grożę, jeno przestrzegam, i bogdajbym się mylił.

Szemranie istotnie zaczynało już przechodzić we wrzenie, hamowane jeszcze przez rozsądniejszą część rycerstwa, które rozumiało trudności księcia, gdy nadjechał skarbnik z pieniędzmi, a wraz z nim kanclerz Paweł z pieczęcią i kancelarią. Nie czekając nawet na powrót Leszka, książę polecił spisywanie szkód i strat oraz wystawianie dokumentów, gdy wreszcie nadciągnął i Leszko z Sieradzanami, a wraz z nim rycerz Gozdawa z ozdrowieńcami z Brańska, i można już było przystąpić do rozwiązania wyprawy.

Książę z dworem i kancelarią stał gospodą przy placu targowym pośrodku grodu, w obszernym domu, który mu kasztelan na czas pobytu ustąpił, sam przenosząc się do podmiejskiego dworku, gdzie od wiosny bawiła Sławka, tu oczekując ustalenia swego losu. Czas spędzała na samotnych wędrówkach, cisza i spokój panujący w dworku udzielały się jej, mimo że wiedziała, iż z wojny nie wszyscy wracają. Ale wiedziała też, że Jasiak wraz z Wojancem i zebraną przez niego gromadą służyć mają za przewodników, a nie udział brać w walkach, on zaś wie, że los jej leży w jego ręku. Gdy czasem nachodził ją niepokój, wspominała wspólnie przeżyte niebezpieczeństwa, sprawność i obrotność Jaśka, krzepiąc tym nadzieję.

Spokój jej i cierpliwość skończyły się, gdy gród i podgrodzie zaroily się powracającym wojskiem. Natychmiast pobiegła, by dopytać się, czy Jasiak nie wrócił, ale spotkał ją zawód. Mimo iż od kasztelana dowiedziała się, że pociągnął z księciem Leszkiem, codziennie teraz tkwiła w mieście, nie zważając na niezbyt przystojne zaloty swawolników. Raz napotkała stryja Radosława, który jednak jej nie poznał lub udał, że nie poznaje - innym razem Żcgotę Toporczyka. Wraz z bratem Ottonem, podkomorzym krakowskim, i rodowym hufcem stali obozem opodal kasztelańskiego dworku. Żegota powitał ją życzliwie, ale ostrzegł zaraz na wstępie:

- Po mieście się nie kręć, bo przyjechał ów lubieżnik w sutannie. I innych nie brak, a także wszetecznych dziewek, które zawsze do wojska ściągają jako muchy do krwi. Po cóż ci się na zaczepki wystawiać? Wiem ci ja, kogo upatrujesz, najdziesz go bez szukania, gdy książę zasłużonych nagradzać będzie, bo znaczną usługę oddał, książę-

żęciu Leszkowi wieści przynosząc. Skoro to już, bo Leszka ino pa-
trzeć, a onże junoszka ani chybi sam ciebie poszuka, skoro pewnikiem
od rycerza Gozdawy wie, żeś aże tu za nim zjechała.

Sławka rozumiała, że rada jest rozsądna, niemniej z trudem hamo-
wała niecierpliwość. Nie była też wolna od niepokoju, nie tylko, czy
Jasiek nie poniósł szwanku, ale jaki wróci. Pożegnała go wyrostkiem,
teraz to już dojrzały młodzian. Wówczas ich skłonność ku sobie była
jeszcze dziecinna, jak dziecinny był pocałunek, którym ją pożegnał.
Teraz płoniła się na to wspomnienie. I ona się zmieniła. W jednym
tylko nie zmieniło się nic: nie wyobrażała sobie życia bez niego. Tyl-
ko przy nim znajdzie spokój i poczucie bezpieczeństwa i tylko to jest
ważne. Nic potrafiła się nawet cieszyć wiadomością, że Jasiek przy-
sługę oddał księciu, za którą zapewne do rycerskiego stanu będzie
podniesiony, że będzie ją mógł pojąć wedle obyczaju, a potomstwo
w prawach nic będzie upośledzone. Czas miała przemyśleć. Gdyby to
było najważniejsze, mogła się już ustalić oddając rękę Krystynowi
Gozdawie. Też nie miałą przysługę jej oddać, gdyby nic Jasiek, nic wa-
hałaby się posłuchać rady starej Bogusławy. Doświadczona była
i życzliwa, ale to właśnie wspomnienie budziło w Sławce niepokój.
Bogusława mówiła, że tylko rodzicielskie miłowanie każdej burzy się
oprze, nawet czasowi i śmierci. Ale Jasiek pamiętał o przyrzeczeniu,
skoro z wieścią przysłał Wojana, z krwawej bitwy pod Brańskiem
wyszedł cało, a oczyszczanie kraju ze zbiegów i niedobitków nie kry-
ło większego niebezpieczeństwa.

Tym się uspokajała, ale jakiś nieokreślony niepokój nurtował ją nadal.

O powrocie reszty wojsk dowiedziała się zaraz i w pierwszym od-
ruchu biec chciała do miasta, ale powstrzymał ją rozsądek. Odszuka-
nie kogoś w tłumie kilkudziesięciu tysięcy ludzi nic było łatwe, dzień
zresztą miał się już ku schyłkowi, a Żegota miał słuszność mówiąc, że
Jasiek niewątpliwie sam się znajdzie.

W dworku spało już wszystko, ale Sławka czuła, że nie zaśnie.
Usiadła na podcieniu i wpatrzyła się w ciemność, rozjaśnianą chwi-
łami przez letnie błyskawice na nieboskłonie, zwiastujące pogodę. Po-

tem wychylił się księżyc, zrazu czerwony i spłaszczony, ale błędną wzbijając się i jał przesiewać srebrzystą poświatę przez gałęzie sadu. Z zadumy obudził Sławkę szelest kroków na żwirze ścieżki. Ktoś nadchodził, postać to wynurzała się z cienia, to niknęła. Zatrzymał się przed Sławką i przez chwilę stał w milczeniu, po czym zapytał:

- Nie poznajesz mnie?

Nie poznawała istotnie. Pamiętała Jaska krępyim wyrostkiem. I teraz zdał się krępyim, ale gdy zerwała się, wyciągając ręce, o pół głowy ją przenosił, choć i ona wyśmigła w górę. Ujął jej dłoń, przyciągając ku sobie, ale wyrwała ją zapłoniona i usiadła, bo nogi pod nią drżały. Dawna dziecięca poufałość gdzieś się zapodziała, oboje nie wiedzieli, jak do niej powrócić. Usiadł obok Sławki, szerokie dłonie położył na kolanach i milczał. Tyle było do powiedzenia, że nie wiedzieli, od czego zacząć. Ale gdy raz pękła tama milczenia, mówili jedno przez drugie, to wracając do wspomnień, to wybiegając w przyszłość. Nic spostrzegli się, jak uszła krótka noc letnia, księżyc zaszedł, a niebo na wschodzie jęło przybierać zielonawą barwę. Cisza nocna ustępowała wraz z mrokiem, odezwały się pierwsze ptaki. Jasiak wstał z westchnieniem:

- Trzeba mi do miasta. Bramy wraz będą rozwierać.

- To w mieście stoisz? Jakożeś wyszedł po zachodzie?

- Nie. W mieście gospody jeno dla dwom, dostojników i ozdrowieńców, którym starunku potrzeba. My, z rycerzem Gozdawą, Wojanem i naszą gromadą, obozem stoim, ale druha jednego odwiedzić chcę, który ranę odniósł pod Brańskim, a omal nie zbył żywota.

Zamyślił się i ciągnął:

- Aże mi dziw, co sobie we mnie uwidział; Wojtało się zowie, ale na chłopca nie patrzy, jeno o sobie nie gada. Dla wszystkich opryskliwy jest, a dla mnie jako ociec dla częda. I prawdę rzec, żeby nie on, byłbym żywota zbył, bo mnie w tłoku obalono, a on mnie sobą nakrył i ktoś ci go nożem pchnął w plecy.

- Zabyłeś, że czekam na ciebie - powiedziała z wyrzutem. - Wždy jeno za przewodnika miałeś być.

Zmieszał się, ale odparł:

- Kto tam w bitce o czym innym myśleć wydoli, niżli jak wroga zwalić! Albo ino patrzeć, jak inni giną. Krzepki jestem, wstydno byłoby na uboczu stać, ani bez myśl nie przeszło, bym i ja miał zginąć.

- Ani co ze mną będzie, gdyby ciebie nie stało? - przerwała. - Ja o tobie nawet we śnie nie zapominam.

Zadumał się i rzekł:

- Żeby kaźden jeno o swej skórze pamiętał, tobyśmy onej bitki pod Brańskiem nie wygrali, choć nas dwakroć tyle było, co Jadźwieży. Z nich ni jeden oręza nie cisnął, póki na nogach stał, choć takóž niewiasty mieli i częda. Gdyby nasi pamiętali, że łacniej się społem bronić niżli kaźden swego, żyłby twój rodzic i stryk, i przeor Sadok. Dlatego i książę, nowe nadania czyniąc, nijakich zwolnień od wojennych powinności nie udzielają. Tedy nawyknać musisz, że nieraz mi jeszcze w wojennej potrzebie stawać przyjdzie, a już słyszę, Swarnowi z kolei mamy napaści obrzydzić; nie lutaj, bo chyba nieprędko, za dość jadźwieska wyprawa krwic i srebra upuściła. Ninie radować się nam, że się kończy rozłąka.

Patrzyła za nim, póki nie zniknął. Jasno już było, lada chwila ukaże się słońce. Po nie przespanej nocy Sławkę ogarnęła senność. Weszła do domu i, jak stała, ułożyła się na spoczynek.

Z głębokiego snu obudziła ją klucznica, mówiąc:

- Ktoś ci dopytuje się o ciebie.

Sławka z trudem zbierała zmysły, usiłując odgadnąć, kto mógłby jej szukać. Zdziwiła się, poznając Wojana. Nic pozdrowiwszy jej nawet, zapytał:

- Kiedy Jasiak stąd odszedł i dokąd?

Zapłoniła się i zawahała z odpowiedzią; ciągnął szorstko, ale w głosie jego wyczuła niepokój:

- Nic mi do tego, coście działali, jeno gdzie Jasiak?!

- O brzasku odszedł. Mówił, że idzie odwiedzić ranionego druha.

- Wojtałę? Wždy od niego przychodzę, a do grodu jeno dwa stajania.

- Jezu! - wyszeptwała pobladyłymi wargami. - Co się stało?

Uchwyciła Wojana za rękę, jednak ten cofnął ją, mówiąc:

- Nie wiem, ale się dowiem.

Widząc, że oczy jej szklą się od łez, dodał miękko:

- Spokojna bądź. Żebym miał gród zwywracać, najdę go.

Sam jednak nie był spokojny. Główkę ktoś schwytał: miał z nim na pieńku Radosław z Dębna, miał i podsędek łukowski, Jędrzej Rogala. Wojan hamował wzburzenie, starając się przemyśleć, co mu uczynić wypadnie. Książę zapewne kazałby pojmanego zwolnić, ale dopchać się do księcia nie będzie łatwo, bo od rana już tłumy czekały na to przed domem kasztelana. I należało mieć pewność, kto Jaśka porwał. Gdy się połapie, że pojmanego szukają, schowa go lub gorzej jeszcze.

Na tę myśl Wojanowi aż włos zjeżył się na głowie. Zwłoka może być zgubna. Zamiast do grodu skierował się do obozu, po drodze zastanawiając się, czyby o sprawie nie pomówić z rycerzem Gozdawą, który niewątpliwie nie odmówiłby swej pomocy. Rozmyślił się jednak. Szymon mógłby być przeciwny użyciu gwałtu, a Wojan nie na wiatr mówił, że Główkę wydostanie, choćby miał gród zwywracać. Doszedłszy do obozu, skrzyknął dziesięciu co cięższych chłopów ze swej gromady i skierował się do grodu. Idąc rozmyślał, od czego zacząć. Radosław stał gospodą w mieście, jego poczet w obozie. Mógł wiedzieć o obecności Jaśka, ale raz go jeno widział, cztery lata temu. Trudno, by go poznał, a spał zapewne, gdy bramy otwierano o świcie. Łatwiej mógł poznać Jaśka podsędek, a straż i lochy mając pod ręką, schwytać i schować nicprzezornego. Nikt inny nie mógł mieć nic przeciw Jaškowi. Bójki w podchmielonej przeważnie ciżbie nie były rzadkie i straż kasztelańska dość miała roboty, by ład utrzymać, ale jedyna karczma zamknięta była jeszcze o świcie, a opoje dopiero wydychiwali wczorajszy chmiel.

Teraz jednak dawno już była otwarta, a w tłumie koło niej kręciło się kilku pachołków kasztelańskich, pewnie by pilnować porządku. Przy wejściu do stojącego obok kościoła kilku innych ustawiało na kozłach podwyższenie. Wojan zwrócił się do strażnika, który widocznie nadzorował pracę, i zapytał:

- Po co to? Tracić będą jakowego obwiesia?

- Gdzie zaś - odparł zapytany. - Po niesporze książę pasować mają nowych rycerzy.

Otarł pot z czoła, bo słońce doskwierało silnie, i ciągnął:

- Chwalić Boga, że koniec już będzie. Ani się wyspać, ani piwa napić. Sterczeć tu od świtu do mroku, o suchej gębie, a w nocy jeszcze człek dobrze nie zasnął, już go budzą na strażę. Dobrze jeszcze, jeśli mu się nie oberwie, gdy bitników rodziców przyjdzie.

- To od świtu tu stoisz? - zapytał Wojan, namyślając się, jak dowiedzieć się, co zaszło z Jaśkiem, nie zdradzając, o co mu chodzi. - Ale rano chyba spokój jest, póki łbów nie zaprószą?

- Różnie bywa, bo i rzezimieszków nie brak, jako zwykle w ciżbie, a i od nierządnych dziewczek o różnych porach wracają albo i leżą do nich. A nie dalej jak dziś o samym świcie bitka była, bo strażnik poznał łotrzyka, co go koniem ongiś stratował, gdy go chwytać chciał. Będzie się dobrze miał, bo pono samego pana podsędka potłukł i znieważył.

Wojan już wiedział, co chciał, ale nic wiedział, co dalej poczynąć. Popędliwość doradzała nic czekając odbić Jaśka siłą, rozumiał jednak, że może się to nic udać. Jeśli zacznie się bitka, ludzi miał za mało. Przelknął ślinę, by głos nie zdradził wzburzenia, i powiedział:

- Właśnie do pana podsędka mam sprawę. Gdzie go najdę?

- Pewnikiem śpi w domu, bo w nocy strażę obchodził odparł za-pytany. Wskazał dom koło przybramnej baszty i dodał:

- Tam żywic.

- A kasztelan gdzie? - zapytał Wojan. Gdyby Tomek Kościcsza dowiedział się o zasługach Jaśka, może poleciłby zwolnić go. Strażnik odparł:

- Szedł do pana.

Wojan jął się przeciskać przez tłum przed dworcem kasztelana, ale przy wejściu do sieni stał komornik, który go nie wpuścił, mówiąc:

- Pan przyjmuje jeno tych, których wezwie. Wszyscy tu na to czekają - wskazał na tłum - czekaj i ty.

Jasne było, że nierychło doczekają. Na myśl o tym, co czuje Jasiek, zapewne sponiewierany siedząc w lochu, zamiast gotować się na uroczystość, która miała być uwieńczeniem jego marzeń i zabiegów, Wojan przestał się wahać. Skinał na swoich ludzi i skierował się ku strażniczej baszcie. Do strażnika, który stał przy wejściu, powiedział:

- Zawołaj dziesiętnika. Gdy ten nadszedł, zaczął:

-Pojmaliście tu rano jednego otroka. Książę kazali stawić go przed sobą.

Dziesiętnik obrzucił Wojana podejrzliwym spojrzeniem i odparł:

- Dziwne to, że nic komornika przysłali, ale nie moja sprawa, bo klucz od kabatów ma pan podsędek Rogala.

Patrzył za Wojanem, który ze swą gromadą skierował się do domu podsędka, i coś mu się w tej sprawie nie podobało. Dziesięciu chłopów nie potrzeba, by odprowadzić jednego łotrzyka. Ze straży książęcej nie byli na pewno, sami na łotrów wyglądali. Zatrzymali się przy wejściu do domu podsędka, gdy Wojan wszedł do wnętrza. Po chwili kilku weszło za nim, pozostali ustawili się, jakby broniąc dostępu do domu.

Dziesiętnikowi sprawa coraz bardziej zdała się podejrzana, czekał jednak, co dalej będzie. Niedługo trwało, gdy Wojan ukazał się znowu i podszedłszy do dziesiętnika powiedział:

- Tu są klucze od kabatów. Wydaj więźnia.

Dziesiętnik jednak nie sięgnął po klucze, lecz rzekł:

- Jeszcze się nie przygodziło, by pan podsędek komuś klucze zawierzył, a już obcemu! Pójdę ja sam zapytać, co mi uczynić.

- Pan podsędek dość się pieklił, żem mu wypoczynek zakłócił - rzekł Wojan. - Ale chcesz, tedy pójdź!

Puścił dziesiętnika przed sobą, a gdy ten wszedł do sieni, podciął mu nogi i, obaliwszy go, krzyknął na swoich:

- Gębę mu zatkać i dźrzyżyć, pokąd nic gwizdnę. Potem ubieżyć do obozu.

Skinął na pozostałych i skierował się do baszty przybramnej. U wejścia do lochu stał strażnik, który zastąpił mu drogę, mówiąc:

- Nikomu wchodzić nie Iza bez przyzwolenia kasztelana lubo podsędka.

- Mnie to niepotrzebne, a potrzebne tobie, idź, zapytaj.

- Tu mam stać, dopokąd mnie nie zmienią - odparł strażnik.

- Tedy stój, ale ruszysz się lubo rozewrzesz gębę, to weźmiesz przez łeb, że nie będziesz stał - warknął Wojan, wskazując go towarzyszom.

Odepchnął strażnika, zbiegł po schodach, przez chwilę mocował się z kłodą i otworzył drzwi do lochu. Małe okienko pod powalą ledwo rozpraszało ciemność na tyle, że Wojan rozróżnił kilka postaci, i zawołał:

- Jasiek! Pójdź, a prędko.

- Wojan! Tyżeś to? W dybach siedzę.

Wojan poskoczył na głos, namacał dyby, otworzył zawory, ale Jasiek nogi miał tak zdrętwiałe, że nie mógł stanąć. Wojan zadał go sobie na barki i wypadł z lochu, a w ślad za nim kilku drabów, którzy rozpierzchnęli się na wszystkie strony. Gwizdnął przeraźliwie i nie bacząc, kto za nim, ruszył do bramy, i nim stojący przy niej strażnicy połapali się we wrzaskach towarzysza, by chwycić zbiegów, wmieszał się w ciągnący zewsząd ku grodowi tłum i zniknął im z oczu.

Przy bramie wszczął się rozruch, krzyki strażnika, a potem podsędek, który nadbiegł po chwili, sponiewierany i rozjuszony, ściągnęły gromady gapiów i długo trwało, nim uspokoiło się na tyle, że zdołał dopytać się o zbiegów. Nic chodziło mu o opojów i rzezimieszków, lecz Głównce, a bardziej jeszcze Wojanowi zaprzysiągł zemstę. Nie trudno było domyślić się, że on właśnie niósł towarzysza, i podsędek miał nadzieję, że to naprowadzi go na ich ślad. Ściągnął straż i ruszył za miasto, wypytując przechodzących o Wojana. Zrazu zdało mu się, że jest na tropie, bo ten i ów widział człowieka, który niósł towarzysza, jak sądzili, spitego na umór. Ale Jasiek po chwili odzyskał władzę w nogach na tyle, że mógł sam iść, i ślad zaginął.

Choć podsędek ślubował sobie, że wydostanie przestępców choćby spod ziemi, rozumiał, że sam ich poszukiwać nic może. Nie cofną się przed gwałtem, a mieli współników. Na własną rękę nie może zabrać większego oddziału straży, która dość miała pracy w niesforsnym zbiegowisku. Należy zawiadomić kasztelana, niechaj co trzeba zarządzi.

Wieść o zaginięciu Główki była dla Sławki wstrząsem tym większym, że spadła na nią po latach zwątpienia i tęsknoty, gdy zdało się już, że nadszedł ich kres. Zapewnienie Wojana, że znajdzie Jaśka, bynajmniej jej nie uspokajało, beczynne czekanie na to zdało jej się nieznośne. Zebrała się i ruszyła ku miastu, zdając sobie jednocześnie sprawę, że ludzi samą siebie, iż zdoła coś zdziałać, a rozpytujac

o Jaśka w swawolnym tłumie narazi się tylko na nieprzystojne zaczepki lub zelżywe uwagi, przed czym przestrzegał ją rycerz Żegota.

To był jedyny życzliwy człowiek, jakiego tu znała. Nie namyślając się więcej skierowała kroki, gdzie obozem stał poczet Toporczyków pod rodowym znakiem zatkniętym przed większym od innych namiotem.

Szcześnie zastała go, jak z bratem Ottonem przybierali się, by iść do miasta. Wysłuchawszy opowiadania Sławki, Żegota powiedział:

- Rozumiem, że ci czekać nie po myśli, tedy pójdz z nami. Na niczspór czas jeszcze, popytamy, choć, zda mi się, nie trzeba, skoro, jak prawisz, ów Wojan szukać poszedł twego Jaśka. Ale spokojna bądź, bo i cóż się stać mogło? W bitkę jakową się wdał i zawarli go do kluzy. Posiedzi i puszcza go, chyba - Boże uchwaj - że ubił kogo. Ale o tym kasztelan by wiedział. Dowiemy się.

Sławka przybladła. Raz już Jasiek ubił człowieka we własnej obronie, uchodzić musiał i kosztowało ich to lata rozłąki. Teraz, gdy księżę zasłużonym na wyprawie przyrzekł niepamięć dawnych uczynków, znowu mogło zajść coś, co przekreśli nadzieję. Drżącymi wargami powiedziała:

- Napastowany mógł to uczynić. Jeno nie ma tu przewielebnego Prandoty, by mu uwierzył.

- Po cóż o najgorszym myśleć - wtrącił się Otton. - Gdy księżę bawia w mieście, do niego sąd należy albo i zgoła wybaczenie. A jeśli jeno zwyczajna bitka była, rycerz Gozdawa o onego Główkę może się upomnieć. Onż nad przewodnikami był sprawcą, Główkę do nagrody księżęciu zalecił, tedy i za nim orędować będzie. Stoi tu opodał, pójdzmy do niego.

Sławka odetchnęła z ulgą. Jasiek opowiadał, co mu rycerz Szymon zawdzięcza, pewna była, że za nim będzie obstawał, byle go Wojan odnalazł.

Do obozu, gdzie stał Gozdawa ze swą setnią i przewodnikami, nie było daleko. Rycerz przybierał się również, by iść do miasta. Gdy Sławka opowiedziała mu, co zaszło, zakrzyknął:

- Ani chybi złowił go podsędek, którego, było, Jasiak potłukł, a strażnika koniem stratował. Nie trapi się - dodał - księżę zabronili mieć zbiegów i wypowiedników, tedy Jaśka wypuścić nakazał...

Urwał i patrzył szeroko rozwartymi oczyma, jakby im nie wierzył, na nadchodzącą od miasta gromadkę, na której czele szedł Wojan, prowadząc pokrwawionego Jaśka, z trudem trzymającego się na nogach. Sławka przez chwilę stała jak ołśniona, po czym skoczyła na przeciw i ścisnąć ją Jaśka, zarazem śmiejąc się i płacząc. Szymon zwrócił się do Wojana:

- Gdzieżeś oną zgubę odnalazł?

- Podsędek go w dyby posadził.

- Tak i myślałem. Rogala pamiętliwy jest, nic zabył, że go Główka sponiewierał. A kto niechał go wypuścić?

-Ja.

Gozdawa milczał przez chwilę. Łatwo mu się było domyślić, jak zadzierzasty Wojan mściwego podsędka przekonał.

- Tedy się nie obeszło bez gwałtu - powiedział zasumowany.

Trzeba było do księżęcia się udać. Ani chybi, niechałby Główkę wypuścić. Sprawiedliwy jest i łaskawy.

Wojan wzruszył ramionami:

- Dobry pan, złe psy - burknął. - Komornik mnie do księżęcia nie wpuścił. A podsędek niechaj rad będzie, że jeno po gębie dostał, skoro księżęgo słowa uszanować nie chciał.

- Nic wiedział o tym pewnikiem. Zniewaga urzędnika nie ujdzie bezkarnie.

- Jaśkowi? Podsędek bezprawnie chwytać go kazał, tedy się bronił.

-Tobie. Dawne przewinienia księżę w niepamięć puścili. Mogłeś spokojnie w kraju osiąść. Po cóż ci je było znowu popełnić, skoro Jaśka podsędek i tak zwolnić by musiał. Po prawdzie moja powinność miał cię.

- Spróbuj - syknął Wojan. - Jasiak w dybach na nagrodę miał czekać? O siebie się trapić, nic o mnie. Księżę jeszcze dziękować mi winni, że ich słowu uchybić nie zwoił, a podsędek, że mu jeno

z nosa juchy upuścił. Mogło mu się gorzej przygodzić, żebym się nie miarkował, na Jaśka mając wzgląd.

Toporczycy w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie. Teraz podkomorzy Otto wtrącił:

- Stało się. Z tego, co gadacie, widno, że Rogala prawo miał za sobą, skoro kasztelan onego Główkę imać przykazał, a książę imiennie niepamięci nie ogłosił. Pójdźmy do pana sprawę wyjaśnić, by się na onym otroku nie skrupiło, gdy podsędek od siebie ją przedstawi. Ty zasię - zwrócił się do Wojana - radziej ubieźaj, bo gwałt i zelżywość uczyniona urzędnikowi przez człeka niskiego stanu to główna sprawa.

- Niskiego stanu! - zaśmiał się Wojan. - Mójżc Biały Kozieł nie młodszy od waszego Starego Konia. Ja głowę, jako widzicie, jeszcze noszę, a kto po nią przyjdzie, swoją przyniesie.

Otto machnął ręką, ale Żegota, który patrzył na Wojana, jakby sobie coś przypominał, teraz odezwał się:

- Tyżeś ów Wojan Wilczek, który komornika Świętosława Grabię z Gościmina ubił, a książęcych pachółków potłukł?

- Jam ci jest. Jako widzicie, uchowałem się. Nic o mnie sprawa, jeno o Jaśka. Miał być po nieszporze rycerzem pasowan. Jakożc mu teraz w grodzie się pokazać, gdy rzekomo podsędek praw był, imając go.

- Wždy mówię, że pójdziemy do pana wyjaśnić, jako było - rzekł podkomorzy Otto, ale Szymon zasumowany rzekł:

- Praw, niepraw, a Rogali nie braknie tu swojaków, co za nim będą stawać. Choćby wbrew książęciu pomsty szukać będzie za uczynioną mu zelżywość. Lepiej, by się i Jasiek schował.

Tymczasem Główka, umyty i napojony przez Sławkę, domyślając się, że o nim mowa, zbliżył się.

- Pokąd się będę chował - rzucił zawzięcie. - Pójdę po swoją nagrodę, jeno nie bez oreża, jak raniej.

Sławka niespokojnie uchwyciła go za rękę, a Gozdawa powiedział:

- Bitkę zacząć łacno, a jak się skończy, nie wiada - ale Żegota wtrącił:

-Nie pójdzie sam. Idź się przybrać przystojnie - powiedział do Jaśka. - Książę ani chybi słowo swe zdzierży, a poważy się podsędek

wbrew księżęciu porwać na Jaśka, ze mną będzie mu sprawa. Pośpiesz się, bo pora nam iść do miasta - zwrócił się do Główni.

Sławka z wdzięcznością spojrzała na Żegotę, ale nie była spokojna. Nie chciała znowu czekać w niepewności, jak się sprawy obróca:

- Pójdę z wami - powiedziała.

- Lepiej, byś ostała - odparł Żegota. - Ale chcesz, to pójdz, bo tam mniemam, że Rogala dwa razy pomyśli, zali mu wróżdę wszczynać z Toporczykami o tego otroka.

Podskarbi Bestrzyk opróżnił już przywiezione miechy ze srebrem, kanclerz Paweł skończył przywieszać pieczęcie na dokumentach, a świadczący na nich dostojnicy czekali na księżąt, którzy w przyległej komorze przybierali się, by iść do kościoła na nieszpór. Tłumy przed domem kasztelana zrzędyły, a gromadziły się teraz przed karczmą.

Kasztelan Tomek Kościcsza z ulgą myślał, że wkrótce kres już będzie zbiegowisku, wśród którego trudno było ład utrzymać. I teraz dochodzące z dworu odgłosy świadczyły, że karczma ma duże powodzenie. Ale dochód przypadnie plebanowi, a jemu kłopoty. Spokoju nie ma we dnie ni w nocy, a na dobitkę, odstąpiwszy swój dom księciu dla dworu i kancelarii, po kilka razy na dzień chodzić musiał do dworku na podgrodziu. I teraz, skończywszy świadczyć, zbierał się, by iść tam przybrać się na uroczystość, gdy z sieni doszedł go głos podsędka, widocznie podniecony. Z niechęcią pomyślał, że zaszło coś poważniejszego, skoro Jędrzej sam się z tym nie uporał.

Wygląd jego świadczył, że kasztelan się nic mylił. Rogala nos i wargi miał spuchnięte, ogromny siniec pod okiem przybierał już ciemną barwę. Kasztelan słuchał zachmurzony, jak podsędek pieniąc się opowiadał, co mu się przygodziło. Sprawa była niebłaha, ale odszukanie sprawców w zbiegowisku niełatwe. Na dobitkę, wnioskując z przebiegu zajścia, należało liczyć się z oporem. Kasztelan miał mało ludzi i już byli przeciążeni, a w mieście potrzebni. Powiedział:

- Sprowadzić tych ze straży, którzy widzieli sprawców, a ja pójde prosić pana, by przydzielił im zbrojnych.

Podsędek pobiegł co prędzej, a kasztelan czekał dość długo, zanim komornik wezwał go do księcia.

Bolesław, już przybrany, pożywał się w towarzystwie księcia Leszka. Z roztargnieniem słuchał opowiadania kasztelana, dość miał innych trosk. Gdy Kościesza skończył, powiedział niechętnie:

-Dobrze! Pójdźcie do chorążego sandomierskiego, Gniewomira, niechaj wam pocztowych przydzieli ze swego hufca. Chwytajcie sobie łotrzyków, a potem sądzcie ich sami, bo ja bym snadnie tych pokarał, co sobie klucze od kabatów wydrzeć i więźniów wypuścić zwolili.

Kasztelan wyszedł zły. I on miał dość innych trosk, a przede wszystkim pilniejsze było przybrać się na uroczystość, niż szukać w tłumie Gniewomira, który bez szukania znajdzie się w kościele. Do podsędką, czekającego już przed domem z dziesiętnikiem i trzema strażnikami, powiedział:

- Pan przyzwolił ludzi z sandomierskiego hufca. Najdziesz chorążego, rzeknij mu. Ja idę się przybrać i pożywić.

Po wyjściu kasztelana Bolesław zamyślił się chmurnie. Zmęczyła go wyprawa, a nic wypoczynek go czekał. Leszko natomiast, jakby ubawiony, uśmiechał się i po chwili zapytał:

-Nad czym sumujecie, miłościwy stryku? Że jeden podsędek po gębie dostał? Im mniejszy dostojnik, tym bardziej włość mu do łba uderza i rad ją wywierać, na kim wydoli.

- Iście tak. A na nasz poczet to idzie, jakby w naszej mocy było każdemu na ręce patrzeć. Zasię za krótkie ma, to do mnie, bo powaga urzędu na tym cierpi. Jakby nie sprawiedliwość, jeno srogość powagi mu dodawały. Ciężkie ci kiedyś brzemię dźwigać przyjdzie, jeno może mocniejszy będziesz niżli ja, com od dzieciństwa jeno uginać się musiał a baczyć, by jakowego wielmoży nie urazić, bo dla nich książęca włość jak ciżmy, co sieje zmienia, gdy uwierają.

Gorzkie słowa księcia przerwał wzmagający się hałas w sieni domu. Wrzała kłótnia, ktoś zdał się ją uspokajać, ale bezskutecznie. Bolesław zmarszczywszy się gniewnie, rzekł do Leszka:

- Owo jak książęcia szanują. Skocz do komornika, niechaj wyznać każe opojów.

W tej chwili jednak hałas ustał, a w drzwiach zjawił się komornik, mówiąc:

- Panowie Toporczycy i pan Rogala spraszają się do waszej miłości.

- Niech wejdą- powiedział Bolesław niechętnie. Wstał, by zaznaczyć, że nie zamierza wiele czasu im poświęcić. Nie odpowiadając na powitanie, zapytał:

- O co sprawa? Jeno krótko, bo pora nam na nieszpór.

- O gwałt i bezprawie - wybuchnął podsędek. - Kasztelan z przyzwoleniem waszej miłości imać niechał odrapańca jednego, który mnie zelżył, po dwakroć sprawiedliwości uszedł, a ninie ci owo panowie imać go nic dali, siłą odkazując.

- Z moim przyzwoleniem? - zapytał zdziwiony książę. - Nic o tym nie wiem. O kogo idzie?

Podsędek zbierał się do odpowiedzi, ale uprzedził go podkomorzy Otto:

- O tego junoszkę, który pod Brańskiem wieści przeniósł książęciu Leszkowi.

- Panięta z Krępy z sandomierskich obierzy wyzuł - wtrącił Żegola.

Bolesław zaskoczony uświadomił sobie, że za tym właśnie młodziekiem wstawał się Prandota. Powiedział:

- Nigdy go imać nie przyzwałam i nie przyzwałam. Gdzież on jest?

- W świetlicy czeka wraz ze Sławką po Zbygnicwic i rycerzem Gozdawą, który świadczyć przyszedł, jako onże Główka żywot mu ocalił.

- Przywołać go - powiedział Bolesław.

Za wchodzącymi, choć nie wołana, wsunęła się Sławka. Przeżyty rankiem rozpaczliwy niepokój odżył znowu. Toporczycy, tylko dzięki którym podsędek znowu nie pojmał Jaśka, nie będą mu zawsze osłoną. Rogala zaklął się, że odpłaci mu za doznane zniewagi i gwałt, a mówił, że sam książę chwycić go kazał. Nic była pewna, na czym skończy się sprawa, mimo że rycerz Szymon uspokajał ją, iż książę wynagrodzić przyrzekł Jaśka za usługę, tedy pojmać go nie pozwoli.

Bolesław poznał Sławkę lub domyślił się, kim jest, a widząc jej spłoszone spojrzenie, powiedział:

- Spokojna bądź, nie zabyłem zasług twego stryka i rodzica. Ani twoich - zwrócił się do Jaśka. - Wszystkim ma być wiadome, jako tenże Jasiek zwany Główka za oddane nam na wyprawie usługi do rycerskiego stanu będzie podniesiony i naszemu jeno sądowi podlega. A cokolwiek by raniej zawinił, na wieczystą niepamięć skazujemy.

Radość Jaśka, który rzucił się do kolan księcia, dziękując, przygasił podsędek. Żył nabrzmiały mu na skroniach z hamowanego gniewu, i zapytał zjadliwie:

- Zali owych rozbójników, co miru domowego i powagi urzędu nie szanując w domu mnie naszli, klucze od kabatów siłą zabrali, strażę pobili i łotrzyków wypuścili, takżeć imać i kaźnić wzbronno?

-Jeśli to ludzie pośledniego stanu, sąd do kasztelana należy i jego pytajcie; jeśli rycerskiego - do mnie. Bez sądu kaźnić warujcie się. Rad bym więcej nie słyszał, że ładu utrzymać nie umiecie - oschle powiedział książę i zakończył:

- Dość o tym. Ninie nam na nieszpór.

Wyszedł wraz z Leszkiem, a w ślad za nimi podsędek. Spieszył się widocznie, zapewne by schwytać Wojana. Mógł się domyślać, gdzie go szukać, skoro Jasiek i Sławka przyszli z Toporczykami i Gozdawą. Główka wyraźnie zasumował się.

- Trzeba mi przestrzec Wojana - powiedział.

- Ty się sam po mieście nic kręć - odezwał się Szymon. - Podsędek mściwy jest, choćby jakich opojów na ciebie nasadzić gotów. Pójdź Bogu podziękować, że ci się dola odwróciła, a o Wojana się nie troszcz, bo sam zwykł się troszczyć o siebie.

- Troszczył się o mnie, nie poniecham go, choćbym miał stracić, com zyskał - odparł Główka.

-A możesz stracić - wtrącił się Żegota - choćby i to, że spóźnisz się na pasowanie, a książę na cię czekać nie będą. O tym nie mówiący, że pierwsze Sławce powinieś. Nie swoją jeno dolą porządzisz.

- Pierwsze powinien Wojanowi - powiedziała Sławka stanowczo, choć łzy miała w oczach. - I ja tedy pójde z Jaśkiem.

- Pójdę i ja - rzekł Szymon. - Nie zabyłem, com Jaškowi dłužen, choć wołałbym inak wdzięczność swą okazać.

- Wojanowi takóž - rzucił Główka. - Żeby nie on, ni jedno z nas nie ostałoby przy byciu. Tedy, choćbym i żywot miał postradać, nie poniecham go.

- Szukajcie przeto guza - powiedział Żegota - bo kto rady nie słu-cha, temu nic pomóc. A my do kościoła, bo spóžnim się na nabożeń-stwo - zwrócił się do brata.

Spóžnili się istotnie, a nie dopchawszy się do kościoła, w którego szczupłym wnętrzu tylko dla dostojników znalazło się miejsce, wmie-szali się w tłum, który już zrzędł; w mieście i okolicy, objedzonych do cna, zaczynało brakować żywności, totež ściągnięci na wyprawę chłopi przeważnie już odeszli ze stadami zdobytego bydła, które takž ciężarem było.

Podsędek równiež nic docisnął się do kościoła, gdzie spodziewał się spotkać chorąžego sandomierskiego. Nic znalazłszy ujścia dla swej złości na Jaška, całą skupił na Wojanie. Choć dławila go, rozumiał jednak, że sam z trzema jeno strażnikami nic nie zdziała. Paliło go wspomnienie przeżytego upokorzenia nic mniej niż twarz, na której czuł jeszcze ciężką rękę zuchwalca. Nic zapomni i księciu, że nic tyl-ko zlekceważył obrazę zadaną urzędnikowi, ale jeszcze zganil go za nieporadność. Nastrój wśród rycerstwa nie był dla księcia przychylny, do rozgoryczenia krwawymi stratami dołączył się zawód, jaki wielu spotkał przy rozdawnictwie nagród czy wypłacie odszkodowania. Niechaj sobie Bolesław nowych ludzi kupuje, a starych zraza; jeszcze się przekona, że od nich jest zależny. Niejednego już zegnali z książe-cego stolca.

Niecierpliwił się, czekając na wyjście dostojników, by odszukać Gniewomira. Po zakończeniu uroczystości rozjadą się wszyscy, wielu wyruszy na noc, by uniknąć upału, w poprzedzającym wyjazd zamieszaniu niełatwo kogoś odnaleźć i podsędek aż się skręcał na myśl, że winowajcy jego poniżenia mogą ujść bezkarnie.

Nabożeństwo jednak widocznie już się skończyło, bo przy wejściu do kościoła uczynił się ruch, straż ksiąžęca odpychała od niego tłum,

by miejsce uczynić dla wychodzących dostojników, w których otoczeniu ukazał się książę. Na widok chorążego Gniewomira podsedek jął się przepychać przez ciżbę, po czym obydwaj odeszli.

Bolesław tymczasem w towarzystwie Leszka i dostojników wstąpił na podwyższenie, a podkanclerzy Sobiesław wywoływać jął imiennie mających dostąpić rycerskiego zaszczytu. Gromadzili się koło podwyższenia, ludzie przeważnie nieznani. Księżu chodziło o zasiedlenie i obronę wyludnionych ziem Podlasia, a wiedział, że rodowe rycerstwo, które posiada zagospodarowane majątności w głębi kraju, nieskore będzie podjąć trud zagospodarowania dziczy.

Gdy podkanclerzy z kolei wymienił Główkę, ku podwyższeniu jął się przepychać szpakowaty mąż. Książę spojrział zaskoczony i poznał Radosława z Dębna, który wstąpił na podwyższenie i głosem, w którym brzmiało hamowane wzburzenie, zwrócił się do niego:

- Podoba się waszej miłości do krwi rycerskiej, której niemałościę nam upuścili, podlejszej dolewać. Każdemu wiadomo, po co i dlaczego; wasze prawo. Alić nie dość na tym, że nasze łamiecie, zbiegłych chłopów ich panom wydawać nie zwalając; słyszę, że niejaki Jasiek zwany Główka do stanu rycerskiego ma być podniesiony. Tak mnie mam, dlatego jeno, że sprawiedliwości waszej nie wiadomo, jako gwałtownik ten radziej powroza niżli rycerskiego pasa zasłużył, pieczy mej należną sierotę po bratańcu, panu z Krępy, z domostwa mego siłą uprowadził, człeka mi przy tym ubiwszy.

Mówił podniesionym głosem, wyraźnie po to, by podburzyć tłum, i cel widocznie osiągnął, bo rozległ się nieprzychylny szmer, który wzmagął się. Bolesław rozumiał, do czego zmierza zuchwały człowiek, ale hamował gniew. Miejsce i okoliczności niesposobne były, by wobec skłonnego do buntu, a podpitego przeważnie zbiegowiska udzielać wyjaśnień. Ważniejsza nierównie jest sprawa usynowienia Leszka i zgoda rycerstwa na jego następstwo. Słowem swym jednak poręczył darowanie Jaškowi wszelkiej przewiny, a nie chciał o tym mówić wobec podburzonego tłumu. Starając się głos uczynić spokojnym, odparł, by, uciąć sprawę.

-Nie sąd tu i nie będziem dochodzić, zali prawdą jest, co wy mówicie, czy co o sprawie mówił mi przewielebny biskup Prandota. Wnieście pozew obyczajnym porządkiem, a wedle prawa i słuszności go rozpatrzym.

Spodziewał się, że tym zakończył zajście, ale Radosław odparł zuchwale:

- Obyczajnym porządkiem sąd nad onym gomołkiem mnie przynależy, bo na mojej ziemi przestępstwo popełnione zostało, i niechaj bez czci będę, jeśli sobie to prawo odebrać zwołę. A jeśli sprawę wam przedstawiłem, to jeno przestroga, byście stanu rycerskiego łotrami urwanymi z powroza nie zaśmiecali. Że onże gomołek wie, co przewinił i co go czeka, świadczy, że się po ów zaszczyt, którym go udarzył chcecie, nie zjawił, widno pomiarkowawszy, że mnie tu napotka. Ale najdę go i sam sprawiedliwości domierzę, na waszą nie czekając.

Bolesławowi z gniewu żyły wyskoczyły na czole:

-Nie sprawiedliwości, jeno pomsty szukacie na onym junoszec - rzucił wzburzony - że sieroty po panu z Krępy od zraty ocalił, przez co wam się bratowizna umknęła. A bratanicę waszą nic on uprowadził, jeno sama od pieczy waszej uszła do wielebnego Prandoty i od niego nam o tym wiadomo. Tedy co prawicie łącz jest, jemu wierę, nie wam, a gdybyście zaprzeczyć śmieli, na sąd Boży przyzwalamy.

- Z panem biskupem? drwiąco zapytał Radosław, ale księżę uciął:

- Z onym otrokiem, jeśli was tchórz nie oblatuje.

Odrócił się i przystąpił do pasowania, ale wzburzony był do głębi. Wbrew swej woli zmuszony był tłumaczyć się przed zuchwalcem, jakby nie było prawem księżęcym sprawę przed swój sąd powołać i nawet rzeczywistemu przestępcy łaskę okazać. Wstydził się zarazem, że odczuł jako ulgę, iż Jasiak się nie zjawił: obecność jego mogła się stać przyczyną zajścia o nieobliczalnych skutkach.

To samo myślał Żegota, który słyszał nieprzychylnie szept, a widział, jak stojący w otoczeniu księcia Paweł z Przemykowa na wzmiankę o biskupie i sierotach po panu z Krępy uśmiechał się złośliwie. Radosław znalazłby popleczników nie tylko w podsędku i jego swojakach, ale i wśród dostojników księżęcych. Szepnął do brata:

- Iście lepiej się stało, że Jaśka nie ma tu. Pójdę ja przestrzec go, by się nie jawił. Pasowanie mu nie uciecze.

- Pójdę i ja. Jeśli się ów Wojan nie schował, bitka się tam zacząć może, a na czym się skończy - nie wiada.

- Skory do niej jest - mruknął Żegota. - Tedy pójdźmy.

Wojan ani myślał się chować, gotował się jednak do odejścia ze swą gromadą i czekał tylko na powrót Jaśka, by go pożegnać. Gdy ujrzał nadchodzącego wcześniej niż się spodziewał, patrzył ze zdziwieniem i, gdy ten się zbliżył, powiedział:

- Nie widzę na tobie rycerskiego pasa. Rozmyślili się książę?

- Nie. Jenom spieszył, bo był u księcia podsędek i zwolili mu pocztowych, by cię chwycić.

Wojan parsknął śmiechem, ale oczy miał złe, gdy zaczął: - Takową nagrodę miłościwy pan mi obmyślili! Żeby nie ja, i ty byś we własnym gnoju na swoją czekał. Wysługuj się onej społeczności, co dybami cię wita. Ale na te, co mnie mają zakuć, jeszcze drzewo nie urosło. Tedy niepotrzebnieś się spieszył, nagroda ominąć cię gotowa.

Jasiek stropił się. Nie wiedział, jak wyjaśnić Wojanowi, że książę zbył podsędką, nie wiedząc, o kogo chodzi, ani dlaczego on nie wyjaśnił księciu, że głównie Wojana zasługą było przygotowanie przewodników wyprawy, a zwłaszcza przeniesienie wieści księciu Leszkowi. Zdało mu się, iż towarzysz podejrzewa go, że za wszystko, co mu wyświadczył, on przypisał sobie jego zasługi. Nie zważając, jakie mogą być skutki, odparł zarumieniony:

- Nie chcesz uchodzić, ostanę z tobą. Twarz Wojana rozjaśniła się, ale powiedział:

- Nie chcę uchodzić, bo nie ostawię Wojtały, stary jest i niemocny, a nie ma nikogo. Samżeś prawil, że darmo żywie, kto nikomu nie świadczy. Tobiem już niepotrzebny ani ty mnie, ale druhami ostać możemy. Idźcie tedy odebrać, coć dają.

Sławka odetchnęła z ulgą, ale Jasiek odrzekł:

- Nie pójdę, pokąd nie będę wiedział, co z tobą. Dziewczyna przybladła: Jasiek stawia swoją i jej przyszłość. Spojrzała bezradnie na

Gozdawę, jakby od niego wyglądając pomocy. Zrozumiał jej niema prośbę i zwrócił się do Wojana:

- Jeśli o onego Wojtałę troskasz się, ja go zabiorę i odwiozę, dokąd zechcesz. A jeśli istotnie druhem jesteś Jaśkowi, zrozum, że zmarnić możesz wszystko, coś dlań uczynił. Książę wybaczyli mu rańsze przewinienia, ale nie wybaczą, jeśli bitkę naczniecie z pocztowymi, a pewnie się i bez zabójstwa nie obędzie. Tedy albo nie staw oporu, gdy nadejdą, albo uchodź, pokąd nie za późno. Słyszę, żeś rycerskiego stanu, nie kasztełański sąd nad tobą, jeno książęcy, a Jasiek zaświadczy za tobą.

Sławka uchwyciła Wojana za rękę, mówiąc błagalnie:

- Dla mnie to uczyni. Jasiek cię poniechać nic może...

Urwała, bo głos jej się załamał. Wojan jakby się zawahał. Szorstko usunął rękę, mówiąc:

- Odejdę. - Zwrócił się do Gozdawy:

- Wojtałę do siebie zabierzcie. Przyjdę po niego. A ty, Jaśku, z rycerzem Szymonem jedź po konie. Możesz se i mojego wziąć; skoro rycerzem masz ostać, zda ci się, a ja na swoich nogach zajdę, dokąd mi trzeba. Teraz pospieszaj po swoje, bo książę iście na ciebie czekać nie będą. A uwidzisz podsędka, poradź mu, by mnie nie szukał, bo śmierć najdzie.

Odwrócił się i odszedł. Patrzyli za nim i nie zauważyli, że od grodu spiesznie nadchodzą bracia Toporczycy; gdy się zbliżyli, Żegota rozejrzał się i zapytał:

-Nie ma Wojana?

- Tylko co odszedł - odpowiedział Jasiek z ulgą. - Wie już, że go szukać będą.

- Już go szukają - powiedział Otto, spoglądając ku grodowi, skąd z gromadą zbrojnych nadchodził Jędrzej Rogala. - Nie o niego sprawa, jeno o ciebie. Do grodu nic idź.

- Czemuż to? - zapytał Jasiek zaskoczony i zmieszany. - Nie lękam ja się podsędka, skoro mi książę wybaczyli, iżem go potłukł.

- Nie jeno w nim masz wroga - niecierpliwie odparł podkomorzy. - Ja ci poręczam, żeć nie przepadnie, co przyrzeczono, a ninie byś jeno

książęciu zamieszał. Później cię objaśnię - uciał, patrząc na zbliżającego się podsędką, który na widok Głównki w otoczeniu rycerzy poczerwieniał i stał widocznie się hamując, by się nie rzucić na niego. Milczenie przerwał podkomorzy:

- Czego tu? - zapytał wyniośle.

- Sami wiecie, że książe kazali imać gwałtownika. Tu musi być; nie wydacie go, sam poszukam.

Odpowiedź Ottona uprzedził Jasiak. Patrząc wyzywająco na podsędką, rzekł:

- Nie czekał na was, jeno niechał wam rzec, byście go nie szukali, bo śmierć najdziecie.

Twarz podsędką z czerwonej stała się sina. Przez chwilę nie mógł głosu wydobyć. Zacinając się z wściekłości, powiedział:

- Doniosę ja ksiązęciu, jak jego wolę szanujecie. A z tobą - zwrócił się do Jaśka - jeszcze się porachuję.

- A pospieszaj - powiedział podkomorzy - bo książe o zachodzie odjazd zapowiedzieli. My takóž, tedy żegnaj, bo gadać nie ma o czym.

Bolesław nawet zachodu nie czekał, odmówił zaproszeniu kasztelana na wieczrę i mimo że dzienny skwar jeszcze nie zelżał, ze szczupłym orszakiem w towarzystwie Leszka opuścił Łuków. Zniechęcony był i przygnębiony, drażnił go niesforny tłum, w jaki po ukończeniu wyprawy zmieniło się wojsko, a wspomnienie zajścia z Radosławem z Dębna budziło w nim uczucie upokorzenia. Wyforyrował się naprzód, a Leszko widząc, że stryj przeżuwa coś w sobie, pozostał z orszakiem w tyle, domyślając się, że książe woli być sam.

Słońce tymczasem pochyliło się za bory, od których z zachodu ruszył chłodniejszy powiew, a gdy zanurzyli się w ich półcień, Bolesław powściągnął konia i Leszko podjechał. Nie wszczynał jednak rozmowy. Jakiś czas jechali w milczeniu, które wreszcie przerwał Bolesław:

- Przyjrzałeś się, nad kim to przyjdzie ci panować... jeśli przyzwolą łaskawie.

- Starczy mi wasze przyzwolenie - odparł Leszko. - Wasza wola uznać mnie synem, a uznacie, niczyjej łaski mi nie trzeba, by objąć po was dziedzictwo. Prawo będzie za mną.

- Prawo! Ja po własnym rodzicu dziedzictwo objąć miałem. Kto po nie rąk nie wyciągał! Twójże dziad podstępem mnie porwał, dobrze, że żywota nie zbawił, by mnie wyzuć z dziedzictwa. Od Krzywoustego czasów niktó stołecznego grodu pokojnie nie odzierzył, jak pijani woje nierządną dziewczkę wzajem sobie go wydzierają. Wielmożom zasię a z nimi rycerstwu w to graj, temu sprzyjają, kto więcej da. Gdy człeka niższego stanu do rycerskiego podnosimy za własne jego, a nie przodków zasługi, sam widziałeś, że rodowe rycerstwo bunt wszczać gotowe. Na kimże się w końcu oprzeć?

Leszko rozumiał wybuch goryczy stryja i słucał, nic przerywając, gdy jednak Bolesław skończył, powiedział:

- Czarno widzicie sprawy, miłościwy stryku, bo wam ten zuchwalec wątpia poruszył. W boju wszyscy dobrze stawali, a że patrzą i własnej korzyści - nic dziw.

- I jam nic od tego, by zasługi nagradzać, ale nic płacić za to, że kraju bronią, który taki mój, jak ich. Owo i teraz należałoby Swarna przykrócić, za swojacką krew mu odpłacić, gdy zamęt na Litwie, a Jadźwicz w rozsypce. Ale nie Iza, bo w skarbie pusto, on zasię czekać nie będzie, aż się zapełni. A halicki Daniel poprzeć gotów siostrzana, by połączenie z Litwą odzyskać. Któż zasię kraju ma bronić? Tych parę dziesiątków owego rycerstwa, którym ziemie nadałem na Podlasiu, i nieco zbiegów i wywołańców? Darmo poszłaby krew, cośmy ją rozlali, a już słyszałeś, jako judził Radosław, że jej rozmyślnie rodowemu rycerstwu upuszczamy.

- Zda się krwic upuścić, gdy do łba uderza - lekko rzucił Leszko. - Świeżej dolać nic zawadzi, a pieniądz u mieszczanstwa znaleźć najłatniej, tedy dobrze czynicie, miasta osadzając. Wyjdzie wolnizna, sypać zaczną srebrem, a skoro rycerstwo niesforne, na miastach bym się oparł jak ślący krewniaci.

- Na Niemcach?

Niemcach, nie Niemcach. Mogliście zwolnić zbiegom i wypowiednikom osiadać na Podlasiu, możecie zwolnić i po miastach. Tam szukać, gdzie naleźć można.

- Obrosną w pierze, także buntować się zaczną - rzekł Bolesław jak do siebie. Leszko zaśmiał się:

- Wybaczcie, miłośnicy stryku, ale przyszłych trosk szukacie, jakby nie zadość było tych, co są. Obrosną miasta w pierze, będzie co skubać. Pierwsze od wschodu się ubezpieczyć.

Bolesław zamyślił się i umilkł znowu. Leszkowi zdało się, że odwrócił myśli stryja od trosk, gdy ten zaczął:

- Dwadzieścia a dwie lecie ci minęło, a bezzennyś. Ani to po obyczaju, ani dobrze. Pora by za małżonką się obejrzeć, co by ci wiano i družbę postronnych wniosła. Samże o tym nie pomyślałeś?

- Nie - odparł Leszko.

Bolesław patrzył na niego badawczo. Dawno dojrzały, tegi i urodziwy, a nie słyhać, by się z niewiastami zadawał.

- Słusznie prawisz, że pierwsze od wschodu się ubezpieczyć. Gdy w Haliczu władał dziewierz mój, Koloman, pokój i družba były z Rusią. Nie będzie ich, pokąd tam Daniel siedzi. Nie były i Swarno groźny, żeby w wuju nie miał oparcia; łącznie byśmy z nim koniec uczynili.

- Ale Daniel siedzi i nie stać was, by go wyżenąć.

- Mnie nie stać, ale pomóc mógłbym jego zięcia, Rościsława Michałowica, na halickim stolcu osadzić. Wnuk Wsiewołoda prawo ma, Danielowi nie brak niechętnych bojarów, którzy także pomogliby zegnąć go. Rościsław swojak, za żonę ma siostrę mej małżonki, córę jedną wydał za czeskiego Przemysława Ottokara. Druga, Gryfina, żrała już i urodna i pora jej pod czepiec, prawie by żoną była dla ciebie. Rościsław z poręki teścia banem¹ jest ninie Sławonii i Maczwy, ale chętnie by przeniósł się do Halicza. Gdyby on tam siedział, i z Czechami łącniej byłoby się uładzić za jego pośrednictwem. Co o tym mniemasz?

Banem - namiestnikiem.

- Kazecie, to się ożenię - odparł Leszko obojętnie i rozmowa urwała się znowu. Książę widocznie nadal myślał o przyszłości, gdyż po chwili zapytał:

- A z braćmi twymi jakoże? Nie będzie zadry między wami, gdy Bogu spodoba się zabrać twego rodzica?

- Z rodzonym Ziemaszką miłujemy się. Do rządów mi się nie mie-sza, a będzie chciał, to go dopuszczę. Ninie u Krzyżaków siedzi, sztuki wojennej się ucząc. Wspólny nam wróg macocha, ona rada by się nas pozbyć, choćby trucizną, by dziedzictwo dla swych synów zapewnić. Ale częda to jeszcze, a Eufrozyna niewieczna. Gdy jej nie stanie, uwidzimy, jak się ułoży. Najstarszy, Włodzisław, dopiero cztery gody sobie liczy, ale już poznać, że bitnik będzie. Nie mogę rzec, polubiłem tego pętaka. Zadzierzysty kurek, każdemu do oczu skoczyć gotowy. Młodszych, Kazimierza i Ziemowita, nawet nie widziałem, bo gdym w Sieradzu osiadł, nie było ich jeszcze na świecie. Nawet gdy bywam w Brześciu, do babinca nie zaglądam, by się z macochą nie spotkać. Co z nich urosnie, nie wiada, ale każdemu dział jakowys przypadnie. Nie będą wicherzyć, rad bym i z nimi żył jak z braćmi.

-Znowu się dzielić będzie, miast jednoczyć - powiedział Bolesław w zamyśleniu. Leszko odparł:

A cóże ma być? Nie otrzymaliby działów, jak ongiś Bczprym od Chrobrego, jak on z wrogami się zmówić gotowi. Miast braterskiej życzliwości wróżda by powstała. Chciał - było Włodzisław dziedzictwo Krzywoustego siłą jednoczyć, przyrodnich z dzielnic zganiając wbrew oćcowej woli, do wroga na wygnanie poszedł, na kraj go naprowadził. Zjednoczył ci kraj Krzywousty, przyrodniego ubiwszy, nic na długo, a takoz kraj zamieszkami i wraźym najazdem zapłacił. Iluz by dziańsia ubić trzeba, by jeden na dziedzinie pozostał?

Bolesław nic nie odpowiedział, bo nie było co. Nigdy się jedność nie ostała bez walki. Spełnienie gloszonego przez Prandotę proroctwa byłoby większym cudem, niż zrośnięcie półciartowanego ciała biskupa Szczepanowskiego.

Umilkli znowu. Bolesław pewny był, że on nie będzie jednoczycielem. Choć życie miał przez to wykrzywione, może jednak dobrze się

stało, iż nie pozostawi potomstwa, które by nowych podziałów i sporów było przyczyną. Może gdy Leszko po nim obejmie nie uszczuplone dziedzictwo, podejmie trud, na który Bolesław nie czuł w sobie sił. Leszko młody jest, jaśniej patrzy na rzeczy. Gdy do swojej dołączy Bolesławową dziedzinę, będzie jednym z najpotężniejszych Piastowiców. Jeśli zgodę z braćmi utrzyma, zabezpieczy się od północy, małżeństwo z Gryfina da mu na południu pewnego sprzymierzeńca, a gdyby Rościśław w Haliczu osiadł, skończyłyby się ruskie i tatarskie napaści. W pokoju można budować.

W pokoju, ale przede wszystkim wewnętrznym, a i tego nie ma. Póki żyje Prandota, poparcie potężnego a przyjaznego biskupa pozwoli ziszczyć zamiary, które zacznem stać się mogą lepszej przyszłości, a zwłaszcza uznanie Leszka dziedzicem. Wieści wszakże, jakie doszły księcia o stanie zdrowia Prandoty, nic były pomyślne. Szybko działać trzeba. Toteż gdy żegnał się z bratankiem w Zawichoście, powiedział:

- Mniemam, że rodzic twój nie będzie się przeciwiał, bym cię za syna uznał, ale zapytać go przystoi. Potem zjeżdżajcie do Krakowa nie mieszkając, bo gdyby Prandota zmarł, nasze zamierzenia na wodzie mogą być pisane. Nie wiada, kto po nim biskupem ostanie, a tak ci jest, że więcej biskup ma do gadania, kto ostanie ksiązęciem, niżli książe, kto ostanie biskupem - zakończył.

Prandotę zastał Bolesław w gorszym stanie, niż się obawiał. Na kilka dni przed przyjazdem księcia opuścił wprawdzie łożo, które już zdało się śmiertelnym, ale uczynił to wbrew sprzeciwom medyka. Gdy Bolesław robił mu wyrzuty, iż zdrowia swego nie szanuje, odparł:

- Nie mam już co szanować, ale to wiem, że godzina mego wyzwolenia jeszcze nie nadeszła. Bóg mi zwoli z długu swych obowiązków w tym byciu się wywiązać, a pierwsze sprawę następstwa po was załadzić.

Bolesław pomyślał, że pilniejsza będzie sprawa następstwa po biskupie. Od Chrobrego czasów, dopóki dziedzictwo jego w jednym spoczywało ręku, władca wedle swej woli obsadzał biskupie stolice. Teraz stały się przedmiotem sporów, rozgrywek, a bodaj i świętokup-

stwa. Bolesław nie chciał schorowanemu starcowi przypominać, że wkrótce mu odejść przyjdzie, ale z troską myślał o stracie wypróbowanego przyjaciela i mądrego doradcy.

Prandota, jakby odgadując myśli Bolesława, sam podjął:

- Nie mniejsza troska, komu przyjdzie po mnie ująć łaskę pasterską, ale nie w mojej to już mocy.

- Nie w mojej także - wtrącił Bolesław, a Prandota ciągnął:

- Sługa Boży Stanisław żywot oddał w walce o wolność Kościoła; wygrał ją Henryk Kietlicz. Ale takie jest ludzkiej natury skażenie, że od wolności do swawoli jeno krok. Święty męczennik głowę swą za to położył, by Kościół w pełnieniu swych obowiązków przez władzę świecką nie był krepowany. Męczeńska śmierć źródłem miała być łask, a nazbyt często niegodni jego następcy źródło w niej widzą nie obowiązków, ale zaszczytów i korzyści, pasterski pierścień przedmiotem niegodnych targów lubo gorszącej zwady czyniąc, nie jeno świeckiej, ale żadnej władzy nad sobą nie uznając.

Bolesław milczał. Gdyby od niego zależało, zgodnie z życzeniem Prandoty następcą jego ustanowiłby Jakuba ze Skarszewa. Ale wyboru dokona kapituła, u której człowiek niskiego pochodzenia nie znajduje większości. Nie znajdzie jej zresztą nikt. Biskup żyw jeszcze, a już księcia doszły słuchy zabiegów o następstwo po nim. Dobrze, jeśli choć zgodnie dokonają wyboru arbitrów. Jeśli nic, sprawa następstwa, jak już nieraz bywało - wlec się może latami, powodując rozprężenie i nieład. Niezgodny wybór biskupa będzie też w samej kapitule przyczyną sporów i niechęci, w które kanonicy nic omieszkała wciągnąć swych rodowców.

- Zdajmy na Opatrzność, co nic w naszej mocy - podjął Prandota. - Co mogłem, uczyniłem, by choć sprawę następstwa po tobie, synu, zgodnie przeprowadzić. Umarłbym spokojniejszy, gdybym pewny był, że krakowska stolica nie stanie się znowu zacznem bratobójczych waśni, jak było po śmierci w Bogu spoczywającego twego rodzica.

- Leszko jeno ośca swego o zgodę zapytać pojechał, jak przystało, i rychło winien tu być - rzekł Bolesław. - Ale bez sprzeciwów się nie obędzie, bo i mnie nie brak niechętnych albo i takich, którym w to

stróża rycerza Gozdawy stała się niepotrzebna, on sam zaś, otrzymawszy przywilej na lokację wsi, wybierał się do brata, który mając doświadczenie mógł mu dopomóc w znalezieniu osadźcy. Kasztelan Kościeszka ściągnął już niepotrzebnych ludzi i gródek opustoszał. Szymon też gotował się do wyjazdu i Jasiak byłby najchętniej wyruszył razem z nim, nie mógł jednak powziąć postanowienia. Wojan tu miał się zgłosić po Wojtałę, ten zaś, postarzał się i wychudł, zwłóknął się już wprawdzie z legowiska, ale widać było, że nigdy do sił nie dojdzie. Ani go zabrać, ani zostawić bez opieki.

Miało się już ku jesieni i rycerz Szymon nie mógł dłużej zwlekać z wyjazdem. Wozy stały na dziedzińcu, gotowe do drogi, i czekał tylko na Jaśka, który wałęsał się po okolicy, by zabić czas. Gdy nadszedł, Szymon powiedział:

- Zda się, że po próżnicy wyglądasz Wojana, który wicher jest. Może i zabył, że po Wojtałę przyjsz obiecał. Załaduj go na wóz, gdzieś ci go pomieścisz, choćby w Krakowie u duchaków, a sam odbierzesz, co ci ksiązę przyrzekli. Zważ, że i Sławka czeka na cię, a bywa, że uciecze, co się odwlekało. Sam jakoże uradzisz z niemocnym? Jakbyś za nogę się uwiązał.

Pokusa była wielka, ale Jasiak oparł się. Nie pierwszy raz czeka na Wojana dłużej, niż się spodziewał. Jeśli teraz odjedzie, mogą nie spotkać się więcej. Wojan go szukać nie może. A zbyć się Wojtały byle czym oznaczało niewdzięczność wobec człowieka, któremu życie zawdzięcza.

- Poradziłem sobie z wami, gdyście w boru bez sił leżeli - odparł - dam rady i z Wojtałą w gródku, choćby i bez zime. Wojan słowny jest, jeśli Wojtałę zabrać przyrzekł, też dach mu nad głową zgotować musi i co do gęby włożyć. Lepiej mu tam będzie niżli u onych duchaków. Jeno was proszę, byście Sławkę uwiadomili, jako jest. Przyjadę, kiedy wydołę.

Po wyjeździe Gozdawy martwa cisza zapanowała na gródku. Most na rzeczulce stał opuszczony, brama rozwarła. Dni stawały się krótsze, bory zaczynały się złocić wędnącym listowiem, jesień zbliżała się wczesna, a Wojan nie nadchodził. Główka z niepokojem myślał,

czy nie przyjdzie istotnie spędzić zimy. A teraz już całymi dniami starać się musiał o żywność, łowiąc ryby i ptactwo i polując na drobną zwierzynę. Z Wojtały tyle było wyreki, że ognia popilnował i wypuszczonych na pastwisko koni. Gdy nadejdą słoty, za późno będzie zadbać o paszę dla nich na zimę. Jasiiek zrozumiał, że musi powziąć postanowienie: albo gotować się na przezimowanie, albo zabrać Wojtałę i jechać do Krakowa. Zaczynał żałować, że nie posłuchał Gozdawy, skończyłaby się przynajmniej tęsknota i rozterka. Gdy jednak napomknął Wojtale o wyjeździe, ten odparł:

- Ty jedź. Ja ostanę. Wojan przyjdzie.

- Bym wiedział! A jeśli nie przyjdzie? Jakoż tu sam uradzisz?

- Bez mała cały żywot sam byłem. Ostawisz mi co nieco spyży, na długo nie trzeba. Umrzeć takóž sam potrafię.

Główka nic nie odrzekł, ale został. Jeszcze świt nie zabarwił nieba, gdy na leśnych łączkach żął i suszył siano do późnego zmroku, nieraz o głodzie spać idąc. Za nic nie chciał zmarnować koni, nie zważał, że sam marnieje, pracując nad siły. Nieraz, gdy już dalej żać przyszło, wracał nocą, ledwo nogi wlokąc, po to, by znowu zerwać się o świcie. Gdy skończy, odżywi się i wypocznie.

Praca miała się ku końcowi, ale i sprzyjająca jej dotychczas pogoda zdała się odmieniać. Chmury zaciągnęły niebo i noc uczyniła się ciemna. Główka włókl się do domu, nie spiesząc. Siano niemal całe już w brogach. Rad był, że zanosi się na deszcz. Nic będzie zmuszony zrywać się przed świtem, wyśpi się wreszcie do syta.

Gdy przez otwartą bramę wszedł na podwórzec, uderzyło go światło przesączające się przez błonę z komory zajętej przez Wojtałę. O tej porze zwykł już spać. W głuchej ciszy Jasiiek wyraźnie posłyszał jakiś głos i serce zabiło w nim. Zapewne przyszedł Wojan; zapominając o zmęczeniu, co tchu poskoczył do sieni.

W progu ktoś podciął mu nogi, na obalonego zwała się kupa. Za chwilę, spętany, znalazł się w świetlicy, gdzie ujrzał podsędką Rogale, który przy świetle wetkniętej w kunę drzazgi oglądał tatarski jatan. Na widok Główki uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

- Obiecałem, że się porachujemy. Za nawiązkę starczy mi ten sztylet.

Jasiek opanował się już na tyle, że myślał tylko o tym, jak się wydobyc z rąk podsędką, i odparł:

- Skoro wam starczy, niechajcie mnie rozwiązać!

- Nadtoś nagły - powiedział Rogala drwiąco. - Im takóŜ - wskazał na czterech zbirów stojących dokoła - wynagrodzenie za trud się należy.

Jasiek zrozumiał, Ŝe to rabunek, ale nie to w tym połoŜeniu najwaŜniejsze. Zaniepokoił się o Wojtałę i powiedział:

- Tedy macie, coście chcieli. Niechajcie mnie puścić, wŝdy sam ani z onym staruchem nic nie zdziałamy przeciw pięci. Coście z nim uczynili?

- Spokojny jestem, a ty o niego bądź spokojny. Jenó związać go niechałem i gębę zatkać, by mi zwierza nie spłoszył - zaśmiał się. - Ale na odjezdnym jego puszcze.

- A mnie?

Niewielką miał nadzieję, by go Rogala uwolnił, ale wyciągnąć chciał, co zamierza. Dowiedział się:

-Nie jeno ja z tobą mam rachunek. Radosław z Dębna takóŜ upomni się z liczby. Źe ci jeno skóra pozostała, mniemam, Ŝe się nią zadowolili.

Główka miał o czym myśleć, gdy ciśnięty jak wór leżał w kącie świetlicy. Nietrudno mu było odgadnąć, Ŝe wiadomość o jego pobycie w stróŜy i o wyjeździe Gozdawy otrzymał podsędek od ściągniętych z niej pachółków. Mógł się tego wcześniej domyśleć, nicprzezorny był. Rogala już w Łukowie musiał się zmówić z Radosławem, by on Jaśka sprawił. Gdyby się sprawa wydała, Rogala nie będzie za to odpowiadał, a łup i wszystko, czego się Główka dorobił i na czym bu-dował swą przyszłość, zostanie w ręku Rogali.

Mimo Ŝe dranice, na których leżał, były twarde, a związane ręce i nogi drętwiały, Jasiek był tak wyczerpany, Ŝe usnął. Obudziło go kopnięcie. Nad nim stał podsędek, mówiąc:

- Pora ci w ostatnią drogę.

- A niemocnego człeka samego ostawicie? Zabierzcie go ze sobą.

- Mędrek z ciebie - zaśmiał się Rogala. - Chciałbyś, by kasztelana uwiadomił. Nic mi po nim ani do niego. Tu ostanie, a zdechnie, tym

lepiej. Ludnika¹ mi nie trzeba. Twego druha, co cię z kabatów wydarł, także dostanę. O niego niktó się nie upomni. Obaczym, kto śmierć najdzie.

Jasiek, zdrętwiały i wyczerpany, zataczał się idąc. Droga do Dębna była daleka, ale nie spodziewał się, by pilnowany przez czterech zbirów zdołał umknąć. Gdyby Wojan wkrótce nadszedł, dowie się, co zaszło. Będzie miał czas obmyśleć jakiś ratunek. To była ostatnia, choć słaba nadzieja.

Podsędek widząc, że Jasiek iść nic zdoła, choć niechętnie, kazał go wsadzić na tatarskiego bachmata. Wiedział, że konia nie ujrzy więcej, ale tym pewniej zbiry nie zjawią się w Łukowie. Książę mógł dopytywać o Główkę, lepiej, by nie było świadków. Namyslał się, czy nie pozbyć się i Wojtały, i wszedł do komory, gdzie ten leżał. Przy słabym świetle chmurnego dnia już teraz wyglądał na trupa. Gdy podsędek zdjął mu więzy i wyjął z ust knebel, nic poruszył się nawet, tylko odetchnął głębiej i otworzył oczy. Podsędek pomyślał, że ostrożniej zostawić go, by sam doszedł. Zabitego mógł ktoś przez przypadek znaleźć i dochodzić, co zaszło.

Przeszukał dworzec, znalazł hełm i miecz Jaśka i z zadowoleniem myślał, że opłaciła się wyprawa. Udał mu się zwłaszcza tatarski jatagan. Skąd taki golce mógł go wziąć? Zapewne też zrabował. Wart chyba z kilkanaście grzywien, dobrą wioskę za to dostanie, co najmniej drugą za oręż i konia. Daleki krewniak, Daszko Rogala, wojewodą jest mazowieckim, stryj Pomścibor kasztelanem był Przasnysza i Ciechanowa, a on podsędkim łukowskim. Ludzie ze starych rodów schodzą na nicc, a barczałki, którym jeszcze farba na znaku nie obeschła, z książęcej łaski nad głowy im wyrastają.

Wśród tych rozmyślań głód przypomniiał mu, że jeszcze nie śniadał. Ogień na kominie wygasł, ale krzesiwo, huba i próchno leżały przy nim. Zająłó dość czasu rozpalenie ognia, potem wyniół z komory znalezione tam osuchy i kociołek z rybną polewką. Czekając, aż się zagrzeje, usiadł przed kominem i puścił wodze myślóm. Choć pół ko-

Ludnika - świadka.

py dawno mu minęło, nie ożenił się dotychczas, bo który z możnych rodów dałby dziewczkę i bogate wiano dziedzicowi jednej wioszczyny z czterech dymów? Teraz się odmieni, nie będą się go możni krewniacy wstydzic.

Obejrzał się i zdębiał. W drzwiach stał Wojan. Przez chwilę patrzyli na siebie i obydwaj jednocześnie skoczyli. Rogala sięgnął po leżący na stole miecz, ale Wojan szybszy był. Poderwał dębowy stół, zasłaniając się nim od ciosu, i przewalił go na podsędką, który runął na podłogę. Nie zdążył dźwignąć się, gdy Wojan już klęczał na jego piersi, oglądając się, czym obezwładnić szamocącego się z rozpaczliwą siłą Rogala. W drzwiach od komory stał Wojtało, dzierżąc powróż, którym niedawno sam był związany. Skrepował nim podsędką i rzekł do Wojana:

- Spóźniłeś się.

- Co tu zaszło? - zapytał Wojan niespokojnie.

- Ten oto pojmał Jaśka i odesłał go do Dębna, a mnie na zdechniecie chciał tu zostawić. Jenó się nie spodziewał, że jemu pierwej.

- Kiedy? - zapytał Wojan, patrząc na podsędką tak, że ten posinał ze strachu, a Wojtało odparł:

- Dziś rano.

- Tedy ich może jeszcze doścignę.

- Czterech ich jest, baczyć będą, by śladów po sobie nie ostawiać, a ludziom w oczy się nie pchać.

-Nie najdę ich w drodze, to najdę w Dębnie. Jenó co z tobą, chudziaku?

- Słuchaj! Cały żywot stawilem za Jaśka, tyle mi po tej reszcie, że tego nędznika przeżyję.

- Co chcecie uczynić? - zapytał podsędek drżącym głosem.

- Nie wiesz? Nie rzekł ci Główka, że najdziesz mnie, śmierć najdziesz?

- Nie waż się. To główna sprawa! - krzyknął Rogala.

- Tedy przed Boski sąd pozew wniesiesz. Jenó że tam może jakoś sprawiedliwość będzie. Wstawaj!

Wywłókł opierającego się i po dłuższej chwili wrócił; zdał się nad czymś namyślać, po czym rzekł:

- Słuchaj! Przywiódlęm po ciebie wóz i nieco spyży na drogę. Tu nie ostawaj, bo mogą szukać podsędka, a najdą go, będą cię ciągać do sprawy. Wydolisz, jedź do dworca nad Krznię. Siedzi tam paru z naszej gromady. Załadż z Główką, przyjadę po ciebie.

- Pojadę... Ale dobry jesteś człek.

Wojan roześmiał się:

- Rogala innego był mniemania. Aleja o żadne nie stoję!

Książę nie mógł zbyt długo myśli swych Jaškowi poświęcać, gdyż zajęły mu je przygotowania do usynowienia Leszka i zapowiedzianego po Godach zjazdu rycerstwa. Miasto już dźwignęło się ze zgliszcz, w odnowionych i na nowo konsekrowanych kościołach odbywały się nabożeństwa, i gotowe było na przyjęcie i wyżywienie licznych gości. Natomiast na Wawelu wrzała jeszcze praca przy wznoszeniu trwałych budynków, a szczególnie pilnej rozbudowie mieszkalnych, zbyt szczupłych na pomieszczenie zaproszonych na rodzinną uroczystość wielkopolskich, mazowieckich i kujawskich krewniaków. Bolesław chciał pozyskać ich życzliwość dla przybranego syna, a jemu pozostawić okazałą siedzibę, wiedząc, że to podnosi znaczenie. Zamierzone swaty Leszka z córą Rościslawa też wymagały uwagi i nakładów. Choć bogacące się szybko miasto udzieliło kolektę, pragnąc pozyskać życzliwość przyszłego władcy, w skarbcu wciąż przeświecało dno, a Bolesławowi mimo zaprzątnięcia wielu innymi sprawami nic schodziła z myśli obrona niedawno odzyskanych ziem i zabezpieczenie wschodniej granicy, przez osadzenie w Haliczu Leszkowego teścia. W tej sprawie należało porozumieć się z Belą, który winien wziąć na siebie główny ciężar tej wyprawy, niemniej, jeśli miała odnieść skutek, należało ją obesłać możliwie największą siłą, znowu obciążając wciąż jeszcze wątły skarbiec.

- Wczesna i słotna jesień, niesposobna do podróży i uroczystości, rozmięczyła drogi, utrudniła przeprawy i jasne się stało, że Leszko i zaproszeni goście nie przybędą przed nastaniem mrozów. Książę zajął się codziennymi sprawami, gdy jednak w drodze do Morawicy /jawił się podkomorzy Otto, książę przypomniał sobie Jaška i zapytał:

- Nie wiecie, co z onym Główką? Nie było go u was w Grabowcu?
- Nie. Dziewczyna mnie prosiła, bym o niego tu przepytał, bo nie-
spokojna już jest.

Bolesław również zaniepokoił się. Nie było prawdopodobne, by Główka nie dbał o przyrzeczoną mu nagrodę, tym bardziej o zmówio-
ną z nim dziewczynę. Spotkać go musiała jakaś przygoda. Zapytał:

- Gdzieście go pośledni raz widzieli?
- Rozstaliśmy się w Łukowie. Sławkę zabrał Żegota do Grabowca,
on zaś z rycerzem Gozdawą do jego stróży pojechał.
- Po cóż? Gozdawa nijakiej stróży sprawować już nie ma, a do bra-
ta się zbierał, który gdzieś koło Krępy sołectwo dzierży w osadzie
swego zawołania.

- Iście tak, jeno ludzi miał kasztelanowi odesłać, a co swoje, za-
brać. Główka zaś tam zmówił się z onym Wojanem, który go z ka-
batów zwolnił.

Opowiedział zaście z podsędkiem, a gdy skończył, ksiązę rzekł:

- Tedy słać nam trzeba do rycerza Gozdawy. Może Główka u niego
bawi, a jeśli nie, Szymon wiedzieć będzie, co począł.

- Słać nie trzeba, bo Szymon był po drodze w Grabowcu, by Sław-
ce oznajmić, że Główka skoro przyjedzie, jeno poszczerbionego towa-
rzysza zda Wojanowi. U Szymona zaście ani chybi nie ma go, bo osada
Gozdawy o niecały dzień drogi od Grabowca, tedyby Główka się tam
pokazał.

Ksiązę zamyślił się. Sprawa, na pozór prosta i łatwa, wikła się. Gdy
wiele ważniejszych go zaprzęta, rad by ją skończył - zbył się długu
wobec poległych panów z Krępy i zadośćuczynił Prandocie. Gdyby
nie samowola Rogali i mściwość Radosława, miałby ją już z głowy.

Na wspomnienie jego zuchwalstwa żyły wystąpiły na skroniach Bo-
lesława. Jeśli Radosław wbrew zakazowi ważył się wykonać groźbę,
w grą wchodziła powaga władzy książecej...

Po odejściu Toporczyka ksiązę siedział zadumany. Udział wrogów
Główki w jego zniknięciu, choć prawdopodobny, jest tylko przypusz-
czeniem, a trzeba mieć pewność.

Po namyśle ksiązę kazał przywołać komornika Zbysława Nieczuję. Gdy wezwany zjawił się, Bolesław powiedział:

- Pojedziesz do Dębna z rozkazem, by Radosław nie mieszkając stawił się w Krakowie. Chrytry jesteś, zrozum, o co sprawa: Radosław wygrażał niejakiemu Jaškowi Głównce, który przyjechać miał tu, by za położone zasługi pas i nadanie odebrać. Nie jawił się, tedy wywiedzieć się masz, zali go Radosław nie pojmał. Weźmiesz dziesięci zbrojnych. Jeśli go pojmał, odbierzesz choćby siłą, jeśli - nie daj Bóg - stracił, przywieziesz Radosława w pętach. Jedź i wracaj pilnie, sprawisz się - wynagrodzę.

Jasiek znikąd już nie spodziewał się pomocy. Pierwszego dnia jadąc konno zasypiał z wyczerpania. Od południa deszcz zaczął siąpić, przybierając na sile tak, że dozorczy jego wcześniej stanęli na nocleg w byle jak skleconym szałasie. Spał kamieniem i zbudził go dopiero dotkliwy chłód. Zbiry, również przemoczeni, z trudem rozniecili ognisko i długo suszyli się przy nim, po czym, posiliwszy się i nakarmiwszy więźnia, ruszyli dalej. Tym razem jednak jeden z nich dosiadł konia, a Jasiek na powrozie przytroczonej do siodła iść musiał pieszo. Wyczerpanie minęło, ogarniało go natomiast przygnębienie, ale bronił się przed nim. Droga do Dębna daleka, może tymczasem Wojan dowie się, co zaszło, i jakąś pomoc obmyśli.

Jasiek czuł jednak, że pociesza sam siebie. Zbóje najwidoczniej unikali osad, wlokąc się bezdrożami. Gdyby nawet Wojan nadszedł rychło i zastał Wojtałę przy życiu, nie doścignie ich już, a zwłaszcza nie znajdzie. A choćby nawet doścignął, niewiele zdziała sam przeciw czterem uzbrojonym zbirom, którzy strzegli się pilnie. Nawet w nocy zawsze jeden z nich czuwał przy więźniu. Jasiek zrozumiał, że liczyć może tylko na siebie samego lub szczęśliwy przypadek. Muszą przeprawić się za Wisłę, gdzie w gęsto zaludnionym kraju niełatwo będzie uniknąć spotkania z ludźmi, zwłaszcza przy przeprawie. Od przechodzących często deszczów wezbrana zapewne rzeka brody uczyni nieprzebytymi; przeprawy od najbliższego Dębłina po Zawichost wszystkie leżą koło znaczniejszych osad, tam nie uda się zbójom uniknąć spotkania z ludźmi.

Mimo że niemal bez przerwy ciągnęli lasami, a słońce rzadko ukazywało się spoza chmur, Główka miarkował, że zmierzają na południe, Dęblin, a nawet Puławy musieli już zostawić za sobą, przeprować się będą zapewne dopiero w Solcu, skąd najbliżej do Dębna. Zrazu próbował ich wybadać, ale na pytania nie otrzymywał odpowiedzi. Nawet między sobą mówili mało i tak, by nie słyszał, o czym. Niemniej udając, że śpi, zdołał podsłuchać, iż za odstawienie go do Dębna mają otrzymać dziesięć grzywien srebra. Tyle, a może i więcej miał zakopane w checzy. Spróbował wybadać, czy zbójów nie dałoby się przekupić. Gdy jednak napomknął o tym brodaczowi, który zdał się im przewodzić, ten wypytywać zaczął, gdzie srebro jest zakopane, i Jasek pomiarkował, że najchętniej wzięliby jedno i drugie. Dał wykrętną odpowiedź i wleki się dalej w coraz krótsze, a często słotne dni.

Kraj był już ludniejszy, nieraz nocowali pod dachem napotkanego sokolnika lub bobrownika, podając się za pachółków zawichojskiego kasztelana, wiodących do ukarania schwytanego zabójcę. Główka nie próbował wyjaśniać, wiedząc, że gdyby nawet dano mu wiarę, gospodarz bezsilny jest wobec czterech tęgich drabów. Rad był, że przynajmniej wyspać się może na słomie pod dachem i wysuszyć mokre przeważnie szaty.

Jednego dnia, gdy wyruszyli rankiem, zmiarkował, że ciągną teraz prosto na zachód i zbliżają się ku Wiśle. Gdy pod wieczór wychynęli z lasów, przenikliwa mgła świadczyć się zdała o bliskości rzeki i jej rozlewisk. Główka nie mógł wymiarkować, czy dotarli już na wysokość Solca, nie wątpił natomiast, że zbóje zamierzają się przeprować. Mimo zapadającego bowiem zmroku nie zatrzymali się jak zwykle, by przygotować nocleg i posiłek, lecz ciągnęli dalej, aż jaśniejsza od ciemnych już brzegów ukazała się płaszczyna rzeki, a w niewielkiej odległości za nurtem majaczyła we mgle obszerna, zarośnięta drzewami kępa. Brodaty zbój gwizdnał przeraźliwie raz i drugi, a gdy podobny głos doszedł go z kępy, zeskoczył z konia i jął krępować mu nogi.

Jeżeli Jasek żywił jeszcze słabą nadzieję, że u przeprowy zdoła znaleźć pomoc, teraz zgasła. Kępa była zbójceją siedzibą, jakich nie brakło na Wiśle, a jak się przeprowią, zmiarkował, gdy na rzece za-

majaczył ciemniejszy kształt i za chwilę do brzegu przybiła łódź. Usadowiony na niej wraz z dwoma zbójami, za chwilę znalazł się na kępie, a łódź zawróciła po pozostałych wraz z koniem.

Nazajutrz ta sama łódź przewiozła ich przez zachodnie ramię Wisły i wkrótce zanurzyli się w Radomską Puszcze, ciągnącą się nieprzerwanym spłachciem aż po południowe stoki Świętokrzyskich Gór. Gdy przepawili się przez Kamienną, Główka wiedział, że zbliża się kres drogi, a zarazem jego życia. Zamiast trwogi jednak ogarniał go gniew i żal. Tu już znał okolice, wiedział, że przechodzą tak blisko Grabowca, iż za parę godzin mógłby zobaczyć Sławkę, która tam czeka na niego. Nie wie i może nie dowie się nigdy, że czeka na darmo, bo Radosław zapewne nie pochwali się, że wbrew księżęciu wykonał swą groźbę.

A jednak trudno było Jaškowi uwierzyć, że kończyć już przychodzi krótkie życie, w którym tyle niebezpieczeństw przeżył szczęśliwie. Niemniej nie mógł sobie wyobrazić, co jeszcze mogłoby zająć, by odwrócić jego los w krótkim czasie, jaki pozostał. Sam czuł się bezradny jak ciołek prowadzony na rzeź, ale burzył się wewnątrz. Cóż stąd, że książe sprawiedliwy jest i łaskawy, gdy samowola i zuchwalstwo drwić mogą z niego. Żadne to prawo, co jak pajęczyna muchę schwyta, a szerszenia wypuści. Tyle sprawiedliwości, ile sam sobie człek domierzy, jak mówił Wojan.

Gdy jednego wieczora ominęli gródek w Tarczku i zapadli w lesie na nocleg, Główka wiedział, że to już ostatni. Długo w noc nie mógł zasnąć, a gdy wreszcie zmorzył go sen, jak na jawie przyśniła mu się przygoda z dzikiem: leżał, nie mogąc się poruszyć, i czekał, by szable odyńca wypruły mu wnętrzności. Obudził go własny krzyk i usłyszał warknięcie strażnika:

- Zawrzyj pysk, bo ci go zatkam.

Leżał bezsennie już do rana, żalując, że nie dane mu było dośnić ulgi, jaką odczuł wówczas, gdy ujrzał, jak Wojan jednym pchnięciem sulicy skłuł srogiego zwierza. Ale Wojan zapewne nawet nie wie, co się stało, a jeśli wie, jest już za późno. Wstawał świt, za parę godzin będzie w ręku Radosława.

Wojan nie zastanawiał się, że gdyby nawet dopadł zbirów, znalazłby się sam przeciw czterem. Póki ślad gromadki był widoczny, posuwał się po nim, ale na miękkim podłożu leśnym zgubił go wkrótce. Wówczas zaczął kluczyć, licząc jeszcze na szczęśliwy przypadek, ale o zupełnym zmroku stracił i tę nadzieję. Spętał konia, rozniecił ognisko i usiadłszy przed nim zamyślił się. Skoro nie znalazł ich teraz, nie znajdzie i w dalszej drodze, bo niewątpliwie nie będą się ludziom pchać na oczy. Jak Jaškowi, przyszło mu jednak na myśl, że przeprawiać się muszą za Wisłę. Gdyby nawet nie dopadł ich u przeprawy, nie uda im się przemknąć niepostrzeżenie. Przewozów jednak było kilka, żadnego nie należy pominąć. Jeno świt rozjaśnił niebo, Wojan dosiadł konia i puścił się do Dębłina. Jadąc konno niewątpliwie ich wyprzedza, najtrudniej jednak obliczyć, o ile. W Dęblinie nie mogli być wcześniej niż nazajutrz rano, ale i nie później niż wieczorem. Na próżno czekał u przeprawy do zmroku i przed świtem puścił się dalej.

Z kolei czekał w Puławach, Kazimierzu, Solcu i Zawichoście; coraz trudniej było obliczyć się z czasem, a w miarę jak płynął, malały widoki powodzenia. Gdy nie doczekał się w Zawichoście, nie miał już wyboru. Na pewno spotka ich w Dębnie, ale jeśli była nadzieja, że poradziłby sobie w drodze, to na miejscu zdało się niemożliwe. Nie namyślał się jednak, w każdym razie musi tam być wcześniej niż zbóje. Przeprawił się za Wisłę i nie zatrzymując się więcej, niż było konieczne, zmierzał do Dębna. Gdyby choć wiedział, z której strony nadciągną, mógłby się przyczaić opodal dworca i próbować odbić Jaška. Gorzej jeszcze, że nie mógł już zmiarkować, kiedy nadciągną. Musiałyby czuwać dzień i noc, nie wiadomo, jak długo.

W południe chmurnego dnia dotarł na miejsce i zatrzymał się na skraju lasu, skąd o parę stajañ, widoczny jak na dłoni, leżał dworzec Radosława. Zeskoczył z konia i dłuższy czas siedział głęboko zamyślony. Gdyby zbóje nadciągnęli za dnia, mógłby ich stąd zobaczyć, ale żadnej nadziei na zaskoczenie. Wszczęta pod bramą bójka zwabi ludzi z gródka. Zbóje zresztą będą woleli nic pokazywać się zbyt jawnie i zaczekają do ciemności. Wtedy łatwiej byłoby ich zaskoczyć, ale na to musiałyby Wojan czuwać pod samą bramą. Niewątpliwie zwęszą

go spuszczone psy, a gdy raz zdradzi swą obecność, przedsięwzięcie udać się nie może.

Położenie zdało się bez wyjścia. Wojana jednak zamiast zniechęcenia ogarnął gniew. Nie namyślając się więcej, skoczył w siodło i ruszył wprost do gródka.

Przy bramie koń, poczuwszy chowanego niedźwiedzia, boczyć się zaczął. Wojan przywiązał go do rosnącego opodał drzewka i ruszył do furty. Dostrzeżono go widocznie, gdyż naprzeciw niego szedł już pacholek. Gdy się zbliżył, Wojan zapytał:

- Gospodzin doma?

- Doma. Kto i po co?

- Posłaniec od podsędka Rogali.

-Poczekaj! - powiedział i ruszył do dworca. Po dłuższej chwili wrócił i powiedział:

- Dziedzic czeka. Pójdź.

Radosław siedział w świetlicy i gdy Wojan wszedł, spojrzał na niego nieufnie i zapytał:

- Z czym cię pan podsędek przysła?

- Wždy wiecie, że nie z pozdrowieniami, takowy szmat drogi.

Radosław zmarszczył się gniewnie i rzekł:

- To wiem. Jeśli pojmał onego łotra, miał go do mnie odesłać.

- Iście tak, jeno nie darmo - odparł Wojan.

- I to wiem. Com przyrzekł, wypłacę, gdy tu będzie.

- A jak nie wypłacicie, pozew możemy wnieść do samego księcia - drwiąco odparł Wojan. - Za mało nas, by samym sobie odebrać. Ja jeden, drugi jeńca pilnuje, a u was ludzi kupa. Targ z ręki do ręki i ani wiedzieć chcemy, co z jeńcem uczynicie, ale może i wam nic po myśli, by się rozniosło.

- Moja sprawa - warknął Radosław. - Czelnys! Ja mam zawierzyć zbójom, że nie jeno srebro chcą wyludzić. Jaki dowód, że iście on Główka pojmany?

- Dowód? Może wam to starczy.

Spod kapoty wyjął tatarski jatagan i ciągnął:

- Sami rozumiecie, że nic nam po onym jeńcu. Cała sprawa pieńkiem cuchnie, a wyda się, nie po sercu nam, by świadkowie byli, żeśmy do niej przyłożyli rękę. Nawet poręczenie, by i tego świadka nie było, cośmy go przywiedli, ale co z nim uczynicie, to jeno na własny poczet.

- Na onym drzewie każę go obwiesić, gdzie mi człeka ubił. Prawo mam - ze złością powiedział Radosław. - Gdzie on jest?

-Nie za blisko i nie za daleko - odparł Wojan. - Zbóje nijakiego prawa nie mają i taniej by wam przyszło siłą jeńca odebrać. Zabierzcie srebro i nikomu ni słowa. Koń mój czeka pod bramą, każcie swego osiodłać i jadziem.

Widząc, że Radosław przypasuje miecz, a za pas zatknął nóż, dodał drwiąco:

-Weźcie i szłom. Zawszy bezpieczniej. W takowym targu nikt drugiemu ufności niedłużny.

Radosław nic nie odparł. Ze skrzyni wyjął trzos i zaklaskał, a gdy zjawił się pacholek, rozkazał:

- Konia mi osiodłać.

Za chwilę obaj jechali, kierując się na wschód. Niebo wypogodziło się, łagodne słońce jesienne przygrzało i złościę jęło świat. Milczenie

przerwał Radosław:

- Daleko jeszcze?

- Spieszno wam? Ot, przystanęlibyśmy popatrzeć, jak pięknie słońce zachodzi. Człek nigdy nie wie, zali je ujrzy jeszcze. On Główka młodzik, zda się, że żywot przed nim, dziewczka jakowaś czeka na niego pewnikiem, a kończyć mu przyjdzie. Nie żal wam go? Wždy za ubitego człeka grzywnę mógłby zapłacić, może z nagłości go ubił albo w obronie.

- Cóż ty? Żałujesz go? Dziesięć grzywien płacę, by go obwiesić, a sześć głównego miałbym wziąć? Alboś głupi, albo drwisz.

- Iście żal mi go. Świat taki piękny, że się w człeku odezwie sumienie. Nawet bym onych dziesięci grzywien nie żądał, a za niego poręczył, że główne zapłaci.

Radosław parsknął złym śmiechem:

-Wesołek z ciebie. Niechaj spać swemu sumieniu. A on sztylet musiałbyś w zastaw oddać, bo cóże mi ze zbójckiego poręczenia? Udał mi się iście i nawet bym go kupił.

- Nie na sprzedaj i prawdę rzec, nie ja go zrabowałem, jeno pan podsedek. Też mu się udał, jeno nie wiedział, że niedługo się nim nacieszy.

W Radosławie teraz dopiero wstało podejrzenie: skąd zbój mógł wiedzieć, że on widział ongiś u Jaśka tatarski jatagan, który okazał jako dowód pojmania Głównki. Chwyił za miecz i krzyknął:

- Gadał mi zaraz, co to wszystko znaczy?

- A to, że jak radzicie, niecham spać swemu sumieniu. Pan podsedek wisi na bramie w Szymonowej stróży, a wy jutrzejszego słońca już nie obaczycie.

Radosław sięgnął do miecza, ale Wojan przygotowany był na to. Chwyił go za rękę i wbił w piersi jatagan po samą rękojeść. Radosław spadł z konia i drgał jeszcze przez chwilę, ale zaraz się uspokoił. Wojan stał nad nim zamyślony. Potem zabrał trzos i miecz, konia przywiązał do swego i ruszył na wschód.

W babińcu grabowieckiego dworca, przed płonącym na kominie ogniskiem, siedziała stara Bogusława, przędąc. Od czasu do czasu rzucała spojrzenie na Sławkę, której wpatrzona w płomień oczy lśniły jakby od łez. Po dłuższej chwili stara przerwała milczenie:

- Znowu płaczesz, a nie wiesz nawet, zali jest o co. Pomnij, ile już łez wylałaś, czekając, a przyjechał ów Wojan z wieścią i wydało się, że darmo. Łzy jako ta woda: wylane nie wracają, a łącno nimi zgasić nadzieję. Bacz, by ci ich nie brakło, gdy iście płakać będzie o co.

- Wiem, babko, żem niewesoła - szepnęła Sławka. - Wrócę ja do Staniątek i tam już ostanę. Choć komu będę pożyteczna, a tu...

-Nie praw byle czego - przerwała stara. - Każda rana się zagoi, sama wiesz. Cały żywot przed tobą, byś kiedyś nie żałowała pochopnego postanowienia. Serce jako korzeń u młodej krzewiny: złamie się jeden pęd, inny wypuści.

Ale Sławka siedziała, pochyliwszy głowę i stara wzięła się znów do wrzeciona, aż ciszę jesiennego wieczoru zburzyło szczekanie psów, a potem głosy jakieś doszły z męskiego skrzydła dworca. Bogusława powiedziała jak do siebie:

- Pewnikiem znowu Szymon Gozdawa. Uradzają z Żegota, co począć. Widno twego Jaśka nie ma w Krakowie, bo byłaby już wieść od Ottona. Źle się stało, że z Szymonem nie przyjechał. Mógł, było, i onego Wojtałę zabrać. Ninie szukać go trzeba, a on tam może jeszcze czeka na swego Wojana, ciebie, niebożę, ostawiając w niepewności.

- Nie mówcie, babko - odparła Sławka. - Wojan był mu jako brat najlepszy, a nawet pożegnać się czasu im nie stało, gdy uchodzić musiał. Cóż to dziwne, że się na spotkanie zmówili u rycerza Szymona?

- No widzisz! - powiedziała Bogusława. - Tedy może jeszcze na niego czeka. Jeno długo czekać może, skoro Wojan ukrywać się musi. Mogła go i przygoda jakowaś spotkać.

- Wojan z dawna poza prawem żywię, nieufny jest i ostrożny jak zwierz.

- Przeto właśnie. Darmo się domyślać, co pod Łukowem zaszło, gdy nie wiemy nawet, co mężowie uradzili o parę łokci stąd. Pójdź dopilnować, by im wieczerzę zgotowano. Ni Żegota, ni Szymon nie myślą twego junoszki poniechać, tedy płakać po nim czas jeszcze.

Wstała, by wydać klucznicy zarządzenia, gdy w sąsiedniej izbie rozległy się kroki i w drzwiach stanął Żegota. Ale Sławka nie patrzyła na niego. Za nim wszedł ktoś drugi, nie był to jednak Szymon Gozdawa. W niepewnym migotliwym świetle płomieni twarz trudno było rozpoznać, ale postać była jej znana. Nie mogła oczom uwierzyć, ale wyszeptła przez ściśnięte gardło:

-Wojan!

- Iście Wojan - potwierdził Żegota - ale nikomu o tym ni słowa. Tu nam przyniesz wieczerzę, a potem stracić się musi - zwrócił się do Sławki. Widząc jednak, że jakby nie słyszała i stoi wpatrzona w Wojana, dodał:

- Są wieści o Jaśku. Nie najlepsze, ale przynajmniej wiada, co poczynać.

- Nie każ jej czekać - powiedziała Bogusława - wieczera nie uciecze.

- Tedy krótko powiem: Jaśka podsędek Rogala w stróży naszedł i pojmał. Z Radosławem był zmówiony, że mu go odeśle. Zbójce, którzy Jaśka wiodą, na dniach będą w Dębnie. Tam ja z ludźmi na nich poczekam.

Sławce sto pytań cisnęło się na usta, z zaskoczenia jednak i niepokoju nie była w stanie głosu wydobyć; wyręczyła ją Bogusława:

- Tedy bitka będzie. Radosław także ma ludzi, śmiały jest i u siebie... - Urwała, nie chcąc dodać, że Główka, spętany, pierwszy życiem bójkę może przypłacić. Żegota domyślił się jednak, co niepokoi matkę, i rzekł niechętnie:

- Radosław nic już nie ma kromie dwóch łokci ziemi, a zbójców imać, gdzie ich najdzie, każdemu powinność.

Wojan dotychczas w milczeniu wpatrywał się w Sławkę. Teraz odezwał się:

-Nie ma co ukrywać. Ja ubiłem Radosława. Owo jest srebro, cena za głowę Jaśka. Nie będzie komu ni co zbójom zapłacić, nic im po Jaśku ni do niego. Spokojna bądź.

Zza kaftana wyciągnął tatarski jatagan, i kładąc go obok trzosa, ciągnął:

- Tu jest Jaśkowy sztylet, który sobie tak upodobał. Rad będzie go odzyskać. Szłom i miecz przy koniu, którego mu ostawiam. Ma już wszystko, co rycerzowi potrzebne, wrogów zbył, druhów nalazł, ac wam szczęści. - Wstał i dodał:

- Nie Iza wywołańcowi gościny udzielać, a już na licu spotkanego zabójcę i zbója kaźden imać winien, jako rzekł rycerz Żegota. Tedy żegnaj, a Jaśka pozdrów ode mnie.

- Nie będę cię imał - powiedział Żegota - jeno i dla ciebie lepiej, by nikt nie wiedział, iżeś tu był.

- Dla ciebie także, a najlepiej, gdy mnie nie będzie...

Odwrócił się ku wyjściu. Sławka chwyciła go za rękę:

- Ostań! Jasiek ci podziękę dłużny i ja nie wiem, jako ci dziękować.

- Tedy nie dziękuj. Jaśkowi rzeknij, by spokojny był. Podsędek wi-si, jeśli jeszcze nie spadł. Nie będzie mu już gawędził.

Odwrócił się i wyszedł. Sławka chciała poskoczyć za nim, ale Bogusława powstrzymała ją:

- Ostaw go. Lepiej, że się straci. Bywa, że się i bracia o dziewczkę pozabijają. On przed sobą samym ucieka.

Sławka pobladła i wyszeptwała:

- Co prawicie?

- Mnie możesz wierzyć, com niejedno widziała. Nie Iza budzić nadziei, które się nie spełnią.

Widząc, że oczy Sławki znowu zaszkliły się, dodała:

- Ty bacz, by się w tobie serce nie rozdziwiło.

- Nie - rzekła Sławka - jeno Jasiek bolał będzie, że nie mógł podzięki złożyć Wojanowi za wszystko, co dla nas uczynił.

- Przeboleje, a i dla niego lepiej, że się rozstaną. Zło w onym człeku z dobrem jako plewa z ziarnem zmieszane. Był, nie ma go, nie o nim nam myśleć, jeno o Jaśku. Co poczniesz? - zwróciła się do Żcgoty.

- Jako rzekłem, skoro świt jadę do Dębna. Jeno się waguje, jak powiadomić Stachnę, że wdową ostała. Wolej by wiedziała, zanim przyjadę, bo nijak rzec, od kogo wiem. Po prawie winien bym iście Wojana sandomierskiemu kasztelanowi odesłać, i wykrcęać by się trzeba, dlaczegom go poniechał.

Sławka z niepokojem patrzyła na Żcgotę, a stara zamyśliła się:

- Taka już dola niewiasty, że dzielić ją musi z mężem, choć i nie zawiniła.

- Stachna dobra była dla nas - szepnęła Sławka, a Bogusława ciągnęła: -1 mnie jej żal. Mężowie za łby się wodzą, a niewiasty muszą płakać. Ty - zwróciła się do Żcgoty - nic gadaj wszystkiego. Rzeknij jeno, że wiadomość masz, jako Rogala Jaśka pojmał i przez zbójów Radosławowi odesłał, i przestrzec go przyjechałeś, by się nie ważył go więzić lubo kaźnić, bo książę o tym wiedzieć będzie i o niego się upomni.

- Tak i uczynię. Ludzi wezmę od wypadku, jeno ich w lesie ostawię. W Dębnie wymiarkuję, co mi poczynać. Jestli Jasiek już w dworcu, odbiorę choćby siłą, ale mniemam, że Stachna sama go wyda. Nie ma go, na zbójów poczekam.

Stachna nie wiedziała jeszcze, co zaszło, ale gdy zapadł wieczór, a Radosław nie wracał, zaczęła się niepokoić. Przywołała pachółka, który pilnował bramy, i zapytała:

- Nie wiesz, kto zaczł ów człek, z którym dziedzic pojechał i po co?

- Oznajmił się posłańcem od jakowegoś podsędka Rogali - odparł zagadnięty. - Po co, nie prawil, ale zda mi się, że się dziedzic na bitkę zbierał, bo oręż zabrał.

Niepokój Stachny wzrastał. Małżonek nie zwierzał się przed nią, ale z Łukowa wrócił zły i zdał się na coś czekać. Od ludzi dowiedział się, że zadarł z księciem, i padło przy tym imię Rogali. Radosław zacięty był i pamiętliwy, o rozgoryczeniu rycerstwa krwawymi stratami wiedziała i lękała się, że znowu bunt się gotuje.

Noc spędziła bezsennie, nasłuchując, czy małżonek nie wraca, i usnęła dopiero nad ranem. Gdy klucznica ją na nią potrząsać, usiadła na łożu i nie otwierając jeszcze oczu, zapytała:

- Dziedzic wrócił?

- Nie. Jeno przyjechał do niego komornik od księcia. Czeka w świetlicy.

Stachna ogarniała się drżącymi rękami. Obawy jej zdały się sprawdzać. Gdy weszła do świetlicy, na jej widok siedzący za stołem rycerz powstał i oznajmił:

- Posłaniec księżęcia do rycerza Radosława. Słyszę, że nie masz go doma. Kiedy wróci?

- Nie wiem - odparta. - Wyjechał wczoraj na przedwieczorz, nie rzekł, dokąd ani po co.

- Tedy na niego poczekam - powiedział Nieczuja.

- Nie możecie mi rzec, z czym was ksiązę posyła?

- Rycerz Radosław stawić się ma nie mieszkając w Krakowie - odpowiedział wymijająco. Nie mógł otwarcie wypytywać o Główkę, ale postanowił rozejrzeć się i powiedział:

- Wiem, że m niemiłym gościem, nie będę wam tu gawędził. Pójdę do swoich ludzi.

- Jak wasza wola. Mnie takóž do gospodarstwa zajrzeć trzeba.

Ale nie w myśli jej były powszednie sprawy. Czowała, że coś złego się gotuje, i siedziała zamyślona w swej komorze. Z zadumy znowu wyrwała ją klucznica, mówiąc:

- Przyjechał pan Żegota Toporczyk.

Radosław nie przyjaźnił się z sąsiadami, wiedziała, że i Żegota nie w gościnę przyjechał. Przeczuwała już, że przyjazd jego ma jakiś związek ze sprawą, w której księżę wzywa Radosława. Gdy weszła do świetlicy, Toporczyk rozmawiał z komornikiem, ale na jej widok urwali, a Żegota zwrócił się do niej:

- Wiem już, że małżonka waszego nie masz doma, tedy wam rzekę: wieść otrzymałem, że łukowski podsędek pojmał onego Główkę, który tu ongiś ubił waszego człeka, i Radosławowi odesłał, jak się w Łukowie zmówili. Przestrzec was chciałem, by małżonek wasz więzić go ni kaźnić się nie ważył, bo za położone zasługi do stanu rycerskiego podniesiony został i jeno książęcemu sądowi podlega.

- O to sprawa - wyszeptła. - Nikt Główki tu nie odwiózł, ale iście był posłaniec od Rogali i z nim małżonek mój wyjechał. Jenó czemu nie wraca?

Na to nie znajdowała odpowiedzi, natomiast niemal pewna była, że Radosław pojechał, by stracić Główkę bez świadków. Nie tylko żał jej było Jaśka, gdy wiedziała, że człowieka ubił w własnej obronie, a Sławka z własnej woli uszła. Sprawa już jest jawna, jedno, co jeszcze może uczynić, to próbować odszukać Radosława i przestrzec go, jeśli nie za późno. Wyszła i zawoławszy włodarza, rzekła:

- Weźmiesz psiarka ze sforą i konie co ściągłejsze. Pojedziesz odszukać dziedzica. Najdziesz go, rzeknij mu, że czeka tu na niego komornik od książęcia z wezwaniem, by się stawił w Krakowie w onej sprawie, w której się z panem Rogala ułożyli. I żeby niczego nie poczynał, pokąd się ze mną nie rozmówi. Ustek ci rzeknie, w którą stronę dziedzic pojechał, a pospieszaj, bo sprawa pilna.

Nie była jednak pewna, czy jeśli włodarz odnajdzie Radosława, ten przestrogi posłucha. Mściwy jest i zatwzięty, gotów zdrzeć z samym księciem. Gdy Stachna wyszła, Żegota powiedział do komornika:

- Pójdźmy i my. Nie lubuje mi pod tym dachem, a może dłużej czekać przyjdzie. Ludzi mamy zadość, by dworzec obstarwić.

- Czy aby jest po co, skoro Radosław naprzeciw owych zbirów pojechał?

- Tak czy owak, czekać musimy, aż się sprawa wyjaśni - odparł Żegota wymijająco. - Pójdę ja przykazać, by mi szalas jakowy sklecieli, bo duszno mi w tym domu.

- Ja takż nie w gościnie tu jestem, a i pożywić się trzeba, bo południe minęło, tedy pójdźmy.

Pożywiali się właśnie przy ognisku, gdy strażnik stojący na skraju lasu zjawił się i powiedział:

- Jakowys konny ku dworcowi zmierza. Zerwali się, ale Żegota powstrzymał ich:

- Pojadę sam, a wy z ludźmi bądźcie w gotowości.

Doskoczył konia i puścił się klusem naprzeciw brodatego jeźdźca na kudłatym bachmacie, który na widok nadjeżdżającego zatrzymał się, widocznie na niego czekając. Żegota podjechawszy zapytał:

- Od pana Rogali?

- Iście tak - odparł zagadnięty. - A wy kto? Pomijając odpowiedź, Żegota ciągnął:

- Gdzie jeniec?

- Niedaleko - odparł brodacz. - Skoczcie po grzywny, a ja tu na was poczekam.

- Ty mnie nie ufasz, a ja tobie. Przódzi jeńca chcę obaczyć, zali ten, o któregośmy się zmówili.

- Jak wasza wola - zbój ramionami wzruszył. - Po cóż by pan podsędek innego posyłał?

- Nie wiem, jeno był już tu taki, co się posłańcem od pana podsędka mienił i też od grzywien poczywał. Nie mnie na plewy brać.

- Tedy jadziem - powiedział zbój niecierpliwie i zawrócił konia.

Wjechali w las i po chwili Żegota poczuł dym, zanim ujrzał na małej polance siedzących przy ognisku zbójów, a obok nich skrepowany leżał Jasiek. Brodacz, wskazując na niego, zapytał:

- Ten ci jest?

- Ten. Poczekajcie, zaraz tu będę.

Jeniec drgnął i obrócił się, ale Żegota już zniknął w krzaczach. Głos zdał się Głównie znany, a niemal na pewno nie był to głos Radosława. Zatliła się w Jaśku znowu iskierka nadziei, ale nie chciał jej rozdmuchiwać. Otepienie beznadziejnym położeniem zmieniło się w napięcie. Tak czy inaczej sprawa ma się ku końcowi.

Prędzej, niż się spodziewał, odgłos stąpania większej gromady ludzi rozległ się w krzaczach, a na polankę wjechał Żegota. Głównie głos odjeżdżało z wrażenia, a brodacz zdziwiony i zaniepokojony, zapytał:

- Przywieźliście srebro?

- Nie. Jenio powrozy. Brać ich! - krzyknął Żegota.

Pogoda ustaliła się, przymrozki strąciły już resztę listowia, błota zamieniły się w grudę i obniżyły zwierciadła wód, gdy niecierpliwie oczekiwany przez księcia, zjechał do Krakowa Leszko. Po pierwszych powitaniach, zapytany, kiedy przybędzie ojciec i brat, odparł:

- Rodzic sprawić się niechał, ale przybyć nie może, bo słabuje, Ziomaszko zasię u Krzyżaków siedzi, a bodaj wraz z mistrzem Ludwikiem von Baldersheim pociągnął pomścić kłeskę, jaką od Prusów latem ponieśli, gdy to mistrz Helmerich i marszałek Zakonu poległ.

- Szkoda, że nikogo z twoich nie będzie. Rad bym rodzicowi twemu rękę podał do wieczystej zgody, jako między krewniakami przystało.

Leszko roześmiał się i odparł:

- Nie można rzec, że nikogo. Przyrodniego Włodzisława przywiodłem. Eufrozyna puścić go nie chciała, jako że jeszcze nie postrzyżony, ale, uparty jak koziół, potąd nudził, aż się rodzic zgodził, gdy się za nim wstawił. Małe to jak krasnoludek, a zawzięte jak łasica. Zwólcie, by rękę waszą ucałował, jeno się z niego nie śmiejcie, bo żrałego udaje, a każdemu do oczu skoczyć gotowy.

- Rad go ujrzyć i rad jestem, że z przyrodnymi po bratersku poczynasz, bom się lękał, że Eufrozyna nienawiść między wami siać będzie.

-Juści, zgoła zbyć się nas chciała. Ale jej nie wyszło, a ninie, gdy wie, że ja dziedzicem waszym mam ostać, i jej po myśli przychylność naszą dla swoich synów pozyskać.

- Daj to Bóg! Nie wypowiedzieć, ilu nieszczęść przyczyną były swary między twoim dziadem a moim rodzicem, który w końcu krwią swoją zapłacił. Pokąd się nie zaczęły, połączonymi siłami pohamować zdołali zapędy halickiego Romana. Ninie byle Swarno gromadę takowych, jak sam, zbierze i pokoju nam nie daje. By się od Daniela zabezpieczyć, postronnych sprzymierzeńców szukać trzeba.

Rozmowa zesłała na zamierzone swaty z córką Rościława i poselstwo do Beli, a w końcu na wspominki o jądzwieskiej wyprawie i zajęciach w Łukowie. Widząc, że Bolesław zachmurzył się na ich wspomnienie, Leszko powiedział:

- Słusznie czynicie, nowych ludzi szukając, gdy rodowe rycerstwo niepewne i do buntu skore. Co się zaś z owym junoszką stało, o którego poszło?

-Nie wiem i dziwne mi, że się dotąd nie zgłosił. Prandota, który go sobie ulubił, niespokojny jest o niego. Ja także lękam się, że go przygoda jakowaś spotkała, i słałem nawet komornika Zbysława Nieczuję do Dębna, by tam się zwiedził, zali Radosław nie pojmał onego Głównki. Dawno winien być z powrotem, bo konnych pachółków wziął z sobą. Drobna zda się sprawa, ale nie mogę płazem puścić, by mi jeden zuchwalec prawa sądu i łaski zaprzeczał, gdy podpiął gromadę czuje za sobą. Przykazałem mu stawić się w Krakowie, a odmówi - przywieźć choćby siłą. Wolej jednak, by się bez tego obyło, bo ma swojaków i popleczników, co mącić gotowi, gdy zjazd rycerstwa nad twoim następstwem będzie uradzać.

- Tak ono i jest, ale niedobrze. Trzeba by i nam za poplecznikami się obejrzyć, co by od nas, nie my od nich byli zależni. W mieszczaństwie by ich znalazł. Handel ładu i prawa potrzebuje, a jeno silny władca może je zapewnić, tedy nam sprzyjać muszą.

- Pokąd sami nie obrosną w dostatki i przywileje - powiedział Bolesław. - A ninie jest jak jest i wołałbym sądu nad Radosławem unikać, a prawdę rzec, i onego junoszki żal by mi było.

- Mnie także. Może się jeszcze na dobre obróci.

Usynowienie było uroczystością rodzinną, związane z nią obrzędy pochodziły z pogańskich jeszcze czasów, ale książę umyślnie chciał jej nadać szerszy rozgłos i wzmocnić powagę kościelnym błogosławieństwem. Toteż korzystając, że biskup poczuł się silniejszy, a z Mazowsza przybyli już do Krakowa książęta Konrad i Bolesław, synowie zamordowanego przez Swarnę Ziemowita, postanowił nie odkładać obrzędu.

Świat roziskrzyło pogodne słońce. Z miasta i podgrodzi ciągnęły tłumy ciekawych, wypełniając zewnętrzny podwórzec grodu, gdy w szczupłym wnętrzu Hermanowej katedry gromadzili się duchowni i świeccy dostojnicy. Nie wszyscy patrzyli życzliwie na zaproszonych na prośbę Leszka wójtów, Jakuba z Nysy i Dytmara zwanego Wołk. Odsuwano się od nich, mimo że w kościele tłoczno było. Do prezbiterium już wchodziła kapituła z dziekanem Jakubem ze Skarszewa na czele, zajmując miejsca w stallach obok biskupiego tronu. Tylko na przeciw niego ustawione na podwyższeniu siedziska dla pary książęcej i krewniaków świeciły pustką.

Oczekiwanie na nich przedłużało się, w kościele zaczynał się szmer. Książę nie zwykł się spóźniać, a zwłaszcza nie pozwalał czekać na siebie biskupowi, który przybrany w szaty pontyfikalne, gotów był rozpocząć nabożeństwo i dziwił się niezwyklej u Bolesława zwłóce.

Książę przywołał właśnie komornika Lasotę, zamierzając zawiadomić Kingę i krewniaków, że schodzi do kościoła, gdy ten rzekł:

- Wrócił Zbysław Nieczuja i pyta, kiedy zechcecie go wysłuchać.
- Teraz mu spieszno? - mruknął Bolesław, ale przemogła ciekawość i niepokój, i dodał:
- Jestli tu, niech wejdzie.

Gdy wezwany zjawił się, Bolesław, nie czekając na powitanie, zapytał:

- Przywiodłeś Radosława, wywiedziałeś się o Głównce? Gadaj prędko.
- Radosław nie żywie, a Głównka z panem Żegotą do Trepki z Grzegorzowie zjechać mieli.

Książę aż usiadł z zaskoczenia i zapominając, że czekają na niego, zapytał:

- Co się stało? Gdzieś Główkę naszedł? Czemu raniej nie przyjechał? Gdzieś bawił tyle czasu?

Zbysław uśmiechnął się pod wąsem i rzekł:

- O wszystko naraz pytacie, miłościwy panie. Rządnie opowiem: jak przykazaliście, zjechałem do Dębna ludzi ostawiwszy w lesie, a sam do dworca się udałem, by pomiarkować, co zaszło. Dowiedziałem się tyle, że Radosław wyjechał z jakimś człkiem, który się posłańcem od podśodka Rogali mienił. Czekałem na jego powrót, przemyśliwując, co począć, gdy przybył pan Żegota z pacholkami, których takż w lesie ostawił. Od niego zwiadziałem się, że Rogala pojmał Główkę i przez najętych zbójów Radosławowi go odesłał. Naciągnęli iście. Naskoczyliśmy ich z nagłą, zbójów w pętach tu przywiódłem do ukarania, a Główkę pan Żegota zabrał do Grabowca. Ja z pojmanymi wolno ciągnąłem, oni rychlej, tedy już tu być winni.

- Skąd Żegota wiedział, że Rogala Główkę pojmał? I cóże się z Radosławem stało?

- Żegota mi nie rzekł. Może coś ukrywa. Kto Radosława ubił, nie wiem. Może ów człek, co się posłańcem Rogali mienił, a może i owi zbóje. Martwego naszli w lesie, konia ni miecza przy nim nic należli.

- Rogala mi odpowie, że wbrew zakazowi Główkę pojmać się ważył - gniewnie powiedział ksiązę. - Radosław za nic miał prawo, do sięgło go bezprawie.

Dosięgła go Boża sprawiedliwość - wtrącił Nieczuja, ale Boleśław odparł:

- Bez woli Bożej nic się nie dzieje, ale sprawiedliwości na tamtym domierza świecie. Na tym zasię moja rzecz i źle będzie w tym kraju, jeśli nie prawo w sądzie, jeno zemsta lub chciwość na gościńcu będą jej domierzały. Jeśli Żegota iście wie, kto to uczynił, powiedzieć musi. Odszukasz go i wezwiesz, by się jutro stawił u mnie, bo dziś biesiada pewnikiem się przeciągnie.

Ksiązę wyszedł i udał się do zakrystii, gdzie czekała już Kinga i młodzi książęta. Przystępując do Prandoty, rzekł:

-Wybaczcie, ojcze, zem wam czekać niechał, ale wieści przyszły, które i wam pilnie przekazać chciałem: Jasiek Główka się nalazł i pono tu jest.

Powtórzył pokrótce, co od Nieczui słyszał. Gdy skończył, Prandota westchnął z ulgą:

- Tedy ubyla nam jedna troska. Opatrzność zda się czuwać nad onym junoszką. Rad go ujrzę i pobłogosławię. Ale ninie już chodźmy.

W asyście kleryków skierował się do prezbiterium, a za nim ruszył Bolesław z małżonką i młodzi książęta. W kościele ruch się uczynił, gdy wszyscy powstali. Prandota ukląkł przed ołtarzem, Bolesław i Kinga zajęli miejsca na podwyższeniu, poniżej zasiedli krewniacy i biskup rozpoczął Ofiarę.

Małemu Włodzisławowi cniło się widocznie. Zrazu siedział spokojnie, ale wkrótce wymachiwał jął nogami, nie sięgającymi ziemi, a potem rozglądać się po kościele, co chwila odgarniając z czoła jasne kędziory, które mu opadały na bystre, błękitne oczy. W końcu szeptać coś zaczął do brata, który daremnie starał się go uspokoić, a wreszcie widząc, że ściągają uwagę zebranych, mruknął:

- Siedźże cicho, raku, bo rodzica tu przedstawiasz. Nie, to cię do dom odeślę.

Widząc, że małe zasępił się, dodał:

- Niedługo już, miejże cierpliwość.

Mały Włodzisław cierpliwości nie miał, uczyć go jej miało dopiero całe długie życie, ale tym razem nie była już potrzebna, bo Prandota, skończywszy właśnie nabożeństwo i pobłogosławiwszy obecnych, przemówił:

- Pierworodny grzech rodziceli ludzkiego rodzaju otworzył czeluść śmierci, której nikt nie ubieży. Ale Bóg w miłosierdziu swym potomstwem ich ubłogosławił, by nic zaginęła chwała Jego, a przez Syna swego drogę wieczystego żywota ukazał. By ją zasię ułatwić, Kościołowi świętemu i pomazańcom jego władzę poruczył, by praw Bożych i obyczajów chrześcijańskich pilnie i gorliwie strzegli.

Ale i owi stróże prawa i sprawiedliwości śmierci się nie wybiegają, a skażona grzechem natura ludzka we władzy, którą Bóg dla dobra

powszechności ustanowił, źródła próżnej chwały i marnych korzyści się dopatruje, żertwą je czyniąc chciwości i pychy, ku powszechnej szkodzie i zgorzeniu.

I ta stolica, z którą ongiś związany był zaszczyt korony, jakoby ob ręczy w jedność spajającej państwo Piastowe, nieraz już była przedmiotem walk bratobójczych. Tym większa do nich pokusa, gdy braknie tego, kto by przyrodzonym prawem ster objął kraju, gdy śmierć go wytrąci z ręki prawowitego władcy.

Odmówiła Opatrzność panu naszemu krwi własnej dziedzica...

Biskup przerwał i spojrzął z przyganą na Pawła z Przemykowa, który, pochyliwszy się do siedzącego obok proboszcza wiślickiego, magistra Gerharda, powiedział coś, widocznie jakieś szyderstwo, bo ten twarz zasłonił, by ukryć śmiech. Nietrudno było odgadnąć, jakie. Twarz Bolesława nabiegła krwią, a Kinga opuściła wpadnięte oczy. W kościele rozległy się szepty, ale uciął je Prandota i ciągnął, podnosząc głos:

- Nieprzewidziane są jej wyroki, zło na dobro obrócić zdoła. Zgodny z Jej wolą jest starodawny i powszechny obyczaj, by ten, komu własnego syna odmówiła, uznać nim mógł obcego, który by podporą był starości, dziedzicem imienia i rodu odnowicielem, a Kościół mocą zleconą przez Zbawiciela nic odmawia mu swego błogosławieństwa.

Prandota zwrócił się do Leszka:

- Chceszli tych oto dostojnych państwa, księżęcia Bolesława i jego małżonkę Kingę, za rodziceli swych uznać, synowską cześć, miłość i posłuszeństwo im ślubie?

- Chcę, tak mi dopomóż Boże w Trójcy Świętej jedyny - odpowiedział Leszko, a biskup, ujawszy go za rękę, wstąpił na podwyższenie i zwrócił się do pary księżęcej:

- Chcecie, miłościwi państwo, tego oto Leszka za syna przyjąć, rodzicielską miłość mu okazać i używanie wszelkich praw swego stanu jak rodzonemu zapewnić?

- Chcemy, tak nam Boże dopomóż - odparli, a Prandota zakończył:

- Tedy dopełnijcie obrzędu, obyczajem przodków ustanowionego, by wedle praw tego kraju za syna waszego uznany i uważany był.

Leszko ukląkł przed księżną, która nie podnosząc oczu, ucałowała go w czoło i krzyż nad nim zakreśliła, a potem zwróciła się do męża:

- Tego oto syna naszego, gdy żrały już jest, w wasze ręce oddaję, byście go postrzygli i między mężów przyjęli.

Usadziła Leszka na kolanach Bolesława, który ujął podane mu nożyce i ściał lok na jego głowie. Z kolei uczynił to Prandota, po nim bracia stryjeczni, pierwszy dostojęństwem kasztelan krakowski, następnie inni dostojnicy wedle godności. Gdy skończyli, Bolesław posadził Leszka na swej prawicy, a sam powstał i zwrócił się do obecnych:

- Za świadków was biorę, jako księżę Leszko wedle prawa i obyczaju za syna przez nas przyjęty został, i życzliwości waszej go zalecamy. Ninie na biesiadę was zapraszam, byśmy się społem tym pomyślnym wydarzeniem uradowali.

Sam nie zdawał się uradowany, nie uszło bowiem jego uwagi drwiące zachowanie Pawła z Przemykowa, który, gdy ruch się uczynił w kościele, niemal głośno powiedział:

- W kędziorach patrzył na białkę, bez nich na rzezańca.

Musiał to słyszeć i Leszko, bo zachmurzył się i gdy wychodził z kościoła, powiedział do Bolesława:

- Wasz kanclerz po raz wtóry zadry ze mną szuka. Nie będzie pokoju między nami.

Księżę myślał to samo. Co gorsze, wiedział, że zuchwały i nieopanowany Paweł już teraz zabiegi czyni w kapitule o następstwo po Prandocie. Gdyby odniosły skutek, przyszłość zapowiadała się burzliwa i ciemna. Jakby usprawiedliwiając się przed Leszkiem, powiedział:

-Nijak się go zbyć, bo przez niego wieści mam z Litwy i Rusi. A jeschczem mu i onych pięci tysięcy grzywien, com na wykup Konrada pożyczyl, nie zwrócił.

- Wolej się u mieszczan zapożyczyć, a bogdaj się te jego związki z postronnymi przeciwko nam nie zwróciły.

- Inna rzecz zuchwalstwo, a inna zdrada - odparł Bolesław. - Po cóż najgorsze przewidywać? Pójdźmy oto przy kubkach uweselić się - i tym się ludzi jedna.

Widząc, że Leszko nie rozpogodził się, by odwrócić jego myśli, dodał:

- Pytałeś o onego junoszkę, który przeciw Jadźwingom był nam pomocny. Nalazł się i pono jest w Krakowie.

- To i dobrze, takich nam jak najwięcej - ożywił się Leszko. - Zwólcie, bym ja go rycerzem pasował w waszym imieniu.

- Młodyś, jednaj sobie młodych. Z nimi ci kiedyś trud rządu dzwigać przyjdzie - rzekł Bolesław.

Skierowali się do wielkiej sali o dwudziestu czterech słupach, gdzie czekali już zaproszeni biesiadnicy. Pawła z Przemysłowa między nimi nie było.

Biesiada przeciągnęła się, książę nazajutrz wstał późno i przybierał się właśnie, gdy komornik oznajmił mu, że na posłuchanie czeka Żegota. Bolesław powitał go łaskawie, z miejsca pytając:

- Zbysław Nieczuja mówił mi, że Radosław z Dębna nic żywic. Wiedział od ciebie, że Rogala Główkę pojmał i Radosławowi odesłał, bo i po toś z pachółkami do Dębna jechał, by go odbić.

- Zbysław takż - powiedział Żegota wymijająco, ale książę zachnął się:

Zbysław jechał, bo mu przykazałem, a przykazałem, bo Główka się tu nic jawił, a Radosław wygrażał, że się na nim pomści.

- To i ja wiedziałem - mruknął Żegota nieco zmieszany, ale książę rzekł ostrzej:

- Piasku mi w oczy nie syp. Ubito i obrano rycerskiego czleka...

- Który wam w oczy posłuchu odmówił i omal buntu nie wzniecił wtrącił Żegota.

- Słuchaj! Prawo nie baczy, komu, jeno za co sprawiedliwości domierza. Mój był sąd nad nim i niczyj więcej - ciągnął książę.

- Ale nie masz takowego prawa, by kto sam siebie oskarżać był wien - odparł Żegota.

Książę patrzył na niego przenikliwie:

- Zali nic rozumiesz, że na ciebie podejrzenie pada, żeś to uczynił lubo z twojego stało się przykazu?

- Nie uczyniłem - chmurnie odparł Żegota - jenom zabójcę miał pod swym dachem i niechałem ujść.

- Oto jak bezprawie się pełni! Kto to był i skąd się wziął u ciebie? Zmówiony był z tobą?

- Cóż o to pytacie? Przed sądem stoję?

- Jeszcze nie. Ale zrozum, że wdowa i synowie nie poniechają tej sprawy. Co Radosław zawinił, za to przed Bogiem odpowie, co przeciw niemu zawiniono, moja powinność dochodzić. Jeśliś iście ręki nie przyłożył, przecz osłonić chcesz zabójcę?

- Bobym sam to uczynił na jego miejscu - popędliwie odparł Żegota. - A wy także, by nie drwił z was, komu się uwidzi. Co będziem chować pod korzec! Za krótkie było wasze ramię, by w Łukowie pasować onego Główkę, bo się to panu podsędkowi czy Radosławowi nie podobało, za nic mieli wasze słowo, że w niepamięć puszczacie, co im Jasiak zawinił...

- Radosław przed Bogiem stoi - powtórzył książe rozdrażniony i zmieszany. - A Rogala mi odpowie.

- Nie odpowie. Chcecie wiedzieć wszystko? Wojan go obwiesił. Każdemu tam sprawiedliwości szuka, gdzie ją należeć może. Trafiła kosa na kamień. Wam także na rękę być winno, że nie wy, jeno Bóg występnych będzie sądził. Niechaj sądzi i Wojana.

Bolesław milczał, przeżuując upokorzenie. Nie szczędzą mu go ni wrogowie, ni przyjaciele. Powiedział po chwili:

- Nic ziemskiej sprawiedliwości do umarłych. Ale żywych poniechać nie może, by pozorowi nie było, że każdy jej sobie domierzać władny. Wojana muszę wyjąć spod prawa i ściganie go nakazać.

- Iście pozorowi. I Boga prosić, by go nie schwytano, bobyście bezwinnym uznać go musieli. Co miał czynić, by Jaśka odbić? Wždy wiedzieć nic mógł, żeście Zbysława z pachołkami wysłali.

Po odejściu Żegoty książe długo siedział w zadumie. Zniechęcony był i przynębiony. Toporczyk słusznie mówił, że lepiej, by nie schwytano zabójcy. Trudno nawet pozory ocalić prawa i sprawiedliwości.

Wobec zbliżającego się zjazdu rycerstwa, który zatwierdzić miał zapis na rzecz Leszka, uznający go za dziedzica i następcę Bolesława, nie mógł księżę przed samym sobą zaprzeczyć, że postawienie przed swój sąd Radosława i Rogali nie ułatwiłoby pomyślnego przeprowadzenia sprawy, puszczenie zaś płazem nieposłuszeństwa i zamachu na Główkę jeszcze by obniżyło jego powagę. Nie można było nie przyznać, że postępek Wojana tę troskę usunął, a ponadto zobowiązania wobec sierot po poległych panach z Krępy. Pasowany już Główka pojechał tam z młodym Pietrkciem, który właśnie doszedł do lat sprawnych. Ułożyć się mieli o spadek i wiano oraz przygotować weselisko. Księżę mógł czas i myśli poświęcić zjazdowi oraz zamierzonym swatom Leszka, wszystkie jednak sprawy zahamowały srogie zawieje, które przez dwa miesiące niemal uniemożliwiały wszelki ruch. Na przedwiośnie znowu ciepłe zlewy zamieniły kraj w bagno, wezbrane od szybko tających zwałów śnieżnych wody pozrywały mosty, brody stały się nieprzebyte. Zjazd oraz poselstwa do Beli i Rościława trzeba było odłożyć do sposobniejszej pory.

Bogusława nie przejrzała Wojana i mylił się Żegota, sądząc, że uchodzi z obawy przed pojmaniem. Wojan lękliwy nic był, nic dbał, gdzie i kiedy życie skończy.

Sławka podobała się Wojanowi, ale przede wszystkim dlatego, iż - mimo że mogła, oddając rękę Krystynowi Gozdawie, ustalić się i pozostać wśród ludzi, do których z urodzenia należała - oddała serce człowiekowi bez imienia i majątności, skłonna podzielić los wywołanica i czekać na niego choćby do śmierci. Takiej jeszcze nie spotkał, trafiały się gotowe pójść z nim do łoża, ale nie do lasu na twarde i niepewne życie. Nigdy do żadnej nawet myślą nie wracał.

W ciszy i ciemności Wojanowi zaciężyła samotność. Tam, gdzie był cel Jaśka, drogi ich się rozeszły. Nawet nie drogi, bo nie widział swojej, która by dokądś wiodła; bezdroże, które wiedzie donikąd. Jeszcze tylko zatroszczy się o Wojtałę, umieści go gdzieś pod opieką, by doszedł spokojnie, a potem powrót do dawnego życia. Ongiś kłu-

sował po książęcych borach, bardziej na przekór prawu, niż by zbierać srebro, w którym zrazu widział środek, jakiego brak przyprowadził jego ród do upadku. Potem zbierał je z nawyku, a następnie dla Jaśka. Teraz utracił i ten cel.

Ze społeczeństwa wyгнаło go bezprawie, które bezprawiem odpłacił. Lata upłynęły od tego czasu, zabójstwo książęcego komornika i pobicie pacholków niemal wywietrzały z ludzkiej pamięci. Ktoś musi bronić kraju przed niszczącymi najazdami. Przeciw Tatarom nie poruszył się nikt, latami trzeba było wypatrywać sposobności, by pokrozić drapieżnych Jadźwingów, nadal tkwi w Drohiczynie zbójcecki Swarno, by korzystając z oparcia, jakie ma w halickim Danielu, na czele lotrów ściągających z całej Rusi, łupić i palić. Coś się musi odmienić, sandomierska rzeź była groźną przestrogą.

Jadźwieska wyprawa, w której Wojan wziął udział tylko ze względu na Jaśka, świadczyła, że mógłby być potrzebny, a zarazem i dla niego stworzyła sposobność powrotu do uporządkowanego życia. Zabijając Rogale i Radosława znowu odciął się od niego, a zarazem od Jaśka. Zmarnował sposobność, która może się nie powtórzyć, lata upłyną, nim się sprawa odstoi, a tymczasem minie młodość na niczym.

Wojan nie nawykł do myśli o przyszłości. Dręczyła go i starał się uciec od niej. Najbliższe to załadzić sprawę opieki nad Wojtałą. A potem? Jesień już późna, wróci chyba do Sandomierskiej Puszczy i będzie łowił bobry. Po co?

Droga do gródka nad Krzną dłużyła się. Dni były coraz krótsze, często chmurne i dżdżyste, ludzi Wojan unikał, w miarę możliwości własnym przemysłem zaopatrując się w żywność i przygotowując noclegi. Rozkiszłe bagna i wezbrane strumienie również hamowały pochód.

W ponury dzień listopadowy zbliżał się do celu, niespokojny, co zastanie w osadzie. Odetchnął z ulgą, gdy z powiewem z północy zaleciał go zapach dymu; przebrnął moczar, który wezbrane wody Krzny i Zielawy zamieniły w jezioro. Z szopy rozległo się rżenie konia, upewniając go, że Wojtało zdołał dotrzeć do osady. Ale wywieźć go w obecnym położeniu było niemożliwe. Musi z tym poczekać do mrozów.

Spieszyć się nie potrzebował, nie miał do czego, a szukać go tu nikt nie będzie. Rad był nawet odpocząć pod dachem, i on, i koń zmarnowali się w drodze. Wprowadził go do szopy i skierował się do budynku, trochę zdziwiony, że nikt nie wyszedł spojrzeć, kto przyjechał.

W izbic przed ogniem płonącym na palenisku siedział Wojtało. Nie odwrócił się na odgłos kroków, widocznie spodziewając się kogoś innego. Dopiero gdy Wojan stanął przed nim, podniósł wpadnięte głęboko oczy, w których malowało się zaskoczenie:

- Wróciłeś! - szepnął. - Co z Jaśkiem?

- Pokojny bądź. Ubiłem Radostawa. Opowiedział przebieg zajścia, a gdy skończył, Wojtało rzekł:

- Tedy nie widziałeś Jaśka.

- Nie! - odparł Wojan chmurnie. - Może by nie chciał rozstać się ze mną, po co go wciągać w moją dolę. On teraz książęcy rycerz, a ja? - Machnął ręką i ciągnął. - Ale co z tobą, niebożę? Na Piotrowina patrzysz. Jakoż sobie radzisz? Sam siedzisz? Gdzie ludzie?

- Rozeszli się. Dobrze, że siana trochę zwlekli dla konia. Każden woli sam sobie gospodzinem być, pustej ziemi nie brak, cośmy Jadźwieży odebrali. Jeden Marsz ulitował się nade mną, boby zdechnąć przyszło. I tak przyjdzie, co tam.

Zakaszłał i splunął na dłoń, pokazując ślinę z krwią. Podjął:

- Wynagrodź go, jeśli wola, bo ciężki tu żywot. Wszystko na barach przynieść trzeba, a ja tyle, że ognia dopilnuję, byle drewna nie brakło. I ninic po to poszedł.

- We dwu lżej będzie - powiedział Wojan. - Niech jeno wody staną, gdzie ci niewieściej pieczy dla ciebie poszukam, bo nie spasteś się na chłopskiej gospodarce, a i baby na Ickach się wyznawają.

-Nie zajadę ja już donikąd i nie będę wam długo ciążył. Ale nic to. Rad jestem, że ciemnie doczekał, by ci podziękę złożyć za siebie i za Jaśka. I że między swoimi kończy przyjdzie, nie na obczyźnie. Dar-mo strawiłem żywot, dobrze, że go zbędę nie darmo. Choć co nim splącałem, może Jasiek wspomni, tyle po mnie ostanie.

Umilkł i zapatrzył się w ogień, nad czymś zadumany. Po chwili podjął:

- Słysz! Mocarny jesteś i przemyślny. Zda ci się, że zawsze tak będzie. Ani się obejrzysz, przyjdzie starość i niemoc, gdy brać trzeba, a dać nie ma co. Albo zdychać jak beznamiętny pies, którego nawet pogrześć nie ma komu. Młodyś jeszcze, możesz żywot odmienić. Nielekkie człeku, gdy jako żebrak zdany jeno na cudze miłosierdzie, którego odpłacić nie ma czym.

- Marsza za starunek wynagrodzę, a ja nijakiej odwdzięki nie czekam - szorstko przerwał Wojan.

- Choćbyś i czekał, i to na próżno, ale gorzki każdy kęs jako psu z łaski rzucony - z widoczną przykrością odparł Wojtało.

- Co prawisz! Za Jaśka ranę wzięłeś, któremuś także nic nie dłużny, starczy mi to za odwziękę. I żeby nie ty, nie wiedziałbym, co z sobą począć. Wojowaliśmy społem i mnie mogło się jak tobie przygodzie.

-Widzisz! Społem! Nie jeno my dwaj. Dużo można przemyśleć, gdy człek do niczego już nieprzydatny, ni sobie, ni komu, szmat czasu jeno w powałę patrzy lubo w ogień i wie, że to już kres. Cóżem zyskał, że mszcząc swe krzywdy, pospołu z wrogiem krzywdziłem innych? Kłatwę i wygnanie. Latam w obcej mowie gadał, ale gdy się przyśniło, że słyszę naszą, żal było budzić się. Im dłużej, tym gorzej, dlatęgom i wracał, choćby głowę na pieńku położyć. Tobie dziękować, żem krzywdę choć jako odpłacił, i może mi Bóg wybaczy, aczkoli pod kłatwą umierać trzeba. Swoja ziemia lżejsza, choć i nie poświęcona. Złego dużo człek sam zdziałać władny, dobrego - niewiele.

- A cóżeśmy, ty lubo ja, dobrego doznali, by za nie odpłacać? - chmurnie przerwał Wojan. - A zło ostawiać bez odpłaty?

- Tak i ja myślałem, gdym był w twoich leciech. I sił mi także nic brakło. Dopiero gdym ich wyzbył, zrozumiałem, co czuje, kto ich nie ma: starzec, czędo, niewiasta. Gdyby prawo ściagało krzywdy, niepotrzebna byłaby pomsta, co ni miary nie zna, ni kresu. Człeku się zda, że sam sobie sędzią może być, a ostaje własnym i cudzym katem; tych, co się bronić nie wydolą.

- Gdyby ściagało! Widziałeś, jako z Jaśkiem było. Książę sobie, a Radosław i Rogala sobie. Żeby nie my, na ich by wyszło.

- Bo za nic prawo, gdy za nim nie stoi siła. A cóżeśmy księżęciu jej przyczynili? Kto ładu nie buduje, ten go burzy. Przemyśl to sam. Wierzej mi, że ci dobrze życzę.

- Prawisz: żywot odmienić! Wždy mnie ni Marszowi ani się pokazać w Łukowie, choć nie wiem, zali nam soli na zimę starczy. Wiedzą tam, kto Jaśka podsędkowi wydarł, a i zgadnąć nietrudno, kto z nim koniec uczynił. Żegota też rzec musiał, kto Radosława ubił, boby inak sam popadł w podejrzenie. Nie pokazować mi się między ludźmi.

-Nie wiem! Jeno wiem, że żywot nic niewart, gdy człek do niczego nie zmierza, nawet jak zwierz, by potomstwo spłodzić i wychować. I gdy go kończyć przychodzi, rzec sobie musi, że lepiej by się nie rodził. Prawisz, żeś Jaškowi już niepotrzebny. Ale on tobie. A wszyscy my społem księżęciu byliśmy potrzebni. Któż ma kraju bronić? Chłop, co wprzęgnięty do sochy, broni pozbawiony, jeno łupem jest? Jak go broni rycerstwo, widzieliśmy czasu tatarskiego najazdu. Wydolili księżę jądźwieskiemu łupiestwu położyć kres, ostał Swarno w Drohiczynie.

- Żeby się rycerstwo nie burzyło, można było i ze Swarnem załadzić. Do broni się bierze, gdy własny dach płonie nad głową, jako w Sandomierzu było.

- Panowie z Krępy nie siebie jeno bronili i choć dobre imię po nich ostało.

~ I sieroty - mruknął Wojan.

Długo siedzieli w milczeniu, aż nadszedł Marsz z naręczem drewna i wziął się do przygotowania posiłku. Choć Wojan znużony był i od dłuższego czasu pierwszy raz pod dachem, długo nic mógł usnąć.

Ziemia niezbyt jeszcze była zmarznięta, gdy w niej pochowali Woj-tałę. Ubyła troska o niego, ale tymczasem było o czym myśleć, by siebie utrzymać przy życiu. Po pierwszych przymrozkach, które jeszcze nie skuły bagien, przyszły zawieje, że często świata nie było widać. Przed wczesnym zmrokiem należało wracać do osady, by nic pobłądzić, bo oznaczało to śmierć. Zapasów nie było żadnych, co dzień trzeba

było zdobywać pożywienie, a nie o dzień się udało. Po Godach, gdy dzień czynił się dłuższy, życie zelżało. Śnieżyce rzadziej teraz zasłaniały świat, wygłodniały zwierz ruszył ze swych kryjówek, zostawiając trop; po własnym śladzie można było i o zmroku trafić do osady.

Wiosenne roztopy znowu unieruchomiły Wojana, ale słońce szybko wypijać jęło wody. Bagna i lasy zaroily się ptactwem ciągnącym z południa, nalot zieleni nasilał się z każdym pogodnym dniem.

Wojanowi dojadła już jałowa beczyność i dość miał rozmyślań. Poprzedniej zimy nie stało na nie czasu, wraz z Główką ściągali tu, ćwiczili i zbroili zbiegów i wywołańców, wrzała praca przy wznoszeniu budynków, które teraz stały opustoszałe i nikomu niepotrzebne. Wojan nie zamierzał tu pozostać, co począć, jeszcze nie postanowił, ale czuł, iż Wojtało miał słuszność, że życie bez celu nic niewarte.

W pogodny i ciepły ranek wiosenny okulbaczył konia, w juki spakował nieco zapasów, do siodła przytroczył łuk i kołczan, hełm i miecz. Niecierpliwie czekał na Marsza, wałęsającego się teraz całym dniami; nieraz i na noc nie wracał do osady. Nadszedł jednak wkrótce i, widząc Wojana gotowego widocznie do drogi, zapytał:

- Dokąd jedziecie?

- Jeszcze nie wiem - odparł Wojan. - A ty co z sobą począć zamierzasz?

- Juści, że nie ostanę. Żeby nie Wojtało, byłbym poszedł z drugimi. Mądry był stary. Szkoda go. Prawił, że człek jako liść: potąd żywie, pokąd drzewa się trzyma, na którym wyrósł.

- Pójdiesz za innymi? - przerwał Wojan.

- Iście tak. Dobrze było w gromadzie, a i wdów tam nie brak, cośmy im mężów wyrzneli. Pocieszyć je trzeba - zaśmiał się. - Co żywie, z wiosną gniazda zakłada, jesieni mam czekać?

- By ci go jeno nie zburzyli. Niespokojne tam somszedztwo.

- A my to spokojni? Dlatego nam i książę nad Narwią osiąść zwolili. Zlezie się tu jeszcze więcej takich, co im wola miłsza od jarzma, choć i nie śpij bez czego twardego w garzci. Obaczym, komu raniej obrzydnie. Poszlibyście k'nam. Dobrze się społem wojowało.

- Może i zajadę do was. Zastałem się jako i ten koń.

- A co z ciskiem? Ja także zaraz odejdę.
- Możesz se go wziąć. I wóz, i co jest ze statków, i narzędzia. Przyda ci się, gdy będziesz gniazdo wił.
- Dzięki wam - powiedział Marsz uradowany, ale Wojan machnął ręką:
- Nie wrócę tu, tedy nic mi po tym, a Wojtało prosił, by cię wynagrodzić za to, żeś go nie poniechał.
- Uzałiłem się nad nim, bo nie miał nikogo. Biedny stary, na zawždy ninic już sam ostanie.

O tym myślał Wojan, jadąc gdzie koń poniesie. Od lat nawykł włożyć się ciepłą porą, i wtedy miał jakiś cel, choćby dokuczać poborcom; teraz nie miał żadnego. Nic to jeszcze wiosną i latem, lubił noclegi pod gołym niebem, co noc gdzie indziej, ale z odrazą myślał, że gdy nastaną jesienne słoty, trzeba gdzieś osiąść. Przez ostatnich parę lat nie brakło mu zajęcia ni jesienią, ni zimą i nie miał nawet czasu, by pomyśleć, że kiedyś nadejdzie starość i niedołęstwo. Dopiero tej zimy, gdy po śmierci Wojtały nic już nie miał przed sobą, myśl ta nachodziła go coraz częściej. Wspominał zimę, którą pomagał przetrzymać zbiegom przed tatarskim najazdem, kiedy to spotkał Jaśka. To on mu powiedział, co od Sadoka słyszał, że darmo żywić, kto nikomu niepotrzebny. Wtedy był potrzebny i potrzebny był na jадźwiskiej wyprawie, choć nie o tym myślał.

W Łukowie słyszał, że ksiązę zamierzał rozprawić się i ze Swarnem, by wreszcie spokój zapewnić od zbójeckich napaści. Krwawe straty i zniechęcenie wojsk udaremniły to wówczas, ksiązę jednak zapewne nie poniecha tej sprawy, ale i ją przygotować musi. Przed wszystkim, jak przeciw Jадźwingom, przepatrzeć drogi i brody. Zamiast wałęsać się, Wojan postanowił zająć się tym, rad, że znalazł jakiś cel, jakkolwiek nie było wcale pewne, czy wyprawa przeciw Swarnie dojdzie do skutku, a tym mniej, czy on weźmie w niej udział. Sprawcę obydwu zabójstw ani chybi nakazano ścigać. Nęciła go przygoda, a już teraz przygnębienie ustąpiło napięciu. Skierował konia ku północnemu wschodowi, zamierzając dotrzeć pod samo gniazdo zbójeckie w Drohiczynie. Nie wątpił, że tam skierowane być musi uderzenie. Gada najłatwiej zdeptać w jego legowisku.

Kasztelan Tomek Kościeszka wybierał się na zjazd do Krakowa. Wieczór zapadał pogodny, daleka podróż zapowiadała się pomyślnie, paszy dla koni brać nie trzeba. Zamierzając wcześniej udać się na spotkanie, by wyruszyć o świcie, wydawał właśnie ostatnie zarządzenia na czas swej nieobecności, gdy nadbiegł pachołek ze straży i oznajmił:

- Jakowyś człek żąda widzieć się z waszą miłością.

Kasztelan zmarszczył się niechętnie i zapytał:

- Czego chce?

-Nie rzekł; jeno że sprawa jest pilna.

- Jemu pilna - mruknął kasztelan i dodał:

- Wpuścić go.

- Nie chce wejść, jeno czeka przed bramą.

- Widno nie takie pilne, tedy niechaj czeka do rana. Co za jeden?

-Wasza miłość! Zda mi się, że to ów, co pana podsędka potłukł i pono on go ubił.

Kasztelan poderwał się, ale usiadł z powrotem. Zdało mu się niewiarygodne, by ścigany przestępca sam się zjawił. Zapytał:

- Pewny jesteś?

- Mrok już. Ale dziesiętnikowi takż się zda, że to on.

- Tedy weźmij łuczywo, dziesiętnika przywołaj i pójdzmy.

Kasztelan przypasał miecz i zbierał się podniecony. Jeśli istotnie zabójca ważył się zjawić w Łukowie, niewątpliwie nie pozwoli się ująć bez oporu. Ale czego chce?

Przed bramą spostrzegł w półmroku zbrojnego męża, który stał obok konia, na widok jednak zbliżających się z zapalonym łuczywem skoczył w siodło i rzekł:

-Nie po tom konia gnał, bym się imać zwoił. Nie chcecie słyszeć, co mam rzec, tedy żegnajcie. Byście nie pożałowali!

Zawrócił koniem, ale kasztelan zawołał:

- Zaczekaj! Odprawię ludzi.

Rogali nie cenil, jego zabójcę chciał ująć z obowiązku, ale widząc, że nie zdoła, wołał dowiedzieć się, z czym przyjechał. Gdy dziesiętnik z pachołkiem oddalili się, podszedł do Wojana i zapytał:

- Czego chcesz?

- Ja niczego, ale wam zda się wiedzieć, że Swarno w pięć tysięcy chłopów przeszedł na tę stronę Bugu. Dokąd ciągnie, nie wiem, bom i nie czekał, tyle że w górę rzeki, ale po co, pytać nie trzeba.

Wieść była ważna i zła. Sporo rycerstwa już wyruszyło na zjazd, Swarno dobrze obrał porę. Jego zbójcka zbieranina i tatarska jazda grodów wprawdzie brać nie zwykła, ale zaskoczony kraj znowu stanie się bezbronnym łupem. Przestrzec należy, kogo się da, ważniejsze jednak wiedzieć, dokąd zmierza najazd. Niejeden już raz znaczne gromady łupieżców, ciągnąc nieprzejrzanymi borami, wynurzały się aż w głębi kraju, gdzie się ich najmniej spodziewano. Kasztelan powziął postanowienie i rzekł:

- Wici roześleć nie mieszkając, sam pociągnę za Swarną, by pomiar-kować, dokąd zmierza. Ty zaś, co pary w koniu, jedź do Janusza Starzy, sandomierskiego wojewody. Niechaj zbierze, co wydoli, i czeka na wieści ode mnie.

- Rzekłby kto, iżem wam posłuch dłużny za to, żeście mnie imać chcieli - drwiąco odparł Wojan, ale kasztelan rzekł gniewnie:

- Tedy po cóżeś mnie przestrzec przyjechał? Każden czestny człek ręki i głowy przyłożyć winien, by kraju bronić.

- Dawno mi nikt nie rzekł, iżem czestny człek.

- Nie jesteś, to możesz ostać; zasługą i ludzie, i rody rosna.

- Zasługą! - zadzwiał Wojan. - Nie wasz to pradziad wrocławskiego biskupa Magnusa przy ołtarzu ubił?

Kasztelan zachnął się i odparł:

- Ale pokutował i odpuszczenie winy pozyskał. A nie chcesz ty, to idź do licha, dalej na powrót lubo picniek zarabiać.

- Pojadę do wojewody, by mnie tam zasię imać chcieli! - mruknął Wojan chmurnie.

Kasztelan zdjął z palca sygnet, mówiąc:

- Pokażesz to. Ufam ci, że mi zwrócisz, gdy skończy się potrzeba, a ja nie zapomnę przysługi i u księżęcia za tobą będę orędowną. Skora ty masz rękę, lepiej, byś ją przeciw wrogowi odwrócił.

- Tam ręki przykładam, gdzie mi trzeba. Nie pierwszyna mi - mruknął Wojan, nie sięgając po sygnet. - Za Swarnem pojedę ja. Nie

wojsk tam trzeba, jeno oczu, a trafi się taki, co przyzostanie, sam go sprawić wydolę. Jeno gdzie wieść mam dać?

- Wojewoda pewnikiem w swych majątnościach wedle Sieciechowa bawi, jeśli już na zjazd nie ruszył do Krakowa. Z Lubartowa pchnę wieści do niego. Jeśli Swarno Wieprz przejdzie, wiadomo będzie, że ciągnie w Sandomierskie. Od wypadku uwiadomię i sandomierskiego kasztelana, Piotra Dunina, by z rycerstwem swego powiatu nie ruszał do Krakowa, póki się sprawa nie wyjaśni, a także, by księżęcia uwiadomił. Ja nie później niż we cztery dni będę w Lublinie, bo jeszcze chłopów z włości ściągnąć muszę; rycerstwa nie starczy. Tam cię czekam.

- Każdy dobry, gdy bieda - mruknął Wojan, zawrócił konia i za chwilę zniknął w mroku.

Jeszcze za synów Krzywoustego granica sandomierskiego księstwa biegła Bugiem, na południu przekraczając go, aż po źródła Styru. Gdy Koloman władał w Haliczu, spokój był nad nią. Dopiero po jego śmierci i ostatecznym opanowaniu Rusi przez chańskich baskaków bezbronny osadnik cofać się jął na zachód, a wraz z nim granice księstwa aż po średni bieg Tanwi. Obydwa najazdy tatarskie wyludniły do reszty sporą część kraju nad górnym biegiem Bugu i Swarno ciągnął wprost na południe, zrazu nie potrzebując nawet ukrywać się, bo nie było przed kim. Dopiero przekroczwszy nową granicę skierował się ku południowemu zachodowi, powyżej ujścia Bystrzycy. Nocą przeprawił się przez Wieprz i ludniejszym już krajem przemykał się, by dotrzeć do Sanu przy ujściu Tanwi, gdzie wzdłuż wiodącego nad nią gościńca do Bełza zamierzał rozpuścić zagony na wschód i wraz z brańcami i łupem jak najprędzej znaleźć się w kraju halickiego Daniela, gdzie pościg, nawet gdyby zdołał się zebrać, nie mógł go już dosięgnąć.

Dotarłszy niepostrzeżenie do ujścia Tanwi pewny był już swego i podzielił swą horde na kilka oddziałów, by jak najszerzej ogarnąć kraj. Nocne niebo rozjarzyło się łunami płonących, niedawno odbu-

dowanych osad, tłumy jeńców i stada była spędzano na gościniec, pod strażą tatarskich jeźdźców gnając je na wschód; trupy i zgliszcza znaczyły szlak zbójckiego pochodu. Swarno, nigdzie jeszcze nie napotkawszy oporu, pewny był już, że i tym razem rozbój ujdzie mu bezkarnie.

Kasztelan Piotr Dunin bawił jeszcze w Sandomierzu, gdy doszła go wieść o groźącym najeździe. Ale pod ręką było jeno kilkunastu rycerstwa z pocztami. Pchnął przeto rozkazy w okolicę, by ściągnąć, co jeno zdadne do broni. Paruset mieszczan było na miejscu i kasztelan spierał się właśnie z wójtem Markiem. Powołując się na przywilej lokacyjny, wójt odmawiał wyjścia z miasta, gdy wpadł strażnik z wieścią, że niebo goreje od pożarów. Kasztelan gniewnie zwrócił się do wójta:

- Nie tu panowie z Krępy głowy położyli, waszego miasta broniąc? Swoich chłopów ściągnęli, by obronę wzmocnić, choć także nie byli powinni. I ja ninie chłopom stanąć kazałem, gdy rycerstwa brak. Jeśli każdy swego jeno będzie pilnował, byle rozbójnik ze zbieraniną z gościńców łupić będzie bezkarnie. Baczcie, że i na was przyjsć może, jako już po dwakroć było. Nie po to książę miasto obwarować zwolili, by jeno wam było bezpiecznie. Przywilej to pergamin, łącno spłonąć może, gdy kraj w ogniu.

Wójt, zmieszany, odparł:

- Z Ławą się naradzę. Ale z kim się na Swarnę porywać, skoro - jak mówicie - pięć tysięcy luda wiedzie, a nas wszystkiego parę setni.

- Ja rycerstwa nie mam ni pół kopy, ilu chłopstwa - nie liczyłem, ale z nikim radzić nie będę, bo nie pora. Ciągnie za Swarną łukowski kasztelan, może i wojewoda Janusz, i pewnikiem kto jeno serce ma, bo lepszych wici nie trzeba, jak owe pożogi. Gdy się kaźden na innych będzie oglądał, wszyscy na łup pójdą rozbójników. Ja na nikogo czekać nie będę, choć moja głowa nie tańsza od waszej.

Widząc, że wójt zawahał się, dodał:

- Swarno zbójów wiedzie, co za łupem patrzą, tedy w rozproszeniu idą, do składnej walki niesposobni. Z nagła uderzywszy, łącnie u nich popłoch wywołać. Tedy idziecie lubo nie? O bezpieczeńność na gościń-

cach się upominacie, bo wam do handlu potrzebna. Tego w przywileju nie ma, że my głowy stawić mamy za waszą kiesę.

- Ja pójdę - odparł wójt. - A za mną, komu wola, bo przykazać nie mogę.

- Ale możecie swoim rzec, że nie zapomnę ani tym, co pójdą, ani tym, co ostaną. Tedy zbierajcie się, bo o pierwszych kurach wyruszam.

Do wychodzącego na czele rycerskich pocztów i mieszczańskiej piechoty przyłączyły się obozujące na błoniach nad Wisłą spore gromady chłopstwa i ciągnęli pospiesznie na łuny. O świcie napotkali pierwsze zgliszcza i trupy, ale także licznych zbiegów oraz kilkunastu rycerstwa. Kasztelan wiedział jednak, że zbieraninę ma, nie wojsko, i to jeszcze nic dość liczną, by w otwartym boju uderzyć na najeźdźcę. Dymy jednak na wschodnim nieboskłonie wskazywały, że najazd dość szybko posuwa się ku granicy, za którą Swarno znajdzie zbrojne poparcie swego wuja. Klęska, jaką przed paru laty ponieśli ścigający go Mazurzy, przestrzegała przed zuchwałym poczynaniem, a czas naglił. Dunin niecierpliwie wypatrywał posłańca od Kościeszcy. Pierwszy otrzymawszy wieść o najeździe, więcej czasu miał, by zebrać potrzebne siły, z którymi społeczeństwem można było poczynać. Idąc za Swarnem, powinien być niedaleko.

Nadciągał istotnie z dość licznym wojskiem, choć złożonym przeważnie z łącho zbrojnego chłopstwa. Doświadczenie mając w pogranicznych walkach, nic uderzał jednak, choć kilkakrotnie niemal na jego oczach najeźdźcy palili osady, uprowadzając ludzi i bydło. Niewiele z tego, że rozbija jeden zagon, gdy przestrzeżony Swarno wycofa się co prędzej, uprowadzając dotychczasowe łupy i brańców. Kasztelan Tomko zamierzał wyprzedzić najeźdźców i zaskoczyć im drogę. Nie znając okolicy, zwrócił się do Wojana:

-Jam tu obcy. Miarkujesz ty, gdzie by paści zastawić na onego zwierza, by go za granicę nie przepuścić? Daleko do niej?

- Ja wszędy jako u siebie. Pół dnia drogi stąd do Biłgoraja - wskazał ku północnemu wschodowi - ostatni to już gródek po naszej stronie. W dobrej mili zasię spora i bagnista struga do Tanwi uchodzi, bród przez nią i osada przy gościńcu, gdzie w pokojnym czasie celni-

cy drogowe i cło od kupców ściągają. Ninie pusta pewnikiem, bo pomiarkować musieli, co się dzieje, i uszli w las, który do samej rzeki dochodzi. Tam by się zasadzić.

- Tedy prowadź, skoro się tu wyznawasz, rad bym przed mrokiem rozejrzeć się, jak one grodzę¹ zastawić.

- Ruszajmy przodem, bo niewiele już dnia ostało - powiedział Wojan.

Po dłuższej chwili wyjechali z lasu na gościniec i puścili konie w cwał. Słońce właśnie zachodziło, gdy dotarli do brodu i przebrnąwszy mulistą strugę, wjechali do osady. Jak przewidywał Wojan, nigdzie żywego ducha. Kasztelan rozglądał się, nad czymś zamyślony:

- Miejsce dobre - mruknął. - Gdyby nas więcej było, jatki byśmy tu Swarnie zgotowali. Bym to wiedział, zali Pietrek Dunin nadciąga...

Nadciąga lubo nie, lepszego miejsca nie najdzim ni Swarno czekać nie będzie; co miał złupić, to już złupił. Jeńców zasię ani chybi przodem wysyła. Ja bym pieszych, ilu się zmieści, w osadzie ostawił, gdy się strażą z jeńcami przeprawi, niechaj na nią uderzą. Byle zamęt wywołali, jeńcy ujdą, a to nam pierwsze. My po tamtej stronicy strugi w lesie się zasadzimy. Gdy Swarno skrzęt posłyszysz, bieżyć będzie ku walce, a jazda pewnikiem w przodku...

- Dobrzść to umyślił - przerwał kasztelan z uznaniem. - Na tę ja uderzę z rycerstwem, któremu Tatarzy nie dostoją. Ty z chłopstwem i pachótkami czekaj, aż piesi dociągać naczną. Sam uznasz, kiedy naskoczyć, bo wszystkiego nie przewidzi. Żeby tak Pietrek Dunin nadażył, też ani chybi uderzy, gdy skrzęt posłyszysz. Nie nadaży, to nie zdzierzym, ale praw jesteś, że pierwsze jeńca uwolnić.

- Zdałaby się Swarnie nauka - mruknął Wojan.

- Zadość będzie ninie, gdy odbijem, co złupił - odparł kasztelan. - Ale książę z dawna samo gniazdo zbójcekie zniszczyć umyślili, bo nie żyć z takowym somsiadem. Z całej Rusi tam ściąga, co jeno z łupów żyć zwykło, a jeszcze i Litwę przepuszczają. Mazowieccy książęta także przyczynić się winni, bo i na ich karki to miecz. Jeno przygotować trzeba, jak oną wyprawę na Jadźwież, jeśli raz koniec ma być.

¹ Grodzę - pułapki.

- Byśmy Swarnę dostali, byłby zaraz. Za nogi bym go nad ogni-
skiem obwiesił, a pieczonego Danielowi odesłał, skoro mu tak sio-
strzan lubuje.

-Nie róbmy sobie smaku, skoro jeszcze nie wiada, kto tu łowcem
będzie, kto zwierzem. Jadziem!

Przebrnęli z powrotem strugę i z gościńca zboczyli w las. Zmrok
już zapadał, jeszcze tylko drozdy pogwizdywały sennie, zresztą cisza
była. Po dłuższej chwili coś ją mącić zaczęło. Nie trwało długo, gdy
głuchy odgłos kopyt i szelest zwiędłego listowia pod tysiącami stóp
oznajmił nadciąganie oddziału. W czele jazda rycerska, za nią groma-
dy pieszych. Tomko zatrzymał pochód, chorążemu Gniewomirowi
poleciał wybrać dwie setnie co lepiej zbrojnych chłopów i miejskiej
piechoty i wraz z nimi przepawić się do osady, przytacić się w budyn-
kach, zachowując ciszę i nie paląc ogni. Nie przypuszczał, by Swarno
nadcignął nocą, ale przezorność zachować należało, by przedwcze-
śnie zasadzki nie zdradzić. Toteż daleko na zachód wysunął strażę,
resztę wciągnął w głąb lasu, bo gwaru obozowiska ponad tysiąca lu-
dzi i setki koni nie dało się zupełnie ściszyć.

Noc zapadła pogodna i bezwietrzna, dopiero przed świtem ruszył
powiew ze wschodu i las zaszumiał. Tomko nakazał pobudkę, rad, że
zmęczeni mogli spokojnie wypocząć po szybkim pochodzie. Pożywia-
li się właśnie, gdy przybiegł dziesiętnik straży z zawiadomieniem, że
na gościńcu widać jakieś gromady. Kasztelan poderwał ludzi, nakazu-
jąc nadal zachować ciszę i niczego nie poczynać bez rozkazu. Sam
z Wojanem ułożył się na skraju lasu, skąd widok miał na bród i osadę,
i czekał w napięciu.

Nie czekał długo. Na gościńcu ukazało się dwóch jeźdźców tatar-
skich, którzy opieszale rozglądali się dokoła, jednocześnie o czymś
gwarząc. O sto kroków za nimi widać było nadciągającą gromadę jeń-
ców, przeważnie niewiast, a po obu stronach ich pochodu jechała straż.
Przeciągali tak blisko, że rozeznac można było zapłakane, wynędzniałe
twarze. Za jeńcami, również pod strażą, pędzono stada bydła, a za nimi
szło kilkanaście wozów. Niewielki oddziałek jezdnych zamykał po-
chód, którego czoło dotarło już do brodu i rozpoczęło przeprawę.

Gdy przepędzono bydło i pierwsze wozy wparły się w bród, powstało jakieś zamieszanie. Widocznie konie nie mogły uciągnąć przeciążonych wozów, których koła wrzynały się głęboko w muł, bo kilku jezdnych zeskoczyło do wody, przyprzegając swoje. Powstały przy tym gwar nagle przygłuszyła wrzawa, niosąc się po lesie jak grom. Gniewomir ze swymi chłopami uderzył.

Tatarzy, poniechawszy, wózów doskoczyli do koni i wpadli w kołtowanie, jaka rozpetęła się koło osady. Tylko dwóch z tylnej straży zawróciło i pognęło z powrotem. Kasztelan przez chwilę patrzył na kłębowisko za brodem, rozbiegane bydło, ludzi i konie. Tatarów było tylko kilkudziesięciu, spokojny był, że Gniewomir sobie poradzi, główny cel zresztą już był osiągnięty, bo z zamętu wymykali się jeńcy, uskakując w las. Nie było jednak wątpliwości, że jest to początek i każdej chwili spodziewać się należy nadejścia odsieczy, jeżeli nie całej siły nieprzyjacielskiej; Swarno bowiem -jak przypuszczał Wojan - musiał tu już ściągać rozproszone za łupem zagony. Kasztelan wstał, mówiąc:

- Pójdźmy do swoich. Ino patrzeć, na dobre się nacznic.

Dochodzący od osady gwar nacichał już, kilkunastu jeźdźców tatarskich pognęło z powrotem, gościniec pustoszał, tylko koło budynków kręciło się rozbiegane bydło, a na zawalonym wozami brodzie bezsilnie targwały się konie. Kasztelan pchnął do Gniewomira posłańca z rozkazem, by pozostał przyczajony na miejscu, sam zaś podsunął hufiec jazdy do strugi powyżej brodu i czekał. Słońce tymczasem wzbilo się już nad bory, po gwarze zapanowała cisza, przerywana tylko rykiem bydła, które, zrazu spłoszone, teraz garnęło się do wodopojów lub paść się zaczęło, widno wygłodzone.

Kościcszy było to na rękę; Swarnie zdać się mogło, że jakiś niewielki oddział napadł straż i, uwolniwszy jeńców, uszedł.

Tomko nie pomylił się. Głuchy odgłos tętentu idących w skok koni usłyszeli, zanim na zakręcie ukazał się kilkaset koni liczący oddział lekkiej jazdy tatarskiej. Gnający na czele pod buńczukiem dowódca, dopadłszy brodu, zdarł konia i osadził go na miejscu. Krzyknął coś do swoich i rozbiegli się, jedni zganiając bydło, inni biorąc się do wycią-

gania ulgniętych na brodzie wozów. W powstałym zamęcie i zgiełku nie od razu wybiły się krzyki, świadczące, że w osadzie napotkali nieprzyjaciela, ale gwar nasilał się gwałtownie. Nie było wątpliwości, że zaczęła się walka. Dowódca znowu coś krzyknął, rozległy się przeźrliwe gwizdy piszczałek starszyny, jeźdźcy sformowali się sprawnie i po obu stronach brodu wparli konie w strugę.

Na tę chwilę czekał Kościeszka. Bachmaty brnęły z trudem, zbyt płytko było, by mogły płynąć, obciążone grzęzły w mule i Tatarzy zeskakiwać jęli do wody, by im ulżyć.

Nie od razu spostrzegli wysypujący się z lasu hufiec jazdy. Znowu rozległy się gwizdy starszyny tatarskiej, ale mimo przewagi liczebnej nie zdążyli stawić składnego oporu gwałtownemu uderzeniu i szli pod miecz niemal bez walki. Tylko dowódca zdołał skupić koło siebie kilkudziesięciu jeźdźców i wymknąć się, ale nie ubiegł ani dwóch stajaków, gdy na gościńcu wysypała się z lasu gromada pieszych, zaskakując mu drogę. Gdy przy brodzie i koło osady docinano już resztę Tatarów, na gościńcu zakotłowało się. Las huczał od wrzasków. Polscy woje, choć liczniejsi, ustępować jęli pod parciem tatarskich jeźdźców i zajęci walką nie zauważyli, że nadciągają nowe zastępy Swarna, który, widocznie zawiadomiony o bitwie, spieszył do niej co tchu. Sam na czele niewielkiego oddziału pancerniej jazdy dopadł pierwszy i zdać się mogło, że wzięty z dwóch stron oddział polskiej piechoty rozbity zostanie ze szczętem. Już kto wydolił wydostać się ze skrętu, chronił się w lesie, tymczasem jednak Kościeszka, wydawszy lub rozproszywszy tatarską jazdę, pomiarkował, co się dzieje, i pędem szedł ku walce, a za nim co prędzej podążał z pieszymi Gniewomir.

Bezlądna bitwa rozszerzała się jak płomień, nadciągały tymczasem dalsze zastępy Swarna, jego liczebna przewaga rosła. Z rzeką jednak o bagnistych brzegach po jednej stronie gościńca, a podmokłym lasem po drugiej - nie mógł zrazu przewagi wykorzystać. Bitwa rozciągała się już na przestrzeni kilku stajaków. W miarę jednak, jak czas płynął, polskich wojów zaczęło ogarniać znużenie. Coraz więcej uskakiwało w las, a w ślad za nimi wpadły tylne zastępy Swarna, które dotych-

czas dopchać się nie mogły do bitwy. Bezdarna walka przelewała się z gościńca do lasu, który trząsał się od wrzasków. Krzyki te jeły się oddalać, natomiast wrzawa na gościńcu wzmogła się znowu. Kościeszka, wyciąwszy lub rozproszywszy resztę jazdy tatarskiej, znalazł się na tyłach swych pieszych oddziałów, które kurczyły się jednak i niedługo trwało, gdy reszta wpadła w las, dwa hufce jazdy pancerniej zwarły się i szcęk żelaza zagłuszył inne odgłosy.

Walczący w przedzie Kościeszka nie od razu pomiarkował, że po obu stronach gościńca zabiegają mu tyły tatarscy łucznicy. Dopiero gdy zagwizdały pociski, a w tylnych szeregach rozległy się krzyki, zrozumiał, że go otaczają, i odcinając się, ustępować począł, by się rzeką od tyłu zasłonić. Ale tam już walczyć trzeba będzie do ostatniego. Dla ciężkiej jazdy podmokłym lasem odwrotu nie było. Nawet gdyby chciał porzucić konie, to ciężkie uzbrojenie, które taką przewagę dawało pancernym nad pieszymi, w bagnistym lesie stawało się tylko zawadą.

Swarno również sądził, że bitwa już wygrana. Jeńców wprawdzie nie spodziewał się odzyskać, trudno było łowić w lesie uchodzących, ale pozostawały łupy na wozach i znaczna część zrabowanego bydła, które opłaca wyprawę. Ściągnąć chciał z lasu pościg, który zapędził się tam za uchodzącą piechotę, by jak najprędzej znaleźć się za granicą. Wycofał się z walki, sądząc, że polskiemu rycerstwu pozostało już tylko zginąć lub iść w niewolę.

To samo z goryczą myślał Kościeszka. Zginąć przyjdzie w walce ze zgrają rozbójników; pozostawiono go samotnie, jak ongi panów z Krępy w Sandomierzu.

W zamęcie nic słyszał odległych wrzasków, które wzmagały się i zbliżały. Usłyszał je natomiast Swarno i zanim dostrzegł, zrozumiał, co się dzieje. W popłochu gnały ku brodowi gromady jego rozbójników, a za chwilę na zakręcie gościńca ukazał się hufiec konny jadący na ich karkach, siejąc spustoszenie.

Swarno struchlał: zastawiono na niego pułapkę; odwrót na wschód zamykała bagnista struga i zawalony bród, na południe głęboka rzeka o grząskich brzegach. Z pieszych choć część zdołała się ocalić, ucho-

dząc w bory ku północy, ale dla niego nie było tej drogi[^] a wszystko lepsze, niż znaleźć się w ręku wroga, który niechybnie z nawiązką zapłaci za okrutną śmierć Ziemowita. Nie namyślając się, skoczył z gościńca ku rzece, wparł w nią konia i nie obejrawszy się nawet, kto uchodzi za nim, przedzierał się ku południowi, byle się wydostać z bagien nad Tanwią.

Ucieczka wodza nie uszła uwagi, nikt nie myślał już o walce, jeno jak własną głowę ocalić. Bezludny tłum rzucił się w las, tam szukając schronienia przed rzezią, jaka zaczęła się na gościńcu. I tu go jednak nie znalazł. Drogę zastąpiły oddziały chłopów, którzy wycofali się w las w czasie bitwy, a teraz wracali, by jej dokończyć, bezlitośnie biorąc odwet. Do wieczora las rozbrzmiewał wrzaskami mordowanych zbójów.

Kościeszka, przyparty do brodu i ostatkiem sił broniący się przed zagładą, pojął, co się dzieje, dopiero gdy zamiast wzniesionych mieczów ujrzał plecy wrogów. Czas był najwyższy, bo brakło już sił nawet, by ich ścigać. Nie było zresztą potrzeby, mało który z jeźdźców zdołał w ślad za Swarnem przeprowić się za Tanew. Kto nie dał gardła na brzegu, ginął od strzał na rzece. Na gościńcu przeredziło się i Kościeszka spostrzegł Pietrka Dunina nadjeżdżającego na czele kilkudziesięciu rycerzy. Skoczył naprzeciw i ścisnął go z wylaniem, jeszcze słowa niezdolny wymówić.

Po nocnym pochodzie bezdrożami i niemal całodziennej walce wszyscy jego ludzie również wyszani byli z sił, toteż kasztelan Dunin zajął się przygotowaniem dla nich wieczerzy, opatrzeniem rannych i pochówkiem poległych. Pomału wracał spokój, cichł nawet obozowy gwar, wielu bowiem zasypiało, gdzie który usiadł.

Kościeszka, czekając na wieczerzę, również zadrzemał, zbudził go dopiero pacholek z posiłkiem. Teraz dopiero przypomniał sobie o Wojanie, którego stracił z oczu zaraz na początku bitwy. Zapewne brał udział w pościgu, ale na pogodnym niebie zaczynały już migać gwiazdy, a las od świtu huczący odgłosami walki, teraz stał cichy i ciemny. Kto w nim nie został na zawsze, powinien już wrócić. Kasztelan polecił pachółkowi, by odszukał Wojana, i pożywił się w zamyśleniu.

Niespodziane zwycięstwo niewątpliwie w znacznej mierze Wojanowi należało zawdzięczać. Gdyby nie przestrzegł o najeździe, Swarano z łupem i jeńcami znowu uszedłby bezkarnie. W obszernej a niespokojnej kasztelanii łukowskiej, leżącej na szlaku najazdów, przydałby się taki człowiek. Sposobność będzie w Krakowie przemówić za nim do księcia, by nie potrzebował się ukrywać, mógł gdzieś osiąść na granicy i dawać na nią baczenie. Kasztelan nie wiedział, co sam Wojan zamierza, wiedział natomiast, że z niego niełatwy człowiek ani wylewny.

Długo czekał, nim go wreszcie ujrzał. Wskazał mu miejsce obok siebie na obalonym pniu i przez chwilę milczeli obaj. Zaczął Wojan:

- Wołałście mnie. Po co?
- Podziękować ci chciałem i zapytać, co zamierzasz poczynać.
- Jako i wy: pożywić się i spocząć.
- Słuchaj! Rozumiesz, że nie o to pytam.
- Jeśli rozumiem, to i wy także, żem wam odpowiedzi niedłuzny.

Kasztelan przygryzł wąsa, ale postanowił być cierpliwy i podjął:

- Pytam z życzliwości. Będę w Krakowie na zjeździe, mogę cię do łaski książęcej, a nawet do nagrody zalecić. Prawił mi rycerz Żegota, jako wywołańcem jesteś. Nie rzekł, coś zawinił, ale księżę każdy występkiem wybaczyć władni. Z dziedzicami Radosława ułożyć się możesz o okup i żyć jak drudzy.

Wojan słuchał chmurnie, jakby się nad czymś namyślał, bo nie zaraz odparł:

-Pytacie z życzliwości! Potrzebny byłem. Żeby nic to, w więzach byście mnie książęciu odesłali... gdybym się ująć zwolił. Iście wywołańcem jestem, z wszelkiego prawa wyzutym. Ale też nijakie do mnie prawo nikomu; ani prawo łaski, o którą nie proszę. Rzekłbym, że ja książęciu łaskę świadczyłem, jeno że zawsze działałem, co mi się uwidzi, na nikogo nic zważając. Ułożyć się z dziedzicami Radosława? Z nim to chciałem się ułożyć, pogłównie za człeka, którego mu Jasiek we własnej obronie ubił, zapłacić! Wyśmiał mnie, że dziesięć grzywien płaci, by go obcisać, tedy sześci pogłównego nie weźmie. Iście nie wziął, dziesięć grzywien mnie zapłacił, a za jego głowę ni denara

nie dam. Żyć jak drudzy! Od wyrostka jeno te drzewa miałem nad sobą, nawykłem. Pytacie, co zamierzam począć; sam nie wiem, jeno wiem, że krzywdzić nie zwolę ni siebie, ni kogo, ani sprawiedliwości się dopraszać nie będę, bo jej nie ma. Po waszemu Radosław czestny był człek, jego głowa trzydzieście grzywien stoi, moja nic, bom bezecny. Kasztelan słuchał, hamując zniecierpliwienie. Znał ludzi i w zuchwałstwie Wojana wyczuwał gorycz. Rozumiał też, że od wyrostka nawykły żyć poza prawem, nie uznaje niczyjej powagi ni urzędu, ni wieku. Łatwiej uchodzić znarwionego konia niż człeka. Odparł:

- Nie wierzysz, żem ci przychylny, nie będę się bożył. Mnie lubo książęciu przysługę oddałeś, przed wrogiem przestrzegając i ręki dokładając, by mu łupieżę obrzydzić? Byłbym spokojnie w Łukowie siedział, miast tu głowę stawić. Omal jej nie położyłem, choć tu nie mój ujazd¹. Nijakie prawo do ciebie, mówisz? Jest takowe, którego i zwierz w boru przestrzega, że silniejszy słabszemu obronę winien. I że łącniej drzewce włóczni złomie niżli mietłę. Dlatego się zawždy ludzie łączyli, bo wiadomo, że rojem osy konia zaądadł. Rzekłeś, że zdałaby się Swarnie nauka. Iście tak. Takiżesz mocarz, że sam to uczynić wydolisz, luboś w gębie mocniejszy niżli w ręku?

- Czego chcecie? - przerwał Wojan, zmieszany i gniewny.

- Tego, co i ty: pożywić się i spocząć. Obu nam się należy; ani się spodziewać było, że jeszcze wieszczać będziem. A jest tu i kamionka miodu, co się na wozach naszła. Swarno takoz się nie spodziewał, że to my go wypijem za zwycięstwo.

Nalał w kubki, ale Wojan nie wyciągnął ręki, lecz powtórzył ze złością:

- Pytam, czego ode mnie chcecie? Kościesz wzruszył ramionami:

- Mniemałem, że obaj jednego chcemy: koniec uczynić z onym zbójem, bo nie będzie od niego pokoju, pokąd się mu legowiska nic zniszczy. Z dawna to książę zamierzyli i tak mniemam, że ninie na krakowskim zjeździe rycerstwo zrozumie, że wstydno napaści jednego zbója bez odpłaty ostawić, i wyprawę uchwali. Ale mówisz, że ci nie trzeba ni książęcej łaski, ni mojej przychylności; obędziem się bez

twojej. Żal, bo wyprawę przygotować trzeba jak jądźwieską, a człek z ciebie mężny i doświadczony. Alić bez jednego rycerza wojna będzie, a mamy już ludzi do tego zdatnych, choćby on Główka, który w tamtej się zasłużył i w mojej kasztelanii nadanie otrzymał. To twój druh przecie, tedy wypić możesz, by mu się dalej tak wiodło, jak raniej. Takż wypowiednik był, a ninie już pasowany rycerz, choć młodziak. Szkoda, żeście się rozeszli, prawego druha należć niełatwo. Tedy jego zdrowie.

Przepili raz i drugi, ale rozmowa urwała się. Ciemność już zapadła, rozjaśniana tylko blaskami ognisk. Kościeszka wstał, przeciągnął się i rzekł:

- Czas spocząć, bo jutro mi o świcie do Krakowa. Tedy żegnać się nam. Nie dziękując, skoro nie chcesz, i praw jesteś, bo to obu nam podzięka się należy od tych, cośmy ich ze zbójcekich pęt wydarli.

Wyciągnął dłoń, którą Wojan ujął z wahaniem, i jakby zawstydzony, powiedział:

- Spotkacie Główkę, rzeknijcie mu, że jeśli chce mnie ujrzeć, tam go czekam, gdzieśmy raniej zbiegów i wypowiedników na jądźwieską wyprawę zbierali. A będę potrzebny, on wam rzeknie, gdzie mnie szukać. Dobrze nam się społem wojowało.

- Praw jesteś, że nic tak nie łączy, jak krew pospólnic przelana powiedział kasztelan. - Tedyś i mój druh. Ale tak mniemam, że on Główka na swym weselisku rad by cię ujrzał. Człek nie zwierz, by jeno krew chłęptał. Dobrze przyjaźń i miodem podlać, a najlepiej zdobycznym, jako my ninie. Tedy nie żegnam, prawi mężowie za-wżdy się spotkają tam, gdzie są potrzebni.

Ujazd - podległy obszar.